

E O I N C O L F E R
D O U G L A S A D A M S



I JESZCZE JEDNO...

AUTOSTOPEM PRZEZ GALAKTYKĘ

CZĘŚĆ SZÓSTA TRYLOGII

Eoin Colfer & Douglas Adams

I jeszcze jedno

Autostopem przez galaktykę

Tom VI

Przekład:

Paweł Wieczorek

Dla Jackie, Finn i Seána, którzy tęsknią za mną, gdy mnie nie ma, ale nie tak bardzo, jak ja za nimi.

Jeśli chcecie sobie przypomnieć, jak wyglądam, z tyłu książki powinno być moje zdjęcie.

PODZIĘKOWANIA

Chciałbym podziękować Douglasowi Adamsowi za demontaż mojej perspektywy i odbudowanie jej w innym wymiarze. Wyrazy wdzięczności i miłości dla Jackie za pomysły, wskazówki, sprawdzanie faktów i wkład w pisanie tej książki i wszystkich pozostałych przez minione dziesięć lat, oraz dla Sophie i Eda za zmontowanie tego projektu, a także dla Polly i Jane za uprzejme wsparcie. Podziękowania dla Alexa i Leslie, moich wydawców o orlim wzroku, którzy prawdopodobnie poprawiali te podziękowania. Na koniec wielkie dzięki dla starego przyjaciela Teda Roche'a, który zapoznał mnie nie tylko z *Autostopem*, ale także z Whitesnake. Takich długów nigdy nie da się spłacić.

Było już zdecydowanie po burzy i grzmoty pomrukiwały nad dalekimi wzgórzami niczym ktoś, kto mówi: „I jeszcze jedno...” dwadzieścia minut po tym, jak przegrał kłótnię.

Douglas Adams

Podróżowaliśmy przez przestrzeń i czas, przyjaciele, aby znowu potrząsnąć tym budynkiem.

Tenacious D

SŁOWO WSTĘPNE

Jeśli posiadasz *Autostopem przez Galaktykę*, to należy domniemywać, iż jedną z ostatnich rzeczy, którą byś wpisał na jego wide-o-turze, jest tytuł tego szczególnego sub-etowego woluminu, mając bowiem egzemplarz, wiesz już wszystko o najbardziej godnej uwagi książce opublikowanej przez wielkie korporacje wydawnicze z Małej Niedźwiedzicy. „Domniemanie” było jednak zdobywcą drugiego miejsca w każdym bardziej znaczącym badaniu opinii publicznej kilku ostatnich tysiącleci, zajmującym się przyczynami konfliktów międzygalaktycznych, przegrywając niezmiennie z „grabiącymi ziemie draniami z wielką bronią” i wyprzedzając idące niemal łeb w łeb „pożądanie kogoś ważnego dla innej osoby” oraz „błędną interpretację prostych gestów dłonią”. Co dla jednego znaczy: „Rany! Ten makaron jest *fantastico!*”, dla drugiego może wyrażać: „Twoja mamuśka jest szybka i gra ostro z marynarzami”.

Powiedzmy na przykład, że spędzasz ośmiogodzinną przerwę w podróży w Port Brasta, nie masz na implancie dość kredytu na Gardłogrzmosta i po stwierdzeniu, że nie wiesz praktycznie nic o jej podobno wspaniałej książce, z czystej, mącącej mózg nudy postanawiasz wpisać na pasku wyszukiwania *Autostopem przez Galaktykę* hasło: „autostopem przez galaktykę”, to jaki efekt przyniesie takie nonszalanckie stukactwo?

Po pierwsze, w błysku pikseli pojawi się animowana ikona, która poinformuje, że znaleziono trzy wyniki wyszukiwania, co będzie o tyle dezorientujące, że poniżej wymienionych zostanie pięć rozwiązań, ponumerowanych w zwykłej kolejności.

Uwaga w Przewodniku:

Pod warunkiem że twoim zwykłym porządkiem liczbowym jest ciąg od liczb mniejszych do większych, a nie od pochodnych do natchnionych, co ma miejsce u nagiego ślimaka folfangańskiego, który ocenia wartość liczby na podstawie artystycznej pełni jej kształtu. Folfangańskie paragony sklepowe to piękne wstążki, ale tamtejsza gospodarka załamuje się przynajmniej raz w tygodniu.

Każdy z tych pięciu wyników wyszukiwania to dość długi artykuł z dołączonymi licznymi godzinami plików audio i wideo oraz kilkoma dramatycznymi rekonstrukcjami z udziałem dość dobrze znanych aktorów.

To nie jest opowieść o tych artykułach.

Jeśli jednak przewiniesz stronę w dół za artykuł piąty, ignorując oferty ponownej hipoteki na nerki i przedłużenia ci pormokabana, dojdiesz do napisanego drobniutkimi literkami wersu: *Jeśli spodobało ci się to, może zechciałbyś także przeczytać...* Pozwól ikonie musnąć ten link i zostaniesz przeniesiony do załącznika „wyłącznie tekstowego”, bez jakiegokolwiek audio z niewiele bardziej niż szkieletowym wideo, nakręconym przez reżysera-studenta, który zrobił wszystko we własnej sypialni i płacił swoim tow. dramatu kanapkami.

Oto opowieść o tym załączniku.

WSTĘP

Jak wiadomo... Imperialny Rząd Galaktyczny postanowił pewnego dnia, nad wiaderkiem lśniących jak klejnoty raków, że w niemodnym końcu Zachodniej Spirali Galaktyki potrzebna jest hiperprzestrzenna droga szybkiego ruchu. Decyzja ta była pospiesznie przepychana, rzekomo dla zapobieżenia w dalekiej przyszłości korkom drogowym, ale tak naprawdę dla stworzenia miejsc pracy kilku kuzynom ministra, którzy wiecznie wałęsali się wokół placu Rządowego. Nieszczęśliwym zbiegiem okoliczności na trasie planowanej arterii leżała Ziemia, więc statkami floty budowlanej zostali tam posłani bezlitośni Vogoni, aby usunąć przeszkadzającą planetę, delikatnie używając broni termonuklearnej.

Dwojgu ocalałych udało się załapać stopem na statek Vogonów: młodemu Anglikowi, Arturowi Dentowi, pracownikowi regionalnej stacji radiowej, którego plany na poranek nie obejmowały rozpadnięcia się w pył pod jego kapciami ojczystej planety. Gdyby ludzka rasa przeprowadziła referendum, dość prawdopodobne, że Artur Dent zostałby okrzyknięty najmniej nadającą się osobą, by ponieść nadzieję ludzkości w przestrzeń kosmiczną. W uniwersyteckiej księdze pamiątkowej jego rocznika zostało nawet napisane, że: „najprawdopodobniej skończy w jakiejś dziurze w górach Szkocji, z przewrażliwieniem jako jedynym towarzyszem”. Na szczęście betelgeusański przyjaciel Artura, Ford Prefect, wędrowny zbieracz informacji dla godnego uwagi almanachu dla podróżników międzygwiazdnych *Autostopem przez Galaktykę*, był pełen optymizmu. Tam, gdzie Artur widział czarne chmury, Ford dostrzegał kryjące się za nimi pasemka złotego słońca, dzięki czemu razem stanowili dumnego podróżnika kosmicznego - dopóki podróż nie zaprowadziła ich na planetę Junipella, gdzie za wszystkimi czarnymi chmurami montowano złote pasemka. Artur bez najmniejszej wątpliwości skierowałby statek prosto w najbliższą chmurę przygnębienia, a Ford niemal na pewno spróbowałby ukraść złoto, co spowodowałoby jednak katastrofalne zapalenie się zawartego w pasemkach gazu. Eksplozja byłaby niezła, ale zakończeniu takiemu zabrakłoby tego czegoś, aby można je było uznać za heroiczne - na przykład bohatera w jednym kawalku.

Drugim i ostatnim przedstawicielem Ziemi, który pozostał przy życiu, była Tricia McMillan albo - używając jej czadowego, kosmicznego imienia - Trillian, zażarcie ambitna reporterka z mlekiem pod nosem, specjalizująca się w astrofizyce, która zawsze uważała, że życie nie może się kończyć na życiu na Ziemi. Mimo tego przekonania Trillian była zdumiona, kiedy Zaphod Beeblebrox, nieszablonowy dwugłowy prezydent Galaktyki, poniósł ją do gwiazd.

Co można powiedzieć o Zaphodzie Beeblebroxie, czego jeszcze sam nie wydrukował na T-shirtach i nie rozpowszechnił po całej Galaktyce, dodając gratis do każdej transakcji na uBidzie? Prawdopodobnie najślawniejszym sloganem było: ZAPHOD MÓWI TAK ZAPHODOWI, choć nawet jego psychiatrzy nie rozumieli, co właściwie miał on znaczyć. Drugim w rankingu faworytów było prawdopodobnie: BEEBLEBROX. CIESZ SIĘ, ŻE GDZIEŚ TAM KRAŻY.

Uniwersalną zasadą jest, że jeżeli ktoś zadaje sobie trud wydrukowania czegoś na T-shirtach, niemal zdecydowanie nie jest to nic stuprocentowo nieprawdziwego - co oznacza, iż bardziej niż prawdopodobnie jest dość zdecydowanie nie do końca błędne. W konsekwencji, kiedy Zaphod Beeblebrox zjawiał się na jakiejś planecie, jej mieszkańcy niezmiennie odpowiadali „tak”

na wszelkie pytania, które zadawał, a kiedy odlatywał, byli zadowoleni, że zostawił ich w spokoju i poleciał sobie znowu gdzieś pokrażyć.

Ci mniej niż tradycyjni bohaterowie nieprawdopodobnie się wzajemnie przyciągali i wyruszyli w serię przygód, których głównym elementem było szwendanie się po przestrzeni i czasie, siedzenie na kwantowych kanapach, gawędzenie z gazowymi komputerami i generalnie nieznanie znaczenia lub spełnienia w którymkolwiek z zakątków wszechświata.

Artur Dent w końcu wrócił do dziury w kosmosie, gdzie zwykle była Ziemia, i odkrył, iż została wypełniona planetą wielkości Ziemi, która wyglądała i zachowywała się niezwykle podobnie do Ziemi. W rzeczywistości była to planeta Ziemia, tyle że nie ta Artura. W każdym razie nie tego Artura. Ponieważ jego rodzinna planeta znajdowała się w centrum strefy pluralowej, Artur, którym się zajmujemy, został przesunięty po osi wymiarów do Ziemi, która nigdy nie została zniszczona przez Vogonów. Fakt ten bardzo go uradował, a jego zwykle pesymistyczny nastrój poprawił się jeszcze bardziej, kiedy poznał pokrewną duszę - Fenchurch. Na szczęście idylliczny okres nie został przerwany przez wpadnięcie na jakiegoś alternatywnego Artura, który mógłby krażać po okolicy, prawdopodobnie w Los Angeles, pracując dla BBC.

Artur i jego prawdziwa miłość podróżowali wśród gwiazd, aż Fenchurch zniknęła w połowie rozmowy w trakcie skoku hiperprzestrzennego. Szukał jej po całym wszechświecie, a przenosił się z miejsca na miejsce, wymieniając płyny ustrojowe na bilety pierwszej klasy. W końcu utknął na planecie Lamuella i utrzymywał się, robiąc sandwicze pewnemu prymitywnemu plemieniu, które uważało, że kanapki to coś naprawdę wystrzałowego.

Spokój zaburzyło mu przybycie paczki kurierskiej od Forda Prefecta, zawierającej *Autostopem przez Galaktykę 2.0* pod postacią wazeliniańskiego wszechwymiarowego czarnego ptaka. Trillian, która była w owym czasie topową dziennikarką działu wiadomości, miała dla Artura własną przesyłkę - Random Dent, córkę splodzoną z materiału stanowiącego równowartość ceny miejsca 2D na czerwonym oku Alfy Centauri.

Artur z ociąganiem wziął na siebie rolę rodzica, ale zadziorna nastolatka całkowicie przerastała jego możliwości. Random ukradła mu *ApG 2.0* i wzięła kurs na Ziemię, sądząc, że wreszcie będzie mogła się poczuć jak w domu. Artur i Ford podążyli za nią, a gdy przybyli na miejsce, okazało się, że jest tam już Trillian.

Dopiero wtedy ujawnił się cel, do którego dążył *ApG 2.0*. Vogoni, zirytowani odmową ze strony Ziemi pozostania w stanie rozpirzonym, skonstruowali ptaka, aby zwabić uciekinierów z powrotem na planetę, by zniszczyć ją w każdym wymiarze, dokańczając pierwotne zlecenie.

Artur i Ford pognali połowicznie na łeb na szyję do London's Club Beta, zatrzymując się tylko po *foie gras* i niebieskie zamszowe buty. Dzięki sprawie z osią wymiarów i strefą pluralową stwierdzili, że Trillian i Tricia McMillan koegzystują w tej samej czasoprzestrzeni i na obie wdziera się rozemocjonowana Random.

Traciecie wątek? Artur go stracił, choć nie na długo. Kiedy zauważył pulsujące przez dolną warstwę atmosfery zielone promienie śmierci, pozostałe uporczywe problemy dnia jakby straciły na uporczywości - w końcu było mało prawdopodobne, aby poczucie utraty wątku posiekało go na milion poprzypalanych kawałeczków.

Prostetnik Vagonów dobrze wykonał robotę. Nie tylko zwabił Artura, Forda i Trillian z powrotem na Ziemię, ale udało mu się także wmanipulować grebulońskiego komendanta w zniszczenie Ziemi za niego, co zaoszczędziło jego załodze kilkuset vogo godzin papierkowej roboty z biurem amunicji.

Artur i jego przyjaciele siedzieli bezsilnie w London's Club Beta i mogli jedynie obserwować, jak prowadzona jest na Ziemi ostateczna wojna - niezdolni do wzięcia w niej udziału, chyba że liczą się mimowolne spazmy i zamiana materii kostnej w płyn. Tym razem bronią zniszczenia nie były vogońskie torpedy, a promienie śmierci, ale kiedy jest się tym, który zbiera cięgi, można po-
minąć różnice między systemami destrukcji planet..

ROZDZIAŁ 1

Zdaniem pomocnika dozorczy na Uniwersytecie Maximegalońskim, który często się szwenda pod salami wykładowymi, wszechświat ma szesnaście bilionów lat. Na tę rzekomą prawdę rzuca się z wrzaskiem zgraja betelgeusańskich poetów beatowych, którzy twierdzą, że mają starsze schollowskie wkładki do butów (*pa-ram-pam-pam*). Siedemnaście bilionów, mówią, minimum - zgodnie z ich egzemplarzem zwojów o Prawielkim Prawybuchu. Pewien cudowny nastolatek rasy ludzkiej wymienił kiedyś liczbę czternastu bilionów - opierając się na skomplikowanych obliczeniach zawierających dane dotyczące gęstości skał księżycowych i odległości między dwoma pokwitającymi osobnikami płci żeńskiej na horyzoncie wydarzeń. Jeden z pomniejszych asgardiańskich bogów wymamrotał, że gdzieś coś czytał o jakimś poważniejszym kosmicznym wydarzeniu sprzed osiemnastu bilionów lat, nikt nie zwraca już jednak zbytnej uwagi na oświadczenia kogośkolwiek z „na wysokości”, skończyło się to wraz z fiaskiem „świtu bogów”, czy - pod tą nazwą sprawa stała się znana - Thorgate.

Niezależnie od tego, ile tych bilionów naprawdę jest, są to biliony i stary człowiek na plaży wyglądał, jakby przynajmniej jeden z tych milionów milionów odliczono mu na palcach. Jego skóra była pergaminem w kolorze kości słoniowej, a widziany z profilu, mocno przypominał drżące, wersalikowe S.

Mężczyzna pamiętał, że miał kiedyś kota - o ile wspomnienia można uważać za coś wykraczającego poza konfiguracje neuronów na trylionach synaps. Wspomnień nie da się dotknąć, nie da się ich odczuć jak przyboju opływającego poskręcane palce stóp. Czym jednak są odczucia fizyczne, jeśli też nie elektrycznymi komunikatami wysyłanymi przez mózg? Dlaczego im mielibyśmy wierzyć? Czy we wszechświecie istnieje coś bardziej godnego zaufania, co można objąć ramionami i się tego przytrzymać pośrodku burzy motylowej, niż hawaliuzjańska gąbka powietrzna?

Cholerne motyle, myślał mężczyzna. Jak tylko wymyśliły to z trzepotaniem skrzydełkami kontynent dalej, miliony swawolnych łuskoskrzydłych zebrały się do kupy i zrobiły się złośliwe.

To nie może być prawda, pomyślał. Burze motylowe?

W tym momencie kolejne neurony zalały impulsami kolejne synapsy i zaszeptaly teorie nieprawdopodobieństwa. Jeżeli coś miało obowiązek się nie wydarzyć, to powinno stanowczo odeprzeć stanie się tego możliwie najszybciej.

Burze motylowe. To tylko sprawa czasu.

Stary człowiek odsunął tę myśl, zanim przyjdzie mu do głowy kolejna katastrofa i zacznie się materializować.

Czy istniało cokolwiek, czemu można by zaufać? Z czego można by czerpać pocieszenie?

Zapadające słońce zapalało półkola na falkach, polerowało chmury, malowało na palmowych liściach srebrne paski i sprawiało, że stojący na werandzie dzbanek do herbaty migotał.

O tak..., pomyślał stary człowiek. Herbata. Pośrodku niepewnego i prawdopodobnie iluzorycznego wszechświata zawsze będzie istnieć herbata.

Laską zrobioną z wyrzuconej nogi robota stary człowiek napisał na piasku dwie liczby naturalne i patrzył, jak zmywają je fale.

W jednej chwili czterdzieści dwa istniało, w następnej już nie. Może cyfr nigdy nie było i być może nawet nie miały znaczenia.

Z jakiegoś powodu sprawiło to, że stary człowiek zachichotał, kiedy pochylił się, aby lepiej pokonać wznoszące się zbocze i dobrnąć ku swej werandzie. Przy wtórze trzeszczenia kości i drewna opadł na wiklinowy fotel całkowicie przyjazny dla otoczenia i zawołał androida, aby przyniósł mu herbatniki.

Dostał ciasteczka marki Rich Tea.

Dobry wybór.

Kilka sekund później nagłe pojawienie się szybującego w powietrzu metalowego ptaka spowodowało chwilową pomyłkę w zanurzeniowym skupieniu i stary człowiek stracił spory półksiężyc herbatnika w herbacie.

- Na Boga! - sarknął starzec. - Wiesz, jak długo pracowałem nad tą techniką? Nad maczaniem i sandwiczami. Cóż innego pozostało człowiekowi?

Nie wzruszyło to ptaka.

- Niewzruszony ptak - powiedział cicho starzec, rozkoszując się dźwiękiem słów. Zamknął chore oko, które nie działało jak należy od czasu, kiedy jako roztrzepany chłopak spadł z drzewa, po czym przyjrzał się badawczo stworowi.

Ptak unosił się nieruchomo w powietrzu, metalowe pióra migotały szkarłatem w promieniach słońca, skrzydła tworzyły maleńkie zawirowania.

- Baterie - powiedział ptak głosem, który skojarzył się starymu człowiekowi z aktorem. Oglądał go kiedyś w London's Globe Theatre w *Otellu*. Niesamowite, co można wydobyć z jednego słowa.

- Powiedziałeś „baterie”? - spytał mężczyzna, aby się upewnić. Słowo mogłoby równie dobrze brzmieć „koterie”, a nawet „artylerie”. Słuch miał już nie taki jak kiedyś, szczególnie problemy powodowały początkowe spółgłoski.

- Baterie - powtórzył ptak, a rzeczywistość nagle pękła i rozpadła się na kawałki jak rozbite lustro. Plaża zniknęła, fale zamarły w bezruchu, pokryły się siecią rys i także zniknęły. Ostatni zginął herbatnik.

- Dupa - mruknął starzec, kiedy z palców wyparowały mu resztki okruszków, po czym opadł na poduszkę w niebiańskim salonie, w którym nagle się znalazł. Ktoś wkrótce przyjdzie, był tego pewien. Z mrocznych zakamarków, w których kryły się jego dawne wspomnienia, niczym szare nietoperze wychynęły nazwy „Ford” i „Prefect”, aby skojarzyć się z nadpływającą nieuchronnie katastrofą.

Ilekoć wszechświat się rozpadał, Ford Prefect zawsze był tuż-tuż. On i ta jego przeklęta książka. Jak się nazywała? O tak... *Samolotem po gimnastyce*.

Jakoś tak albo bardzo podobnie.

Stary człowiek dokładnie wiedział, co powiedziałby Ford Prefect.

„Popatrz na sprawę optymistycznie, stary. Przynajmniej nie leżysz przed buldożerem, nie? Przynajmniej nie jesteśmy wystrzeliwani jak korki z dzieciennego karabinu z vogońskiej słuzy powietrznej. Niebiański salon też nie jest szczególnie obscurny. Mogłoby być gorzej, znacznie gorzej”.

- Będzie znacznie gorzej - oświadczył starzec z ponurym przekonaniem. Z jego doświadczenia wynikało, że generalnie sprawy zawsze się pogarszają, a w rzadkich przypadkach, kiedy zdają się polepszać, jest to jedynie dramatyczne preludium kataklizmowego pogorszenia.

O tak, niebiański salon wyglądał całkiem niegroźnie, ale jakież przerażające rzeczy czyhały za jego marszczącymi się ścianami? Żadne, które nie podpadałyby pod kategorię „straszne” - tego był pewien.

Dźgnął palcem jedną z plastycznych powierzchni na ścianie i przypomniał mu się budyń z tapioki, co niemal wywołało uśmiech, dopóki nie uzmysłowił sobie, że nienawidził tapioki od momentu, kiedy szkolny lider, terroryzujący kolegów, nalał mu jej do butów w Eaton House Prep.

- Blistersie Smysie, ty przebiegły gnojku... - wyszeptał.

Czubek jego palca zostawił na chwilę dziurkę w chmurach i staremu człowiekowi mignęło przez nią podwójnej wysokości otwierane pionowo okno, a za oknem... czy mógł to być promień śmierci?

Starzec obawiał się, że raczej tak.

Tyle czasu, pomyślał. Tyle czasu i nic się nie wydarzyło.

*

Życie Forda Prefecta było jak marzenie, o ile marzeniem można nazwać rezydowanie w jednym z ultraluksusowych, pięcio-nadolbrzymio-gwiazdkowych, naturalnie zerodowanych hedonistycznych kurortów Hana Wavela oraz wypełnianie godzin niespędzanych na spaniu spożywaniem powodujących trwałe uszkodzenia ilości egzotycznych koktajli i romansowaniem z egzotycznymi żeńskimi przedstawicielkami różnych gatunków.

Najlepsze było to, że o pokrycie kosztów całego pozwalającego na dogadanie sobie i być może skracającego życie pakietu zadba jego karta dine-o-płatnicza, która dzięki odrobinie kreatywnej komputerowej dłubaninki podczas ostatniej wizyty Forda w biurach *Autostopem przez Galaktykę* miała nieograniczony limit.

Gdyby nieco młodszemu Fordowi Prefectowi wręczono czystą kartkę i poproszono go o napisanie w wolnym czasie krótkiego akapitu wyszczególniającego jego najskrytsze życzenia na przyszłość, jedynymi słowami, które by poprawił w akapicie powyżej, byłyby: „być może”.

Prawdopodobnie.

Kurorty Hana Wavela były tak obscenicznie luksusowe, że twierdzono, iż brequindański mężczyzna sprzedałby matkę za noc w sławetnym wibro-apartamencie hotelu Zamek na Piasku. Nie jest to aż tak szokujące, jak brzmi, rodzice są bowiem na Brequindzie akceptowanym środkiem płatniczym, a odpowiednio nawilżonego siedemdziesięciolatka z dobrym kompletem zębów moż-

na prehandlować za średniej klasy rodzinną karocę motorową.

Ford prawdopodobnie nie sprzedałby rodziców, aby sfinansować pobyt w Zamku na Piasku, miał jednak pewnego dwuczaskowego kuzyna, który często sprawiał więcej kłopotów, niż był wart.

Co wieczór Ford jechał cielskowznosem do swojego penthouse'u, chrypiał do drzwi, aby uzyskać dostęp, zdążył popatrzeć sobie w przekrwione oczy i tracił przytomność - twarzą do dołu w umywalce.

To ostatni wieczór, przysięgał sobie co wieczór. Moje ciało na pewno zaprotestuje i zapadnie się w sobie.

Ford zastanawiał się, jak brzmiałby jego nekrolog w *Autostopem przez Galaktykę*. Byłby krótki, na pewno. Kilka słów. Może te same trzy, których przed tyłu laty użył do opisu Ziemi.

W zasadzie niegroźna.

Ziemia. Czy na Ziemi nie wydarzyło się coś smutnego, o czym powinien pomyśleć? Dlaczego niektóre rzeczy pamiętał, a inne były niewyraźne jak mglisty poranek na nieustannie opasanych mgłami Mglistych Równinach Nefologii?

Zazwyczaj w tej ckliwej fazie trzeci Gardłogrzmot wyciskał z przesączonego mózgu Forda ostatnią kroplę świadomości, Ford chichotał dwa razy, skrzeczał jak kurczak na rodeo i wykonywał niemal idealny przewrót w przód do najbliższego pojemnika toaletowego.

Mimo to co rano, kiedy unosił głowę ze znajdującej się w apartamencie umywalki (jeśli miał szczęście), Ford stwierdzał, że cudownym sposobem się zrewitalizował. Zero kaca, żadnego oddechu smoka, nawet jednego pękniętego naczynia krwionośnego w żadnej z twardówek świadczącego o ekscesach minionej nocy.

- Nieżył z ciebie wrucet, Fordzie Prefekcie - mówił sobie niezmiennie. - Oj tak!

Coś tu śmierdzi, słyszał czasami od natarczywej podświadomości.

Śmierdzi? Rybą?

Cześć, i dzięki za...

Nie było czegoś związanego z delfinami? Nie są to co prawda ryby, ale zamieszkują to samo... środowisko.

Myśl, idioto! Myśl! Powinieneś umrzeć przynajmniej sto razy! Wlałeś w siebie dość koktajli, aby zamarynować nie tylko siebie samego, ale także kilka swoich alternatywnych wersji. Jak to się dzieje, że jeszcze żyjesz?

- Żywy i wrucajny - powiedziałby Ford, puszczając oko do swego odbicia w lustrze, zdumiony, jak lśniące stały się jego rude włosy, jak wyraziste kości policzkowe. Wyglądało też na to, że rośnie mu podbródek. Jak wykuty z marmuru. - To miejsce dobrze mi robi - powiedział do siebie. - Okłady z fotopijawek i napromieniowane grubojelitowolemingowe kuracje naprawdę wzmacniają mój system. Sądzę, że jestem Fordowi Prefectowi winien jeszcze kilka dni pobytu.

I został.

Ostatniego dnia Ford Prefect obciążył kartę kredytową szefa masażem podwodnym. Masażystką była damograńska kałamarnica pom pom z jedenastoma mackami i tysiącem przysawek, które oklepywały Fordowi plecy i oczyszczały mu pory seriami przypominających smagnięcie bicia, poklepujących ruchów. Kałamarnice pom pom mają najczęściej kwalifikacje ogromnie przewyższające wymagania przemysłu sanatoryjnego, do rezygnacji z robienia kolejnego doktoratu skłaniały je jednak powaby wysokich zarobków, bogate w plankton baseny i szansa wymasowania łowcy talentów do branży muzycznej i podpisania umowy na nagranie płyty.

- Szukałeś kiedyś talentów, przyjacielu? - spytała kałamarnica, choć nie brzmiała, jakby miała większą nadzieję.

- Nie - odparł Ford. Z pleksiglasowego hełmu leciały mu sznury bąbelków, twarz jarzyła się pomarańczowo od przyjemnej poświaty skalnej fosforescencji. - Choć kiedyś miałem niebieskie zamszowe buty, co należy uznać za niezłe osiągnięcie. W dalszym ciągu mam jeden z nich, drugi jest raczej fioletoworóżowy, ale nic dziwnego, bo to kopia.

Mówiąc, kałamarnica łapała gromadki przepływającego obok planktonu, co sprawiało, że rozmowa nieco się rwała.

- Nie wiem, czy...

- Czy co?

- Jeszcze nie skończyłam.

- Ale przestałaś mówić.

- Złapałam błyska. Myślałam, że to lunch.

- Jadasz błyski?

- Nie. W zasadzie nie.

- To dobrze, bo błyski to minibluski, a te są trujące.

- Wiem. Chciałam powiedzieć, że...

- Znowu błyski?

- Właśnie. Na pewno nie jesteś poszukiwaczem talentów ani agentem?

- Nie.

- Ja zarkwnię! - zakłęła nieco nieprofesjonalnie kałamarnica. - Zaproponowali mi tę robotę po dwóch latach. Obiecali, że poszukiwacze talentów tłumem będą mi wpadać do przysawek. Ani jeden się nie zjawił. Ani cholerny jeden. A wiesz co? Studiowałam grę na mirlitonie na poziomie zaawansowanym.

Ford nie mógł się oprzeć takiej przemowie.

- Grę na mirlitonie na poziomie zaawansowanym? Jak bardzo zaawansowana może być nauka gry na mirlitonie?

Kałamarnica była dotknięta.

- Dość zaawansowana, jeżeli bierzemy pod uwagę równoczesną grę na tysiącu. Byłam w kwartecie. Wyobrażasz sobie?

Ford zrezygnował z dyskusji. Zamknął oczy, zaczął się rozkoszować *chlap-pop* przyssawek na plecach i spróbował sobie wyobrazić cztery tysiące mirlitonów grających w perfekcyjnej, podwodnej harmonii.

Po jakimś czasie kałamarnica owinęła Forda kilkoma mackami i delikatnie odwróciła go brzuchem do góry. Ford otworzył jedno oko, aby przeczytać napis na identyfikatorze masażystki.

JESTEM BARZOO, było napisane na plakietce. UŻYWAJ MNIE, JAK CHCESZ.

Poniżej, mniejszymi literami, dopisano:

MAM ALERGIĘ NA GUMĘ.

- A więc, Barzoo, jakie grasz kawałki?

Przed odpowiedzią kałamarnica wykonała mackami ruch będący ekwiwalentem triumfalnego wyrzucenia przez człowieka pięści w górę, co wzbudziło kotłowanie prądów.

- Głównie stare piosenki. Covery. Słyszałeś kiedyś o Hotblacku Desiato?

Słyszałem, przeszło Fordowi przez głowę, nie bardzo jednak umiał umieścić wspomnienie w kontekście. Sprawy z każdym dniem robiły się coraz bardziej rozmyte.

- Hotblack Desiato... nie był przez chwilę martwy?

Barzoo pochyliła łeb, zastanawiając się nad tym. Jej dziób zwisał otwarty, nie zwracała uwagi na przepływające obok pasma planktonu.

- Hej, jeśli nie pamiętasz, nie przejmuj się! Sam mam drobne problemy z pamięcią. Z takimi drobiazgami jak to, od kiedy tu jestem, jaki jest cel mojego życia, na którą stopę włożyć który but. Takie tam.

Kałamarnica nie zareagowała, jej macki leżały na torsie Forda ciężko jak stara cuma.

Ford miał nadzieję, że Barzoo nagle nie umarła, a jeśli przeszła na inny poziom energetyczny, to przyssawki przestaną ssać, a nie przejdą w tryb śmiertelnego zassania. Fordowi nie paliło się do spędzenia reszty wakacji na chirurgicznym usuwaniu macek z klatki piersiowej.

Barzoo nagle zamruwała.

- Cześć - westchnął Ford, a z hełmu poleciała mu spirala bąbelków powietrza. - Witaj z powrotem. Przez sekundę sądziłem, że...

- Baterie - powiedziała kałamarnica, stukając dziobem o macki. - Baterie.

Dotychczas nie zauważyłem, pomyślał Ford, ale ta kałamarnica bardzo przypomina z wyglądu ptaka.

W tym momencie podwodna grota do masażu rozplynęła się i Ford Prefect stwierdził, że zdeponowano go w pomieszczeniu składającym się wyłącznie z błękitnego nieba.

W przeciwnym rogu siedziała znajoma postać.

- Ach... - powiedział Ford, przypominając sobie.

Uwaga w Przewodniku:

Pamięć to, najogólniej biorąc, proces dwustopniowy, którego częścią jest dialog między ośrodkami w mózgu odpowiadającymi za świadomość a ośrodkami odpowiedzialnymi za nieświadomość. Podświadomość rozpoczyna przetwarzanie, wyrzucając na wierzch odpowiednie wspomnienie - działanie to wyzwała wydzielanie powodujących samozadowolenie endorfin.

- Dobra robota, koleżanko - mówi wtedy świadomość. - To wspomnienie jest teraz naprawdę przydatne, a nie umiałabym sobie przypomnieć, gdzie je schowałam.

- Ty i ja, stara - odpowiada podświadomość, zachwycona, że jej wkład w sprawę został natchmiast doceniony - tkwimy w tym razem.

Wtedy świadomość sprawdza leżące w przegródce na sprawy przychodzące wspomnienie i wysyła komunikat do zwieracza, każąc mu przygotować się na najgorsze.

- Dlaczego mi o tym przypominasz? - drze się na podświadomość. - To straszne. Okropne. Nie chciałam tego pamiętać. Zarkwoński gwint, dlaczego, twoim zdaniem, wypchnęłam to w głąb mózgu?

- To ostatni raz, kiedy ci pomagam - mamrocze podświadomość i wycofuje się w mroczniejsze regiony, gdzie mieszkają wredniejsze myśli. - Nie potrzebuję - cię mruczy pod nosem. - Z tego, co odrzuciłaś, mogę stworzyć sobie inną osobowość. - I w ten sposób zasiano ziarno schizofrenii: z odprysków dręczenia w dzieciństwie, zaniedbania, niskiego poziomu samooceny i uprzedzeń.

Na szczęście Betelgeusańczycy nie mają zbyt wiele podświadomości, więc nie ma sprawy.

- Ach... - westchnął znowu Ford, szybko dodając: - Ale syf...

Ostrożnie ruszył po zrobionej z nieba podłodze, stwierdzając z zaskoczeniem, że przez chwilę jedna z jego nóg delikatnie zamigotała.

Nie jestem prawdziwy, pomyślał, co wystarczyło, aby wbić igłę w jego nieustannie pogodny nastrój, szybko jednak wrócił do normy, co drugiemu użytkownikowi salonu najwyraźniej jeszcze się nie udało.

- Popatrz na sprawę optymistycznie, stary - zawołał do Ziemianina. - Przynajmniej nie leżysz przed buldożerem, nie? Przynajmniej nie jesteśmy wystrzeliwani jak korki z dzieciennego karabinu z vogońskiej służby powietrznej. Niebiański salon też nie jest szczególnie obscurny. Mogło być gorzej, znacznie gorzej.

A jeśli się nie mylę co do tego, co tu jest grane, wkrótce będzie, pomyślał Ford, nie wyraził jednak swej opinii głośno. Artur wyglądał, jakby miał już dość złych wieści na jeden dzień.

Przed skierowaniem swych kroków do sali konferencyjnej na prawdopodobnie najważniejszy wywiad w jej życiu międzyplanetarna reporterka Trillian Astra spędziła kilka niespokojnych chwil w łazience dla przedstawicieli prasy. W trakcie wspaniałej kariery Trillian spędziła rok jako tajny agent w zakładach protetycznych w Gromadzie Megabrantis, udając vogońską urzędniczkę. Odmroziła sobie lewą stopę, kiedy na Orion Beta kopalniani piraci zaatakowali szyb, w którym wydobywano mandranit, a niedawno została zaatakowana przez holistycznego ortodontę, kiedy miała czelność zakwestionować skuteczność prostujących zęby szantów.

Imię Trillian było znane w Galaktyce. W apogeum jej kariery obawiali się jej podejrzani politycy, magnaci branży filmowej i ciężarne samotne celebrytki od Alfy Centauri po Viltwodle'a VI, tego jednak dnia czuła na własnych ramionach całe spektrum strachu.

Prezydent Galaktyki Random Dent. Jej córka. Symultransmisja na żywo z Uniwersytetu Maximegalońskiego dla pięciuset bilionów widzów.

Była zdenerwowana. Nie - więcej. Była przerażona. Nie widziała córki od...

Boże. Dokładnie nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałam Random.

Trillian spróbowała uspokoić się za pomocą rytuału.

- Jak na starego ptaka, wyglądasz całkiem dobrze - powiedziała do lustra.

- Naphawdę tak uważasz, skahbie? - odpowiedziało lustro, najwyraźniej obrażone w znacznym stopniu tym, co paradowało przed jego sensorami. - Jak to jest dobrze, to masz niewygórowane standardy.

Trillian się najeżyła.

- Jak śmiesz?! Gdybyś widział to, co widziałam, przeszedł to, co przeszłam, sądzę, iż zgodziłbyś się, że wyglądam cholernie dobrze.

Westchnienia lustra spowodowały falowanie ośmiu żelowych głośników zamontowanych w ramie.

- Dość lekcji historii, skahbie. Nie chcę gszebać się w przeszłości, jedynie komentować terażniejszość. A teraz pozwól, że ci to powiem: wyglądasz jak Eccentrica Gallumbits w trzecim cyklu. I uwierz mi, skahbie, w trakcie trzeciego cyklu tej nierządniczy wszystko było głównie płynne i gazowe. Na twoim miejscu kupiłbym sobie dobry ręcznik i szlafrok i...

Trillian wyciągnęła rękę i walnęła pięścią w przycisk trybu pracy lustra bez głosu.

Kiedy zaczęto nadawać lustrom cechy charakteru? Pamiętała czasy, gdy jedynie androidy z najwyższej półki i wybrane, ściśle określone drzwi miały Prawdziwie Ludzki Profil Osobowości Cybernetycznej Korporacji Syriusza.

Może Trillian nie chciała słyszeć tego, co miało do powiedzenia lustro, musiała jednak przyznać przed sobą samą, że ma ono rację.

Wyglądała staro. Tak naprawdę to wręcz starożytnie.

To dlatego, że jestem zarkwońsko starożytna. Sto pięć ziemskich lat. Cóż ze mnie zostało...

Z biegiem lat praca na stanowisku reporterki sub-eta nadszarpywała Tricię McMillan i wkrót-

ce miała pozostać z niej już tylko Trillian. Nie było to stwierdzenie jedynie metaforyczne: Trillian Astra zawsze była gotowa poświęcić wszystko dla swojej sieci - przyjaciół, rodzinę, różne części ciała.

Podczas rozruchów kopalnianych na Orionie Beta straciła stopę. Siedemdziesiąt procent naskórka spaliło jej chłapięcie plazmy, gdy znajdowała się na pierwszej linii przy jaskiniach Carfrax Gamma. Jej lewa dłoń i przedramię zostały zmiażdżone przez gąsienicę łazika pustynnego w trakcie wojen dordellskich, a jej prawe oko wykłute spiczastym patyczkiem porporczyka podczas małodatoksualnej eskalopady Wango-Pango na Gagrakace.

A więc z Tricii McMillan pozostał oryginalny mózg (z uzupełnionym płynem noo), odrzucone oko, dwa wybrzuszenia skórne (jeden jako policzek, drugi jako pośladek), zestaw mniej ważnych kości oraz dwa i pół litra ludzkiej krwi. Pozostałe trzy litry nie były, technologicznie biorąc, krwią, a łzami wyhodowanymi z roju Srebrnojęzykich Diabłów, niewielkich ssaków, autochtonicznych dla systemu Hastromil. Są one bezlitośnie eksploatowane z powodu użyteczności dosłownie każdej części ich ciała - od zawiasowych srebrnych języków po fale myślowe, które można przypiąć do dowolnego terenu i używać ich do wzmacniania sygnału wideo, jeśli mieszka się na dnie jakiejś dziury. Ci sami filozofowie, którzy cytują rybę Babel na dowód, że Bóg nie istnieje, przytaczają także nieszczęsne inicjały SD na dowód, że Szatan (Diabeł) istnieje - nawet porażony prądem ziemniak byłby w stanie dostrzec, iż argument drugi podważa argument pierwszy. Kogo to jednak obchodzi? Lekarze od głowy uwielbiają kontrowersje.

Jak na ironię Trillian została przejechana przez flotę Srebrnojęzykich Diabłów skonstruowanych, ku jeszcze większej ironii, ze skórek Srebrnojęzykich, kiedy znajdowała się na Hastromilu, aby poprzeć wiec zorganizowany na rzecz obrony SD - a wszystko to przerosło otrzymanie przez nią transfuzji srebrnojęzyczej, gdy miała na sobie T-shirt z napisem CHROŃCIE SREBRNOJĘZYKICH. Doniesiono później - a zrobiła to Trillian osobiście - że nadmiar zlokalizowanej na małej przestrzeni ironii spowodował śmierć jedenastu empatów, towarzyszących wiecowi. Dwunastu, jeśli dodać do statystyki empaty, który już był w depresji.

Trillian pieszczotliwie skubnęła plaskorę na policzku. Była gładka, ale nieco zbyt naciągnięta. Facet, który ją wypisywał, twierdził, że po jakimś czasie się rozluźni, nie nastąpiło to jednak. W złe dni Trillian miała wrażenie, że jej twarz wygląda jak wepchnięta w balon czaszka.

Członek zarządu sieci określił ją kiedyś jako: szczupłą, smagłą, humanoidalną, z długimi, falującymi czarnymi włosami, pełnymi ustami, wyglądającym jak śmieszna mała gałka nosem i zabawnymi brązowymi oczami.

Nic z tego nie pozostało.

Dziś był jeden ze złych dni.

Random. Po tylu latach.

Za każdym razem, kiedy patrzyła córce w oczy, czuła się, jakby patrzyła w jeziora własnego poczucia winy.

Plasnęła dłonią w lustro.

- Au! Chwileczkę! - zawołało lustro, przełamując tryb wyciszony.

Trillian zignorowała wybuch.

Musiała wziąć się w garść. Była kiedyś najbardziej szanowanym reporterem w Galaktyce i było to znaczące osiągnięcie. Zmusi ją do schowania się do skrytki na dnie żołądka i pójdzie wykonać swoją robotę.

Pociągnęła za pasmo ufryzowanych sim-włosów, wyprostowała plecy i weszła do sali konferencyjnej, aby zrobić wywiad z córką, spłodzoną w niskograwitacyjnej satelitarnej klinice płodności w okolicy Gwiazdy Barnarda.

Trillian się wzdrygnęła. Jakby poranne mdłości nie były wystarczająco złe bez dodatku niskiej grawitacji.

Random miała wszelkie prawo, aby czuć się odrzucona: jej ojcem była próbówka, jej rodzinna planeta - o ile jąkaś miała - została zniszczona w kilku wymiarach, a matka raz rzuciła na nią okiem i postanowiła energicznie robić karierę, która na długie lata kazała jej przebywać z dala od domu.

Nic dziwnego, że Random była nieco chłodna.

*

Prezydent Random Dent siedziała na scenie, krzyżując nogi na unoszącym się w powietrzu jajowatym krześle i cicho podśpiewywała pod nosem.

- Przedtrzonowy leży za kłębem, za zewnętrznym siekaczem, za środkowym siekaczem... zębie, odnajdź swe miejsce...

Jeszcze nie odstłonięto kurtyny, pomruk tłumu przebijał się jednak przez gruby materiał. Kurtynę zrobiono z aksamitu, nie holografu, a wydatek ten uniwersytet poniósł niechętnie pod wyraźnym naciskiem Random. Nie była w żadnym stopniu wbrew postępowi, ale jako prezydent uważała, że w Galaktyce ciągle jeszcze jest miejsce na tradycję.

Kiedy wprowadzano jej matkę na podest, lekko się uśmiechnęła. Można było wybaczyć znajdującej się w oddali osobie myślenie, że role zostały odwrócone i to Trillian jest prezydentką córką, ale z bliska prawda była oczywista. Na całej twarzy Trillian widać było chirurgiczny połysk.

Na widok córki krok reporterki stracił na chwilę rytm, szybko się jednak pozbierała.

- Wygląda pani świetnie, pani prezydent - zaczęła typowym reporterskim, tonem, pochodzącym gdzieś pomiędzy sektora ZZ9 a Asgardu.

- Ty też, matko.

Trillian usiadła w drugim jajowatym krześle i zajrzała w notatki.

- Prezydent Random Często Podróżująca Pasażerka Dent. W dalszym ciągu tak wiele imion?

Random uśmiechnęła się spokojnie, jak osoba, która od dziesięcioleci nie dostaje napadów złości.

- A ty Trillian Astra. W dalszym ciągu używasz nieodpowiedniego nazwiska?

Trillian uśmiechnęła się z zaciśniętymi ustami. Wywiad nie zapowiadał się łatwo.

- Dlaczego teraz, Random? W ostatnich dwudziestu latach widziałyśmy się nie więcej niż kilkanaście razy. Dlaczego teraz, kiedy krzywa mojej kariery gwałtownie opada? Przyjechałam na najważniejszy wywiad w życiu z konkursu piękności na Nowym Betelu.

Random znowu się uśmiechnęła, łagodnie marszcząc naznaczoną życiem na świeżym powietrzu twarz. Jej pociągnięte siwizną włosy były sztywne od słońca i słonej wody.

- Wiem, że minęło trochę czasu, matko. Zbyt wiele. - Pogłaskała niewielką kulkę futra na szyi, która cicho jęknęła. Trillian dostrzegła drobne ząbki i ogon, a jej serce pograżyło się w otchłani.

- Słyszałam o tym. O twoim stałym towarzysz. To jakiś rodzaj małego myszokoczka, prawda? Milutki.

- To więcej niż milutki myszokoczek, matko. Fertle jest moim towarzysz. To lotufret. Jest w pełni wyrośnięty. Kopalnia wiedzy, wszystko przekazuje telepatycznie. - Na koniec walnęła bombę: - Wczoraj wzięliśmy ślub.

Trillian miała wrażenie, jakby jej skóra skurczyła się w stosunku do tego, co było minutę temu.

- Wzięliście ślub?

- To oczywiście związek duchowy. Choć Fertle lubi, jak drapię go po brzuszku.

Weź się w garść, nakazała sobie Trillian. Jesteś profesjonalistką.

- Tak tylko dla upewnienia się. Komunikujesz się z... Fertle'em telepatycznie?

- Oczywiście. Komunikacja spaja rodziny. Nie słyszałaś?

W tym momencie Trillian przestała być reporterką i zaczęła być matką.

- Trochę mniej tych drwin dla rewanżu, młoda damo. Mówimy o twoim życiu. Jesteś Random Dent, prezydent Galaktyki. Zjednoczyłaś ziemskie plemiona. Nadzorowałaś ceremonię pierwszego kontaktu. - Trillian wstała. - Stałaś na czele kosmicznej ofensywy gospodarczej. Negocjowałaś przyznanie równych praw Obcym.

- A teraz chcę czegoś dla siebie.

Trillian udusiła wyimaginowanego Fertle'a, dwadzieścia centymetrów przed prawdziwym.

- Ale nie myszokoczka. Nie zarkwolonego myszokoczka! Jak myszokoczek ma mi dać wnuki?

- Nie chcemy dzieci. Chcemy podróżować.

- O czym ty gadasz? To gryzoń!

- Lotufret, jak zapewne wiesz - powiedziała dobitnie Random. - Sądziłam, że ze wszystkich ludzi akurat ty zrozumiesz nasz związek. Wspaniała Trillian Astra. Mistrzyni wszystkich ludzi... poza własną córką.

Trillian zdawało się, że dostrzega w mroku mignięcie światła.

- Zaczekaj. Co? Tu chodzi o mnie? Zamierzasz zniszczyć sobie życie, żeby mi się zrewanżo-

wać? To cholernie pokretny koktajl zemsty, Random.

Random podrapała męża po brzuchu, aż zachichotał.

- Nie bądź śmieszna, matko. Chciałam, abyś tu była, żeby przedstawić Galaktyce twego zięcia. To będzie zwieńczenie twojej kariery dziennikarskiej i scali nas jako rodzinę.

W tym momencie Trillian w całej okazałości zobaczyła geniusz *coup de grâce* Random. Jeżeli ogłosi związek w pełnej spektrowizji 3-D, stanie się pośmiewiskiem. Jeśli tego nie zrobi, na zawsze utraci córkę, która prawdopodobnie wydoi z sytuacji wystarczająco dużo współczucia, aby zostać na stanowisku na kolejną kadencję. Przynajmniej lotufrety na nią zagłosują - a było ich miliony milionów.

Konstrukcja Trillian wzdrygnęła się spazmatycznie. Ślub!

- Wybij to sobie z głowy, Random, nie użyjesz mnie do dodania atrakcyjności swemu małżeństwu. Kiedy się stąd wydostanę, wyśledzę twojego ojca i niech on się z tobą rozprawi!

Random zadygotała ze śmiechu, strasząc tym męża.

- Artur? Masz pojęcie, jak daleko by się posunął dla uniknięcia konfrontacji? - Przerwała i przechyliła głowę na bok. - Fertle mówi, a ja się zgadzam, że to ty musisz ogłosić nowinę, matko. Galaktyka czeka na ważne wiadomości.

- Mowy nie ma. Nie zgadzam się być obiektem manipulacji.

- Wolisz, by sterowano tobą przez sieci jak robotem, którym jesteś. Słyszę, jak buczysz. Czuję twoje obwody. Czy jakakolwiek część ciebie jest prawdziwa? Mogłabyś skontaktować mnie z ludzką matką? Może wiesz, gdzie pochowany jest jej kręgosłup?

Trillian niemal ulżyło, że cywilizowana fasada spadła.

- Pieprz się, Random.

Pani prezydent skinęła głową.

- Tak, Fertle. Właśnie taka jest. Jesteś zaskoczony, że trudno mnie rozszyfrować? Przy wszystkich obronnych murach, jakie zbudowałam sobie wokół mózgu?

- Mówisz do bezmózga! - niemal zawyła Trillian.

Fertle chyba na to zareagował.

Uwaga w Przewodniku:

Choć lotufrety nie mają uszu, są niezwykle wrażliwe na drgania i w skrajnych przypadkach mogą wybuchnąć. Thor, bóg Azów i czasami rocka, uzyskał najlepszy wynik w spontanicznej detonacji lotufretów, kiedy po raz pierwszy zaśpiewał - z rydwanu krążącego po orbicie wokół Squomshellous Delta - swoją nową piosenką Powalmy się młotami. Poprzedni rekord osiągnął międzygalaktyczny zespół rockowy Disaster Area, który wrzucił bombę głośnikową do krateru wulkanicznego, gdzie lotufrety zorganizowały festiwal elektryczności statycznej.

Futro Fertle'a nastroszyło się i otworzył małą mordkę, która zdawała się mieć dziób.

- Baterie - powiedział druciano-szponiastym głosem.

- Co? - zdziwiła się Trillian. - Dobrze słyszę? Lotufret gada? To by była wiadomość!

- Baterie - powtórzył Fertle, tym razem nieco bardziej natarczywie.

Aksamitna kotara zaczęła się unosić, nie było jednak za nią widzów, jedynie niebiańskie audytorium i dwie humanoidalne postacie.

Random i Trillian stały z otwartymi ustami; mimo rozlicznych zabiegów chirurgicznych i implantów podobieństwo rodzinne nagle było oczywiste.

- Co się dzieje? - spytała pani prezydent, nagle podwyższonym tonem. - Matko? Co się dzieje? Gdzie moi dziennikarze?

- Bez paniki - odparła Trillian, próbując nie dać wkraść się do mowy drzeniu. - Coś tu się dzieje.

- Coś się dzieje?! - zawyła Random. - To wszystko? Tyle lat spędzonych w terenie i jedyne, co jesteś w stanie zaoferować, to: „Coś się dzieje”? To próba porwania! Zostaliśmy dokądś przeniesieni.

Trillian popatrzyła zmrużonymi oczami na humanoidalne postacie, które wydawały jej się coraz bardziej znajome, jakby z oczu spadały jej łuski zapomnienia.

- Porwani? Nie sądzę. Nie przez tych dwóch. Są niegroźni... w zasadzie.

Random przyjęła ulubioną władczą prezydencką postawę: stopy mocno wbite w ziemię, ramiona splecione na piersi.

- Hej, wy dwaj! Coście zrobili? Żądam informacji, gdzie jesteśmy.

Niższy z mężczyzn zauważył nowo przybyłe damy. Było dość prawdopodobne, że tak się stanie, jedna z nich bowiem wydzierała się na niego.

- Sądzę, że pytanie powinno brzmieć: „Kiedy jesteśmy?”, potem może: „Kto nas tu umieścił?”, a na koniec: „Jest tu wózek z napojami?”.

Random zawyła.

- Jest tu wózek z napojami, oczywiście! Bądź sobie nonszalancki, ile chcesz, młody człowieku. Wiem, że pod spodem jesteś tak samo przerażony jak i my.

Młody człowiek się uśmiechnął.

- Jestem Betelgeusańczykiem, Random. Nie robimy nic pod spodem.

Kiedy nagle rozpoznanie drugiego mężczyzny trafiło ją w twarz niczym ciasto niespodzianki-opłazmowe, Random straciła pragnienie riposty.

- Ojciec? Tatusz? Tata?

- Wybierz któreś z określeń - odparł Betelgeusańczyk. - Ułatwi to rozmowę.

Trillian ruszyła przez niebiański salon, poruszając się znacznie szybciej, niż czyniła to od lat.

- No to zobaczymy, co twój ojciec ma do powiedzenia o tym małżeństwie.

Random nagle wydała się znacznie młodsza.

- Tato! Tato! Moja głupia matka nienawidzi mojego męża!

Postać ojca spuściła głowę i najchętniej napiłaby się herbaty.

ROZDZIAŁ 2

Ford Prefect badał niebiański salon, chuchał na ściany, aby się przekonać, czy powierzchnia się zamgli, robił paskudne miny, sprawdzając współczynnik odbicia, i na koniec ostrożnie obmacał je przez rękaw. Kiedy materiał koszuli nie pobudził elektronów do nabrania wyższej temperatury, Ford uznał za bezpieczne podźgać ścianę palcem. Kiedy tak zrobił, pomarszczyła się w drobne falki, emanując obrazami ceremonii ślubnych lotufretów, chatek na plaży i dzikich imprez, śmigających po pokoju. Kiedy zmarszczki się wygładziły, znikły także resztki wspomnień i ściana znowu stała się lazurowym niebem.

- Czy mógłbyś przestać? - spytał głos, który zdawał się pochodzić zewsząd. - Moje wskaźniki są na czerwonym polu, jeśli użyć archaicznego zwrotu. Gdybyś posiedział spokojnie, mógłbym jeszcze przez chwilę potrzymać ten konstrukt w całości.

- Mówisz, że całe to pomieszczenie to konstrukt? - spytał Ford Prefect, ponownie dźgając ścianę.

- Mógłbyś... czy nie powiedziałem właśnie... tak, to konstrukt. Poczekalnia istnieje tylko w twojej głowie. W głowach was wszystkich. To wirtualne pomieszczenie. Istnieje jakiś inny sposób, w jaki chciałbyś, abym podzielił się tą informacją?

Ford podrapał się po brodzie i z rozczarowaniem stwierdził, że nie jest niczym wykuta ze skały, jak u Hana Wawela.

- Co powiesz na wideo?

Niebiańskie ściany rozstały się i pojawiło się kilka reprezentacji robotycznego ptaka, stukającego niecierpliwie szponem.

- Ach... - westchnął Ford. - *Autostopem przez Galaktykę 2.0*. Tyle zdążyłem się domyślić. Nie widziałem cię od... - Ford zaczął kartkować w konkretyzujących się wspomnieniach. - Odkąd próbowałeś rozwalić Ziemię na kawałki.

- Od tego czasu nie - odparł ptak. - Aż od wtedy. Wyobraź sobie.

- Upgrade'owałeś sobie pióra do złotych.

- To konstrukt, Betelgeusańczyku. Objawia się tak, jak chcę, aby wyglądał. Tak samo ty, w kurorcie. Pamiętasz podbródek?

Ford westchnął ze smutkiem.

- Oczywiście. To było takie wruczajne. Cień, jaki mogłem rzucać boskim podbródkiem...

- Widziałem kilku bogów - powiedział ptak. - Niektórzy nie są wcale rewelacyjni, jeśli chodzi o podbródek. Jak sądzisz, dlaczego Loki hoduje brodę?

Ford chwilę pochodził.

- Wracając do mojego pytania. Co z wideo?

A₂G₂-2 jęknął, co nie jest łatwe, gdy ma się dziób.

- Nie słyszysz, co mówię? Wskazówki są na czerwonym polu. Nie utrzymam już bardzo długo poczekalni.

- Nic rewelacyjnego. Zwykła animacja 2-D, oldskulowa sprawa. Wiem, że gdybyś naprawdę zechciał, poradziłbyś sobie.

Ptaka dramatycznie przewrócił ślepiami, po czym zniknął z jednej ze ścian. Na jego miejscu otworzył się czarny ekran, na którym znajdowały się cztery neonowe pająkowate postacie. Jedna miała dość dziwaczne kółka, mające oznaczać cycki, a inna nie miała zbyt wyrazistego podbródka.

- Ha. ha, ha! - zawołał Ford w kierunku nieba. - Bardzo dowcipne.

Na ekranie pojawił się komiksowy ptak i zaczął się unosić nad czwórką humanoidów.

- Zapraszam do obejrzenia prezentacji wideo, którą lubię nazywać *Konstrukty dla idiotów* - powiedział ptak.

Ford uniósł palec.

- Czy to oznacza, że idiotami są ludzie wewnątrz konstruktów, czy że prezentacja jest dla idiotów?

Ptak zignorował go.

- Jako pan wymiarowy, megazaawansowany, omniwiedzący przewodnik podróżny wyposażony w najlepszy organ-o-mózg, zdolny do równoczesnego prowadzenia ponad dziesięciu trylionów operacji obliczeniowych...

Ford zapukał palcem w ekran.

- Mogłbyś się skracać i dać nieco czadu? Jestem dość pewien, że w drodze jest zła wiadomość i mogłoby być lepiej, gdybym najpierw z nią się uporał. Niektórzy ludzie w tym pomieszczeniu nie radzą sobie zbyt dobrze ze złymi wieściami. Przed zaprezentowaniem jej chciałbym mieć okazję nieco pomasażować prawdę.

- No cóż, jeśli przestaniesz głądzić...

- Przestałem. Kontynuuj.

Ptak odchrząknął w całkiem niepotrzebny sposób.

- Jak mówiłem. Jako zaawansowany organizm biohybrydowy bez trudu wsadziłem wiązkę neuronów do ośrodków snu znajdujących się w głębi każdego mózgu... tak a propos, twój nie był łatwy do znalezienia, Betelgeusańczyku... a następnie zlinkowałem sieci neuronowe za pośrednictwem serwera centralnego, czyli, że tak powiem, mnie.

Ford zmarszczył czoło.

- Pokaż mi ruchome obrazy - powiedział.

Na ekranie z czubków skrzydeł ptaka rozeszły się wachlarzowato niebieskie promienie, wniknęły do głowy każdego humanoida przez jedno ucho, po czym wyszły drugim i podążyły w kierunku

ku czoła A2G2-2.

- A więc nas uspiłeś i dałeś nam marzenia senne?
- Dałem wam życie, na długi czas.
- Ale wirtualne. Udaliśmy się donikąd?
- Otóż to. Donikądkolwiek ani do nigdykolwiek.
- Ciekawe słowo. Organ-o-mózg? Naprawdę?
- Próbowałem być zwięzły.

Ford ponownie dźgnął ścianę, tym razem dwoma palcami, obserwując zmarszczki pamięci obiegające ściany i mieszające się ze sobą.

- A więc to wszystko jest snem. Nie tylko to pomieszczenie?
- Nie - zimno odparł głos. - Nie tylko to pomieszczenie.

Kolejnych kilka dźgnięć.

- Jak bardzo wstecz?
- Klub Beta.
- Klub Beta. Z jakiegoś powodu zapala to światelko. - Ford stanął. - Jasna majchrolacho!
- Byłbym wdzięczny, gdybyś nieco poskromił swój język - powiedziało *Autostopem przez Galaktykę 2.0*. - Jestem tak zaprogramowany, że biorę wszystko do siebie.
- A nie jesteśmy wszyscy?

Uwaga w Przewodniku:

To dosłownie prawda w przypadku Cyfroli z Sesefras Magna, giganta gazowego w układzie Plejad. Cyfrole to drobne, bezkręgowce, swobodnie pływające gastrozoidy, absorbujące wrogą energię, emitowaną przez gatunek, który się nimi żywi, i używające jej do zasilania własnego układu. Rozzłoszcza to przedstawicieli gatunku, który się nimi żywi, dzięki czemu Cyfrole mogą się poruszać szybciej przez ocean gazu. Smoki gazowe z Sesefras Magna nauczyły się podchodzić do Cyfroli obojętnie, pogwizdując piosneczkę albo udając, że szukają drobnych, które gdzieś zawieruszyły. Cyfrole zawsze dają się robić na te sztuczki, natura dała im bowiem wielkie filtry energii i małe czujniki bycia robionym w wała.

Pamięć Forda jeszcze nie do końca się przejaśniła.

- Klub Beta? W Londynie? Ale to przecież było... nie mam pojęcia kiedy.
- Było wtedy i jest teraz. Moje postrzeżenie nie jest filtrowane, widzę więc wszystkie punkty mego istnienia równocześnie.
- A co z nami, biednymi umysłowo istotami z filtrowanym postrzeżeniem? - Ford nie bardzo

lubił ptaka i uważał, że nie polubiłby go nawet, gdyby kilka Gardłogrzmotów żarło mu nabłonek żołądka.

- W dalszym ciągu jesteś w klubie. Nie minęła nawet odrobina czasu.

Ford złapał się garściami za włosy.

- Dlaczego? Na Zarkwona, dlaczego?

2.0 przewrócił pikselowatymi oczami.

- I próbuj tu zrobić komuś przysługę. Naprawdę.

- Przysługę? - parsknął Ford, który miał gdzieś, kto go słucha. - Gdybyś chciał wyświadczyć nam przysługę, zabrałbyś nas z eksplodującej planety.

- Byłoby to w całkowitej sprzeczności z moim programem. Przedłużyłem wam życie o kilka dziesięcioleci.

- A kto cię o to prosił?! Na pewno nie ja.

- Random Dent. Jest moją panią drugiego rzędu. Kiedy ludzka nieletnia uświadomiła sobie, że cała planeta ma zostać zniszczona, wyraziła żal, że nie pozwolono jej żyć tak, jak by sobie życzyła. Spełnienie tego życzenia nie było w sprzeczności z moją naczelną dyrektywą.

- A co z resztą nas?

- Panna Dent objęła myślami swoich rodziców oraz bezpodbródkowego, ograniczonego umysłowo przyjaciela.

Ford był urażony.

- Bezpodbródkowego? Tak stwierdziła?

- O tak - powiedział ptak z wyraźną rozkoszą. - Kilka razy.

Coś przyszło Fordowi do głowy.

- Pani drugiego rzędu? A kto jest pierwszego rzędu?

- Nie masz uprawnień do przesłuchiwania mnie - warknął 2.0.

Ford skorzystał z taktyki smoków gazowych z Sesefras Magna.

- Wiem. Oczywiście cudowny byt jak ty nie musi odpowiadać niskiej rangi Betelgeusańczykowi jak ja, byłoby jednak dla mnie wyróżnieniem móc poznać złożoność twego planu.

Ptak przekrzywił łeb.

- Wiem, co robisz.

- Oczywiście.

- Doświadczam każdej chwili równoległe.

- W takim razie nie ma się o co kłócić, prawda? Już wiesz, co zamierzasz zrobić.

- Dobra uwaga. Doskonale. Vogoni stworzyli mnie, abym mógł nakłonić cię pochlebstwami

do powrotu na Ziemię, zanim zniszczą ją Grebulończycy.

- Co właśnie teraz ma miejsce.

- Tak, „teraz” w waszym rozumieniu. Zgadza się.

- Zostaniemy uratowani?

- Prawdopodobnie nie.

- Więc dałeś nam żywoty, jakie chcieliśmy?

- Nie. Dałem wam wolną wolę i konstrukt. Podążaliście własnymi ścieżkami pod moim nadzorem.

Ford pomachał do ptaka.

- Rozumiem. Pojąłem. Chciałeś doświadczyć realnego czasu.

2.0 powoli opuścił dziób i skrzyżował skrzydła na piersi.

- Żyłem wraz z wami, nigdy nie wiedząc, co nastąpi jako następne. To było wycieńczająco... przypadkowe.

- A teraz?

- Teraz? Teraz wiem dokładnie, co się dzieje. Sto lat utrzymywania czterech wszechświatów uszczupliło moje źródło energii. Udało mi się to tak długo jedynie dlatego, że przez minione wirtualne dwadzieścia lat okresowo łączyłem dwa konstrukty. Może powinienem był pomyśleć o tym wcześniej, ale czas liniowy jest tak natychmiastowy. Za pięć wirtualnych minut to pomieszczenie zniknie, a ty będziesz pozostawiony sam sobie na Ziemi w obliczu planetobójczych promieni Grebulończyków.

Fordowi nagle zrobiło się zbyt sucho w gardle, jego myśli stały się zbyt spójne. Jakże brakowało mu pory koktajlowej...

- Pięć minut?

- Już zaczęło się odliczanie - odparł 2.0 i zaczął blaknąć. W miejscach, gdzie był ptak, pojawiło się kilka wyświetlaczy cyfrowych, które pokazały 4:57, potem 4:56. Rozumiecie.

- Ludzie uważają zegarki elektroniczne za dość inteligentny pomysł - mruknął pod nosem Ford, po czym odwrócił się w stronę trojga ludzi, którzy z całej siły próbowali uniknąć choć odrobiny kultury w kontaktach między sobą.

*

Stary człowiek nie był tak wiekowy jak jeszcze przed chwilą. Zauważył to po napięciu skóry dłoni i wyostrzeniu się słuchu.

Słyszę każde słowo, którym wydzierają się na mnie te dwie kobiety. Cóż za radość.

- Arturze! - wyła starsza, naprawdę wyła. Nie wyto na niego od... dziesięcioleci. - Słuchasz mnie w ogóle?

Próbuję nie, pomyślał Artur ze spuszczoną głową.

- Nienawidzę jej! - wyła nastolatka. - Porzuciła mnie, a teraz chce mieć nade mną kontrolę. Jaki w tym sens?

- Artur?

- Tata?

- Mówię do ciebie, Arturze Dencie.

Artur Dent. To pasuje do niego. To on.

- Artur Dent... - wymamrotał Artur Dent i wcale nie był szczęśliwy, słysząc te słowa.

- To wszystko, co masz do powiedzenia? Po tylu latach?

- Jestem starym człowiekiem - powiedział z nadzieją w głosie Artur. - Zostaw mnie w spokoju.

- Starym? - zdziwiła się kobieta. - O czym ty mówisz? Starym? Wyglądasz dokładnie tak samo jak wtedy, gdy widziałam cię po raz ostatni. Dokładnie. Jak ty to robisz?

Tego Artur się obawiał. Tyle lat spędzonych samotnie na plaży i musiał wrócić do wszechświata, w którym na niego krzyczano i nie miał pojęcia, co jest grane.

- Jak robię co?

- Pozostajesz ciągle taki świeży. Jestem młodsza od ciebie, a wyglądam jak silikonowy implant po nocy spędzonej w tosterze. Po co zajmowałam się wszystkimi uzupełnieniami braków? Powinnam była odejść na emeryturę. Albo przywieźć ze sobą Random. Inni rodzice tak robią.

Artur pogodził się z faktem, że nie ma powrotu na plażę, i nawiązał z Trillian kontakt wzrokowy. Ujrzał szczupłą, smagłą młodą kobietę z długimi do ramion, kręconymi włosami i czekoladowymi oczami, ubraną w ciemny, migoczący garnitur.

Na powierzchnię jego świadomości zaczęły się przebijać wspomnienia.

- Trillian. Wyglądasz przepięknie.

Brązowe oczy zamrugały.

- Pieprz się, Arturze. Nie przybyłam tu, aby traktowano mnie protekcjonalnie.

- Przepraszam. Wygląda pani przepięknie, proszę pani.

- Arturze, na prywatce wybrałam Zaphoda, więc przyjmij to z pokorą i przestań się do mnie przystawiać. Musisz mnie widzieć taką, jaka jestem. Do jasnej cholery, noga mi brzęczy.

- Naprawdę? Nie zauważyłem, a zauważyłbym, gdyż od niedawna bardzo wyostrzył mi się słuch.

Trillian położyła dwa palce na piszczeli lewej nogi, szukając wibracji, która pulsowała wzdłuż łydki, nie pozwalając jej zasnąć.

- Nie ma brzęczenia.

- Matko - powiedziała stojąca za jej plecami Random. - Mamo.

Trillian stwierdziła, że ma prawdziwe paznokcie. Nie tipsy z akrylu.

Jestem młoda. Młodsza. Jak to możliwe? Czas biegnie do tyłu.

- Mamo!

- Sekundę, Random. Połaskocz swojego bezmózga albo coś w tym stylu.

- Fertle odszedł, mamo. Znowu jestem nikim.

Trillian uświadomiła sobie potęgę tego, co się stało, i pospieszyła pocieszyć córkę.

- Wszystko w porządku, kochanie. Musimy przeżyć życie.

Random zacisnęła palce w maleńkie piąstki.

- Nie chcę tego życia. Chcę zostać prezydentem Galaktyki. Proszę o zbyt wiele?

Prezydent zniknęła, a na jej miejsce pojawiła się zapłakana nastoletnia gotka.

Uwaga w Przewodniku:

Zjawisko subkultury gotyckiej dotyczy nie tylko planety Ziemi. Wiele gatunków postanowiło definiować swój okres pokwitania poprzez uporczywe i zadzierzyste milczenie oraz szczere przekonanie, że ich rodzice wzięli ze szpitala nieodpowiednie dziecko, ponieważ ich rodzice biologiczni nie mogą być tak przekoszamie tępi i nuuuuudni. O ile dorastające osobniki ziemskie demonstrują swoje emocje za pomocą czarnego ubrania i słuchania zespołów rockowych o takich nazwach, jak Upust Krwi czy Plwocina, o tyle Hooloovoo (superinteligentny cień o błękitnym zabarwieniu) demonstrują swoje niezadowolenie ze wszechświata, wstrzymując oddech, aż nabiorą ciemnofioletowego odcienia, a Rurowi Zingaozmianie (głębokomorskie skorupiaki) doprowadzają rodziców do rozkładu umysłowego przez (dosłownie) mówienie dupami.

Trillian stwierdziła, że jej córka ponownie jest dzieckiem, i objęła dziewczynkę z bliską brutalnością gwałtownością.

- Znowu siebie mamy. Tatuś też tu jest. - Fala entuzjazmu, która ogarnęła Trillian, wystarczyła, aby zakręciło jej się w głowie. - Ile rzeczy możemy zrobić razem... Jeździć pod namiot, kupować sobie kolczyki i tak dalej. Maszerować w marszach protestacyjnych... uwielbiasz je. Na pohybel międzynarodowym korporacjom i tak dalej. Przyszłość jest twoja. Znowu będziesz prezydentem Galaktyki. Obiecuję.

Do rozmowy włączył się Ford Prefect, machając rącznikiem jak flagą.

- Nie chcę być tym, kto na próg twych matzeń rzuca torbę sufliniańskiej kupy, ale może zabraknąć czasu na przeprowadzenie na tej konkretnej planecie kampanii wyborczej. Może nawet nie starczyć czasu na nominacje partyjne.

Trillian zadała Fordowi pytanie, które, historycznie rzecz biorąc, umieszczała przynajmniej raz w każdej rozmowie.

- O czym ty, do cholery, gadasz, Ford?

Ford uniósł dłonie jak kaznodzieja.

- To wszystko jest konstruktem.

Uwaga w Przewodniku:

W trakcie udokumentowanej pisemnymi zapisami historii, aby ominąć rzeczywistość, ludzie używali konstruktów. Najtańszym sposobem na ucieczkę z objęć rozpaczy jest ukrycie się we własnej wyobraźni. W ciągu dnia można być zmuszonym do pracy w padackiej rozpięzce, a wieczorem za pomocą siły woli i wyobraźni zamieniać się w mastromana iskrojajca.

Oczywiście biliony ludzi nie mają wyobraźni i dla nich są Pangalaktyczne Gardłogrzoty. Po dwóch maleństwach nawet najnudniejszy, żyjący tylko wypełnianiem regulaminu Vagon wskoczy na bar w szpilkach, zacznie jodłować góralskie szanki i przysięgać, że jest królem Szarych Wiązących Dóbr Lennych Saxaquine.

Niestety, ta metoda ucieczki od rzeczywistości jest w stanie trwać jedynie przez kilka weekendów, po którym to czasie uciekający będzie raczej martwy, a przyczyną śmierci będzie spakowanie przez buntowniczą wątrobę walizek i opuszczenie tułowia gospodarza przez najbliższe dostępne wyjście.

Ponieważ dezercja wątroby nie jest miłym sposobem na odejście z tego świata, większość gatunków wymyśliła do ucieczki przed codziennym życiem różne formy konstruktów. Najprostsze to rysunki naskalne w jaskiniach - choć nie dla istot skrzelodysznych, trudno im bowiem spowodować, aby farba miała przyczepność; jeśli próbują na suchym lądzie, farba jest lepka, ale takie same robią się ich skrzela. Rysunki naskalne w jaskiniach przeszły w bardziej wyrafinowane dzieła, doprowadziły do powstania książek, najpierw z obrazkami, potem bez. Następnie powrót do obrazków razem z telewizją, Rozwój w kierunku doświadczeń 3-D, a na koniec konstruktów interaktywnych, multisensorycznych, holograficznych. Lepszych niż prawda. W przypadku gazowych bagien Flargatonu znacznie lepszych.

Gazowcy z Flargatonu byli tak źli na swą nazwę oraz na stale atakujący ich nozdrza smród skreńnic, że zatrudnili hiperinteligentnych Magrateńczyków, aby zbudowali im idylliczny konstrukt, który byłby na stale zajmowany przez wszystkich Gazowców - z wyjątkiem notującej ekipy, budzonej do obsługi wirtualnej rzeczywistości i utrzymania ciągłości pracy kopalni gazu. Konstrukt został zaprojektowany przez najlepszy zespół Magrateńczyków, składający się z doktorów Brewtlewine'a, Zestyfanga i LaSane'a, którzy otrzymali nagrodę Złotego Płatka Usznego za pracę na Nowym Asgardzie. Po piętnastu latach konstrukt był gotów do włączenia i na cześć zespołu nazwano go DB-DZ-DLS.

Przez lata wszystko szło jak po maśle, wszędzie szczęśliwie chrapano, a kasa w banku sama rosła, aż przypadkiem komputer obudził piątkę ludzi, którym na sercu nie leżały najlepsze interesy mieszkańców. Osobnicy ci (nazwijmy ich kutasami) dostrzegli, że podczas gdy koty oddają się ulubionym wirtualnym fantazjom, myszy mogą ogłodzić planetę i żyć w realnym wszechświecie jak los ważniachos.

Zajęło im to dziesięć lat, ale kutasom udało się wybebeszyć starą planetę, podczas gdy Magrateńczycy budowali im nową. Miły, mający wielkość Neptuna, lądowy świat (jak najmniej

bagien), wrzucony na orbitę w układzie Alfa Centauri. Nazwali planetę Incognitus i natychmiast ogłosili ogólnoswiatową zasadę „bez ekstradycji”. Pięć lat później Gazowcy obudzili się i stwierdzili, że ich hibernacyjne torby pieluchowe przelewają się, a planeta śmierdzi gorzej niż kiedykolwiek.

Jaki jest morał tej historii? Tak naprawdę jest ich kilka: niektórzy ludzie to dranie i nigdy nie powinno im się dać dojść do władzy. A także: Magrateańczyk zawsze weźmie pieniądze, bez zadawania pytań. W końcu: na wszelki wypadek używaj kompostujących toreb pieluchowych. Bo naprawdę nigdy nic nie wiadomo. Nikt naprawdę nie wie, co nadejdzie.

- Ford, cztery minuty - powiedział Artur Dent kilka sekund później, czując pojawiające się wokół jego ramion dezorientację i bezsilność niczym dwóch kumpli ze szkoły średniej, którzy byli w niej niezwykle rozrywkowi, ale nie chcieli pójść do przodu jak wszyscy inni i w dalszym ciągu uważali, że poduszeczki, które pierdzą, gdy się na nich siądzie, są rewelacyjne. - To tak idiotycznie typowe dla tej Galaktyki. Wreszcie odzyskuję córkę, a ty mi mówisz, że właśnie za cztery minuty wylecimy w powietrze.

Ford jowialnie walnął go w ramię.

- Nie, za cztery minuty powrócimy do rzeczywistości. Grebulończykom przynajmniej pół godziny zajmie pocięcie planety promieniami śmierci. Znacznie szybsze i efektywniejsze kosztowo byłoby użycie bomb atomowych. Zapytaj Vogonów, nie przyłapiesz ich na stosowaniu promieni śmierci.

- Mylisz się, Fordzie - odparła Trillian, blada z niepokoju i złości. - Pamiętam Klub Beta. Przeżyliśmy. Nasza ryba Babel przeniosła nas do Milliways. Wyraźnie to pamiętam.

- Wyraźnie? Naprawdę?

- Może nie wyraźnie - odparła Trillian. - To było tak dawno temu...

- Nie! - krzyknęła Random. - To nie była ryba Babel, a jednorożce.

- Jednorożce... - westchnął Artur i w tym momencie wiedział, że Ford ma rację. *Autostopem 2.0* dostarczył im ich własną metodę ucieczki. Jego uwzględniała zjednoczenie wszystkich ziemskich supermocy. Oczywiście niemożliwe.

- Tak, Arturze. Przybył nas uratować szwadron kosmicznych kowbojów jednorożców. Pamiętam Prawdziwą Podkową Migoczący Klejnot, korespondowaliśmy ze sobą.

Artur pospiesznie zmienił temat, zanim ktokolwiek zacząłby rozwijać teorię jednorożców.

- Fordzie, za cztery minuty to pomieszczenie zniknie, staniemy w obliczu grebulońskich promieni śmierci, a ty uważałeś, że to świetny pomysł marnować połowę czasu, na metaforykę kampanii wyborczej?

- Nie uważałem tego za świetny pomysł - odparł Ford, który nie dostrzegając sarkazmu, dopóki się mocno nie skupił, co robił mniej więcej raz w roku, zazwyczaj gdy miał ostatnią szansę na zapobieżenie eksplozji statku naciśnięciem odpowiedniego przycisku. - Uważałem, że pomysł był całkiem w porządku. W skali od jednego do dziesięciu może cztery i pół.

- Ford!

- Tak, Arturze, stary przyjacielu?

- Znowu to robisz. Marnujesz czas. Nie powinniśmy stworzyć planu?

Random wytarła łzy rękawem. Przełknęła morze nieszczęść i mężnie by wszystko zniosła, tak jak to robiła zawsze jako prezydent. Czy nie wytrwała, gdy ziemscy szefowie kuchni, którzy dochrapali się statusu celebrytów, zaczęli łykać widelce z powodu napływu taniej i znakomitej dentrasskiej siły roboczej?

Uwaga w Przewodniku:

Dentrasscy szefowie kuchni mają niezwykle niewyparzone gęby i nawet gdy wszystko odbywa się jak należy, zaczynają długie tyrady, dlatego są znakomitymi kucharzami telewizyjnymi. Dzięki posiadanym czasoskokom nie muszą też aż do końca programu niczego wcześniej przygotowywać.

Czy nie podjęła inicjatywy, kiedy mieszkańcy Blagulon Kappa zrzucili na kontynent europejski na spadochronach dwanaście milionów krów, aby zwiększyć zawartość metanu w atmosferze?

Na szczęście na kontynencie nie było zbyt wielu wegetarian i krowy długo nie pociągnęły - zwłaszcza że były to Wielkie Amegliańskie, które dosłownie błagają aby je zjeść. Większość z nich nie musiała prosić dwa razy. Wiele nie musiało prosić nawet raz. A dość sporo zostało sflambirowanych, zanim ich spadochrony dotknęły ziemi.

Przejmę panowanie nad sytuacją, myślała Random z determinacją znacznie wykraczającą poza jej wiek.

Strząsnęła z siebie matkę.

- Posłuchajcie wszyscy! Byłam w gorszych miejscach od tego. Musimy podłączyć *Autostopem przez Galaktykę* do systemu komunikacyjnego Grebulończyków i jako przyszła prezydent Galaktyki podejmę z nimi negocjacje.

Ford poklepał Random po głowie.

- Cicho, kochaneńka. Dorośli rozmawiają.

- Ty pormokabanie! - zaklęła Random całkiem nieprezydencko.

- Bardzo dziękuję - odparł wzruszony Ford, który zawsze był dumny ze swoich umiejętności w pormokabanujących spelunach przy alei Bachbummm. - Zostawmy sobie jednak komplementy na później.

- Później? - spytał Artur. - Jakie później? Nie będziemy mieli żadnego później, i to dzięki twojemu 2.0.

- Nie jest mój - zaprotestował Beteigeusańczyk.

- Ukradłeś go. Ford. Wysłałeś go do siebie pocztą, za moim pośrednictwem. Moim zdaniem

to wystarczy, aby uznać go za twojego.

- Jak sam mówisz, ukradłem go. Dlatego nie jest mój. Wygrałeś dla mnie spór.

2:37 - poinformował cyfrowy wyświetlacz.

2:36.

Następnie pokazał:

0:10... 0:09...

- Hm - stwierdził Ford, drapiąc płaszczyznę w przestrzeni, gdzie odmawiał pobytu jego podbródek. - To nieco dziwne.

- Wiem - potaknął Artur. - System numeryczny na pewno się nie zmienił? Bylibyśmy już tylko sekundy od końca.

- Jeśli system numeryczny został zmieniony, zostały może nawet nie sekundy.

Ponownie pojawił się ptak, jego obraz był poślubiony liniami interferencji.

- Przepraszam. Te kłótnie wyczerpują mi akumulatory. Negatywna energia.

2.0 zniknął, zabierając ze sobą spokojny niebiański salon. Artur, Trillian, Random i Ford stwierdzili, że znajdują się na schodach do męskiej toalety w eleganckim (do bardzo niedawna) Klubie Beta Stawo Muellera, a ich wspomnienia wirtualnych żywotów rozwiały się niczym mgła w słonecznym świetle.

To jest prawdziwe życie, stwierdził Artur. Jak mogłem dać się oszukać tej plaży? Nie mogła być realna - nikt nie próbował mnie zabić.

Powietrze było żywe od krzyku, kakofonicznych rozdzierających dźwięków rozpadającej się cywilizacji, pulsowania i brzęczenia grebulońskich promieni śmierci oraz pisków uciekającego z miasta miliona szczurów, które czwórka przybyszy rozumiała dzięki tkwiącym w ich uszach ry-bom Babel - tłumaczom uniwersalnym.

- Widziałam to w trzewiach psa - zapiszczała szczurzyca o imieniu Audrey. - Przepowiedziałam koniec dwunogów w wyniku wielkiego zielonego kosmicznego światła. Nikt mnie nie słuchał. Nikt.

- Daj spokój, mam - skarcił ją osiemnasty syn, Cornelius. - Powiedziałaś, że na twojej drodze stanie ciemnowłosa nieznajomy.

- Ci obcy są ciemni, ci, którzy strzelają promieniami śmierci. Jak byś ich inaczej określił?

Cornelius poruszył wąsikiem, co u szczurów jest ekwiwalentem przewrócenia oczami.

- To jedna z możliwych interpretacji. Musisz być dokładniejsza, mam. Ludzie się śmieją.

- Bezczelny gówniarz - powiedziała Audrey i pomknęła w głąb kanalizacji.

Pozostałe szczury mówiły rzeczy w stylu:

- O nie!

- O Muroideamie! (To ojciec szczurzych bogów).

- Hhhrghhhh! O w dupę, wysoki brunet!

Artur Dent siedział na schodach w środku całego zamieszania, ale czuł się dziwnie spokojnie. Nie pozostawało nic poza cieszeniem się, że kiedyś się kogoś kochało i było się kochanym. Umieranie było dużą sprawą. DUŻĄ. Nie tak jednak dużą, jaką wydawało się kiedyś.

U stóp schodów chlapiącą Random pocieszały Trillian i Tricia McMillan.

Kretyńska strefa pluralowa, pomyślał Artur. Opuszczasz jedną Ziemię i wracasz na inną. Ziemia, którą opuściłem, została zniszczona, a na tej, na którą wróciłem, jest Tricia McMillan, która nigdy nie podróżowała z Zaphodem Beeblebroxem przez kosmos. Oj, te nieskończone nieprzebrane możliwości mojej rodzimej planety... rzeczy, które mogłem oglądać na innej Ziemi, kawałek dalej na osi prawdopodobieństwa. Mogłem zrobić sobie pyszną filiżankę herbaty.

- *Gdy tak zrządzi traf* - zanucił Artur, nawet nie zdając sobie z tego sprawy - *że świata prawda chce cię zmielić*¹ ...

Frankie Martin jr. Co za piosenkarz...

Zielone promienie cięły coraz bliżej. Artur czuł, jak ich temperatura parzy mu policzek.

Będzie się łuszczyć, pomyślał.

- Hej, popatrz! - powiedział radośnie Ford. - Moje niebieskie zamszowe buty! Wrucajne!

ROZDZIAŁ 3

Pochodząca z tej Ziemi Tricia McMillan, której życie nigdy nie było sztucznie podtrzymywane w konstrukcje H₂G₂-2, miała pomysł.

- Porozmawiam z nimi, skarbie - powiedziała do dziewczynki, która być może była jej nienarodzoną córką z okresowo innego wymiaru. - Grebulończycy mnie wysłuchają. Jestem dla nich czymś w rodzaju rozkładówki z „Playboya”.

Przeszła korytarzem, na kilka sekund zanim zniknął, rozproszony przez promienie niczym konfetti na wietrze.

Artur był zbyt odrętwiały, aby odczuwać przerażenie. Zamiast tego czuł dziwną, mrowiącą ządrość.

Przynajmniej Tricia zginęła w jakimś celu. Znalazła odpowiedź na swoje pytanie i nie było to idiotyczne czterdzieści dwa. Ja mogę jedynie siedzieć i być bezradny, pomyślał.

Artur odczuwał ów rodzaj niewiary, który dobrze poznał podczas podróży po Galaktyce. Czasami w głębi ducha podejrzewał, że zwariował. Nie istniało „Serce ze Złota”, nie istniał Zaphod Beeblebrox, a już na pewno nie istniał komputer Głęboka Myśl. Jeśli chodzi o budujących planety Magrateńczyków - patentowany absurd. Jeszcze większy absurd niż gadające myszy, które miały rządzić planetą.

- Szpraszam, szefuniu - mruknął szczur, omijając stopę Artura.

- To ja pszprszm, koleżko - mruknął Artur, odruchowo unosząc nogę.

Wszystko to było chore, on był obiektem obserwacji zgrai studentów pierwszego roku, bez dwóch zdań skacowanych po wczorajszym świętowaniu meczu rugby i mających w głębokim poważaniu omamy pacjenta Denta.

Jeśli oni mają je gdzieś, to dlaczego ja miałbym się nimi przejmować?

Za jego plecami pękły drzwi męskiej toalety i przeleciały mu nad głową. Kilka chwil później przez tył spodni zaczęła mu się przesączać bardzo podejrzana woda.

Ford zachichotał.

- To prawda, co mówią. Zawsze płynie w dół.

- Sądzisz, że powinniśmy uciekać?

- Dokąd? Cała planeta wali się w gruzy, przyjacielu. Nasze dni ucieczek się skończyły. A ci kolesie są poza zasięgiem autostopowiczów. - Ford zaczął grzebać w torbie, którą miał zawieszoną na szyi, i wyciągnął coś, co wyglądało na samodzielnie skreconego papierosa. - Ach... oszczędziłem to na specjalną okazję.

Artur był zachwycony, że jest coś, czym może się zainteresować.

- Co to?

Ford popatrzył na niego, mrużąc oczy.

- To znowu sarkazm, tak?

- Nie. Prawdziwe pytanie wynikające z ignorancji.

- No cóż, w takim razie cię oświecę, koleżko. Papieros.

- O. - Artur poczuł zanik zainteresowania.

- Ale nie pierwszy lepszy - dodał Ford, trzymając skręta, jakby był graalem dość świętego rodzaju.

- W środku jest wielkokalibrowy promień śmierci?

- Oczywiście, że nie.

- Transporter materii?

- Byłby przydatny, ale nie.

- Więc to tylko owinięty w papier rulonik drobno pociętego tytoniu?

- Tytoń? Papier? Wy, ludzie, używacie tylko dziesięć procent swojego mózgu, a ty wypełniasz ten ułamek informacjami związanymi z herbatą. To falliański albinoski robak bagienny. Oczywiście zdechły. Spędza życie na wchłanianiu z wentylacji gazu halucynogennego. Potem zdycha i sztywnieje.

Artur popatrzył w niebo. Promień śmierci właśnie odciął górne piętro, nie zwalniając nawet na sekundę. Dość spory samolot przeleciał przez kawałek nieba, który właśnie się otworzył, i Arturowi zdawało się, że słyszy, jak ktoś śpiewa *Kumbaja*.

- To długa historia? Wyobrażam sobie jedynie, że nasze minuty są policzone. A liczba jest jednocyfrowa. Tak między jeden a trzy.

- Nie, już jestem przy dobrym kawałku. Autostopowicze nazywają je uciech-o-bletami. Jeden mach i człowiek czuje się niebiańsko szczęśliwy. Kocha wszystkich, przebacza wrogom, tego typu sprawy. Dwa machy sprawiają, że człowiek jest ciekaw wszystkiego, nawet przerażającej śmierci, która najprawdopodobniej się zbliża, bo cóż innego miałoby nakłonić człowieka do zapalenia tego maleństwa. Mówisz sobie, że będzie świetnie. Doświadczasz przesunięcia energii do nowej płaszczyzny egzystencji. Jak to będzie? Zaprzyjaźnię się z nowymi osobami? Będą mieli piwo?

- A trzeci mach? - spytał Artur, wypełniając swoją rolę w partnerskim opowiadaniu historii.

- Po trzecim eksploduje ci mózg i masz ochotę na małe co nieco.

Ford grzebał w torbie w poszukiwaniu zapalniczki.

- O! - Artur zastanawiał się, ilu autostopowiczów się wykończyło, zanim wpadli na to z trzecim machem.

- Oto i ona - powiedział Ford, wyciągając plastikową zapalniczkę z migoczącymi literkami z boku, układającymi się w napis: KRÓLESTWO KRÓLA. - Mach czy dwa?

Artur nigdy nie był wielkim palaczem. Zawsze gdy próbował zapalić papierosa, miał takie poczucie winy z powodu tego, co robi płucom, które dostał od rodziców, że czuł się chory. Raz, gdy był nastolatkiem, spróbował na prywatce rozsiać się na patiu z jednym z najlżejszych na rynku papierosów i skończyło się na tym, że zarzygał gospodynię (próbując nie obrzygać jej chihuahua). Po dzisiejszy dzień wzdrygał się na samo wspomnienie i rozglądał się, czy nikt nie wskazuje na niego palcem.

- Dziękuję, ale nie skorzystam - odparł. - Szkodzi mi na żołądek.

- Jak chcesz, kolego - odparł Ford, zapalając zapalniczkę. - Niebiańska szczęśliwości, nadchodzę!

- No to na razie, Fordzie. Mnie nie będzie brakowało ani minuty.

- Naprawdę?

- Nie. Nie naprawdę. Było kilka minut, których mogłoby nie być.

Ta, w której zniknęła Fenchurch.

Ford zaciągnął się uciech-o-bletem, kiedy pośrodku holu zmaterializował się gigantyczny żelowy kaktus. Kołysał się przez chwilę jak galareta, po czym zamienił w wielkie podbite oko. Oko zazezowało dziko wokół, po czym obróciło się do tyłu i zamieniło w kwartet kałamarnic pom pom, grających w doskonałej harmonii na tysiącach mirlitonów.

- Piękne... - Ford starł z oka łzę. - Wprowadza mnie to w tak... nie ma na to słów.

Kałamarnice zapiszczały na bardzo wysoką nutę, po czym zniknęły w kłębowisku tęczowo połączonych bąbelków, które pękały muzykalnie, zamieniając się w biały statek kosmiczny - migoczącą łzę z kilkoma statecznikami, przypominającymi z wyglądu łodygi selera.

- „Serce ze Złota”... - wydyszał Artur. - Chyba żartujesz.

Uwaga w Przewodniku:

Ten statek kosmiczny był tak esencjonalnie spoko, że jedno spojrzenie na jego broszurę mogło kopnąć nastolatka płci męskiej dwa dziesięciolecia w przyszłość, prosto w środek kryzysu wieku średniego. „Serce ze Złota” było napędzane zarówno silnikami konwencjonalnymi, jak i rewolucyjnym napędem nieskończonego nieprawdopodobieństwa, który pozwalał znajdować się maszynie w tym samym momencie wszędzie - aż postanowił, gdzie chce być. Efektami ubocznymi niekonwencjonalnego pola napędu „Serca ze Złota” były zbiegi okoliczności, deja vu i zwiększone ilości śmieciowej poczty.

Ford zgasił uciech-o-bleta o podeszwę buta, po czym wrzucił papierosa do torby. Skoczył na nogi.

- Ruszamy, Arturze. Nie udawaj zaskoczonego. Ziemia zostanie zniszczona, a my zostaniemy uratowani przez Zaphoda. Tak dzieje się zawsze, pomijając kilka szczegółów i pół tuzina lat świetlnych. Co za podróż... Kosmiczna.

- Więc po co uciech-o-blet?

- Tylko jeden mach, dobry człowieku. Niebiańska szczęśliwość. Moim zdaniem to doskonałe przygotowanie na spotkanie z Zaphodem.

Artur zląził po schodach, potykając się o własne stopy.

- A co z Tricią? Nie leci z nami?

- Hej, Trillian to ta sama osoba. Los może dotykać jedynie jednej osoby z każdego z nas. Nie martw się Tricią. Jest w innym samolocie. Czysta energia. Nie widzisz kolorów?

Artur jęknął.

- Kolorów zielonych promieni śmierci? Tak, widzę. Wolałbym oglądać je z dużej odległości, moglibyśmy więc się stąd oddalić?

- Oczywiście, Arturze. Jeśli nie zrobimy tego wkrótce, moje wrucyjne buty ulegną rujnacji. Choć ten niebieski mógłby nabrać ładnego odcienia fioletu, co niezwykle by mnie uszczęśliwiło.

Artur delikatnie popychał Random w kierunku jarzącego się statku.

- Chodź, musimy lecieć.

- Fertle... - wymamrotała dziewczynka. - Chcę mojego Fertle'a.

- Chcę mojego Fertle'a! - parsknął Ford, wesoło łaskocząc Trillian. - Świetny tekst, co nie?

Biały statek zadygotał, gładko otworzył się włącz i opuścił na teleskopach ku ziemi. W otwartym luku pojawił się Zaphod Beeblebrox, prezydent Galaktyki, międzyplanetarny zbieg i zapalony wyrachowany przedsiębiorca - przez jasne oczy świeciło ego wielkości planety, złotoblond włosy bujały się w sięgających ramion lokach. Bardzo prowincjonalnie, ale na nim świetnie wyglądały.

- W porządku, ustalmy to z góry - powiedział Zaphod. lekko stukając się opuszkami palców w skronie. - Cześć, Ziemianie! Znowu przybyłem was uratować. - W tym momencie zauważył trwającą destrukcję planety. - Zaraz, zaraz... to nie Irlandia!

Ford wbiegł na trap, aby objąć półkuzyna.

- Zaphodzie, jakże się cieszę, że cię widzę!

- Cieszysz się, że mnie widzisz? Musiałeś coś palić.

*

Weszli do „Serca ze Złota” i wjechali na wysokość kilkudziesięciu metrów, zatrudniając program unik-o-matowy do unikania promieni śmierci, aż napęd nieskończonego nieprawdopodobieństwa został włączony, aby wystrzelić ich tam, gdzie spodziewali się nigdy nie znaleźć.

Ford Prefect był jedynym z pasażerów statku, który odważył się spojrzeć w dół, i ujrzał rozpaczliwie wyglądającego A2G2-2, unoszącego się obok jedyne pozostałego kandelabru Klubu Beta. Od czasu do czasu swobodnym ruchem odsuwał się od nadlatującego z buczeniem promienia śmierci, ze wzruszeniem ramion zakomunikował: „Po co cały ten wysiłek?”, po czym złożył się w sobie niczym składana przez niewidzialne ręce konstrukcja z origami, aż pozostał jedynie

skaczącym po pozbawionym dachu holu diamentem ciemności, z czystej złości odciął łeb szczurowi, po czym odleciał ze wszystkich istnień we wszystkich czasach.

Krzyżyk na drogę, pomyślał Ford i udał się na poszukiwanie drinka.

Gdyby tego nie zrobił, mógłby ujrzeć wtaczającego się niepewnym krokiem do Klubu Beta wysokiego, trzydziesto-paroletniego mężczyznę w szlafroku i klapkach, ściskającego w dłoniach ręcznik. Ledwie zdążył z przepelnionym dezorientacją zdumieniem rzucić okiem w niebo, gdy szmaragdowy promień śmierci rozwalił go i jego rudawego towarzysza na atomy.

Uwaga w Przewodniku:

Była to jedna z wielu śmierci Artura Denta, którego jednej wersji udało się przełamać kosmiczny schemat i przeskoczyć wymiary, aby zostać uratowanym. Schemat rozwinął się dla pozostałych Arturów i byli wychwytywani jeden po drugim przez nieprawdopodobne wydarzenia, szybko tworzone przez oszukany Los.

Jeden z Arturów został porażony prądem przez wadliwe słuchawki, kiedy produkował program dla lokalnej rozgłośni radiowej, w którym dyskutowano ostatnią obserwację UFO w okolicy (kosmiczny czarny humor).

Drugi Artur obudził się pewnego poranka przekonany o tym, że jest w stanie latać, i żadna perswazja nie była w stanie powstrzymać go przed wspięciem się na wieżę radiową i skokiem w dół.

Trzeci został miażdżony przez bykdożer w trakcie akcji protestacyjnej, mającej na celu obronę jego domu przed zniszczeniem. Bykdożer nie doznał żadnych materialnych uszkodzeń, wydarzenie było jednak dlań traumatyczne i zaskarżył Radę Gminy, podkreślając szczególny udział w incydencie niejakiego pana Prossera. W efekcie Prosser poszedł pod topór.

Jeszcze inny Artur utonął w szaleńczej ulewie, zaraz po tym jak pokazał środkowy palec kierowcy ciężarówki, który zajechał mu drogę na autostradzie.

Lista niemal nie ma końca. Dość powiedzieć, że - bez katalogowania każdej spośród najróżniejszych śmierci, aby wymienić kilka: wynikłej z przygody albo nieszczęśliwego wypadku, przypadkowej (albo świadomie spowodowanej), kolejowej, naukowej, umysłowej, hurtowej, moralnościowej, chórowej, kotłowej czy kalkowej (pokrytej folią przylegającą) - po końcowej, odbytej raz i na zawsze, bez sprytnych furtek, destrukcji Ziemi we wszystkich wymiarach przeżył tylko jeden Artur Dent. To samo dotyczy Forda Prefecta i Trillian, ale nie Zaphoda i Random, którzy na tyle dobrze trzymali się swoich panwymiarowych ról, że zasłużyli na złote gwiazdy.

Lektura dodatkowa:

Artur Dent: Ktoś krąży, by mnie dorwać, 2803 (wyd. I),

Arturowa Dent: Wierzył w to, że umie latać, 1107 (wyd. I).

Ostatni pozostały Artur Dent siedział na swoim zwykłym miejscu na podłodze pokładu „Serca

ze Złota”, uderzał raz za razem głową w znajomą półkę, a mimo to nie czuł się uspokojony. Może wynikało to z migających po ekranach zielonych promieni śmierci, może gdzieś, głęboko w pierwotnej substancji, w gwiazdnym pyłe, z którego zbudowane były atomy jego ciała, Artur czuł, że jest ostatnim Arturem Dentem we wszechświecie. Całkiem sam w obliczu potęgi wszystkiego.

Artur był w stanie zwerbalizować tylko tyle, że tęskni za ręcznikiem, i zapłaciłby dużo, aby objął go ktoś o miękkim biuście i powiedział, że wszystko będzie dobrze.

Trillian i Random też były dość przygnębione całym tym niszczeniem ich ojczystej planety i kuili się razem pod lodówką. Ford Prefect zdecydowanie za to tryskał energią - dzięki machowi skamieniałego robala.

- To wspaniałe! - entuzjasmował się, klepiąc Zaphoda w ramię. - Popatrz na te promienie śmierci. Sądziłeś kiedyś, że dożyjesz widoku grebulońskiej siatki promieni śmierci od środka?

- Grebulończycy, łooo. Ci kolesie są groźni - odparł jego kuzyn z podobnym entuzjazmem (generalnie biorąc, Zaphod był bez przerwy osobnikiem jednomachowym). - Co za pokaz światła! Pamiętasz te rakiety z uzbrojonymi głowicami atomowymi na Magratei?

- Oczywiście - odparł czule Ford. - Były niezłe. Szczwane dranie, z tymi wszystkimi zwodami i nawrotami, ale je wyrolowaliśmy.

- Jasne, kuzynie. I tak samo wyrolujemy tych grebugości.

Kiedy promień nadwęglił płetwę od bakburty, Trillian jęknęła.

- Możemy się w końcu stąd wydostać?

Zaphod zawirował na pięcie jak mistrz tańca dyskotekowego i strzelił do Trillian z dwóch palców.

- Pach-pach, śliczna. Tęskniłaś za mną? Założę się, że tak... ja też.

- Potem, Zaphod. Czy ten statek może zabrać nas w bezpieczne miejsce?

- To nie takie proste. Nie możemy przelecieć przez siatkę promieni, nie będąc posiekanymi jak helitoksykański bylecek przyjęciowy. Napęd nieprawdopodobieństwa musi sprawdzić kilka liczb i jakoś wyglówkować wyjście z problemu.

- Komputer ma teraz głowę?

Zaphod zatańczył kilka kroków betelgeusańskiej gigi, służącej do gii wstępnej.

- Wreszcie ktoś zrobił uwagę na temat głowy. Zaczynałem już sądzić, że wszyscy jesteście na uciech-o-blecie.

- Sorki, Zaphod - rzucił Artur. - Jesteśmy dość rozstrojeni nieuchronnym zbliżaniem się gwałtownej śmierci.

- Oczywiście, że komputer ma głowę - powiedział Zaphod, ignorując wątek Artura. - Hej, weźcie się w garść, ludzie. Nie zauważacie we mnie żadnej różnicy?

Załapali wszyscy równocześnie.

- Gąsborwhamm! - zawołał Ford.

- Co to ma... - powiedziała Trillian.

- Jezusicku mój ty - powiedział Artur, brzmiąc jak z prowincji.

Zaphod Beeblebrox miał, zawiadacko zatkniętą na szczycie tułowia, tylko jedną głowę.

Uwaga w Przewodniku;

Dwie głowy i trzy ręce Zaphoda Beeblebroxa stały się taką samą częścią tradycji ludowej Galaktyki jak czaszkowy wyrostek żarłocznej trajkoczącej poczwary czy trzecia pierś Eccentriki Gallumbits. Choć Zaphod twierdzi, że trzecią rękę kazał sobie dorobić, by się poprawić w boksie na nartach, wielu ekspertów z zakresu mediów uważa, że implantowano mu ją po to, aby prezydent mógł równocześnie obmacywać wszystkie sutki Eccentriki. To zainteresowanie szczegółami erotycznymi sprawiło, że panna Gallumbits określiła Zaphoda w „Cotygodniowym Putelkossaszku Ulicznym” jako „sprawcę jej najlepszej eksplozji od Wielkiego Wybuchu”. Cytat ten był wart przynajmniej pół miliarda głosów w wyborach prezydenckich i dwa razy więcej dziennych wejść do sekcji dla prenumeratorów tajnej strony sub-eta Zaphoda.

Pochodzenie drugiej głowy Zaphoda jest okryte tajemnicą i wygląda na jedną z rzeczy, o której prezydent niechętnie rozmawia z mediami - poza twierdzeniem, że co dwie głowy, to nie żadna, co zostało uznane za jawną drwinę przez mecenasa Spinali Tiunco z plemienia Jeźdźców bez Głowy z Jaglan Beta. Reakcja Zaphoda na oskarżenie brzmiała: Oczywiście, że to drwina, dzieci. Gość nie ma żadnej głowy. Dajcie spokój!

Wczesne zdjęcia pokazują Zaphoda z dwoma głowami, ale na wielu z nich nie wydają się identyczne. Trzeba przyznać, że na jednym z filmów wideo, który wslawił się pod tytułem Głupota jest mi bliska, lewa głowa Zaphoda wygląda na kobiecą, o mocno ziemistej cerze, i najwyraźniej próbuje odgryźć prawej głowie ucho. Potem pojawiła się Betelgeusanka, twierdząca, że była pierwotną właścicielką ziemistej kobiecej głowy. Luulu Miękkoręka powiedziała beebloblogowi, że: „Zaphod chciał, byśmy byli razem, najlepiej cały czas, więc się połączyliśmy. Po kilku miesiącach stwierdził, że woli bycie dwugłowym bardziej niż mnie. Pewnego wieczoru poszliśmy na kilka Gardłogrzmotów i obudziłam się znowu w moim ciebie. Drań!”

Zaphod nigdy nie zdementował opowieści panny Miękkorękiej, co doprowadziło do spekulacji, że jego druga głowa to narcystyczna poza, choć prezydent Beeblebrox twierdzi, iż nie rozumie tego domniemania.

Lektura dodatkowa:

Luulu Miękkoręka: Głowa w głowę z prezydentem,

Eccentrica Gallumbits: To tylko cycek po cycku.

Ford objął kuzyna.

- Wreszcie ją zdemontowałeś - powiedział, równocześnie gryząc wargę, co nie jest łatwe. - Efekt wygląda jak działanie imbecyla, ale z jakiegoś powodu jestem jak najbardziej za.

Artur znał ten powód. Jego przyjaciel w dalszym ciągu jechał na robaku.

- Jesteś pewien, że to był dobry pomysł, Zaphodzie? Ta głowa nie odwaliała jakiejś roboty? - spytał.

Zaphod uniósł palec w sposób, w jaki robi to ktoś, kto ma oznajmić coś ważnego.

- Zamknij dziób, małpo. Rozmawiam z kuzynem.

- Sądziłem, że ten etap mamy już za sobą, Zaphodzie. Nie przeszliśmy razem wystarczająco dużo?

- Oj! - ryknął w odpowiedzi Zaphod. - Cześć, Arturze! To ty, przyjacielu? Tamta głowa miała lepszy wzrok. Poza tym nie rozpoznałem cię bez stroju na basen.

- Szlafroka.

- Nieważne. Ważne jest w tej chwili tylko to, że myślę. Promienie śmierci i tak dalej.

- Czy to ważne, byśmy wiedzieli, gdzie jest twoja druga głowa?! - krzyknął Artur, maksymalnie upraszczając składnię.

Zaphod klasnął w dłonie.

- O tak! Oczywiście! Spodoba się wam!

Tańcem kraba przesunął się do ustawionych w niski półksiężyc pulpity sterowania komputerami.

- Panie i panowie, oto i on! Wielkie brawa, wasze życie bowiem znajduje się w jego rękach!

- Promienie śmierci! - zawył Artur, gdy unik-o-mat zakręcił statkiem w ciasnym piruecie. - Możemy kontynuować ten temat?

Ford złapał twarz Artura w dłonie.

- Życie składa się z chwil, Arturze - powiedział poważnie. - Na tym polega tajemnica. Chwile są dłuższe, niż sądzisz. Jeżeli dodasz wszystkie dobre chwile, wtedy... no wiesz, zrobią się z tego wieki.

Artura rozwścieczyło, że w tym rozumowaniu może coś być.

- Doskonale, Fordzie. Sądzisz, że panie mogłyby zobaczyć drugą głowę Zaphoda?

- Nie traktuj nas protekcyjnie - odparsknęła Random.

- Oczywiście, że nie, skarbie.

- Pieprz się.

Zaphod tupnął obcasem srebrnego buta.

- Możemy wrócić do mnie? Głowa, pamiętacie? - Wstukał do komputera krótki, sekwencyjny kod.

- Niezbyt wyszukany - skomentował Artur. - Raz-dwa-trzy?

Zaphod parsknął w jego kierunku.

- Wzrok i cyfry. Jestem baaaaardzo kiepski w życiowych drobiazgach. Moje przeznaczenie to bardziej bycie prącym do przodu, oświetlanym z tyłu, dokonującym wielkich odkryć mistrzem buduaru. Głowa numer dwa dba o sprawy małego człowieka. Albo... jak ją nazywam... Lewy Mózg, ponieważ znajdowała się po lewej stronie i była mózgowcem.

- Pokaż nam głowę! - zawołał Artur.

Zaphod wcisnął kciukiem czerwony przycisk i ze znajdującego się na konsoli wiadra żelu wleciała kryształowa kula, uniosła się płynnym ruchem i zawisła na przeciętnej wysokości oczu.

- Wiecie, żel jest pełen różnych rzeczy - wyjaśnił Zaphod ze standardową ogólnikowością. - Substancji dobrych dla tego, co ma zostać zrobione.

- Zamknij się, proszę, bracie - powiedziała druga głowa Zaphoda, która spoczywała w kuli na poduszce z przewodów i bezpieczników. - Jesteś żenujący. Ja też czuję się zażenowana.

Pomijając kilka różnic w stylizacji, Lewy Mózg niemal dokładnie przypominał Zaphoda. O ile jednak prezydent Galaktyki był krzykliwy i różne linie na twarzy miał pociągnięte tuszem do rzęs, włosy Lewego Mózgu były krótko przystrzyżone i przedzielone wyraźnym przedziałkiem, a jego oczy jaśniały ostrą jak laser inteligencją i siłą zdecydowania.

- Żel to substancja elektrolityczna, która odżywia moje komórki i zasila pole antygravitacyjne wokół kuli.

- A te głośniki, LM... - powiedział Zaphod. - Człowiek powinien brzmieć.

- Oczywiście, ZB - westchnął Lewy Mózg. - Głośniki. Nie masz nikogo, do kogo mógłbyś pomrużyć w lustrze?

Zaphod oparł się ciężko o konsolę.

- Czasami wydaje mi się, że rozdzielenie się było błędem, ale odkąd Lewy Mózg przejął statek od Eddiego, ani razu nie eksplodowaliśmy. Ani razu. A to, co powoduje wojny, znacznie osłabło. To dobrze, prawda?

- Teraz, kiedy statek nie jest kierowany przez mojego niedorozwiniętego poprzednika, nasza oczekiwana długość życia wzrosła o osiemset procent.

Random - rasowy polityk - z uznaniem pokiwała głową na tę statystykę.

Artur postukał palcami w kulę.

- Cześć, Zaphodzie... Lewy Mózgu. Prowadzisz statek? Możesz nas stąd zabrać?

- Nie dotykaj szkła, Ziemianinie. Nie masz pojęcia, ile razy muszę obrócić się w żelu, aby zerwać smugi.

- Przepraszam.

- Aby odpowiedzieć na twoje pytania: obecnie jestem połączony z programem unik-o-matowym, abyśmy mogli uniknąć grebulońskich promieni śmierci. Z każdą chwilą ich siatka promieni się zbliża, więc im szybciej włączymy napęd nieprawdopodobieństwa, tym lepiej.

- Kiedy to mogłoby nastąpić?

- Za dziewięćdziesiąt sekund. Kilka minut przed zniszczeniem statku przez promienie śmierci.

- Jesteś pewien?

Pytanie nie spodobało się Lewemu Mózgowi.

- Jesteś tu nowy i dopiero się poznaliśmy, więc wyjaśnię. Jestem statkiem, statek jest mną. Nie ma dezinformacji.

- Nowy? Już tu kiedyś byłem, koleżko. I już wtedy się poznaliśmy, tyle że...

- Byłem ciągle zamocowany do Zaphoda, idioty pierwszego sortu...

- Łuchchu! - zawył Zaphod. - Przyszpilił cię, Arty. Nie idź z tym gościem na wymianę ciosów.

- ...podporządkowany jego hałaśliwej osobowości - dokończył Lewy Mózg. - Zdominowany przez jego niepohamowany hedonizm.

- Ostrzegałem cię, Ziemianinie. Nie mów, że cię nie ostrzegałem. Lewy Mózg obedrze cię żywcem ze skóry, a wióry usmaży w cieście.

Lewy Mózg przekręcił się nieco i skupił spojrzenie na Zaphodzie.

- Ta gnuśna małpa trzymała mnie zamkniętego w mojej własnej głowie, aż w trakcie pijackiej biby dokonałem oddzielenia. Zaphod jest takim ciągomuchem, że sądzi, iż to on to wymyślił.

Oczy Zaphoda się zamgliły.

- Ciągomuchem? I co jeszcze?

Choć Artura niepokoiły możliwe konsekwencje braterskiej rywalizacji między głowami, rozszepionej osobowości, czy jak tam brzmiało prawidłowe medyczne określenie tego, z czym mieli właśnie do czynienia, dla dobra Random postanowił przełknąć swe obawy. W końcu byli uratowani. Random była bezpieczna i tylko to się liczyło. Artur wiedział z doświadczenia, że w niedalekiej przyszłości jego ducha złamie utrata ojczystej planety, prawdopodobnie w okolicy pory picia herbaty, kiedy nie będzie skąd wziąć herbaty, może po szczególnie pięknym holozachodzie słońca, jak na razie był jednak zdecydowany przybrać dla córki grzeczną minę.

- W porządku, wszyscy słuchać! - powiedział głosem czystym i pustym jak żarówka. - Stan zagrożenia na razie minął. Może poprzymyamy się przed skokiem nieprawdopodobieństwa. - Zachichotał. - Wszyscy wiemy, jakie są porąbane.

Random poklepała miejsce na piersi, gdzie zwykle był Fertle.

- Porąbane, Arturze? Porąbane? Nikogo nie oszukasz. A to był najbardziej wymuszony chichot, jaki słyszałam w życiu. Nigdy nie będziesz nawet w połowie tym, czym był mój mąż.

I znowu wszystko to moja wina, pomyślał Artur. Może częściej powinienem udawać radosny nastrój - ludzie może zaczną się nabierać.

- Chyba nie mogę oczekiwać, że ten komputer nauczył się robić herbatę?

Na kopule Lewego Mózgu zamigotała czerwona lampka.

- Przestań mówić, Ziemianinie. Słowo „herbata” zostało oflagowane. Ostatnim razem, kiedy

poprosiłeś o „herbatę”, zablokowałaś system w trakcie alarmu.

Kolejny wymuszony chichot ze strony Artura, po którym nastąpiły szurnięcie stopą i szybkie wyjście do galerii widokowej.

- Pójdę tylko sprawdzić konstelację promieni śmierci. Zobaczyć, jak sobie radzimy. Przynieść coś komuś?

Nikt nie uznał za godne wysiłku odpowiedzieć.

Uwaga w Przewodniku:

„Przynieść coś komuś?” to standardowa karta na szybkie wyjecie z pokoju i może być grana zawsze, gdy szybko zbliżają się niewygodne okoliczności - od łagodnego zażenowania po nieuchronną zagładę pierwszego stopnia. Większość kultur ma swoją wariację: „Przynieść coś komuś?”, a są one tak oczywiście retoryczne, że w zasadzie nie potrzebują znaku zapytania. Betelgeusańscy pytają: „Czy ktoś słyszał plaśnięcie? Jakby piłka tenisowa wpadła do sosu. Ktokolwiek? Lepiej pójdę sprawdzić”. Wersja Jatravartydów brzmi: „Ktoś słyszał kryształ w drzwiach? Założę się, że to Ludek. Jak zwykle spóźniony. Lepiej pójdę go wpuścić, zanim napelni chustkę”.

Ku uldze Artura nikt nie złamał międzygwiazdowego protokołu, prosząc o cokolwiek, dzięki czemu mógł się wymknąć do galerii widokowej i udawać, że wrócił na swoją plażę.

Ford stukał kostkami dłoni w konsolę, słuchając *bong*.

- Zapomniałem tego *bong*, Zaph. Wiesz, odgłosów i tym podobnych. Zapomina się je, potem słyszy się je ponownie i przypomina, jakie są dla człowieka ważne. Potem człowiek się dziwi, gdzie podziewały się wspomnienia przez czas, kiedy się o nich nie myślało.

Zaphod nie miał problemów z dostrojeniem się do tej długości fali.

- Zawsze uważałem, że moje wspomnienia znajdują się po drugiej stronie holu w głowie numer dwa. Gdy ich potrzebowałem, Dwójka mi je beamowała.

- Jou! Dokładnie o tym mówię. Esencja tego, co chciałbym przekazać. Czy patrzyliście sobie głęboko w oczy, kiedy transmitował ci wspomnienia?

- Nigdy w życiu - odparł Lewy Mózg, lekko podskakując mimo pola żyroskopowego. - Jego teoria jest absurdalna. Obaj mamy korę mózgową.

Ford okrążał kulę tanecznym krokiem, obejmował ją niczym kryształową kulę.

- Tak, ale ty masz mózg jak sklep. To ty jesteś spryciarzem, podłączonym do napędu nieskończonego nieprawdopodobieństwa?

Lewy Mózg nie umiał powstrzymać lekkiego uśmiechu zadowolenia.

- To prawda. Steruję napędem. Jest teraz częścią mnie. Czuję każdą jego niepewność.

Oczy Forda były szklane, ale w dalszym ciągu inteligentne.

- Więc wyjaśnij mi, dlaczego cię oczekiwałem.

Lewy Mózg zamarł w pół ruchu.

- Słucham?

- Aha. Właśnie, niedocwaniony gwizdku. Wiedziałem, że się pojawicie.

- To absurdalne. Skąd miałbyś wiedzieć? Prawdopodobieństwo, że jedyna osoba we wszechświecie, która mogłaby cię uratować, pojawi się dokładnie wtedy, gdy będziesz jej potrzebować, wynosi jeden do stu pięćdziesięciu miliardów. Dla napędu to do przyjęcia.

Ford był łaskawie innego zdania.

- Zależy, jak liczysz, koleżko.

- Istnieje tylko jedna metoda obliczeń - odparł sztywno Lewy Mózg.

- O nie - stwierdził Ford tonem kogoś, kto spędził zbyt wiele godzin w tanich hotelach bez kredytu na cymbałach i jest zmuszony czytać własny przewodnik. - Istnieje wiele sposobów obliczania. Na przykład system matematyczny VI'Hurgów jest oparty na prorokowaniu z wnętrzości.

Uwaga w Przewodniku:

To nie do końca prawda. Wykorzystano także suszonego penisa Pelopsa.

- A ja - kontynuował Ford tonem tak wyniosłym, że przyspieszyłby ewolucję jednokomórkowców tak, aby mogły użyć wspaniałych nowych, przeciwstawnych kciuków do podniesienia kamienia i zatłuczenia go na śmierć - opieram większość moich obliczeń na emocjach.

- Emocjach! - parsknął Lewy Mózg, zaplując wewnątrz swojej kuli. - Emocjach? Jak możesz pozwolić sobie tylko na jedną głowę i w dalszym ciągu być tak głupi?

- Lubię być głupi. Dostrzegam sprawy wyraźnie. Bycie głupim to jak patrzenie pod słońce przez półprzymknięte powieki.

Każde stwierdzenie Forda poruszało kulę Lewego Mózgu, jakby walono ją mokrym ręcznikiem.

- Słońce? Co ty gadasz? Głupota to ignorancja i ciemność.

- A więc zaplanowałeś przybycie tutaj? Te współrzędne wybrałeś?

- Nie - przyznał Lewy Mózg. - Dokładne miejsce zostało zniszczone, więc napęd przeniósł nas w bezpieczne miejsce.

- I ze wszystkich miejsc we wszechświecie statek sprowadza nas tutaj...

- Zbieg okoliczności. Działanie uboczne napędu nieprawdopodobieństwa.

- To więcej niż zbieg okoliczności. Zaphod przybywa na ratunek ulubionemu kuzynowi Jak

mało jest to prawdopodobne? Już raz się to zdarzyło wystarczająco blisko tej samej planety. Jeszcze jeden raz i mamy schemat. A kiedy ostatni raz sprawdzałem, schematy nie były bardzo nieprawdopodobne.

Kolejna uwaga w Przewodniku:

Ostatnie stwierdzenie jest kłamstwem, Ford Prefect bowiem nigdy nie sprawdzał prawdopodobieństwa schematów. Ford rzadko sprawdzał cokolwiek poza poziomem płynu w swojej szklance i generalnymi poziomami wrucetności. Zapłacił kiedyś miesięczną pensję za wykrywacz wrucetności, który działa tylko wtedy, gdy wrucetność obsługującego wystarcza do jego zasilania. Ford wypróbował kiedyś sprzęt w toalecie, po czym wepchnął go do zgniatarki śmieci razem z rachunkiem.

Lewy Mózg kiwał się do tyłu na osi X.

- Tak, to prawda, że schematy nie są dobrymi modelami nieprawdopodobieństwa.
 - Generalnie prawda?
 - Generalnie.
 - „Generalnie” nie brzmi zbyt nieprawdopodobnie. Nie brzmi zbyt jeden do piko-femto-atto. Tak na dwoje babka wróżyła.
 - Tt... tak - wyjąkał Lewy Mózg. - Dobra uwaga.
 - Pocisz się, facet? Głowy robotów są teraz w stanie się pocić?
- Z Lewego Mózgu faktycznie lał się pot. Z kołnierza kuli wypełzły drobne roboty-pająki i zaczęły żerować na kroplach wilgoci.
- Nie jestem robotem - zaprotestował Lewy Mózg.
 - Hej, hej, pływasz w szklanej kuli, podłączony do komputera. Z szyi wychodzą ci pająki. Kiedy ostatni raz sprawdzałem, to wszystko wręcz krzyczało: ROBOT.

Uwaga w Przewodniku:

Znowu nie było sprawdzania. Totalne walenie w bambus.

- Aczkolwiek - powiedział z zadumą Ford, głaszcząc powietrze niedaleko podbródka - całkowity obciach napędu nieprawdopodobieństwa to terytorium bardzo organicznego bytu.
- Całkowity obciach? - powiedział nerwowo Lewy Mózg. - Naprawdę tak sądzisz?
- Jak najbardziej. Zadumajmy się jednak nad tym później, do tego długo i namiętnie, ku wielkiemu zażenowaniu jednego z nas. Teraz włącz może napęd i poślij nas w jakieś miejsce, które jest rzeczywiście nieprawdopodobne.

Kopuła Lewego Mózgu zapulsowała mdlącą zielenią i po szkle przebiegły kolumny liczb.

- Nieprawdopodobne? Jak to jednak obliczyć? Jak... wszystko, w co wierzę. Liczby są zawodne? To może być prawdziwe? Może?

Ford zaczął trzeźwieć.

- Hej, koleżko, daj sobie z tym spokój, tylko kręcę ci pormokabana. Powiedz mu, Zaphod.

Zaphod udrapował ramię wokół szyi kuzyna.

- To prawda, stary. Zostałeś wkabaniony jak ta lala. Ford doprowadził kiedyś wielkiego szlachetnego mnicha z zakonu świętych obiadowiczów z Voondoon do zaatakowania go kadzidełkami.

- Z powodu zakładu - odparł Ford, który nie chciałby, aby uważano, że ot tak, dla zabawy, kadzi okadzonym mnichom, aż dostają palmy.

Lewy Mózg był w pewnym stresie.

- Komputer śpiewa mi o liczbach, ale wy... wy dwa powalone łby z waszym nieustannym waleniem w bambus!

- Hola, może mniej tego walenia - powiedział urażony Ford. - Próbuję tylko stworzyć więź. No, wyrzecz na was wrażenie moim niekonwencjonalnym intelektualizmem.

- To wszystko jest... to zbyt... Liczby. Emocje. Ja zarkuję!

Lewy Mózg się zapętlił. W bardzo krótką pętlę. Jednosłowną, powtarzaną raz za razem.

- Zarkuję... zarkuję... zarkuję...

Spod wymiętoszonej jedwabnej koszuli Zaphoda wystrzeliła jego trzecia ręka i trzasnęła Forda w czubek głowy.

- Idiota! Sparalizowałeś go.

- A więc zachowałeś rękę.

Zaphod wsadził zapasową rękę do lewej kieszeni natryskiwanych spodni.

Uwaga w Przewodniku:

To nie eufemizm. W Port Sesefronie Zaphod kupił sprej do robienia spodni, który obiecywał „sięgnąć do miejsc trudnych do sięgnięcia”. Po pierwszym naniesieniu preparatu Zaphod nieco zmniejszył moc. Dołączona była specjalna dysza do robienia kieszeni.

- Trzeciej ręki zazwyczaj używani do spraw ceremonialnych. Zakładam na nią fioletowy rękaw i BABAM, mamy szarfę.

Ford zacmokał, rozczarowany Lewym Mózgiem.

- Sparalizowanie go wiele nie wymagało. Powinieneś być poczekać na wersję 2.0.

Trillian usiadła na luksusowym uchyl-o-telu obok Random, która dąsała się wystarczająco, aby

wystarczyło to do karmienia przez pięćset lat rodziny Cyfroli, i zapięła pas.

- Dlaczego nie jesteśmy gdzie indziej, Zaphod? W dalszym ciągu widzę promienie śmierci.

Zaphod zdradził kuzyna ruchem kciuka.

- Zapytaj Forda nie-perfekta. Spowodował, że statek znieruchomiał.

Artur wybrał ten właśnie moment, aby wparadować na mostek.

- Spowodował, że statek znieruchomiał? Powiedziałeś, że znieruchomił statek?

Dawne wspomnienia Artura powracały i, ku jego rozgoryczeniu, nie odbiegały zbyt od nowych.

Nie jestem zaskoczony, stwierdził. Ostatnio przechodzę ze spokoju prosto do przerażenia.

- W czym problem, Fordzie? - spytał. - Jesteś jakoś zaprogramowany, aby spieprzać sprawy?

- To on jest zaprogramowany - odparł Ford, wskazując na Lewy Mózg, który unosił się pod samym sufitem jak zbiegły balon.

Artur czuł, że na mostku czegoś brakuje.

- Nie wiem, o co chodzi - powiedział, badając powietrze palcami - ale coś tu było przed sekundą i właśnie zniknęło.

Zaphod był zachwycony, że może udzielić istotnej informacji.

- Pozwól, że cię wprowadzę, Ziemiannie. Kiedy aktywowany jest unik-o-mat, komputer maluje ściany złamaną bielą. Fototerapeutyczne uspokajanie mózgu.

- A światło zgasło.

- Badabingo!

Uwaga w Przewodniku:

Badabingo to gra planszowa, w którą grają skazani na dożywocie więźniowie w więziennym księżycu orbitującym wokół Blagulon Kappa. Może w niej uczestniczyć do stu graczy, a celem jest oprowadzenie wszystkich swoich koników wokół planszy i zaprowadzenie ich z powrotem do stajni, gdzie trzeba mieć ich sześć, zanim można im ukrećić łby. Kiedy ostatni konik zostanie zdekapitowany, prowadzący skacze na nogi i krzyczy: „Badabingo!”. Potem tylko jego sprawą jest przeżyć do przybycia oddziału antyterrorystycznego.

- Co oznacza, że unik-o-mat także jest wyłączony.

- Zielony patyk w zielonym dołku, chłopcze.

Kolejna uwaga w Przewodniku:

Zawołanie: „zielony patyk w zielonym dołku” dotyczy prostej gry porównawczej, której uży-

wano w specjalnych klasach edukacyjnych dla dorosłych na Betelgeuse Pięć, gdzie prezydent Beeblebrox dorastał. Striteraksjański ekwiwalent brzmiałby: „Wykazujesz wygórowaną dumę z kogoś, kto wykonał zadanie, które mogło być wykonane przez ssaka stojącego niżej w rzędzie naczelnych w krótszym czasie”. Diabły Pancerne nigdy nie były zbyt dobre, jeśli chodzi o aluzje, ale całkiem świetnie wiedziały, co znaczy walić prosto z mostu. Używane przez nich ostrze zazwyczaj było zrobione z hartowanej stali i pokryte trucizną.

- Co oznacza, że możemy zostać pocięci przez tę siatkę promieni na kostki tak samo jak cała planeta.

Zaphod parsknął, jakby była to najbardziej zwariowana rzecz, jaką kiedykolwiek słyszał.

- Ziemia nie zostanie pocięta na kostki, Arty. Promienie śmierci rozgrzeją powierzchnię i planeta wyparuje. Lada sekunda.

- To pocieszające. A co z nami?

- No tak. Siatka promieni już wykoncypowała, w jaki sposób nas osaczyć. Zostaniemy posiekani w kostkę. Nie ma wątpliwości. Światelko w tunelu czy nie. A właśnie zaczynałem przejmować na własność także tę ftyzurę.

Artur przycisnął twarz do iluminatora. Na zewnątrz, w przestrzeni, zielone promienie, ogromne szmaragdowe wahadła, cięły bezgłośnie czern, doprowadzając miejsca, których dotknęły, do wrzenia. Kiedy przysunęły się bliżej, Artur stwierdził, że składają się z pulsujących sztab, skwierczących od wybuchających w ich wnętrzu błysków.

Jedna z nich, paskudny tłuszczoch, płynęła nieubłaganie na nich.

Moja córka zginie, dotarło do Artura. Wkurza mnie to. Na pewno jest czwartek.

Z lekkim cmoknięciem oderwał twarz od iluminatora.

- Jest chyba coś, co możemy zrobić? Jeszcze nie zostaliśmy pobici, prawda?

Ford machał Zaphodowi pod nosem uciech-o-bletem.

- Sądzisz, że jeśli weźmiemy teraz po machu, będzie to drugi czy drugi pierwszy?

- Nie możemy w jakiś sposób awaryjnie włączyć Lewego Mózgu?

Zaphod zmarszczył czoło.

- Delikatna sprawa, mój ty kuzynie. Może gdy wezmę macha, odpowiedź przybędzie.

Artur stwierdził, że jego gruczoł zaskoczenia żyje i mimo wszystko działa.

- Nie dbacie o to, że wszyscy zaraz zginieemy? Jak możecie o to nie dbać?

Ford puścił do niego oko.

- Arturze, co za korzyść może wyniknąć z dbania o cokolwiek w miejscu takim jak to?

- Nie wiem, Fordzie. Nie mam pojęcia. Mam jednak córkę, tam, w tamtym fotelu. O tym wiem.

Rozległo się pukanie do drzwi.

- Byłbyś uprzejmy otworzyć, Ziemianinie? - spytał Zaphod.

Artur był na tyle uprzejmy, aby zarówno zareagować z opóźnieniem, jak i dla rozrywki Betelgeusańczyków wykazać refleks szachisty.

- Sam otwórz. To twój... aghrghhh!

- Jesteś zabawny, stary! - zajodłował Ford, waląc Artura w ramię. - Nie mówiłem ci, kuzynie? Mówiłem ci to od lat. Artur jest przezabawny.

- Słyszeliście to? - szepnął Artur, obawiając się mieć zbyt głośno nadzieję. - Ktoś może być za drzwiami? W kosmosie?

Pukanie rozległo się ponownie, dudniące BABUMMM, które sprawiło, że Artur poczuł się, jakby siedział w dzwonnicy.

- Nie przejmuj się tym BABUMMM - powiedział Zaphod. - To tylko nagranie. Jeśli chcesz, mogę przestawić na DING-DONG. Albo na moje ulubione: głos szwendotirliptaka.

Przez iluminator wpadało zielone światło. Okienko zaczęło dostawać bąbli.

- Otwórz drzwi! - zawył Artur, dla podkreślenia machając ramionami - Szybko!

- Nie mogę - odparł Zaphod, nic wyglądał jednak na zdenerwowanego. - Mały Ix zepsuł statek. Pamiętasz?

Trillian przeciągnęła dłonią po włosach Random, po czym przeszła przez mostek w kierunku wjazdu awaryjnego.

- Nieprawdopodobieństwo? Chcecie nieprawdopodobieństwa? To, że wy, dwaj idioci, pozostajecie jeszcze przy życiu, oto nieprawdopodobieństwo!

Sięgnęła do wnętrza czegoś, co wyglądało na masywny panel obsługi, i wyciągnęła dźwignię.

- Dźwignia awaryjnego sterowania ręcznego. Pamiętasz?

- Skarbie! To nie mój statek! Ja go tylko ukradłem!

Artur złapał dźwignię i zaczął ciągnąć, aż po szczęście popłynął mu pot. Ponieważ bliskość grebulońskich promieni śmierci sprawiała, że dryfujące „Serce ze Złota” zamieniało się w niezły kocioł, nie zabrało to aż tyle czasu, jak można by sobie wyobrazić.

- Dawaj, Arturze - naciskała Trillian. - Dawaj!

Artur otworzył usta, aby stwierdzić, że daje, ile może, i czy mogłaby zostawić go w spokoju, spędził bowiem ostatnie stulecie albo coś w tym stylu na plaży, nie podejmując jakichkolwiek wymagających wysiłku ćwiczeń, i z jakiej paki rzuciła mu na Lamuelli pod nogi zaskakującą nastoletnią córkę, po czym prysnęła, aby sprawozdawać z wojny, która nigdy się nie odbyła? Już miał to powiedzieć, gdy doszedł do wniosku, że może zamiast tego lepiej mocniej szarpać wajchę.

Zaskakujące, ale samo pomyślenie tego poprawiło mu nieco samopoczucie.

Energia powstała w wyniku Arturowego szarpania zasiliła małe plazmowe ogniwo, które poszło przez właz ładunek elektryczny i pobudziło molekuly na tyle, aby doprowadzić do przejścia fazowego, zamieniając właz w gaz.

- Hm, no cóż, nie tego się spodziewałem - wydyszał Artur.

W śluzie powietrznej stał wysoki humanoidalny obcy, splatający i wyłamujący sobie palce. Był efektownym okazem - o ile czyjeś kryteria efektywności obejmują rozwinięte umięśnienie, szerokie inteligentne czoło, ciemne, udreżone oczy i garnitur o tak ostrych kantach, że samo myślenie o nim może wywołać atak migreny.

- Ryba Babel? - spytał obcy kultywowanym, acz lekko cierpkim tonem. - Powiedzcie mi, że macie rybę Babel.

Zaphod wyrzucił ręce w powietrze.

- Wszędzie ryba Babel.

- Dzięki, Zarkwone! - powiedział obcy i wszedł do środka. - Szczerze, gdybym musiał się przebić przez jeszcze jeden pokój pełen pomruków i pustych spojrzeń... Co się dzieje z ludźmi? Wystarczy kupić tuzin ryb i zacząć je hodować.

- Ludzie są tacy skąpi - potaknął Zaphod.

Obcy zatrzymał się w pół kroku.

- Że co? Nie. Niemożliwe.

Zaphod pstryknął w bok małe pasmo włosów.

- O tak, mały.

- Zaphod Beeblebrox? Prezydent Galaktyki Beeblebrox?

- Żywy i rozmnażający się, proszę pana.

- Nie do wiary. To niespodzianka nadająca się do wpisania do akt. Człowiek zjeżdża na nieobjęte przez mapy peryferie niemodnego końca Zachodniej Spirali Galaktyki i kogo znajduje, podskakującego w atmosferze, jak nie...

- Zaphoda Beeblebroxa - dokończył Artur, chętny do popchnięcia spraw naprzód. - Posłuchaj, bardzo niechętnie jestem przyczem niepokoju, ale te promienie śmierci strasznie się zbliżają. Zwłaszcza ten wielki.

Zielony obcy zignorował go.

- Panie prezydencie! Od bardzo dawna chcę panu coś powiedzieć. Coś przygotowałem. Mógłby mi pan poświęcić sekundę? Naprawdę wyświadczyłby mi pan przysługę.

Zaphod cofnął się o krok na wypadek gdyby obcy nie widział go w pełni.

Uwaga w Przewodniku;

Technicznie rzecz biorąc, na statku nie ma Obcych, jedynie kosmiczni podróżnicy. Kiedy toż-

samość „obcego” zostanie ujawniona, będziemy mogli zrezygnować z tej klasyfikacji.

- Oczywiście może pan powiedzieć kilka słów. Moi koledzy będą zaszczyceni. Jestem oczywiście zbyt ważny, aby czuć się zaszczycony, ale będę lekko rozbawiony.

„Obcy” lekko się skłonił, sięgnął do kieszeni marynarki po komputer wafłowy, znalazł plik tekstowy i odchrząknął.

- Jest pan, panie prezydencie... - zaczął.

- Tak, kontynuuj.

- Jest pan, panie prezydencie...

- To już wiemy, kontynuuj.

- Jest pan, panie prezydencie, najbardziej filozofononcoolastą, durną, steatopygijską namiastką polityka, na którego zawsze miałem szczęście nie głosować, a gdybym przez sekundę sądził, że ten durny wszechświat zasługuje na coś lepszego, zapłaciłbym z własnej kieszeni za pana zabójstwo.

Zaphod nie do końca załapał ostatnią obelgę.

- Steatopy... co?

- Steatopygia. Nadmiernie tłusta dupa.

- Tłusta dupa.. -jęknął Zaphod i przytknął dłoń do ust - Ja? Tłustodupy?

Arturowi w dalszym ciągu wracały wspomnienia, więc nawet przy tak dobrze sformułowanych obelgach potrzebował sekundy.

- Znam cię - powiedział. - Jesteś gościem z obelgami.

Obcy sfotografował Artura swoim komputerem, po czym zaczął szukać w plikach.

- O tak... Artur Dent. Frajer i kompletna dupa wołowa Baza danych mówi mi, że już cię zaliczyłem.

Zaphod oparł dłonie o kolana.

- Tłustodupy... zaraz zemdleję.

Uwaga w Przewodniku:

Obcym, co można teraz ujawnić, był Wowbagger Nieskończenie Przedłużony, który stał się nieśmiertelny w wyniku wypadku z przyspieszaczem cząstek i niechęci do poświęcenia dwóch ze swoich elastycznych taśm. Należy podkreślić, że elastyczne taśmy miały dla Wowbaggera szczególne znaczenie, jako że w jego kulturze są one symbolami religijnymi, reprezentującymi okreśną i elastyczną naturę boga Pollifill-A. Po wypadku Arcypromonat Kościoła C&E oświadczył, że nowo uzyskana nieśmiertelność Wowbaggera jest dla wiernych zdecydowanym znakiem. Wowbagger oznajmił, że jest to zdecydowany wrzód na dupie, i odebrał mu elastyczne

taśmy. Po kilku tysiącletniach oddawania się nadąsanej nudzie Wowbagger wyznaczył sobie zadanie odwiedzenia każdego zamieszkałego świata we wszechświecie i zebrania próbek lokalnego piwa. Był to początek tego, co historycy nazywają jego okresem bursztynowym, w trakcie którego Wowbagger przybrał znacznie na wadze i odkrył w sobie talent do lżenia ludzi. Pewnego ranka, po porannej walce z odruchem wymiotnym, Wowbagger stwierdził, że właściwie bardziej od picia piwa bawi go obrażanie ludzi, i w połowie misji postanowił zmienić rodzaj wyzwania. Ustalił, że nowym będzie obrzucenie obelgami każdej czującej istoty we wszechświecie, do tego w kolejności alfabetycznej. Ponieważ Wowbagger dobrze wyglądał, a jego statek kosmiczny miał charakterystyczną sylwetkę, media szybko zwąchały jego zamiar i kilka razy zdarzyło mu się wylądować na jakiejś planecie i stwierdzić, że cała populacja stoi ustawiona w kolejności alfabetycznej i drze się, aby ją zelżyć. Odebrało mu to jednak przyjemność z całej zabawy.

- Przeleciałeś przez siatkę promieni śmierci? - spytał Artur. - Swoim statkiem?

Wowbagger wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Mój statek jest zrobiony z ciemnej materii i napędzany ciemną energią. Ci Grebulończycy działają, używając materiałów harmonicznym. Nie są w stanie zrozumieć mojego statku, nie wspominając o zatrzymaniu go.

- Możesz je zatrzymać? Promienie?

Wowbagger schował komputer wafłowy do kieszeni.

- Nie. Szaleją w realnej przestrzeni. Ziemia jest skazana na zagładę, a szkoda, gdyż na waszej planecie pozostało sporo ludzi do zelżenia. Przynajmniej jednak dorwałem Beeblebroxa, he? Poza kolejnością, to prawda, ale dla idiotów tego kalibru można zrobić wyjątek. A więc dzień nie okazał się pełną katastrofą. - Wowbagger szybko zatarł dłonie. - Nieważne. Miło było wszystkich spotkać, prawdopodobnie nie będzie następnego razu.

Trillian włączyła uśmiech reporterki.

- Panie Wowbagger... Trillian Astra. Spotkaliśmy się na Nowym Betelu. Był pan tak uprzejmy poświęcić mi kilka minut.

- O tak, Nowy Betel. Właśnie zaliczyłem króla, prawda? Nazwałem go jątrzącym się wrzodem. Miałem wtedy dość kiepski okres. Wszystko albo się jątrzyło, albo było zakażone.

- Może czytał pan mój artykuł w „KtuuCuu”?

- Nie czytam prasy. Można zacząć wierzyć w to, co wypisuje. Popatrz na Beeblebroxa. Naprawdę wierzy, że jest wruczajnym supergwiazdorem, a nie filozofononcoolastą dynią, czym jest naprawdę.

Zaphod właśnie zbierał się do kupy po „tłustodupym”, kiedy niczym kopniak w brzuch trafiła go uwaga z dynią.

- Dynią? Ooooo! Co... ty potworze.

- Ciekawa jestem, czy nie zechciałby pan nas podwieźć - nie odpuszczała Trillian. - Tylko

do następnej planety.

- To niemożliwe - krótko stwierdził Wowbagger. - Podróżuję przez ciemną przestrzeń. Śmiertelni nie powinni oglądać ciemnej przestrzeni. Złe to na nich wpływa.

- Jesteśmy przygotowani do podjęcia tego ryzyka. Nie sprawimy najmniejszych kłopotów.

Wowbagger uniósł brew.

- Beeblebrox nie będzie sprawiał kłopotów? Wątpię. Jest zbiegiem stąd czy stamtąd, nie?

Trillian postawiła Zaphoda pionowo.

- Prezydent będzie się zachowywał. Prawda, Zaphodzie?

Zaphod coś wymamrotał.

- Widzi pan? Powiedział, że zachowa się jak wypada.

- Zdawało mi się, że powiedział: schowaj się, bo dam ci z bata.

Artur falował przed Zaphodem, próbując skupić na sobie jego rozbiegany wzrok.

- Nie powiedziałaś tak, stary. Prawda? Na pewno nie. To byłoby chore, prawda? Grozić jedynej osobie, która może uratować nam życie.

Zaphod stał wyprostowany, powietrze bulgotało mu w głębi gardła.

- Nazwał mnie tłustodupą dynią. Nie mogę pozwolić mu dłużej żyć.

- Niech to cholera! - powiedział Ford.

Nastrój Wowbaggera przeszedł od grzecznego znudzenia do niegrzecznego znudzenia.

- Sądzisz, że nikt dotychczas nie próbował mnie zabić? Przy mojej pracy ściągam wrogów tak, jak lotufret kłaczki.

Random załkała w pięść.

- Śledzę tych, którzy mnie ścigają, dla rozrywki. Aktualnie goni mnie ponad stu łowców nagród, szesnaście okrętów rządowych, kilka bezzałogowych intel-o-rakiet i kilku osobników mających chętkę na nieśmiertelność, którzy z radością zjedliby moje serce i ukradli moją moc. Gdyby to było takie proste... pragnę śmierci, tęsknię za nią tak samo, jak ci idioci za sławą. Żyję wystarczająco długo, aby wiedzieć, że idealna miłość nie istnieje. Zbyt długo.

- Mógłbym cię zabić - stwierdził Zaphod. - Trochę wypiłem w tym wszechświecie. Znam ludzi, którzy wiedzą to i owo. Obskoczyłeś kilka kolejek z żarłoczną trajkoczącą poczwara?

Wowbagger prychnął.

- Z tą starą torbą zardzewiałych śrub? Mam nadzieję, że masz w zanadrzu coś lepszego.

Artur osłonił dłońmi twarz i wyjrzał przez iluminator. Promień śmierci był już praktycznie nad ich głowami. Arturowi zdawało się, że słyszy wycie energii, wiedział jednak, że to niemożliwe.

Prawdopodobnie nie jestem także w stanie słyszeć wrzasków umierających, pomyślał.

- Trillian! - zawołał przez ramię. - Sądzę, że nie zaszkodziłoby, gdyby Zaphod przestał gadać.

Mamy jakąś broń paralizującą?

Zaphod coraz bardziej się rozkręcał.

- Mam. Zostałeś kiedyś postrzelony przez demonopajaka?

- Jasne. Dodaję je do koktajli. Nie mają efektów ubocznych.

- A co z toporem plazmowym? Rozwali atomy twojego ciała na kawałki.

- Moich nie. Byłem cztery razy uderzony tymi tak zwanymi niezniszczalnymi toporami przez bandę silastycznych najemników po tym, jak nazwałem jedną z ich matek potrząsającą kijaszkiem podstarzałą białoryzą gębą. Zgadnij, co się stało. Rozprysły się.

- Znam gościa, który mógłby mi dać sześć uncji consolium. Trzyma się to przez pięć minut pod pachą i robota załatwiona, dzieciaku.

Wowbagger tracił ostatnią krztynę zainteresowania rozmową.

- Consolium to mit, Beeblebrox. Oszczędź mi swoich bezmyślnych opowiadań.

- Znam bogów! - rozpaczliwie zawołał Zaphod. - Innych nieśmiertelnych. Założę się, że przyciągnę cię do odpowiedniego rozmiaru.

Promień śmierci unosił się potężny tuż nad nimi, doprowadzał statek do wibracji, zdawał się ciąć przestrzeń jak watę.

- Trillian! - zawołał Artur.

- Proszę, panie Wowbagger.

- Znasz bogów? - spytał zielony nieśmiertelny, zaintrygowany wbrew woli. - Naprawdę poznałeś prawdziwych bogów? Klasy A?

- Mam w komunikatorze adres Thora. Jedno moje słowo i zostaniesz obstukany młotem.

- Bogowie już próbowali mnie zabić.

- I jak poszło?

- Zamknij się, Beeblebrox.

- Założę się, że żaden z głównych bogów. Nigdy klasy A.

Wowbagger z namysłem skinął głową.

- To prawda, nigdy klasy A. Nigdy nie miałem zbyt wiele czasu dla głównych istot nadprzyrodzonych. Kompletne cipy, każda jedna. Cios legendarnym młotem Thora, Mjöllnirem, na pewno by jednak wystarczył, aby zgasić mi światło. Możesz to zorganizować, Beeblebrox?

- Jestem jedyną osobą, która może to zrobić.

- To prawda - powiedział Ford. - Stary Rudobrody i Zaphod znają się wieki.

Artur widział już tylko zieleń.

I tak znowu stracę córkę. Ile razy mężczyzna wytrzyma łamanie mu serca?

Wowbagger wcisnął przycisk na swoim wafłowym komputerze.

- Lepiej, abyś nie próbował wkręcać mnie na wałek.

Zaphod założył kciuk za szarfę/fałszywą rękę.

- To nie przekręt Nazwałeś mnie tłustodupą dynią. To sprawa honoru.

Wowbagger z napięciem odwrócił się do komputera.

- Rozszerz tarczę.

W iluminatorze błysnęło jaskrawe światło i promień śmierci minął ich, nie czyniąc szkody.

ROZDZIAŁ 4

Katastrofy planetarne to nic wielkiego. Wydarzają się bez przerwy. Ekspandujące gwiazdy sterylizują powierzchnie, które dotychczas karmiły. Asteroidy wpadają w węglowodorowe oceany. Planety wychylają się lekko z orbity kilka lat świetlnych zbyt blisko czarnej dziury i spadają za horyzont wydarzeń. Żarłoczne istoty kwantowe wysysają ostatnią kroplę energii ze swych ojczystych planet, po czym rzucają się na siebie.

Uwaga w Przewodniku:

To ostatnie było tematem reality show w układzie Syriusz Tau o nazwie Ostatnia pozycja Behemota. Dwadzieścia pięć tysięcy kamer zrzucano do atmosfery Lewi Wasz, świata pustoszonego przez cztery kolosalne swobodnie latające stwory, a miliardy widzów oglądało ich walkę o dominację nad planetą. Niestety, Pinky, ulubiona Behemotka głosujących, odskoczyła od atmosfery Lewi Wasz i przeskoczyła po bezprzewodowym śladzie kamery sieci z powrotem do zamieszkałego klastra systemu gwiazdowego.

Zanim armia federacji zamroziła ją płynnym wodorem, Pinky obdarła ze skóry trzy światy. Dla pierwszych dwóch planet wskaźniki oglądalności pobily wszelkie rekordy, ale przy numerze trzy widownia uległa rosnącemu zblazowaniu i przełączyła na Kroniki Czikki-Czu, program o małym tęczowym ptaku, obdarzonym supermocami w wyniku tajemniczej ptasiej kąpieli.

Lektura dodatkowa:

Gawn F'zing (były prezes sieci i obecny pensjonariusz więzienia federalnego): Najgorsza idea w historii,

Big J Jarood (była gwiazda dziecięca): Życie poza belfrem.

Artur Dent obserwował, jak jego świat umiera po raz ostatni. Obramowanie iluminatora sprawiało, że wydarzenie wyglądało, jakby odbywało się w telewizji - może jakiś wczesny epizod *Doktora Who*, kiedy efekty specjalne były czarujące, ale jeszcze nieskomplikowane.

Niemal widać druty, pomyślał Artur.

Promienie śmierci były grubymi rurami, uwielbianymi przez animatorów telewizyjnych końca XX stulecia, a Ziemia wyglądała jak pokryta papier mache piłka.

Ale to jest rzeczywiste. Strasznie.

Promienie skupiały się na planecie, obierając ją jak zielononiebieskie jabłko. Artur mógłby przysiąc, że widzi, jak Nowa Zelandia odwija się od Antypodów - z lecącym za nią, mierzącym półtora tysiąca kilometrów ogonem pary i resztek.

Tęsknię za moją plażą, pomyślał Artur. Tęsknię za niewiedzeniem czegokolwiek na pewno.

Wkrótce planeta była spowita w kipiącą chmurę pary i popiołu. Promienie śmierci skupiły się

w punkcik nie grubszy od czubka ołówka i z jednym potężnym pchnięciem nabiły na siebie nie-
szczęsną Ziemię, rozerwały ją od bieguna do bieguna.

Nierzeczywiste, mówił sobie w myśli Artur, chowając twarz za palcami. Nierzeczywiste.

*

Sprowadziłam tę planetę do gwiazd, myślała Random Dent, próbując patrzeć zalewanymi
przez łzy oczami. Zbudowałam mosty, które pozwoliły wyleczyć raka, sprawiłam, że bieda prze-
szła do historii, dałam Goldflake pierwszego singla na topie galaktycznej listy. Teraz wszystko
zostało stracone. Wszyscy ludzie. Cała przyszłość. Mój Fertle.

*

Trillian zamknęła oczy. W trakcie kariery widziała tyle dewastacji, że starczyło na jeden żywot
Nawet tak długi jak Wowbaggera. Mnóstwo destrukcji było nierzeczywistych, co nie oznaczało,
że widząc je, mogła o nich zapomnieć.

I co osiągnęłam? Tymi wszystkimi robionymi w truchcie przez Galaktykę reportażami? Kto zo-
stał uratowany, komu pomogły?

Nikom.

A kto został ranny i komu zaszkodziły?

Mnie. I mojej córce.

Nawet przy tej myśli Trillian Astra poczuła drobne swędzenie dłoni w miejscu, gdzie zwykła
trzymać mikrofon.

Ktoś powinien to relacjonować, mówił cichy, ale uparty głosik w jej głowie. Ludzie powinni
o tym wiedzieć.

Vogoński statek hiperprzestrzenny klasy biurazownika - „Instancja Wykonawcza”

Vogoni nie byli źli jako tacy. To prawda, że nikt ich nie lubił, a ich umiejętności interpersonal-
ne nie wykraczały zbytnio poza próby powstrzymywania się od plucia na osobę, z którą rozmaw-
iali, ale nie byli źli. To znaczy, nie rozbijali niczyjej planety na atomy bez odpowiednich doku-
mentów. Mając odpowiednie dokumenty, gnali jednak na koniec wszechświata, także do tyłu rów-
noległych, ile konieczne, aby załatwić robotę. I - aby być uczciwym - większość z nich miałaby
naprawdę gdzieś, czy zapluliby osobę, z którą rozmawiają, czy nie.

Uwaga w Przewodniku:

Istnieje udokumentowany przypadek utopienia się maleńkiego Jatravartydy w trakcie rozmowy z vogońskim urzędnikiem. Jatravartyda miał zuchwałość przedłożyć petycję i twierdzić, że dokument ma moc prawną. W trakcie napadu kaszlu, jaki nastąpił wskutek tego faktu, Jatravartyda został najpierw ogłuszony półpłynną kulą flegmy, a następnie szybko zatopiony.

Lektura dodatkowa:

Magyar Ohnfhunn (napisane w vogońskiej kolejce): Dwadzieścia tysięcy gier do grania w vogońskiej kolejce,

Magyar Ohnfhunn (napisane przy zbliżaniu się do czoła kolejki)-. DTGDGWVK II

oraz

Magyar Ohnfhunn (napisane zaraz po tym, jak krata przed okienkiem spadła mu na palce): Wszyscy Vogoni to dranie i muszą umrzeć.

Vogoni są jako rasa niezwykli, cechują ich bowiem: rodzajowy upór, brak współczucia i doskonałe ucho do skrajnie złej poezji. Wszyscy Vogoni tacy są i brak udokumentowanych wyjątków.

Uwaga w Przewodniku:

Krążą pogłoski o istnieniu podziemnej grupy Vagonów, zamieszkujących zewnętrzny świat brantivogoński, którzy określają się mianem Prawdu-Sercowych Vogów. Lubią siedzieć w kręgu i mówić o różnych sprawach bez uprzedniego składania dokumentów.

Z fizycznego punktu widzenia Vogoni nie są atrakcyjnymi stworami. Jeżeli nie to ładne, co ładne, ale co się komu podoba, to ten, któremu Vogoni się podobają, nie może być nawet Vagonem, ponieważ nawet Vogoni zdają sobie sprawę z tego, jacy są brzydcy. Głowa Vagona przywodzi na myśl wielką suszoną śliwkę z bardzo głębokimi zmarszczkami na usta i oczy. Ciało to nic innego jak wielka góra czegoś przypominającego psujące się zielone masło, zaopatrzona w zbyt mało kości na metr kwadratowy i zbyt wiele fałd i płatów. Kończyny są słabe, nieskuteczne i sprawiają wrażenie rozmieszczonych przypadkowo. Gdyby dziecku z zaburzeniami dać do zabawy ugotowane na twardo jajko, rodzynki i garść spaghetti, powstały efekt przypominałby przeciętnego Vagona.

Jeśli więc wszyscy Vogoni są odrażającymi, biurokratycznymi sadystami, w jaki sposób można przeć w ich społeczeństwie do przodu? Należy być bardziej vogońskim od pozostałych. Vogoni mają na to osobne określenie. Kiedy ktoś spośród nich wyróżni się w bezlitosnym wykonywaniu rozkazów, jeżeli liczby przepracowanych przez niego godzin i pozostawionych za sobą ciał okażą się absurdalnie nieproporcjonalne do wagi zadania, jeżeli prze do przodu tam, gdzie inni zostaliby zniechęceni przez strefy pluralowe, hordy Silastycznych Diabłów Pancernych albo łzy wdów, o tym Vagonie mówi się w korytarzach władzy, że ma *kroompst*.

Jak w zdaniach:

- Widzieliście, co prostetnik Vagon Bierdz zrobił z tym przytułkiem? Cegła na cegle nie została. Chłopak naprawdę ma *kroompst*.

- Jasne. Niezły z niego *kroompstak*. *Kroompst* aż wyłazi mu z *krimptera*.

Za każdym razem, kiedy wysoki rangą Vagon używa pojęcia *kroompst*, wszyscy obecni Vagoni muszą zareagować wyrzuceniem obu ramion w górę i echolalizować słowo z maksimum entuzjazmu i plwociny.

Pojęcie *kroompst* mogłoby być wymyślone dla prostetnika Vagona Jeltza. W jego błyskotliwej karierze komandora floty nigdy nie zawiódł, ani razu nie zdarzyło mu się, aby nie dokończył zleconego zadania. Kiedy mieszkańcy Rigannon V zaprotestowali przed przesunięciem ich planety na większą orbitę, wysuwając bezpodstawny argument o „śmierci planety” w wyniku epoki lodowcowej, która nastąpiłaby zaraz potem, kto przeprowadził pokaz barwnych fajerwerków w okolicy występowania u nich zorzy polarnej, aby odwrócić uwagę Rigannończyków od nadlatujących z południa statków buforowych? Jeltz, oczywiście. A kiedy małe Szwiergoty Błękitne Dzwonki odmówiły zakreślenia TAK lub NIE na ostatniej stronie trzeciego tomu ich zastrzeżeń do pójścia na ugodę w sprawie zgody na planowanie, kto wyciął ich lasy, nie zwracając uwagi na przywiązanych do drzew protestujących? Znowu Jeltz. A teraz, w swej najlepszej godzinie, mając do dyspozycji tylko jeden statek, zorganizował zniszczenie przez grebulońskie promienie śmierci wszystkich Ziemi we wszystkich równoległych wszechświatach, ostatnią bowiem rzeczą, jakiej chcieli międzygwiazdni podróżnicy, było niespodziewane wyskakiwanie co trzecią podróż planet ze stref pluralowych.

Gdyby biuro planowania miało do zrobienia jakąś trudną robotę, prostetnik Jeltz miał *kroompst* do jej załatwienia. W rzeczywistości zdjęcie Jeltza wisiało na Ścianie *Kroompsta* wraz ze wszystkimi biurokratycznymi potęgami w vogońskiej historii. Vront Negant, Sheergawz Stempłowacz Znaczków i nemezis Jeltza, Hoopz Dokołobiegacz. A teraz Jeltz we własnej osobie. Wszystkie zdjęcia ukazywały sławy od tyłu - co było tradycją w Panteonie *Kroompsta*, w którym stała Ściana *Kroompsta*.

Jeltz siedział w fotelu dowódcy na mostku swojego statku „Instancji Wykonawczej” i zastanawiał się, jaki przydomek dostanie na Megabrantis.

Jeltz Niszczyciel. Brzmiało to nieźle, ale nieco przypadkowo. Rzadko niszczył planety bez podkładki.

Jeltz Niezbaczający. Ładne, ale brzmiało, jakby był pilotem kapsuły wyścigowej.

Zawsze gdy Jeltz bawił się w zabawę z przydomkami, przypominał mu się ten, który nadał mu własny ojciec: Jeltz Skończony Drań. Mówił wszystko, naprawdę. Jeltz pamiętał jeden ze swoich wczesnych wierszy.

- Skończony Drań... - powiedział tonem przypominającym daleki grzmot.

Baw się,

Już nie,

Przy dziurze brzydkiej.

Odlóż na bok młot swój

I rób klap plap mach ramionami,

Do świata słońca i skóry napiętej.

Dobrze nienawidzić ucze się,

Mój mały Skończony Draniu.

Jeltz poczuł, że coś zbiera mu się w kąciuku oka. Pyłek, stwierdził, strząsając go palcem.

Przy jego ramieniu pojawił się konstant Skoszon, podwładny, z bardzo modnym wśród młodzieży podbródkowym pojemnikiem do wyłapywania ściekającego śluzu.

- Panie komendancie!

- Zdecydowanie, konstancie. Noszę naszywkę z rangą, aby ludziom było łatwiej mnie odnaleźć. To oszczędza czas, kiedy ma się do czynienia z idiotami.

Podwładny się zakołysał.

- Tak jest, prostetniku. Oczywiście, komendancie.

- Chcesz czegoś, konstancie?

- Kazał się pan poinformować, kiedy będziemy gotowi do skoku w hiperprzestrzeń.

Spomiędzy warg Jeltza ściekło pełne zadowolenia westchnienie. Hiperprzestrzeń. Mówiło się, że Vogoni doświadczają emocji zwanej byciem szczęśliwym, tylko kiedy gubią się w hiperprzestrzeni. Skóra jest odciągana do tyłu, kości ściskane z wielką mocą. W hiperprzestrzeni człowiek czuje się niemal rozwinięty. Następująca w niej utrata panowania nad sytuacją ma w sobie mroczną wyborność i istnieje pewne prawdopodobieństwo, że można trafić w dowolne miejsce - bez odpowiedniej wizy.

- Doskonale, konstancie. Wykreśl nasz kurs przez ziemską przestrzeń. Jako pierwsi użyjemy tej trasy, teraz, kiedy na drodze już nie ma Ziemi i nie pozostali mogący się skarżyć Ziemianie.

Konstant Skoszon zabujał się dwa razy, po czym zamarł, przekraczając głowę niczym materac ze Squomshellous Zeta z mętlikiem w głowie.

- Problem, Skoszon?

Skoszon niechętnie udzielał jakichkolwiek informacji. Z jego doświadczenia wynikało, że wszelkie przekazywane przełożonym wieści okazywały się wiadomościami złymi - nawet jeśli w chwili gdy otwierało się usta, aby je przekazać, wydawały się dobre.

- Nie, komendancie. Żadnych problemów. Jak pan powiedział, nie ma Ziemi...

Jeltz zabublał zwisającą dolną wargą.

- Ani Ziemian. Rozkaz mówi wyraźnie, że przy życiu nie mają pozostać żadni Ziemianie. Rada Planowania Hiperprzestrzeni nie życzy sobie żadnych zagubionych humanoidów, dochodzących w sądzie swoich praw.

- W samej rzeczy, prostetniku. Dobrze powiedziane, elegancka struktura zdania.

Jeltz pomasował bok w miejscu, gdzie sączek nerki drażnił mu skórę.

- Zostali żywi Ziemianie, konstancie?

- Krażą pogłoski o nowej kolonii w mgławicy Soulianis - przyznał Skoszon, powoli wysącza-
jąc słowa z ust.

Jeltz bulgotał dłuższą chwilę.

- Soulianis? Czy nie tam znajduje się mityczna Magratea?

- Tak jest, prostetniku! Doskonała pamięć.

W jednej z powiek Jeltza zadrgała żyłka, co sygnalizowało rozdrażnienie. Kolejnym po-
wszechnie znanym objawem jego złości było wydmuchiwanie tego, kto przynosił rozdrażniające
wieści, przez śluzę powietrzną.

- Powiedziałeś „pogłoski”, konstancie. Jakiego rodzaju... pogłoski?

- Oni... Ziemianie... dali anons w ogłoszeniach drobnych w piśmie „KtuuCuu”.

- Anons!? - wypluł z siebie Jeltz, z jakiegoś powodu oburzony. - Pokaż mi!

- Oczywiście, prostetniku.

Skoszon podreptał do terminalu komputera, rozprostował palce, po czym zaczął walić operato-
ra w czułe miejsce między łopatkami, aż wyświetlił odpowiednią stronę.

- Oto i on, prostetniku. Link jest teraz martwy, nie przyjmują już życiorysów.

Jeltz starannie przeczytał anons, od czasu do czasu bulgotał.

- Miło z ich strony, że podają współrzędne - stwierdził. - Co byś zrobił, konstancie, na moim
miejscu? Pozwoliłbyś tym Ziemianom żyć? W końcu głównym celem była ich planeta. Wykonał-
byś rozkaz co do joty i odbył długą podróż na Soulianis, aby usunąć tę kolonię?

Skoszon nie wahał się ani sekundy.

- Jesteśmy Vögonami, prostetniku. Dopóki Ziemianie nie zginą, nie możemy nawet wypełnić
papierów.

- Prawidłowa odpowiedź, Skoszon. Sądzę, że do Soulianis będzie jedenaście skoków.

Konstant pokiwał się aprobująco.

- Natychmiast zaprogramuję napęd, prostetniku. Możemy załadować torpedy typu BPS*². Staty-
ka hiperprzestrzeni nada im nieco dodatkowej kąśliwości.

Jeltz z uznaniem skinął głową.

- Jesteś, Skoszon, skończonym draniem.

Skoszon spróbował zsalutować, przesuwając drobne ramionko po potężnej gardzieli w kie-
runku czoła.

- Dziękuję, tato - powiedział.

Langskip Wowbaggera - „Tanngrisnir”

Artura Denta obudził bijący o piasek plaży przybój.

Szszszblblblsz przy napływaniu, glglglglssss przy spływaniu.

Te znajome odgłosy dobiegały spod i z lewej od łóżka. Dokładnie tak, jak powinny. Szwendotirliptaki zaczynały poranne wygłupy, trzepocząc szerokimi skrzydłami i śpiewając swoje lekko pikantne pieśni, w nadziei ściągnięcia na siebie uwagi pyszniących się na tęczowo samic.

Jestem w domu, w moim domku na plaży. To wszystko - z eksplodującą Ziemią i zielonymi kosmitami - było tylko koszmarnym snem. Miło było spotkać znajomych, ale dlaczego zawsze musi dochodzić do ludobójstwa?

Artur poczuł ulgę i wchłaniał ją w siebie, napełniał płuca, delektował się decyzjami dnia.

Rich Tea czy Digestives? A może dziś Earl Grey? Czemu nie.

Leżał spokojnie i pozwalał nagrzać się kościom. W jego wieku nie były zalecane żadne gwałtowne mchy - niezależnie od tego, w jakim faktycznie wieku był.

Jeśli się tak zastanowić, sen wcale nie był taki zły. Artur nieźle wbiegł na prowadzącą do statku Zaphoda pochylnię. Nie wypadł mu żaden staw. Nie tęsknił za włosami w nosie.

Może powinienem postarać się o trymer. Nie musi być nic modnego.

Nie! Człowiek zaczyna od trymerów włosów w nosie, a budzi się z barem zylatburgerowym u progu. Żadnej komercji. Żadnego kontaktu.

Artur otworzył oczy i poczuł ulgę na widok wnętrza swej drewnianej chaty, zaraz jednak zauważył coś w rogu sufitu. Odliczający sekundy zegar cyfrowy, ze słowami przed cyframi. Zamknął gorsze oko i przeczytał słowa, które ku jego zdumieniu były napisane po angielsku.

Brzmiały: SEKUNDY DO RZECZYWISTOŚCI. Za nimi odliczały się cyfry. Wyglądało na to, że do rzeczywistości pozostało pięć sekund.

Pięć... cztery...

Więcej rzeczywistości, pomyślał Artur. Dupa blada.

Przy zerze plaża została wyłączona, a na suficie Artura pojawiła się Fenchurch, z lekko krzywym uśmiechem, łukowato uniesionymi brwiami, przypominającymi maźnięcia pastelą, migoczącymi błękitnymi oczami.

Widzę cię, skarbie. To jest rzeczywistość.

Oczywiście nie była to rzeczywistość.

- Halo - powiedziała Fenchurch. - Witam w przytomnym świecie. Jeśli spodobało ci się to szyte na miarę doświadczenie bezproblemowego budzenia się, daj programowi w ramach informacji zwrotnej gwiazdkę. Chciałbyś tym razem dać gwiazdkę?

- Słucham?

- Chciałbyś tym razem dać w ramach informacji zwrotnej gwiazdkę?-powiedział komputer, lekko zwiększając głośność.

- Eee... tak. Daję gwiazdkę. Dwie, a niech tam.

Fenchurch uśmiechnęła się, widok bolał. Tak pięknie...

- Dziękuję, Arturze Dencie. Monitorowanie twoich snów było dla mnie przyjemnością.

I - ot tak sobie - zniknęła.

Znowu.

Nie było to ani krztyny mniej bolesne niż za pierwszym razem.

Rzeczywistość była niewielką kajutą o szarych, interaktywnych ścianach i boksem w rogu na langskipie Wowbaggera. Artur uznał, że gorący prysznic byłby miły, jednak nie za długi, mógłby się bowiem rozluźnić i zacząć myśleć o Fenchurch.

Kiedy jej twarz pojawiła się na drzwiczkach prysznicza, stwierdził, że to niemyślenie o niej zapowiada się na trudne.

- Jestem twoim przybocznym Optymistą Ciała - powiedziała komputerowa interpretacja jego snów. - Powiedz mi, czego chcesz. Zaczynaj zdanie od: chcę...

Proste.

- Chcę przyjemnego prysznicza - odparł Artur. - I golenia. Chcę czuć się dobrze.

- Prysznic, golenie i czuć się dobrze. Tego właśnie chcesz?

- Zdecydowanie - odparł Artur, łapiąc ducha sprawy.

- Wejdz, proszę, do kabiny, Arturze Dencie.

Artur rozpiął koszulę. Przyszła mu do głowy pewna myśl.

- Fenchurch... hm, komputerze, mógłbym mieć nieco prywatności?

- Jestem komputerem. Prywatność nie istnieje.

Absurd. Nie była to Fenchurch, a wyciągnięte z jego wspomnień nieruchome ujęcie.

- Czy mimo to mogłabyś zamknąć oczy?

- Nie mam oczu.

- W takim razie wyłącz kamery i zabierz twarz.

- Tylko kiedy będziesz w Optymisty. Potem przywrócę monitoring.

- Wyłącz się - powiedział Artur, wrzucając ubranie do kosza na brudną bieliznę, który wytwarzał odgłos, jaki robi zakatarzony człowiek, pociągając nosem.

- Jasna cholera! - zawołał komputer.

- Jak na komputer okropne słownictwo.

- Mam tę frazę z twojej pamięci. Najwyraźniej używałeś jej cały czas, pracując w BBC.

- Miałem ku temu dobre powody - mruknął Artur. - Debilni producenci.

- Te ubrania mają smrod-o-indeks dwanaście i są nośnikami szeregu wirusów, nie wspominając o dwunastu milionach roztoczy, o których właśnie wspomniałam. Twój schemat mowy jest bardzo dziwny. W każdym razie ta garderoba musi zniknąć.

- Zaczekaj!

- Nie ma na co czekać, Arturze Dencie. Te roztocza mogą się dostać do moich obwodów i gdzie byśmy wylądowali? Pływająca śmierć w kosmosie, ot co! Daj szortom buzi na pożegnanie.

Kosz na brudną bieliznę zawarczał i lekko zadygotał w trakcie unicestwiania ubrania Artura.

- No, a teraz do boksu! Pięć minut i włączam z powrotem kamery.

Twarz Fenchurch zniknęła i Artur z wahaniem wszedł do kabinki.

- Bez podglądania.

- Cztery pięćdziesiąt dziewięć, Arturze Dencie. Cztery pięćdziesiąt osiem...

- W porządku, jestem w środku, jestem w środku! - Artur się rozejrzył. - Nie będę potrzebował ręcznika?

- Po co?

Artur ledwie miał czas pomyśleć, w jakim prysznicu się znalazł, a z umieszczonych w ścianach kryształowych gniazd wysunęły się dziesiątki jarzących się laserów i skąpały go w purpurowym świetle.

Pierwszą myślą Artura było, że został zwabiony do kabiny śmierci, kiedy jednak otworzył usta do krzyku, wsunął mu się w nie laser i zaczął skrobać język. Uniósł ramię, aby zasłonić usta, i inny laser zaczął mu przycinać i polerować paznokcie. Laserowe szorowanie było staranne i kiedy Artur się rozluźnił i pogodził z tym, co się dzieje, wcale nie takie nieprzyjemne. Brud i martwy naskórek były zdrapywane i zbierane przez pompę próżniową. Wybrał sobie z katalogu fryzurę i kiedy lasery kręciły mu loki, czuł mrowienie skóry głowy.

- Proszę o uśmiech, Arturze Dencie - zarządził w końcu komputer.

Artur zrobił, co kazano, i skaczący promień wybielił mu zęby.

Czuję się dobrze, stwierdził Artur. Lepiej niż kiedykolwiek w ciągu minionych lat.

Chmura drobin skóry, włosów i brudu opadła, Artur wyszedł z kabiny i zauważył leżący na łóżku garnitur. Skulił się na jego widok. Potrzebował dłuższej chwili, aby pojąć dlaczego.

- A niech mnie trzaśnie - wydyszał. - Eaton House.

Był to jego szkolny mundurek ze szkoły przygotowawczej - w komplecie z krawatem w paski i zieloną czapeczką.

Na ścianie pojawiła się Fenchurch.

- Czujesz się dobrze, Arturze Dencie?

Artur zasłonił się poduszką.

- Eee... tak. Tak, czuję się dobrze. Mogę dostać coś innego do ubrania?

- Marzyłeś o tym, Arturze Dencie. Zrobiłam je więc w twoim rozmiarze. Na ten cykl nie ma więcej kredytów ubraniowych. Coś jest złego z tą garderobą?

Artur powiódł palcem po purpurowym wyłogu zielonej marynarki.

- Nie, złego chyba nie. Tyle że to mundurek szkolny.

- Jest czysty.

- Wiem.

- Pozbawiony wirusów i roztoczy.

- Dobry argument, ale raczej nie pasuje do wieku.

- Ma wartość sentymentalną. Pomogłam ci odzyskać młodość, Arturze Dencie. Nie zasługuję na podziękowanie?

- Chyba zasługujesz.

- Chyba? W dupę jeża!

- W porządku, niech będzie. Dziękuję.

Fenchurch była urażona.

- Po tym wszystkim, co dla ciebie zrobiłam. Wzrok dwadzieścia na dwadzieścia i kamienie nerkowe.

- Że co? - spytał zaniepokojony Artur.

- Nie zauważyłeś poprawy wzroku? Naprawiłam ci siatkówkę. Moje skanery stwierdziły także sporą grupę kamieni nerkowych, więc je rozbiłam.

Artur zamknął lepsze oko i stwierdził, że drugie jest tak samo dobre.

- Zdumiewające. Nie powinnaś była zapytać?

- Naprawdę? Wowbagger pozwala mi podejmować samodzielne decyzje w podstawowych sprawach zdrowotnych. Jeśli wrócisz do kabiny, mogę przywrócić twoje oko do poprzedniego stanu.

Artur zamrugał i niemal od razu stwierdził, że zdolność prawidłowego widzenia bardzo mu się podoba.

- Nie. Dzięki, Fenchurch. Podoba mi się to dwadzieścia na dwadzieścia. Bardzo dziękuję.

Komputer się uśmiechnął.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- No i kamienie nerkowe. Całe skupisko. Wyobrażam sobie, że wkrótce byłyby bolesne. Dziękuję więc i za to.

- A ubranie?
- Idealne - łaskawie powiedział Artur. - Gdybyś na chwilę się ulotniła, mógłbym je włożyć.
- Pozytywny komentarz?
- Proszę bardzo.
- Dzięki, Arturze.

Fenchurch, migocząc, zniknęła i Artur włożył szkolny mundurek.

Mogło być gorzej. Mogły być krótkie spodenki.

- Dziękuję, Fenchurch... - szepnął.

*

Na korytarzu Artur wpadł na Trillian.

- Eeeee... - powiedział, zbity z pantałyku. - Wyglądasz fantastycznie.
- Naprawdę, Arturze?

Artur Dent miał szczególnie angielską wadę osobowości, polegającą na rozprawianiu się z każdym komplementem zaraz po powiedzeniu go, skutecznie podstawiając sobie tym nogę.

- No wiesz... zawsze wyglądasz fantastycznie. Nie żebyś nie wyglądała fantastycznie przedtem. Teraz wyglądasz ekstrasfantastycznie. Megafantastycznie, powinienem chyba powiedzieć, kiedy jesteśmy teraz w kosmosie i tak dalej.

Trillian miała na sobie garnitur w kolorze electric-blue i kozaki na wysokim obcasie.

- Komputer wybrał ten strój z mojej głowy. Miałam go na sobie na wywiad z prezesem Cybernetycznej Korporacji Syriusza. A raczej śniło mi się, że go na sobie mam. W konstrukcje.
- No cóż, nieważne. Pasuje ci.
- Do tego komputer zaordynował mi peeling twarzy - zdradziła Trillian, przysuwając się bliżej.
- Wyrównał mi też poziom witamin i minerałów. Czuję się, jakbym mogła przebiec maraton.
- Ja też.

Trillian pociągnęła za rękaw marynarki Artura.

- A więc nie ma potrzeby pytać, gdzie chodziłeś do szkoły.
- Całe szczęście, że nie śniłem o nocnym klubie w Cottington, bo nosiłbym watowane ramiona.
- Ładna czapeczka.

Artur gwałtownym ruchem ściągnął ją z głowy i wepchnął do kieszeni.

- Nie zauważyłem, że mam ją na głowie. Chyba z nawyku. Widziałaś Forda?
- Widziałam. Przeczłapał obok mnie, idąc na mostek.
- Coś się w nim zmieniło?

Trillian zmarszczyła czoło.

- Jego włosy wyglądały niezwykle błyszcząco. O, i były niebieskie.

Artur nie wydawał się zaskoczony.

- To była tylko sprawa czasu. Komputer w twoim pokoju... jak wygląda?

- Jak mój kot Kopernik. Wyobraź sobie. Niezła sztuczka. Co jest u ciebie?

Artur wpatrywał się przez iluminator w głęboką i nieskończoną czerń kosmosu.

- To tylko komputer. Nie ma twarzy. Nie wyglądał jak ktokolwiek.

*

Smukły, złoty międzygwiazdny langskip Wowbaggera pędził bezgłośnie w kierunku Alfy Centauri. Silniki na ciemną materię obracały się za nim, nad nim łopotał solarny żagiel, a „Serce ze Złota” tkwiło pod nim jak lotufret niemowlak w torbie rodzica*

Uwaga w Przewodniku:

W odróżnieniu od niemal uniwersalnej normy, młode karmi samiec lotufreta. Wyrósnięty lotufret może zmieścić w swej torbie do pięćdziesięciu młodych, generalnie jest tam jednak tylko miejsce na dwoje, samce lubią bowiem nosić ze sobą małą skrzyneczkę z narzędziami na wypadek niespodziewanych sytuacji, może jeszcze kilka piw i egzemplarz „Kwartalnika Piltrzar-skiego”.

Ford Prefect wtykał nos w kąty mostka i był pod wrażeniem.

- Niezła sprawa, Wowbagger. Ciemna materia. Stanowi siedemdziesiąt procent wszechświata, a jej nie widzimy. Jak robi się statek z ciemnej materii?

Wowbagger wzruszył ramionami.

- „Tanngisnira”? Kupiłem go jakiś czas temu od pewnego kolesia.

- O to wszystko! Kupiłeś od kolesia?

- Przysięgał, że ukradł go Thorowi. Bogowi Piorunów? To jego langskip, stąd ten wygląd retro.

- Wiem, kim jest Thor. Spotkaliśmy się kiedyś na przyjęciu.

- Tanngisnir był podobno jednym z magicznych kozłów ciągnących jego latający rydwan. Zamierzałem wymienić tego rogatego galiona, słyszałem jednak, że Thor jest nieco ciemny, i obawiałem się, że z nowym symbolem na dziobie nie rozpozna statku. Miałem nadzieję, że może znacznie mnie ścigać i rozwali mi mózg swoim wielkim młotem.

- Marzenie ściętej głowy? - powiedział Ford.

- Na to wygląda. Jak na razie nie dał znaku życia. - Wowbagger skoczył na równe nogi. - Mo-

żesz tego nie dotykać?

Random majstrowała przy znajdującym się na konsoli świecącym przycisku.

- Przepraszam - powiedziała, choć miała na myśli coś całkiem innego.

- To dlatego, że od dłuższego czasu jestem sobie sterem, żeglarzem i okrętem. Mam tu wszystko poustawiane tak, jak lubię - powiedział Wowbagger. - Jedno naciśnięcie nieodpowiedniego przycisku i możemy się znaleźć na zewnątrz, próbując zajrzeć do środka. Byłoby to dla mnie lekko irytujące, ale dla was znacznie poważniejsze.

- Co to za przycisk, który tak cię denerwuje?

- Od automatu do kawy.

- Że co?

- Dziesięciolecia zajęło mi opracowanie optymalnej pianki.

- Niech to Zarkwon świśnie.

- Nie zarkwoń nadaremno. Mogłabyś być nieco wdzięczniejsza. Właśnie uratowałem wam wszystkim życie.

- Nie prosiłam o to - odparła Random, piorunując Wowbaggera płonącymi oczami spod długiej grzywki.

Wowbagger zaczynał żałować, że zaprosił tych ludzi na pokład, ale w ich statku skok hiperprzestrzenny by ich zabił. Brak osłon, buforów, żyro. Zostaliby utrząśnięci jak groszki w grzechotce podróżującej z niewyobrażalną prędkością bez zapiętych pasów bezpieczeństwa.

- Z przyjemnością stwierdzę, młoda damo, że nie będę już zbyt długo obiektem twojej odrazy.

- Ale ja lubię czuć do ciebie odrazę - słodziutko powiedziała Random.

Uwaga w Przewodniku:

Biorąc pod uwagę natychmiastową i nieracjonalną nienawiść Random Dent do Wowbaggera Nieskończenie Przedłużonego, nieuniknione było, że w końcu zostanie jej ojczymem. Dobrze znany aktor Angus deBeouf, który grał rolę psychiatry w przebojowym serialu Psych-O-Rama przez siedem sezonów, postulował, aby matki odczuwały pociąg do mężczyzn proporcjonalnie do odrazy, jaką do tej samej osoby odczuwają ich nastoletnie dzieci. Choć nie jest wykwalifikowanym psychiatrą pan deBeouf ma cztery mózgi i jedwabiste włosy, więc jego opinia ma znaczącą wagę - zwłaszcza wśród tej części populacji Galaktyki, która popołudniami nosi kapcie.

Lektura dodatkowa:

Jimmy Habrey K.: Szczęśliwy nastolatek - historia zmyślona,

Angus deBeouf: Zaufajcie mi, gram lekarza.

Wowbagger wyjął z wnęki w ścianie maskę na twarz i założył ją sobie na nos.

- Zapomniałem, jacy są ludzie - powiedział i głęboko wciągnął powietrze. - Wykorzystam to doświadczenie. Zaczepnę z niego siłę, aby kontynuować.

- Nie masz nic przeciwko temu, aby powdychać sobie magicznego gazu po tym, jak nas wyrzucisz?

Wowbagger zdjął maskę.

- To nie magiczny gaz, dziwnie ubrana dziewczynko. Butelkuję atmosferę ojczystej planety. Masa dwutlenku węgla i toksycznych substancji, ale mnie uspokaja. - Uśmiechnął się szeroko, aby zademonstrować spokój. - A teraz proszę nic więcej nie dotykać na moim mostku, bo odparuję cię na miejscu, ohydna nastolatko. Za moich czasów młodzi nie odszczekiwali się starszym, inaczej pakowano im łeb do wiadra z muchomorowymi mandarynkami.

- Kiedy to było? Zaraz po Wielkim Wybuchu?

- Jeszcze słowo. Powiedz jeszcze słowo. Mam tu gdzieś muchomorowe mandarynki.

- Ta butelkowana atmosfera nie działa, co?

- Nie - przyznał Wowbagger. - Wręcz boli mnie od niej głowa. A może to ty sprawiasz, że boli mnie głowa.

Random powróciła do sprawdzonego schematu.

- Nienawidzę cię! - zawyła i wybiegła z mostka, prawdopodobnie po to, aby powielić więcej czarnych ubrań.

- Nie przejmuj się zbytnio - powiedziała Trillian, wychodząc szybkim krokiem za córką. - Ona nienawidzi każdego.

Kolejna uwaga w Przewodniku (Nieco zbyt blisko poprzedniej, ale edukacyjna):

Mandarynki muchomorowe to toksyczne meduzy, których macki zawierają truciznę enteogenną. Efekt użądlenia przez mandarynkę jest trojaki. Najpierw odczuwa się ostre, wyraźne ukłucie, następnie rozwija się paskudny czerwony obrzęk, który nieleczonej maścią z ka-ka muchomorowej mandarynki, może się powiększać. Trzecim efektem jest spowodowane zawartymi w truciznie enteogenami uderzenie samoświadomości. Typową reakcją ofiary po użądleniu jest:

Aua. Na Zarkwona, ale boli!

Następnie:

O nie! Popatrz na ten paskudnie czerwony ślad. Wystąpię w konkursie na kostium kąpielowy potem.

Na koniec:

Co? Jestem utajonym mizoginem z problemami z ojcem!

Jeśli ktoś ma alergię na truciznę mandarynki, jedno ukłucie spowoduje całkowitą samoświadomość, prowadząc albo do całkowitej katatonii, albo do kariery w roli superprowadzącego talk-show.

*

Wowbaggerowi udało się zwabić męską część obecnych do stołu konferencyjnego obietnicą Smoczego Łomota, drinka alkoholowego tak fantastycznego, że Pangalaktyczny Gardłogrzmot smakuje przy nim jak woda z zęzy. Argument ten nie robił zbyt wielkiego wrażenia na Zaphodzie, ponieważ w trakcie szczególnie nudnego państwowego rejsu po Morzu Spokojnym Bez Niespodzianek Proszę na planecie Innocuadamis podczas pierwszego roku sprawowania władzy prezydenckiej nabrał nieco zęzowatych nawyków.

Siedzieli przy obsydianowym stole, który przy każdej dosiadającej się osobie galaretowiał i rósł.

- No i co z tym Smoczym Łomotem? - spytał Ford, czesząc palcami gęste błękitne loki. - Lepszy od Pangalaktycznego Gardłogrzmotu? Uwierzę, jeśli obudzę się za tydzień po drugiej stronie Galaktyki bez nerek, z trzema żonami i tatuażem.

Wowbagger ukradkowo się uśmiechnął.

- Panie Prefect, sądzę, że ten się panu spodoba. Jest naprawdę szczególny.

- Mam nadzieję, że niereplikowany. Uznaję tylko oryginały.

- Ależ oczywiście.

Z kambuza przyleciała samonośna taca i elegancko się przemieszczając, każdemu z siedzących przy stole serwowała kryształową szklanę, w jakiej zwykło się podawać whisky.

Zaphod powąchał zawartość.

- Dla mnie pachnie jak woda, partnerze.

- Bo to jest woda - potwierdził Wowbagger. - Czysta megagórska źródłana woda z Magramelu.

- Wielkie rzeczy.

- Zaczekaj, tłusta dupo.

- Nie ma potrzeby. Już obiecałem cię zabić.

Wowbagger dotknął stołu, który zafalował i wyprodukował miskę niedużych, nakrapianych jajek.

- To jajka smoka morskiego. To nowy gatunek małych igliczniowatych, występujących w płytkich tropikalnych równikowych wodach Kakrafoonu.

- Mam zapisywać? - spytał wesoło Ford.

Wowbagger kontynuował.

- Samce mają lęg co dziesięć lat i żyją cztery sekundy. Kiedy umierają, ich esencja, jeśli chcecie, dusza, przenika do wody.

- Jestem niechętnie zainteresowany - stwierdził Zaphod. - Picie duszy. Brzmi cudownie zdeprawowanie.

- Róbcie to co ja - powiedział Wowbagger.

Zielony nieśmiertelny wrzucił do szklanki jajko i czekał, aż podczerwona lampa popieści szkło od spodu. Kilka sekund później jajko zrobiło się przezroczyste i zaczęło być widać wijącego się w nim maleńkiego morskiego smoka.

- Wygląda jak smok, tyle że z morza - powiedział Zaphod z dziecięcym zdumieniem.

Smok przegryzł się przez skorupkę jajka, przez chwilę albo dwie nieporadnie wiosłował w wodzie, po czym przycisnął szponiastą łapę do serca i zaczął wibrować. Z jego serca popłynęła na wszystkie strony chmurka błyskawic, która szybko wypełniła wodę.

- Do dna! - zawołał Wowbagger i jednym haustem połknął zawartość szklanki.

Ford i Zaphod zgodnie zrobili tak samo i natychmiast zostali wyrzuceni z foteli. Zalegli na podłodze, śpiewając w perfekcyjnej harmonii arię Meli-Meli z opery *Katastrofa Hrunarów* Pantheoha. Lewy Mózg zaintonował trzeci głos z pływającego diagnostycznego sześcianu żelowego, unoszącego się w baterii czujników i przewodów.

- Hm... - mruknął Wowbagger. - Ja dostaję tylko zgagi.

Artur postanowił odpuścić sobie Smoczy Łomot.

*

Dwadzieścia minut później Ford i Zaphod siedzieli z powrotem na miejscach, chichocząc do siebie.

- Znakomicie - powiedział Wowbagger i klasnął w dłonie. - Tłusta dupa i jego małpa zostali zabawieni. Możemy przejść do interesów?

Uwaga w Przewodniku:

Uważa się, że zwrot „przejść do interesów” pochodzi z Chalesm, gdzie szpiegostwo przemysłowe było tak zaawansowane, że biznesmeni byli zmuszeni finalizować ważne kontrakty w szwach kopalni jonowych, pod plandekami, poprzebierani, mówiąc kodem przez wokadery. Wszystkie te działania zapobiegawcze powodowały, że żaden z biznesmenów nie miał zielonego pojęcia, jaką właśnie umowę zawiera. Jeden z przedstawicieli związków zawodowych ogłosił na całą planetę, że wszystkim członkom zapewnił emerytury, choć w rzeczywistości zapewnił swojego członka emerytowi. Strajki trwają nadal.

Arturowi wydawało się to nieco skomplikowane.

- Interesów? Jakich interesów? Nie zamierzasz po prostu wyrzucić nas na najbliższym kosmodromie?

- Tylko jeśli mnie zabijecie.

- Nie jesteś nieśmiertelny?

- Nie słuchałeś? Tłusta dupa obiecał mnie zabić.

- Daj spokój - powiedział Zaphod. - Teraz jesteś wredny.

- Jestem Wowbagger Nieskończenie Przedłużony. Bycie wrednym to moje powołanie. Jeszcze się nie domyśliłeś?

Zaphod stał dumnie, na ile się dało, choć lewa część ciała ciągle jeszcze nieco mu podrygiwała.

- Obiecałem cię zabić i tak też uczynię. Czy ktoś poza mną słyszy śpiew?

- Ja nie - odparł Ford, wrzucając smocze jajka do torby. - Nie słyszę nic a nic. Zwłaszcza opery, której tu nie ma.

- Słowo Beeblebroxa znaczy co nieco w Galaktyce, nie ma więc powodu w dalszym ciągu nazywać mnie tłustą dupą.

Wowbagger mrugnął do niego w sposób tak wkurzający, że mógłby ożywić skały.

- Tylko cię motywuję, Beeblebrox. Wyobrażam sobie, że łatwo tracisz koncentrację.

- O tak... - zachichotał Ford.

- Hej!

- Ale to prawda. Pamiętasz tamten dzień z groomopatkiem i wiadrem muszli ciastek? Naprawdę powinieneś wtedy bardziej zajmować się robotą.

- Argument przyjęty. Daj posłuchać jeszcze raz.

Wowbagger z radością spełnił prośbę.

- Tłusta dupa.

- W porządku - powiedział Zaphod. - Jestem gotów. Pozwól mi tylko wycześcić Lewy Mózg z tego, do czego jest podczepiony, i mogę lecieć.

Wowbagger uniósł palec.

- Chcesz powiedzieć, że możemy lecieć?

- O nie - odparł Zaphod, wspinając się na konsolę, aby dotrzeć do Lewego Mózgu. - Bogowie nie lubią gości. Thor porozmawia ze mną, ponieważ przeszliśmy to i owo razem, a on jest głupszy ode mnie. Idę do Asgardu sam.

- Ja też przeszedłem z nim to i owo - stwierdził Artur. - Raz mu się postawiłem i przeżyłem.

- To nie zdarzy się dwa razy - odparł Zaphod. - A bogowie nigdy nie wybaczą, więc zdecydowanie powinieneś pozostać na statku.

- Może weźmiesz Trillian? - spytał Ford. - Jeśli dobrze pamiętam, Thor miał na nią oko.

- Nie! - zdecydowanie odparł Zaphod. - W ostatnich kilku latach Thor miewał dość zmienne nastroje. Trzeba umieć się z nim obchodzić.

Sięgnął do sześcianu migoczącego żelu i z głośnym plaśnięciem wyciągnął z niego Lewy Mózg.

- Jak się czujesz, stary?- spytał, wyciągając czujniki.

- Nieco sennie - odparł Lewy Mózg i gwałtownie zamrugał. - Mam się budzić?

- Obawiam się, że tak. Musimy lecieć.

Wowbagger podał Zaphodowi waflowy komputer.

- Kontaktuj się za pomocą tego. Jest podłączony do sieci ciemnej energii. Zasięg jest w każdym miejscu wszechświata. Spotkamy się, kiedy znajdziesz Thora, i powiedz mu, proszę, że to ja ukradłem mu statek. Może będzie to dla niego bodźcem. Nie każ mi się tylko tropić.

Zaphod wsadził komputer do kieszeni.

- Jasne. Jestem gotów. Potrzeba mi tylko dwóch milionów żetonów kredytowych i znikam.

- Dwóch milionów żetonów kredytowych?

- Pomyślałem sobie, że nie zaszkodzi zapytać.

- Koncentracja, prezydencie Steatopygusie. Koncentracja.

Zaphod wyszczerzył zęby.

- Już jesteś martwy.

- No, teraz mówisz do rzeczy - odparł zielony nieśmiertelny.

ROZDZIAŁ 5

Wszystko może być rzeczywiste. Każda niewyobrażalna rzecz wydarza się gdzieś na osi wymiarów. Dzieją się one miliard razy z tym samym efektem i nikt niczego się nie uczy. Cokolwiek myśli, wyobraża sobie, życzy albo w co wierzy ktokolwiek, już miało to miejsce. Marzenia spełniają się cały czas - nie tylko marzącym.

Pomyśl o czymś szalonym albo jeśli to zbyt wymagające wysiłku - wrzuc do jednego worka przypadkowe przymiotniki i rzeczowniki.

Oburzony morskoczyn? Żaden problem: Niezadowolone Hijiki z Damogranu. Pasma morskiego zielska hijiki, drażnione przez ławice trójpassiastych szczękniokowatych, odsuwających je na bok, aby żerować na delikatnych polipach koralowych, połączyły się w niemożliwą do przeniknięcia barierę, oddzielającą rafę od ryb. Nokautujący efekt był taki, że rafa została wysterylizowana i umarła. Hijiki połączyły się z nią zbyt ciasno, nie mogły się oderwać i wymarły wraz ze zniechęconymi, szczękniokowatymi.

A co z morderczymi kłownami? Zbyt proste. Dodaj warzywną obsesję, wpisz do *Autostopem* i znajdziesz milion rekordów, zaczynając od opowieści o Blingu i Blongu z Cyrku Minimus, dwóch małych kłownach, którzy naraz zakochali się w Gerdzie Zdumiewającej Damie Ogórkowej. Po miesiącach waśni Bling dodał do ciastka z kremem kwasu i rozpuścił brata w trakcie poranka. Gerda należała do niego, był jednak tak zdekoncentrowany poczuciem winy, że pewnego wieczoru omyłkowo zjadł narzeczoną i zadławił się na śmierć pierścieniem zaręczynowym.

Następne? Co powiecie na byłego dwugłowego prezydenta Galaktyki, który za dumpingową cenę kupił od Magrateńczyków małą tropikalną planetę, po czym sprzedał ją bogatym Ziemiom, aby mogli żyć w komforcie po zniszczeniu rodzimej planety?

Jak szalone by to było?

„Tanngrisnir”

Artur leżał na koi i patrzył w niebo, gdzie w chmurze unosiła się Fenchurch, ubrana w te same ciemne dżinsy, kozaki i przemoczony T-shirt, które miała na sobie, kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, nieprzytomną na tylnej kanapie samochodu jej zasnętego brata.

- Czy T-shirt musi być mokry? - spytał komputer.
- Co? Boże, nie! Przepraszam, oczywiście, że nie. Ale ze mnie idiota.
- Tylko staram się być dokładny, tak sędzę. Jeśli chcesz, mogę tę osobę sportretować nago.
- Nie, nie trzeba. Suchy T-shirt jest w porządku. Tamtej nocy padało, więc ja też byłem mokry, jeśli mi to w czymkolwiek pomoże.
- Nie trzeba wyjaśniać - powiedziała wyrenderowana głowa Fenchurch. - Goście często ko-

rzystają z moich realistycznych odwzorowań. Jeśli chciałbyś przejrzeć, mam katalog celebrytów.

- Może kiedy indziej. Mógłbyś pokazać mi Grebulończyków?

- Oczywiście. Szukasz bliskości, Arturze Dencie? Jeśli wejdiesz do kabiny, mogę przeczytać wspomnienia.

- Nie. Chcę ich zobaczyć ze względu na to, jak się właśnie czuję.

- To znaczy?

W uśmiechu Artura było poczucie winy jak u złodzieja, który grasował w ochronce.

- Szczerze mówiąc, nie czuję się zbyt źle. Tęsknię za moją plażą i sądziłem, że utrata Ziemi bardziej mnie poruszy, ale tak się nie stało. Może poczułbym się gorzej, gdybym mógł spojrzeć w twarz tym, którzy są za to odpowiedzialni.

- Mam obraz wysokiej rozdzielczości, systemy głośnikowe z membranami typu „plaster miodu”, supergłębokie postrzeganie 3-D, zainstalowane w małej zdalnie sterowanej kamerze, nie większej od ludzkiej głowy - zwierzył się w zaufaniu komputer. - Nie wspominając o systemie punkt’ n’ton i świergotaczu wow-o-wang. Sprawdźmy, czy sprawię, abyś poczuł się jak kupa.

- Co?

- Twoje słowa, nie moje.

Fenchurch zniknęła i na suficie pojawiła się czerń kosmosu. Artur rozpoznał Układ Słoneczny i planety na eliptycznych orbitach wokół Słońca. Głęboki granat Saturna, Jowisz niczym gigantyczny kamyk z malachitu. Głazy wielkości kontynentów wirowały i podrygiwały w pasie asteroidów za Marsem, z każdym zderzeniem skał potężne grzmoty wstrząsały koją Artura.

- To był statek czy przedstawienie? - spytał Artur nerwowo.

- Dodałam głos - przyznała Fenchurch. - Daj mi nieco *licentia poetica*. Mam wszystkie te głośniki, przestrzeń to próżnia.

Lecieli dalej, przecinając granatowoczarny pusty bezmiar, mijając przelatujące za wizjerami pasma naładowanego elektrycznie gazu międzygwiazdowego. Minęli karłowaty Pluton i polecili do nieco większej planety, całkowicie pokrytej lodem i gładko błyszczącej - z wyjątkiem przypominających blizny po trądziku dziur i szarych industrialnych platform, do których były zakotwiczone statki przybyszy z odległych regionów.

- Grebulończycy - szepnęła Fenchurch. - Szukają, co jeszcze można by monitorować.

Szczegółowość obrazu zadziwiała. Wdać było każdą płytę opancerzenia, każdy skręt przewodu.

Artur wyciągnął rękę, aby dotknąć kadłuba, i cały obraz jakby zanurkował, po czym się powiększył.

- To właśnie jest punkt’ n’ton - powiedziała Fenchurch. - Ostrożnie z tym. Znane są przypadki, że ludzie wymiotowali.

Artur wyjrzał przez iluminator. Czuł się jak Jasio Podglądacz. Widział miękkie kanapy i regały

na książki. Przyjemnie wyglądający humanoidzi przechadzali się po pokrytym dywanem holu, stawali, aby grzecznie ze sobą pogawędzić albo wymienić się czymś, co wyglądało na obrazki dla kolekcjonerów o tematyce astronomicznej.

Nie było to zachowanie, jakiego oczekuje się od niszczycieli światów. Artur przyglądał się, ale żaden z Grebulończyków nie śmiał się maniakalnie ani nie miał zdeformowanego sługusa.

- Wyglądają tak miło... - powiedział Artur, nieco zakłopotany tym, jak łatwo byłoby być do nich podobnym.

Prychnięcie Fenchurch było tak natychmiastowe, że Arturowi zachciało się płakać.

- Zawsze są to ci mili. Patrzysz na sub-eta dzień po tym, jak planeta wyleciała w powietrze, i znajdujesz zigabajty tekstów ludzi z sąsiednich planet, twierdzących, że ci szalejący masowi mordercy zawsze byli grzeczni w trakcie misji handlowych. Że zawsze przysyłali na święta Kocięgo Narodzenia kotki i zazwyczaj trzymali się między sobą.

Artur użył p'n't do zrobienia zbliżenia grebulońskiej kobiety, wokół której zebrało się grono admiratorów.

- Chciałbyś, żebym włożyła jej mokry podkoszulek? - spytała chytrze Fenchurch.

- Popatrz im w oczy.

Komputer posłał przez iluminator promień ciemnej energii.

- Nie najbystrzejsi, prawda? Nie mogę ich przeskanować dalej wstecz niż na pięć cykli orbitowania.

- Dlaczego więc to robią?

- Moooooże ktoś ich podpuścił?

Ruch przesuwanej się z hiperprędkością perspektywy sprawiał, że żołądek Artura robił piruety. Odsunęli się od powierzchni Plutona i minęli - akurat na czas, aby dostrzec tył wielkiego statku, wokół którego tworzyły się błękitne kręgi światła, co świadczyło o tym, że zaraz wejdzie w hiperprzestrzeń. Statek był żółty i niezgrabny i nigdy nie miałyby szansy wystąpić we wrucającym sub-etowym pokazie statków, w którym byli piloci wyścigowi w średnim wieku zawijali maszynami po trasie testowej, rzucając raz za razem wesołe, ksenofobiczne uwagi i twierdząc, że nie rozumieją niektórych przycisków i zegarów. Ten statek był toporny w sposób, w jaki nie są komety.

- Vogoni - powiedział Artur niezaskoczony ani na jotę. - Każdy jeden to palant. Kompletne dupki wołowe.

- Och. Tvoi ludzie.

Artur pozwolił sobie na odruch oburzenia.

- Nie moi. Ta banda zabiła wszystkich moich ludzi.

- Nie do końca.

- Prawie. Zostało nas tylko troje.

- Wkrótce to się zmieni.

- Wkrótce? Co masz na myśli?

- No cóż, nieco poszperałam w ich komputerze. Najwyraźniej Vogoni są w drodze do Ciemnej Mgławicy Soulianis i Rahm, w pościgu za kolonią Ziemi.

- Co? Ziemi? Co to jest ciemna mgławica? Mówiąc takie rzeczy, nie powinnaś puszczać po-nurej muzyki? Możesz ściągnąć z ich komputera szczegóły?

Widoczne na suficie/ekranie wirujące błękitne kręgi nagle zamarły, pobieleły i znikły - wraz ze statkiem Vogonów.

- Za późno - powiedziała Fenchurch. - Nawet moje instrumenty nie mogą hakować przez hiper-przestrzeń.

Artur zwlóknął się z koi, odruchowo zakładając na głowę szkolną czapkę.

- Musimy ich ostrzec. Nie powinniśmy ich ostrzec? Nie powinniśmy lecieć do tej ciemnej mgławicy? Bum-bum-buchch-hhm.

- Nie tęsknisz za swoją plażą?

Komputer wyjął z pamięci Artura wspomnienie „jego” plaży i umieścił je na suficie.

- Bardzo. Każdy dzień był taki sam. Żadnych wybuchających planet, wrzeszczących na mnie ludzi ani ingerujących w moją osobistą przestrzeń obcych. Dlaczego ludzie uważają, że w trakcie zwykłej rozmowy trzeba stykać się nosami? Poza tym na mojej plaży mogłem odbiegać od tematu tak daleko, jak miałem ochotę, i nikt nie próbował ściągnąć mnie do sedna sprawy.

- Więc dlaczego chciałbyś lecieć za Vogonami? Nigdy nie zawodzą. Dlaczego miałbyś doprowadzać się do bólu serca?

- Muszę lecieć, ponieważ większa część mnie tego nie chce. Jakim byłbym Ziemiąninem, gdybym nie chciał ochronić własnego gatunku?

- Żywym. A nie rozbitym na atomy przez głowice termonuklearne Vogonów. Nieco archaiczne, ale spełniają zadanie.

- Musimy zawrócić albo dodać napędowi mocy. Wcisnąć jakiś przycisk przyspieszenia. Co-kolwiek.

- Uspokój się, Arturze Dencie. Wowbagger jedzie tam, gdzie przewiduje jego plan.

- Ale leciał na Ziemię, prawda? Lżyć Ziemi.

- To prawda.

- No to świetnie. Ostatnia kolonia Ziemi zdaje się znajdować gdzieś w tej ciemnej mgławicy. Wowbagger nie może lżyć Ziemi tam?

- To wykonalne. Dobrze bronisz swej sprawy, Arturze Dencie.

Uwaga w Przewodniku:

W całej historii zdolność „dobrego bronienia swojej sprawy” odnosiła generalnie mniej więcej taki sam sukces jak „rozsądne rozważanie spraw” czy „odsuwanie na bok dzielących nas różnic”. Osobnicy używający tej taktyki zazwyczaj chcą dobrze i byliby doskonałymi motywatorami albo przedszkolankami, pod żadnym jednak pozorem nie powinni odgrywać kluczowej roli w przypadkach, gdy stawką jest ludzkie życie. Malapropos uważa, że takie sytuacje jak: „Wiem, że nie zawsze patrzyliśmy sobie w oczy...” mają tendencję popychania negocjacji w kierunku katastrofy, zwłaszcza gdy przedstawiciele antagonistycznego gatunku cierpią na zazdrość narządu kulistego albo uważają cię za protekcyjnego palanta. Skuteczne negocjacje są zawsze prowadzone z pozycji siły, a przynajmniej wiary we własną potęgę. Wparadowanie na spotkanie w wygodnej szacie, pachnąc kadzidłem, z uczciwym zamiarem załagodzenia problemów to - przewrotnie - prosta droga do zabicia wszystkich. Generał Anyar Tsista, uznany księżę negocjacji, twierdził kiedyś, że w trakcie pracy nigdy nie używa zdania, w którym nie ma przynajmniej jednego zazarkwolenia, dwóch ożeż w dupę i kilku pieprzeń. Jego ostatnie oświadczenie zawierało jedno jedyne ożeż w dupę i było wypowiedziane w formie autorytatywnego polecenia do trzewi, które zablokowały się w wyniku zbyt wielu godzin siedzenia przy stole negocjacyjnym. Niestety, z powodu cienkich ścian jelit Golgafrinchamczycy są skłonni do katastrofalnych ruptur jelit, więc końcowa wypowiedź generała Anyara Tsisty go zabiła.

- Masz całkowitą rację - powiedział Artur Dent. - Dobrze bronię mej sprawy. Powiniennem natychmiast przedstawić ją Wowbaggerowi.

- Może jednak nie aż tak klarownie - zaproponował obraz Fenchurch. - Mogłabym zaproponować jedno zarknięcie i kilka pormokabanów?

*

Wowbagger siedział w swoim ulubionym wibrofotelu na mostku, próbując nie rozmawiać o sobie samym. Za koroną pola siłowego statku destrukcja Ziemi sproszkowała Księżyc, tworząc eliptyczną chmurę pyłu, która kierowała się w stronę Wenus.

- Popatrz, Trillinn Astro. Kolejna planeta zginie. Zapytaj mnie o to albo o coś innego. Widziałem mnóstwo cudów.

Trillian nie była w nastroju, w którym chce się być dekoncentrowanym. Pogłębiony profil Wowbaggera sprawiłby, że redaktorzy sub-etowi zaczęliby się ślinić do swoich beztłuszczowych l-o-kalnych lakt-o-laksujących sim-kaw.

- Ludzie chcą cię poznać. Kim jest ten zielony kosmita, który krąży po kosmosie, łącząc wszystkich w kolejności alfabetycznej?

- Nie robię tego już w ten sposób. Kolejność alfabetyczna była zabawna przez jakiś czas, ale potem stałem się jej niewolnikiem. Ludzie spodziewali się moich obelg i zaczęli odwzajemniać przysługę.

Random podniosła głowę znad kartki, na której rysowałaś serię groźnie wyglądających lotufretów.

- Mówiąc: Jesteś żalonym przegrańcem?

- Parafrazując, tak.
- Albo: Nie wiedziałem, że jaszczury noszą garnitury?
- Raz albo dwa razy. Próbuję rozmawiać z twoją matką...
- Albo: Czy tam, skąd pochodzisz, ten zapach jest uważany za przyjemny?

Trillian objęła córkę chwytem, który podejrzenie przypominał podwójnego Nelsona.

- Nie zostawię cię, kochanie. Już nigdy. Nie ma więc powodu do tej wrogości.
- Chciałabym, abys sobie gdzieś poleciała - odparła Random. - Bez ciebie w pobliżu szło mi całkiem niezle.

Trillian udała, że zgrzytnięcie zębami to przepełniony miłością uśmiech, i powróciła do wywiadu.

- A więc porzuciłeś podejście alfabetyczne?
- Tak jest. Teraz pracuję planetami. To znacznie prostsze i nie muszę wysłuchiwać każdego obelg-o-rowca w mieście, próbującego się ze mną zmierzyć. Po prostu wlatuję na orbitę i wrzucam do atmosfery bombę z danymi. Każdy dostaje e-mail i plik głosowy. Uwierz mi: jeśli naciśniesz ten przycisk PLAY, nie będziesz miała żadnych wątpliwości, jakie mam uczucia względem czujących istot.

- To znaczy?
- Są śmiertelne. Gardzę nimi.
- Więc pod całą rezerwą kryje się zwykła wulgarność?
- Co? Sądzisz, że lubię używać wulgarnego języka?
- A nie lubisz?
- No cóż... tak. Niezwykłe, ale to nie jest jedyny powód...

W tym momencie Wowbagger powiedział Trillian coś, czego nie mówił jeszcze nikomu. Może spowodował to niemal hipnotyzujący ton jej lekko chrapliwego głosu, może nadszedł czas, aby to komuś powiedzieć.

- Chcę, aby mnie zabili. Chcę, by spróbowali.

O Boże, pomyślała Trillian. Kości nagraniowa, tylko mnie teraz nie zawieź.

Popatrzyła na zegarek na nadgarstku i z ulgą stwierdziła, że kontrolka rejestracji głosu się pali.

- Niezle oświadczenie.
- Ch... chyba tak - odparł zielony kosmiczny podróżnik.

Uwaga w Przewodniku:

Było to pierwsze zająknięcie się Wowbaggera od wizyty w układzie Kastora, gdzie przekleństwo „j.j.j.jękokopierdziam” nabiera mocy z każdym.

- Sam jestem zdumiony, że to mówię.
- Ja też, panie Wowbagger.
- Sądzę, że już czas, abyś mówiła mi Bowerick.
- Bowerick?
- Tak mam na imię. Ojciec miał poczucie humoru. Bow Wowbagger.
- O tak... - powiedziała Trillian, nagle nieco mniej zaniepokojona magnetofonem.

Wszechświat nie może cierpieć czułych momentów jak ten bardzo długo, a kilka osób rywalizowało ze sobą o to, aby ten akurat podeptać z całą brutalnością. Pierwsza była Random Dent, która potrzebowała chwili, aby nabrać pozy zdegradowanej dyskredytacji, po czym po raz drugi wyszła usztywniona z mostka. Zwycięzcą okazał się jednak jej ojciec, Artur Dent, którego komiczne przybycie elegancko zrównoważyło sacharynową naturę chwili i w ten sposób przywróciło wszechświatowi porządek.

- Jasne, zarkwolcy! - zawołał, wpadając na mostek. Musimy zawrócić to zabalasione wiadro i skierować nasze pormokabańskie tyłki w kierunku Ciemnej Mgławicy Soulianis i Rahm!

- BOM-BOM-BABUMMM! - zajadłował komputer, próbując pomóc, po czym, wywołując ostatni kosmiczny śmiech, dodał:-Nie było to nieco zbyt ostre? Przepraszam wszystkich. A tak poza tym, co to jest pormokaban?

ROZDZIAŁ 6

Planeta Nano

Na dalekich obrzeżach Ciemnej Mgławicy Soulianis i Rahm znajduje się niewielka planetoida, wisząca na jednym ze zwijających się wąsów mgławicy jak ozdoba choinkowa. Ta karłowata planeta, skatalogowana pod numerem MPB-1001001, ignoruje uniwersalne prawo ciężenia, aby utrzymać pozycję obrotową sto pięćdziesiąt milionów kilometrów od powierzchni Rahm. Na tych szczególnych współrzędnych chmury pyłu międzygwiazdowego, wodoru i plazmy mgławicy zostały podzielone strumieniami gazu i polami magnetycznymi, aby odsłonić oazę czystej przestrzeni, niezanieczyszczoną odpadkami i skapaną odżywczym wiatrem słonecznym.

Małej planecie Nano udaje się bronić przed przyciąganiem przez swą gwiazdę głównie dzięki wielkiej masie, składającej się w przeważającej części z supergęstej materii, wydzielanej przez białe dziury, ale także z powodu obracającej się, dynamicznej powłoki, napędzanej przez ponad pięć tysięcy serwomechanicznych pędników. To delikatne pozycjonowanie zapewnia stale umiarkowane warunki pogodowe i zachęca życie do rozwijania się na żyznych przestrzeniach, w lazurach oceanów i dużej ilości fiordów... dużej w sposób dziwny dla planety, która nigdy nie poznała zlodowacenia.

Geografia Nano to marzenie kartografa: pojedynczy pangeaiczny kontynent, rozciągnięty wzdłuż równika, otoczony niezanieczyszczonymi morzami, przepelnionymi rybami, dosłownie czekającymi na złowienie.

Uwaga w Przewodniku:

W tym przypadku pojęcie „dosłownie” nie jest zwykłym przeinaczeniem pojęcia „w przenośni”. Amegliańska główna ryba stalowogrzbietowa wychowuje się wśród opowieści o rajach i drugim końcu żyłki i krepki po fiordach, czekając na ratunek. Niedokładności tych opowieści byłyby oczywiste dla większości w chwili bycia wyciągniętym ze środowiska naturalnego za pomocą haczyka i wrzuconym w całości na skwierzącą od tłuszczu patelnię, ale wiara Stalowych Grzbietów jest tak wielka, że po prostu przetrzepotywiają się przez Dwanaście Psalmów Zbawienia i czekają na pojawienie się obiecanej złotej kuli planktonu.

Zarejestrowaną nazwą tego kontynentu jest Innisfree - od wyspy znajdującej się na jeziorze Lough Gili w irlandzkim hrabstwie Sligo, na niedawno odparowanej Ziemi, gdzie kręcono film *Spokojny człowiek*. Większe z dwóch miast kontynentu nazywa się Cong - od wioski, w której kręcono *Spokojnego człowieka*. Nazwy zostały wybrane przez inspektora rejestracyjnego Nano, niejakiego pana Hillmana Huntera.

Hillman Hunter nie jest szczególnie religijny, ale wierzy w tradycyjny porządek rzeczy, zwłaszcza te jego elementy, które są pomyślane na korzyść przedsiębiorcy. Hillman Hunter wie-

rzy w pieniądzu, a w czasach anarchii bardzo trudno jest je robić. Jak człowiek ma zebrać parę groszy, jeżeli maluczcy nie szanują tych, którzy są ponad nimi, i nie ma Wielkiego Człowieka, który powie, jak się zachowywać? Ludzie potrzebują jakiegoś boga albo czegoś podobnego, by pokazywał im ich miejsce w świecie, a w idealnym przypadku miejsce to powinno być dużo poniżej poziomu Hillmana Huntera.

Uwaga w Przewodniku:

Pogląd, że religia może być użytecznym narzędziem do tego, aby bogaci pozostali bogaci, a biedni nędzarzami, zaczął krążyć tuż u zarania czasów, kiedy dopiero co wyewoluowanemu dwunogiemu żaboludkowi udało się przekonać innych żaboludków w bagnie, że ich losem rządzi wszechmogący Lili Put, który zgodzi się pilnować ich stawu i uchroni go od naćpanego szczupaka tylko wtedy, jeśli co drugi piątek na brzegu złożona zostanie kupka much i niewielkich gadów. Działo to niemal przez dwa lata, aż jeden z zaoferowanych gadów okazał się nieco mniej niż nieżywy i przystąpił do konsumpcji rozżarłocznionego dwunogiego żaboludka, przechodząc następnie do Liii Puta. Społeczność żaboludków świętowała uwolnienie z pęt religii całonocną szaloną imprezą z halucynogennym szczawiem. Niestety, świętowali nieco głośno i zostali zmasakrowani przez naćpanego szczupaka, który z jakiegoś powodu dotychczas nie zauważył ich stawu.

Hillman Hunter doszedł do wniosku, że ten nowy świat powinien posiadać boga do wydawania poleceń, karania grzeszników i oznajmiania, które formy związków małżeńskich są w jego oczach mile widziane, a które są złe i obrzydliwe. Ponieważ Nano zdecydowanie została zrobiona nic przez Boga, a przez budujących planety Magrateńczyków, nie miała mogącego ją rządzić bóstwa, co powodowało w społeczności trwanie (niezbyt intensywnej, ale zawsze) debaty. Naturalna kolej rzeczy rozpadała się i wszelkie rodzaje ludzi zaczynały uważać się za równych tym, którzy są równi w sposób oczywisty, a przecież religia wcale o tym nie jest. Hillman postanowił, że do odtworzenia kolejności dziobania potrzebny jest rezydujący bóg, więc tego szczególnego czwartku, w niewielkiej sali konferencyjnej obok miejskiego ratusza, prowadził rekrutację na tę pozycję.

Miasto Cong, Innisfree, Nano

Olbrzymi antropoid siedział niewygodnie na biurowym krzeselku sali konferencyjnej, wciskając groteskowy, łuskowaty tors w maleńki mebel. Z brody, niczym uciekające ślimaki, zwisały mu macki, a twarde czarne ślepia migotały w głębi papkowatej mordy.

Hillman Hunter przerzucił kartki z życiorysem stwora.

- A więc pan... Cthulhu?

- Hm - odparł stwór.

- Świetnie - stwierdził Hillman. - Nieco niewymowności, lubię to w bóstwach. Mimo to wywiad nie pójdzie w głąb, jeśli nie wydobędziemy z pana kilku faktów, co, panie Cthulhu?

Cthulhu wzruszył ramionami i zamarzył o wielu dniach bezsensownego ludobójstwa.

- Nieważne, zaczynamy przedstawienie - powiedział radośnie Hillman. - Albo, jak zwykła mawiać moja Nano, wrzucmy parujące sterty na łopaty, co odnosiło się do czyszczenia podjazdu z tego, co pozostawiały krowy po przepędzeniu stada. Tak wszystko się zaczęło, panie Cthulhu, od sprzedaży ludziom suszonych krowich brykietów do palenia w piecu. I proszę na mnie teraz popatrzeć, panie dzieju: kieruję planetą!

Hillman się roześmiał, wydając z siebie odgłos nagle uruchamianej zardzewiałej maszyny.

- Przepraszam, panie Cthulhu. W starym kraju paliłem jak lokomotywa i nie miałem chwili, aby zgłosić się po nowe płuca. Dowodzenie tym tłumem skretyniałych bezmózgów kompletnie mnie wykańcza. - Powiódł palcami po życiorysie Cthulhu. - Popatrzmy... Co my tu mamy? Ze świętością jakiego kalibru mamy do czynienia? Ach... widzę, że dzięki Lovecraftowi był pan wiele stuleci temu w ludzkich umysłach. Niewiele od tamtego czasu?

- No cóż, sam pan wie - powiedział Cthulhu głosem przepełnionym mięsem i metalem. - Nauka i tak dalej. Położyła kres boskiemu interesowi. - Kiedy mówił, z macek skapywał mu żel. - Przez jakiś czas krążyłem po Azji Mniejszej, próbując wywołać nieco strachu. Ludzie mają jednak penicylinę, a nawet biedacy lekturę. Po co im bogowie?

Hillman skinął głową.

- Ma pan całkowitą rację. Jakże pełną. Ludzie uważają, że są za dobrzy na bogów. Zbyt cwani. Ale nie tutaj, na Nano. Jesteśmy ostatnim bastionem Ziemi i nie zostaniemy zniszczeni, dlatego że wygoniliśmy naszego obrońcę. - Po tym zadęciu pulchne policzki Hillmana płonęły dumną czerwienią. - Następne pytanie. Nasz ostatni bóg był w typie „mniej znaczy więcej”. Przysłał nam syna, ale sam niezbyt często się pokazywał. Sądzę, z całym dla niego szacunkiem, że to był błąd. Uważam szczerze, że gdybyśmy go poprosili, przyłożyłby do wszystkiego własną rękę. Pytam więc pana: zamierza pan być bogiem działającym bezpośrednio czy nieobecny właścicielem?

Cthulhu był przygotowany do pytania - minionej nocy ćwiczył odpowiedź na nie z Hasturem Niewypowiedzianym.

- No, działającym bezpośrednio, oczywiście - odparł, pochylając się do przodu, aby, jak poradził mu Hastur, nawiązać bezpośredni kontakt wzrokowy. - Dni ślepej wiary minęły. Ludzie muszą wiedzieć, kto rzuca plagę na ich zasiewy albo żąda ofiary z dziewic. Teraz odwrócę wzrok, ale tylko dlatego, że przedłużony kontakt wzrokowy doprowadziłby pana do szaleństwa.

Hillman otrząsnął się z nagłego odrętwienia.

- Świetnie. Dobrze. Znakomite spojrzenie, panie Cthulhu. Niezła broń w arsenale.

Cthulhu przyjął komplement machnięciem wielkiej macki.

- No to kontynuujmy, dobrze? Jaka pozycję zajmuje pan w sporze na temat ryby Babel? Dowody są nie do pogodzenia z pojęciem wiary i tak dalej.

- Moi poddani będą mieli dowody i wiarę - zacharczał z podnieceniem Cthulhu. - Zobowiązę

ich do niewolnictwa, a słabych zadcpczę.

- Chyba podrażniłem czuły punkt. - Hillman zachichotał. - Znowu uważam, że podąża pan prawidłowym torem, ale może zechciałby pan nieco odpuścić w zakresie niewolnictwa i zadcptywania. Mamy u nas mnóstwo słabych ludzi, ale mocno wspomagają Kościół, niezależnie od tego, za jakim się ostatecznie opowiemy. Pieniądze budują świątynie albo, jak mawiała moja Nano, wiele minisi robi maksia.

- Minisi? - spytał zdezorientowany Cthulhu, a namotanie w głowie Wielkiemu Przedwiecznemu nie jest łatwe.

Hillman podrapał się po brodzie.

- Jeśli o to chodzi, nigdy nie wiedziałem, czym jest minisi albo maks. Potrzeba jednak wielu z jednego, aby powstało drugie, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

- Hm - stwierdził Cthulhu.

- Rozumiem. Standardowy stary tekst. Zakładając, że pańska aplikacja zostanie pozytywnie rozpatrzona, gdzie widzi się pan za pięć lat?

Cthulhu się rozpromienił. Dzięki, Hasturze, nadał w przestrzeń.

- W pięć lat zrównam tę planetę z ziemią, zjem wszystkie młode i na mą cześć ułożę wasze czaszki w wysokie stosy. - Opadł na oparcie, zadowolony co niemiara. Związłe i informatywne, odpowiedź jak z podręcznika.

Z ust Hillmana wyparsknęło plwociniaste kasznięcie.

- Układanie czaszek w stosy! No, no, no, panie Cthulhu. Naprawdę? Sądzi pan, że obecnie bogowie robią takie rzeczy? Mamy czasy międzygwiazdne. Podróże w przestrzeni, wyprawy w czasie. Tym, czego potrzebujemy na Nano, jest coś, co lubię określać mianem Boga starotestamentowego. Surowego, oczywiście. Mściwego, jak najbardziej. Ale masowe zjadanie młodych? Te dni odeszły.

- Widać, jak mało wiesz - mruknął Cthulhu i skrzyżował nogi.

Hillman stuknął palcem w życiorys.

- Coś tu podkreśliłem. Pod „stan obecny” zostało napisane: „martwy, ale śniący”. Mógłby pan to bliżej wyjaśnić? Jest pan martwy?

- Można by powiedzieć, że tak - przyznał sączący się antropoid.

- Nie wygląda pan na martwego.

- To prawda, ale ta drobna forma to nie ja. - Cthulhu zaczął dźgać paluchem swe ciało, jakby nie nawykł do sposobu, w jaki działa. - To mój sen o mnie, ucieleśniony przez ciemne i straszliwe siły. Noszą tę formę, aż moje prawdziwe ja zostanie z powrotem wezwane do pracy. Moje prawdziwe ja jest nieco większe.

- Przepraszam, że się czepiam, ale jest pan martwy?

- Na chwilę. Tak. Musiałbym potaknąć.

- Ale bogowie nie mogą umrzeć. W tym sedno.

Cthulhu żałował, że nie ma z nim Hastura. Zawsze był szybki w ripostach.

- No cóż... to prawda, ale podejrzewam, że technicznie, rzecz biorąc, podkreślam słowo „technicznie”, tak naprawdę nie jestem bogiem. Jestem Wielkim Przedwiecznym. Minibogiem, można by powiedzieć.

Hillman zamknął teczkę.

- Aha. Rozumiem.

- To mniej lub bardziej to samo - powiedział Cthulhu. - Robię to samo: ukazuję się, zapładniam, co chcecie. Mam karnety do łóż w Asgardzie i na Olimpie. Złote.

- To wszystko dobrze i pięknie, ale...

- Proszę się nie przejmować - powiedział z niesmakiem Cthulhu, rozpryskując żel na biurko. - Wszyscy ludzie jesteście tacy sami. Nie dajecie szansy małuczki.

- To nie tak, proszę pana. Nie mam nic przeciwko takim jak pan, ale ogłoszenie mówiło wyraźnie: bóg klasy A. Jestem pewien, że umie pan mnóstwo rzeczy, ale szukamy kogoś solidnego. Kogoś, kto siedzi w branży od dawna. A na pewno nie kogoś, kto może umrzeć.

Cthulhu wstał z krzesła. Trząśnięcie się z wściekłości.

- Rozwalę ci czachę na pół! Rzucę na twój kraj plagę! - Nie było jednak na niego zapotrzebowania i zanikał. - Oderwę ci głowę od ciała i wypiję ci...

Zniknął, nie dokończywszy zdania, zostawiając za sobą zapach portu podczas odpływu.

Co mi wypije? - zastanawiał się Hillman Hunter, pisząc świecącym flamastrem słowa BEZ ODDZWANIANIA na okładce teczki Cthulhu.

Prawdopodobnie krew. Miejmy nadzieję, że nie płyn mózgowo-rdzeniowy.

Opadł na oparcie krzesła i włączył masażer pleców. Hillman był pozytywnie nastawiony do świata, zawsze starał się dostrzec jego jasną stronę, ale polowanie na boga robiło się przygnębiające. Nikt z osobników, z którymi rozmawiał, nie spełniał normy. Excello, bóg robotów. Vladirski, władca wampirów. Hekate miała kilka użytecznych umiejętności, ale była kobietą. Bogini Nano? Ni cholery niemożliwe.

A jakby polowanie na boga nie było wystarczająco kłopotliwe, musiał zajmować się konfliktami z sąsiednią kolonią Zabijać ludzi za ser - słyszano kiedyś coś bardziej obłądnego? Kęs cheddaru jest super na kawałku chrupkiego chleba, ale raczej niewart umierania. Do tego dochodziły problemy z personelem, który przyskał z miasta całymi grupami. W niektóre dni Hillman Hunter czuł się tak, że najchętniej zostałby w łóżku.

- Wszystko, czego potrzebujesz, to miła filiżanka herbaty i kilka herbatników - powiedział Hillman piskliwą parodią głosu babci, co robił często, aby się domotywować. - Wtedy świetnie się poczujesz.

Już sama myśl o herbacie sprawiła, że poczuł się lepiej. Czym byłby Irlandczyk bez herbaty?

- Podnieś tylną część, Hillman - powiedział tonem Nano. - Ci ludzie cię potrzebują.

To prawda. Osadnicy potrzebowali go, zwłaszcza po porwaniu Jeana Claude'a. Nano potrzebowała prawdziwego, żywego boga, który wpiorunowałby w mieszkańców nieco dyscypliny. Jak jednak ściągnąć boga klasy A do niemodnego końca Zachodniej Spirali Ciemnej Mgławicy Solianis i Rahm? Konieczne było stworzenie mocnego jak cholera pakietu korzyści - to było pewne.

Hillman, ot tak, na wszelki wypadek, zapisał sub-etowy adres Cthulhu.

Uwaga w Przewodniku:

Bogowie zaczęli istnieć kilka milionowych sekundy po Wielkim Wybuchu, co oznacza, że nie oni stworzyli wszechświat, a wszechświat ich. Jest to bolesny temat w panteonach świętych, całkowicie niedopuszczalny przy stole. Jeżeli dziennikarz ma czelność go poruszyć, może stać się obiektem przedziwnych i niezwykłych kar. Większość bogów żyła tak długo, że zebrali całe biblioteki dotyczące przedziwnych i niezwykłych sposobów udzielania kar. Ledwie dziesięć tysięcy lat temu na Olimpie odbywały się poświęcone temu szkolenia w formie seminariów. Zostały przerwane po tym, jak rosnąca liczba pomniejszych bóstw zaczęła traktować spotkania jako pretekst do chlania i cudzołóstwa, co spowodowało wysyp nowych hybrydowych bóstewek bez mitologii, w których mogłyby zamieszkać. W ramach cyklu seminariów na cześć sławnego pomysłu Lokiego zamienienia pewnego seksoholika w rybę kolczastą, która zatrułaby wszystko, co spróbowałaby objąć, przyznawana była doroczna nagroda w kształcie Kolczastej Ryby Jeżokształtnej. Wśród bardziej znanych przyznanych Kolczusiów była dana Hajmdalowi za to, że w napadzie złości zamienił bandę zawyżających mu rachunek budowlańców w mur, którego nie chcieli skończyć. Inna powędrowała do Dionizosa za ukaranie Sir Smooga Nowtalla, aktora z Blagulon Kappy, wykonującego monodram Grając do Bogów, lekko krytykujący materię poruszanego tematu. Dionizos, którego domeną był teatr, był liberalnym gościem i pozwoliłby grać monodram dalej, gdyby nie scena, w której opisano go jako nadętego, balującego bez przerwy głupca. Scena oraz pozytywne recenzje, jakie zbierała, tak rozwścieczyły Dionizosa, że skazał Nowtalla na wieczność w roli tylnej części osła w pantomimie, granego przez przebranych ludzi, przy czym przed nosem miał głowy dwóch swoich najbardziej zażartych krytyków, recytujących bez ustanku najbardziej żrące krytyki. Klasyka.

Bogom przez miliony lat żyło się bosko - zapychali po niebie w rydwanach, pojawiali się równocześnie w tych samych miejscach, mądrzyli się i tak dalej, potem jednak nauka rozwinęła się do poziomu pozwalającego powtarzać różne ich sztuczki. Poślanie zarazy na zasiewy przestało być tak wielką sprawą jak kiedyś. Cały czas miały miejsce niepokalane poczęcia - tak naprawdę wiele społeczeństw preferowało niepokalane poczęcia, gdyż likwidowały one potrzebę istnienia „przyszywanych” członków rodziny, a rodzice zostali uwolnieni od wyobrażeń, jakie ich dzieci robią świństwa z obcymi ludźmi. Ostatnia deska ratunku dla rodzaju boskiego pojawiła się, kiedy Fenrir, gigantyczny syn Lokiego, spróbował wyrzucić wrażenie na swej malejącej trzódce, kierując swój cykl przestrzenny w białą dziurę. Po skoku ocalał tylko jeden z zębów trzonowych Fenrira, który został jarzącą się asteroidą okrążającą Sagar 7, i mógł tylko oddziaływać na pływy morskie i przekazywać niejasne komunikaty jasnowidzom. Bogowie byli

przerażeni (wszyscy poza Odysem, przepowiedziane bowiem zostało, że Fenrir pożre go w czasie Ragnaröku, mógł więc się nieco pochichrać ukradkiem) i powracali do rodzimych światów, przysięgając nigdy więcej nie zadawać się ze śmiertelnymi (hasło brzmiało właściwie: „Pieprzyć śmiertelnych”, nie brzmi ono jednak tak bosko jak zdanie zawierające słowa „przysięgać nigdy” i „nie zadawać się”). Azowie tak poważnie podchodzili do tej przysięgi, że otoczyli swój świat - Asgard - lodową powłoką, pozostawiając jeden punkt dostępu: tęczyowy most Bifröst, strzeżony przez wszechwidzącego boga Hajmdala.

Goście nie byli mile widziani.

Tak naprawdę goście byli aktywnie zniechęceni do próby przejścia przez most przez żarłoczne mięsożerne smoki, wysysające dusze syrenie demony oraz tak zwany flyting, czyli dziwną nordycką metodę słownego obrażania kogoś, skupiającą się na jego genitaliach i pochodzeniu.

Bogowie nie chcieli mieć do czynienia ze śmiertelnymi. W szczególności z dziennikarzami śledczymi, a w jeszcze większej szczególności ze świętymi, szukającymi jakiejś niebiańskiej nagrody. Najbardziej niemile widzianą osobą w Asgardzie był jednak prezydent Galaktyki Zaphod Beeblebrox, a każdemu ze smoków dano do powąchania jedną z jego starych koszul.

„Serce ze złota”

„Serce ze złota” leciało przez wielokolorową i różnotekstурową przestrzeń każdego miejsca we wszechświecie. Przy włączonym napędzie nieskończonego nieprawdopodobieństwa statek stawał się częścią kosmosu - do chwili, aż współrzędne wpadały w zapadki i wystrzeliwały maszynę w miejscu przeznaczenia z międzygwiazdowym podróznym ekwiwalentem okrzyku *dadamm!*, doprowadzając do nerwowego dygotu osobę parkującą na miejscu obok. Do tego jednak momentu wydarzyć mogło się wszystko, zwłaszcza wszystko wysoce nieprawdopodobne, co oczywiście czyniło sprawę prawdopodobną, co z kolei czyniło ją nieprawdopodobną i tak dalej *ad mortem defecatum*.

Większość ludzi woli w trakcie lotów nieprawdopodobieństwa zamykać oczy i w ten sposób ochraniać psychikę przed wydarzającymi się wokół niemożliwościami, ale Zaphod często przyklejał sobie powieki tak, by nie móc ich zamknąć - wtedy nie tracił żadnego szczegółu.

Podczas podróży do Asgardu Dionah Carlinton-Housney, jedna z ulubionych piosenkarek/prostytutek Zaphoda, przebiła się z życia po życiu, aby histerycznym falsetem śpiewać najprawdopodobniej prorocze wersy.

- O-o, Zaphodzie, mały, piącha walnie jak tur.

Hej, pomyślał Zaphod. Moje imię w piosence. Wrucajnie.

- Zaphodzie mały mój... - śpiewała Dionah - ...wespniez się na ten mur!

Zaphod spróbował klaskać do rytmu, ale jego dłonie były oddalone od siebie o kilometry, ramiona rozciągały się daleko na boki w przestrzeń.

- Wyglądasz świetnie, Dionah. Naprawdę rewelacyjnie. Żadnych śladów rozkładu ani nic

w tym stylu. Zawsze miałem nadzieję, że życie po życiu właśnie tak będzie wyglądać.

Dionah położyła trzy dłonie na biodrach, czwartą trzymała stojak mikrofonu.

- Nie słuchasz mnie, panie prezydencie.

- Nic chcę słuchać. Chcę pytać. Masz tam, gdzie jesteś, dużo kanałów sub-eta? Uwielbiam *Śledź Celebrytę*. Macie to?

Dionah machnięciem dłoni zbyła ten kierunek rozmowy i kontynuowała piosenkę.

- *Zaphodzie, dzieeecino... przejdiesz przez most.*

- A co z alkoholem?

- *Powiesz mu imię jego tajne, Zaaaphodzie mały, i do środka wpuści cięęę...*

- Niech będzie. Mosty, co mi tam, ale pytam poważnie: robiłaś coś ze sobą, bo chyba lepiej wyglądasz?

Oczy Dionah zapłonęły.

- Twój dziadek mówił, żebym nie przychodziła. „Ten chłopak to idiota”, powiedział. „Nie posłucha cię, nigdy nikogo nie słucha”.

- To było zagadkowe - odparł Zaphod. - Wszelkie tajne kody są trudne.

- Zagadkowe?! To była idiotyczna rymowanka. Każdy debil by się domyślił, o co chodzi.

Zaphod zmarszczył czoło.

- Coś z murem i mostem.

- I tajne imię. Dawaj, prezydencie. To ważne.

- Nie było czegoś o pięści? Lubię kawałki z pięściami, zwłaszcza gdy kciuk wystaje. Widziałem kiedyś komiks, w którym taki głupol wsadził sobie kciuk w oko i...

- Na miłość zarkwońską! - zawołała Dionah i zamieniła się w przedstawiającą ją lodową rzeźbę, która zaczęła się roztopiać, kapiąc w górę, ku sufitowi. Każda kropla, która go dotykała, eksplodowała z dzwoniącym OCH.

- Dziewczyna zawsze umiała śpiewać - mruknął Zaphod, po czym opadł na fotel i zaczął czekać, aż prawdopodobieństwo wróci do siebie.

Postrzegł dwie nowe barwy, które jego mózg umiał opisać jedynie jako: „niebezpieczne i zmienne”, a w ścianach statku zaczęły się pojawiać poszarpane wcięcia, jakby „Serce ze Złota” było taranowane przez kolosalnego, pokrytego kolcami stwora.

- Rany! - zawył Zaphod, kiedy spomiędzy nóg wystrzelił mu kolec. - Jak szybko osiągniemy normalność, Lewy Mózgu?

Lewy Mózg wyskoczył ze stojącej na głównej konsoli butli z żelem.

- Kto wie? W takim środowisku jak to? - powiedział, a z jego beztarciowej kuli skapywały grube krople żelu. - W aktualnym czasie za pięć sekund, ale niekoniecznie w tej kolejności ani re-

gularności, do jakiej jesteście przyzwyczajeni.

*

Normalność powróciła z rzeniem małych kucyków i procesją animowanych, zawodzących szkieletów, sunących przez mostek.

- *Gdy patrzę w twoje oczy/Krzyczeć mi się chce* - zawodziły. - *Gdy ty tak samo robisz/Też sobie powyc chcesz?*³.

Kucyki i szkielety zniknęły i mostek zrobił się normalny jak zwykle (uwzględnić należy przy tym fakt, że nawigatorem statku była oddzielona od tułowia głowa kapitana).

- Lewy Mózgu, osiągnęliśmy normalność? - spytał Zaphod.

Lewy Mózg zeskanował kabinę wokół siebie, łapiąc kontakt z licznymi czujnikami podcierwieni, pomontowanymi w instrumentach.

- Potwierdzam. Napęd nieprawdopodobieństwa zredukował się i jesteśmy w rzeczywistej przestrzeni.

- Doskonale - odparł Zaphod, odpinając pasy. - Czasami mam problem z odróżnieniem, co jest, a co nie jest rzeczywiste.

Skoczył na nogi i począł do obiegającego całe pomieszczenie ekranu, stukając obcasami srebrnych butów o ceramiczny podłogę.

- W porządku. Więc co tu mamy? Planetę pokrytą lodem. Nie tego dokładnie oczekiwałem. Choć raczej oczekiwałem oglądać to od środka. Dlaczego jesteśmy po zewnętrznej stronie barier, Lewy Mózgu? Dlaczego?

Lewy Mózg zmrużył jedno oko - zawsze tak robił, gdy analizował dane.

- Od naszej ostatniej wizyty Azowie zainstalowali nową tarczę.

Zaphod zaboksował powietrze niczym sfrustrowany filozof, próbujący wmusić w umysł pragmatyka koncepcję egzystencjalistyczną.

- Ci przebiegli nieśmiertelni z bródkami i w hełmach z rogami... zdawało mi się, że tarcze nie działają na napęd nieprawdopodobieństwa.

Lewy Mózg wisiał przez chwilę niemy, wykonując miliony obliczeń na sekundę, szlifując składnię, odrzucając zbędne ozdoby językowe, aż doszedł do:

- Zdawało ci się? Nie rozśmieszaj mnie.

Zaphod wykonał poroniony kopniak obrotowy du-bart'ah, mijając unoszącą się w powietrzu kulę o metr z kawałkiem i doprowadzając ścięno pachwiny do skrzypcowego zaśpiewu.

Uwaga w Przewodniku:

Kopniak prezydenta Beeblebroxa był poroniony z wykonania, gdyż prastara sztuka du-bart'ah została stworzona przez Szaltanaków z Glutora Dzieciuchora Trzynaście, którzy byli

całkiem szczęśliwą i pokojową rasą. Kopniak obrotowy służył do strącania cmyknogód z krzaka z minimalną ingerencją w sam krzew. Jakakolwiek próba wykorzystania du-bart'ah do celów agresywnych aktywowała wypracowywane za pomocą treningowych przyśpiwek podprogowe warunkowanie, kierując ciało atakującego przeciw niemu samemu. Zaphod nie wiedział o tym, nauczył się bowiem techniki z hologramu, umieszczonego na tylnej ściance pudełka MaryloNuggetów.

- Naprawdę, Zaphodzie - powiedział Lewy Mózg, unosząc się na bezpieczną wysokość. - Musimy dokończyć zadanie; nie ma czasu na twoje zwykłe błahe durnoty.

- Na durnoty czas jest zawsze - jęknął Zaphod, owinięty w pozycji embrionalnej wokół nogi krzesła. - Durnoty pozwalają mi wstać rano z łóżka.

Lewy Mózg wiedział, że to prawda, nigdy jednak nie pojął dlaczego.

- Dlatego tu jesteśmy, Zaphodzie? Abyś miał coś do roboty?

Zaphod delikatnie pomasaował ścięgno.

- Jestem Zaphodem Beeblebroxem, Lewy Mózgu, i wpadnięcie w gigantolbrzymie antyapogeum to dla mnie jedynie sprawa czasu. Zamierzam to odwlekać w nieskończoność.

Lewy Mózg odkręcił sobie oko.

- Nie sądzę, aby mogło się to stać problemem. Nie przy tej ilości broni skierowanej na nas.

- Znakomicie - oświadczył Zaphod; nadwyreżone ścięgno zostało zapomniane. - Wygląda na to, że wieki minęły od czasu, gdy mieliśmy do czynienia z nieprawdopodobnie przeważającą siłą, bez logicznej szansy na przeżycie.

- Zbył mało - oświadczył Lewy Mózg i przełączył przychodzącą rozmowę na główny ekran.

*

- Nie - empatycznie powiedział Hajmdal, Drzewo Świata.

- Ale ja nie...

- Nie! - powtórzył Hajmdal, którego wielka łysa głowa wypełniała ekran, a oczy kipiały na czerwono niczym gazowe giganty.

Zaphod spróbował ponownie.

- Nawet nie wiesz, czego...

- Nie. Nie. Nie. Nie interesuje mnie, o co chodzi, Beeblebrox. Odpowiedź brzmi: NIE. Teraz odnieprawdopodobnij się gdzie indziej, zanim spuszczę na ciebie smoki.

- Tylko mnie wysłuchaj.

- Nic z tego.

- Pięć sekund, w czym to zaszkoździ?

- Nie. Jakiegokolwiek zadasz mi pytanie, odpowiedź będzie brzmiała: nie.
 - Thor jest w domu? - szybko wyrzucił z siebie Zaphod.
 - Nie, do jasnej cholery, nie ma go! - ryknął Hajmdal. Szpice jego woskowanych wąsów gwałtownie zadrgały.
 - Naprawdę?
- Asgardzki bóg wyszczerzył zęby.
- Właściwie to tak. Tak, jest w domu. Jesteś przecież w zasranym Asgardzie?
 - Jest! Mógłbym...
 - Nie. Wracamy do zaprzeczeń, mój przyjacielu. A mówiąc: „mój przyjacielu”, mam na myśli: „znenawidzony wrogu, którego chciałbym oglądać poćwiartowanego i posypanego solą”.
 - Daj spokój, Hajmdal. Zapomnij o wszystkich nieporozumieniach i ponegocjujmy odrobinę. To ważne.

Policzki Hajmdala były tak czerwone, że należało się obawiać eksplozji jego głowy.

- O nieporozumieniach? Nieporozumie... niech mnie Zarkwon trzaśnie. Masz nerwy, zasronie-wiarku. Masz dość żółci na wiadro kamieni żółciowych.

Uwaga w Przewodniku:

Kamienie żółciowe - lekkie szare kamienie, występujące na Damogranie. Bardzo zuchwałe.

- Dlaczego nie pozostawić przeszłości za sobą gdzie jej miejsce, nie zacząć od nowa? Możemy tak zrobić, prawda? Obaj jesteśmy rozsądni i dorośli.

- Jesteśmy, ale powinieneś zobaczyć Thora. Po tym, co mu zrobiłeś, jest workiem nerwów z hełmem na czubku.

- Dlatego chcę z chłopakiem pogadać. Wyjaśnić.

Hajmdal przez chwilę wykonywał ćwiczenia oddechowe - dmuchał w palce dłoni, którą machał sobie przed twarzą.

- Wyjaśnić? - powiedział w końcu. - Chcesz wyjaśnić?

- Tak, więcej nie chcę niczego od was, wspaniałych bogów - powiedział Zaphod tonem, który sprawiłby, że Sysopełzacz z Sykofantazji sięgnęliby po torebki na wymioty. - Okazji do wyjaśnienia, prawdopodobnie też rekompensaty za me uprzednie błędy.

- Rekompensaty, he? Sądzę, że niejedno powinieneś zrekompensować.

- Właśnie. Oczywiście. Żałuję i zasłużyłem na pokutę.

- Wiem, co tu robisz - stwierdził Hajmdal, szczerząc zęby. - Próbujesz gnieść mój boski guzik. Kogo chcesz ogłupić?

- Mówię poważnie. Popatrz na mą twarz.

Hajmdal przysunął się bliżej, aż wypełnił cały ekran. Jego pozy mogły przebić się przez tłuszcz kłamstw zwykłego człowieka i znaleźć pod nim kość prawdy.

- Doskonale, Zaphodzie Beebledrani. Wyjdź, to pogadamy o rekompensatach.

- Wyjść? Na zewnątrz? W kosmos? Nie będzie tam zimno?

- Nie bój się, śmiertelny. Rozszerzę dla ciebie pęcherz atmosfery.

- Więc mam tylko wyjść na zewnątrz?

- Wychodź, Zaphodzie. Sam. Masz minutę na podjęcie decyzji.

Lewy Mózg unosił się przy ramieniu Zaphoda.

- Sądzę, że prawdopodobnie powinieneś iść. Nie martw się o mnie. W statku nic złego mi się nie przydarzy. Pęcherz atmosfery na pewno nie pęknie.

- Możesz to sprawdzić?

Lewy Mózg zmrugał na chwilę oczy, po czym, kiedy wewnątrz jego kopuły mignęła błyskawica, spazmatycznie drgnął.

- Wygląda na to, że asgardzki komputer nie dzieli się informacjami. - Maleńkie automatyczne pająki stukają nóżkami o szkło, dziobiąc ślady osmalenia. - Z całej planety nie wycieka ani jedna linia komunikacyjna. Jeśli wyjdiesz na zewnątrz, będziesz pozostawiony całkowicie sam sobie.

Zaphod westchnął i obciągnął płaszcz.

- Tacy jak ja, Lewy Mózgu, ci naprawdę wielcy... zawsze jesteśmy pozostawieni sami sobie.

Lewy Mózg skinął.

- To było dobre, ale nie miałem gotowego oświetlenia. Daj mi sekundę i spróbuj jeszcze raz.

- W porządku. Daj ciepłą barwę. Nie bezpośrednio nad głową. Moje włosy wyglądają w takim świetle na cienkie.

Lewy Mózg połączył się z oświetleniem statku i dał na twarz Zaphoda żółty punktowiec.

- Gotów?

- Jak określiłbyś moją motywację?

- Wielkość. Czysta, nierozcieńczona wielkość.

Zaphod z powagą skinął głową, przyjmując prawdę tego stwierdzenia. Złożył palce dłoni w namiocik i zaczął powoli mówić.

- Ludzie jak ja... - zaczął, po czym Lewy Mózg otworzył rurę i wystrzelił go w kosmos.

Uwaga w Przewodniku:

W hierarchii świętych dynastii Azowie, bogowie Asgardu, nie są największymi nibynóżkami

na korzenionózkach Wielbieni na niecałym tysiącu światów, mogą być uczciwie zaklasyfikowani jako bogowie średniego poziomu. Zeus, ojciec rywalizujących Olimpijczyków, często twierdził publicznie, że „wyciągał sobie z pępka kłębki brudu większe od Asgardu”, jest jednak bardziej niż prawdopodobne, że to po prostu próba nasilenia legendarnej planetarnej zazdrości Odyna. Odyn i Zeus od tysięcy lat mają na pieńku, a konkretnie od czasu, gdy Zeus w trakcie jednej ze swoich wizyt na Ziemi w celu przybrania ludzkiej postaci i rozsiania nieco nasienia przypadkowo zamienił Odyna w dzikiego odyńca. Choć bogowie Asgardu nie osiągnęli tego samego poziomu penetracji co Olimpijczycy, czy nawet niektórzy z nowych bogów, takich jak Pasta Fasta, który zaczął karierę jako ikona sieci restauracji, uzyskali znaczenie dzięki temu, co wnieśli do kultury popularnej - szczególną rolę gra róg, którego używają do dekorowania ceremonialnych hełmów, tworzenia muzyki i - co najważniejsze - wlewania do niego piwa. Naukowcy wysunęli postulat, że bez powiedzenia: „masz ochotę na róg piwa?”, mającego trwale miejsce w ich słowniku, szereg światów nigdy nie wyszłoby z kataklizmicznej fazy wojny planetarnej.

Hajmdal, Drzewo Świata, pozwolił Zaphodowi szarpać się w atramentowej otchłani przez dwadzieścia dziewięć sekund, po czym rzucił ku niemu atmosferyczne jo-jo i ściągnął go w bezpieczne miejsce. W ciągu dwudziestu dziewięciu sekund Zaphod Beeblebrox był zmuszony myśleć wewnątrz swej głowy, nie zaś - jak wolał - przekazywać swe myśli bezpośrednio wszechświatowi. Jego chaotyczne refleksje były podstawą często cytowanego *Wewnętrznego monologu beeblebroxowego*, którego istnieją dwie publikowane wersje: oficjalna, którą Zaphod stworzył po weekendzie na posiadłości pisarza Oolona Colluphida, i nieoficjalna, która została przechwycona telepatycznie przez Lewy Mózg i włączona do jego wspomnień pod tytułem *Życie w akwarium*. Zaprezentowane zostaną obie i niech czytelnik sam wyrobi sobie opinię, która jest bliższa prawdy.

Wersja oficjalna

A więc moment nadszedł. Rozpaczam gorzko, nie żal mi jednak siebie, lecz tych, którym odmówiono zachwyty poznania Zaphoda Beeblebroxa. Podejrzewam, że ludzie rozpoznają to nazwisko. W trakcie krótkiego istnienia Beeblebrox zrobił kilka drobiazgów. Jak zostaną zapamiętany? Jako supernowa może, niebiańskie ciało, jarzące się na nocnym niebie, światło w ciemności, dające tym, którzy czują na twarzach jego gorąco, chwilę zdumienia i być może nadziei. To by wystarczyło. Niektórzy gromadzą na mych ramionach pochwały, wychwalając mnie jako proroka, rewolucjonistę lub wielkiego satysfaktora kobiet. Przyjmuję pochwały z łaskawą skromnością, gdybym jednak mógł wybrać epitafium, powiedziałbym po prostu, że Zaphod Beeblebrox zaskoczył wszystkich. W dobry sposób.

Wersja nieoficjalna

Ja zarkniczę... Wielkie... wielkie... WIEEEEEELKIE. Wszędzie kosmos, ale nigdzie nie ma powietrza! Fryzura mi opadnie. A w zero g zawsze mam wzdęcie. Hajmdal, ty draniu! Patrz - gruda lodu. Gładka, błyszcząca, chętnie bym polizał. Jakie mam majtki? Trzeba myśleć o takich sprawach na wypadek sekcji. Mam nadzieję, że nowe, z odpływem. Fordzie, chłopie! Byłeś wrucajny, było nam wrucajnie razem, ale ja byłem nieco bardziej. Założę się, że opiszą to we wszystkich mediach. Nie każdego dnia prezydent Galaktyki jest wywalany ze służby powietrznej przez własną głowę.

*

Była jeszcze trzecia wersja, która tylko zamigotała tuż pod powierzchnią świadomości Zaphoda. Lewy Mózg nie usłyszał jej, a Zaphod jej nie pamiętał.

Aha, monologowała wewnętrznie głęboko ukryta osobowość, ponieważ nie wstrzymuję oddechu, nie będzie uszkodzenia płuc, ale to oznacza, że mam niecałe pół minuty, zanim nienasycona tlenem krew dotrze do mojego mózgu. A tyle mogłem zrobić w czasie, który miałem...

Asgard

Drzewo Świata przyglądał się spazmatycznym drgawkom Zaphoda, a w jego wszechwidzących oczach migotała spora satysfakcja. Stał na krawędzi Bifrostu - portalu między Asgardem a resztą wszechświata - i odliczał sekundy do momentu, w którym będzie musiał zdecydować, czy uratować starego menedżera Thora, czy pozwolić mu umrzeć.

Ponieważ Hajmdal generalnie nienawidził śmiertelnych (z wyjątkiem szlachetnego Sigurda z legendy), szczególnie zaś Beeblebroxa, wybór wydawał się oczywisty, pozwolenie ludziom umrzeć w pobliżu Asgardu zdecydowanie by jednak sprawiło, że Odyn zmarszczyłby czoło, męczennicy bowiem mają skłonność żyć po wsze czasy. Co było ironiczne, jako że nie żyli. Może nie ironiczne, a paradoksalne - oto jedno z tych skomplikowanych pojęć, którymi Loki rzucał, aby wytrącić go z równowagi. Hajmdal żołnierz nie przepełniał sobie mózgu zbędnym słownictwem. Polować, zabijać, palić, oskórować. Oto słowa, które lubił. Zwłaszcza „oskórować”, trudno je było jednak wpleść w zwykłą, codzienną rozmowę.

Hajmdal chwilę się podąsał, potem z czubka Gjallarhornu - legendarnego rogu, mającego obwieścić początek Ragnaröku - wypuścił gęste jak syrop pasmo plazmy. Gjallarhorn może i wyglądał na obojętnego obserwatora (jak typowy, sześciometrowy, stary nordycki róg wyjący), ale w dłoniach boga stawał się narzędziem wielkiej władzy i przydatnym narzędziem do zawodów w picciu piwa.

Na czubku plazmowego pasma znajdował się pęcherz atmosfery, którym Hajmdal machał w przestrzeni, jakby był zawieszony na końcu wędkarskiej żyłki, aż udało mu się złapać Zaphoda. Powłoka plazmowa nieźle przetelepie Betelgeusańczyka, kiedy będzie się przebijał do znajdującego się w środku powietrza, ale Hajmdal w najmniejszym stopniu się tym nie przejmował. Jeśli chodzi o cierpienia Zaphoda Beeblebroxa, to bóg martwił się tylko tym, aby w najbliższej przyszłości zapewnić mu ich dużo - także w najbliższej przeszłości (jeżeli uda mu się wydebić od Odyna przepustkę czasową).

Ściągnął linkę z Zaphodem i postawił go na tęczowym moście.

Uwaga w Przewodniku:

Określenie „tęczowy most” stanowi przykład, jak bogowie są skłonni do retoryki i bufonady. Ozyrys nie miał grypa, które rozkładały go na kilka tygodni - umierał i zmartwychwstawał. Afrodyta nie miała szafy pełnej bluzek z głębokim dekoltem i niewyczerpanego zapasu świńskich limeryków - była nieodparta dla wszystkich mężczyzn, do tego wszędzie. A tęczowy most nie był specjalnie zaprojektowanym wiszącym mostem z lodu i stali - był (zdaniem Azów) mostem z tęczy.

Zaphod telepał się przez minutę, podczas gdy plazma parowała, potem, kiedy stwierdził, że w trakcie przechodzenia przez elektrycznie naładowaną powłokę stopiły mu się srebrne obcasy kowbojek, jęknął.

- Daj spokój... Zdajesz sobie sprawę z tego, ile języków Srebrnojęzykich Diabłów na nie poszło? To najgorszy dzień w moim życiu.

Hajmdal wisiał nad nim wielki jak góra, uśmiech miał otwarty na kilka metrów.

- Te słowa są balsamem na mą duszę.

- Ten tęczowy most jest zrobiony z lodu i stali! - zawołał Zaphod w nadąsanej zemście za obcasy.

- Cisza! - ryknął Hajmdal. - Albo zostaniesz oskórowany!

- Obawiam się, że już jestem znerwicowany.

- Nie znerwicowany.

- Znerwicowany. Nieznerwicowany. Zdecyduj się.

- Powiedziałem „oskórowany”. Oskórować! Zerwać skórę z ciała!

Zaphod śmiesznie gulgnął.

- Teraz czuję się naprawdę dziwnie. Mogę?

Hajmdal zmarszczył nos i po cichu zaczął recytować pierwszy wers *Sagi o Völsungach*, co zazwyczaj go uspokajało, tym razem jednak jego walącego serca nie mogły ochłodzić nawet wyczyny Sigurda.

Podczas gdy Hajmdal recytował, Zaphod przetrawiał utratę obcasów i uznał, że ma większe kabany do pormowania. Skoczył na równe nogi, natychmiast się przewrócił, spróbował zakamuflować żenujący upadek przewrotem do tyłu, znowu wstał, przez chwilę chwiał się na boki, aż znalazł krok, który funkcjonował w kowbojkach bez obcasów, po czym zmusił się do pełnego piruetu.

- Łooo! - stwierdził mądrze. - Muszę powiedzieć, Hajmdal, że całkiem piętliwy macie tu świat. Naprawdę tak uważam! To wodospad? Duży?

Przed udzieleniem odpowiedzi Hajmdal spróbował wyrecytować jeszcze jeden wers.

- To fontanna młodości, jeśli musisz wiedzieć. Frigg zażyczyła sobie dekorację wodną.

- To wspaniale. Architektura krajobrazu to przyszłość.

- Nie - ponuro odparł Hajmdal. - Przyszłością jest Ragnarök. Bogowie wyginą a wszechświat utonie we krwi.

Zaphod skinął głową.

- W takim razie na pewno warto zobaczyć fontannę. Na razie jednak pozostaniemy pozytywni, co nie, Wielki? Jeszcze nie toniemy we krwi.

Hajmdal rzeczywiście był wielki, zwłaszcza gdy stało się u jego stóp. Dla kogoś z brakiem pewności siebie patrzenie prosto w górę na krocze boga może działać cuda. Zwłaszcza jeśli kontury tego krocza są ciasno opinane przez legginsy z kombinezonu narciarskiego w czerwone i jaskrawoniebieskie paski. Hajmdal spędzał dnie i noce na lodzie i prawdopodobnie dlatego zdecydował się ubrać w pasujący do sytuacji sposób. Zamiast tradycyjnych gadziossaczych legginsów zdecydował się na buty do snowboardu, na czole miał okulary przeciwsłoneczne z pomarańczowymi szklami, a na nosie pasek kremu do opalania z wysokim czynnikiem ochronnym.

- No dobrze. Nienawidzę poganiać, ale sam rozumiesz, mój stary kumpel Thor... widzisz jakąkolwiek możliwość, aby mnie do niego wpuścić?

Wizja apokalipsy Hajmdala zbladła i popatrzyła w dół na Zaphoda.

- Rekompensata, o tym chyba wspomniałeś. Chciałeś coś zrekompensować..

Zaphod przykleił sobie do ust najbardziej rozbijający uśmiech.

- No cóż, tak mówiłem, prawda? Na mą obronę powiem, że ani słowa z tego nie mówiłem szczerze. Byłem pod przymusem.

- Znasz zasady.

- Tylko nie zadania! Daj spokój, Hajmdal! To staromodne. Sądziłem, że idziecie z duchem czasu.

- Asgard się nie zmienia.

- A co z tą instalacją wodną? Kiedy byłem tu ostatnio, nie było jej.

- Znacząco. Asgard nie zmienia się w znaczący sposób. Trzy zadania, Becblebrox, jeśli naprawdę chcesz rozmawiać.

- Trzy! Nie mam czasu na trzy. Wasze zadania zajmują wieczność. Zrobię jedno.

- Trzy - nalegał Hajmdal, któremu oczy zaczęły wypychać się z orbit.

- Jedno!

- Pieprzę to! Zaraz cię zabiję.

Zaphod zabujał się na piętach, po czym przesunął się krok naprzód.

- Blefujesz, duży chłopaku. Znam tutejsze zasady. W Asgardzie nie wywała się nikogo z listy bez zgody Wielkiego O.

- Nie prowokuj mnie, bo do niego zadzwonię.

- Naprawdę? Co cię powstrzymuje? A może Odyn nie daje numeru odzwrotnym?

Hajmdal pokręcił potężną głową.

- Nie rób tego, Beeblebrudolu. Nie każ mi do niego dzwonić. Nie jest twoim fanem.

- Dzwon, nie krępuj się. Nie zrobisz tego, bo on jest numerem jeden, a ty... ty nawet nie masz numeru. Odyn może właśnie rozkoszować się niezłym rogiem miodu pitnego, a twój telefon mógłby sprawić, że wypuści go z rąk i wtedy, na świętego Zarkwona, zacnie się Ragnarök.

Hajmdal wyciągnął w kierunku Zaphoda paluch wielkości torpedy.

- Doigrałeś się. Tak jest. Dzwonię.

- Naprawdę? Wygląda na to, że rozmawiasz ze mną. Widzę mnóstwo chlapania jęzorem, ale żadnego wciskania klawiszy.

- To wszystko spadnie na twoją głowę, Beeblebrox - mruknął bóg. - Chciałem tylko trzy zadania. Góra cztery. - Pomachał rogiem, aż ten się skruszył, zapadł w siebie i dopasował dokładnie do wnętrza dłoni boga. - Gotowe. Kości zostały rzucone.

- Oczywiście, o ile twoim głównym zadaniem jest walenie w bambus.

- Walenie? - zacharczał Hajmdal zduszonym tonem folfangańskiej fretki flegmowej, która pobudziła sobie gardło w celu wydzielenia znajdującego się w śluzie cennego lekospisu. - Walenie, mówisz? - Wystukał numer na panelu rogu i czekając na połączenie, podśpiewywał.

- Hejka, cześć. Odie, to ja - powiedział Hajmdal po chwili do rogu.

Zamknął jedno oko i wytrzymał kilka sekund połąjank od Ojca Bogów.

- Zgoda, sorka, rozumiem, że musisz się zająć mnóstwem złotych kulek planktonu, i wiem też, jak uporczywe są plamy po miodzie pitnym. Zamroziś koszulę i plama sama zniknie. Posłuchaj, mam tu kogoś, takiego śmiertelnego. Chcę dostać zgodę na zabicie go.

Kolejne połąjanki. Choć stał trzy metry pod poziomem telefonu, Zaphod bez trudu wychwytywał dolatujący z telefonu ton.

- Wiem, że my nie... Zdaję sobie sprawę z polityki... Oczywiście, że czytałem dokument... w każdym razie główne punkty.

Uwaga Zaphoda odpłynęła, już się niecierpliwił sytuacją, której rozwój mu się nie podobał. W dzieciństwie zdiagnozowano u niego ADHDDAAADHD (n.w.) ABT, co oznaczało zespół niezwyklej wymyślności w zamącaniu kanonów upaleniem oraz nadpobudliwości wzdęciowej z zaburzeniami koncentracji uwagi (nic wspominając) nieco zbyt rozwiniętej, Nawet jako człowiek dorosły Zaphod nie był w stanie zapanować nad tym stanem, nigdy bowiem nie pamiętał, na co choruje.

Swojemu pigularzowi na Eroticonie VI powiedział, że w nazwie jednostki chorobowej są dwa

D i „chyba jedno” H, na co dostał receptę na maść DDH, mającą dubeltową dawkę środka hemoroidobójczonego. Zaphod po kilku dniach przestał jej używać, nie mógł bowiem utrzymać jej w żołądku.

Tak więc choć Hajmdal i Odyn omawiali jego najbliższą, przyszłość oraz ilość związanego z tym dyskomfortu, Zaphoda rozpraszały migoczące światła Asgardu. Widok był zachwycający, nawet dla kogoś przywykłego do świecącego świecenia się rozległego, wspaniałego kosmosu.

Wielkościami Asgard nie był Megabrantis Delta, ale robił spore wrażenie. Strefę zaczynał zatopiony w lodzie twór rozrzucający po całej powierzchni migotliwe srebrnobłękitne światło. Sama powierzchnia terenu była zasłana dramatycznymi elementami topograficznymi, które kazałyby Magrateańczykom - podjąć działania z zakresu szpiegostwa przemysłowego: potężnie kipiącymi rzekami, wysokimi górami o pokrytych śniegiem szczytach, fiordami tak zawilumy jak zapis elektrokardiogramu świergotrzepotów. Błyszczące pola lodowe współistniały w niemożliwy sposób z ciągami złotego zboża, skąpane w promieniach słońca, których nie dało się przyporządkować jakiegokolwiek gwiazdzie. Wznoszące się wysoko zamki, wokół których wieżyczek krążyły smoki, przebijały się przez chmury. Był to świat ze snów - o ile tymi, którzy śnili, byli przepelnieni testosteronem samcy, niezmuszeni nigdy do zachowywania się jak dorośli.

Hajmdal akurat coś gadał.

- Hm? - spytał Zaphod.
- Dostałem zielone światło - powiedział bóg, radośnie się uśmiechając.
- Jakie zielone światło? Po co ci zielone światło?
- To takie powiedzenie. Zielone światło oznacza ruchy.
- Dokąd?
- Donikąd. Nigdzie się nie ruszam.
- Więc po co ci zielone światło?

Hajmdal ujął dwoma palcami nos.

- Sigurd jechał tedy, aż przybył do okazałej siedziby. Rządził tam potężny höfting, który zwał się Heimir. Miał za żonę siostrę Brynhildy, która zwała się Bekkhild, gdyż zostawała w domu i uczyła się ręcznych robótek, a Brynhild jeździła w hełmie i zbroi i szła do boju. Dlatego nazywano ją Brynhildą⁴.

- Rozumiem - odparł Zaphod, zastanawiając się, czy mógłby wykorzystać szaleństwo jako zasłonę i wbiec na most.

Jakby czytał mu w myślach co prawdopodobnie mógł robić - Hajmdal zablokował Zaphodowi drogę potężnym, obszytym futrem buciorem.

- Powiedziałem Odynowi, że to ty.

Zaphodowi nieco podskoczył poziom zdenerwowania.

- I co powiedział?

- Że ponieważ jesteś publicznie znaną postacią należy twoją śmierć uczynić zagmatwaną.

- Zagmatwaną?

Hajmdal zgiął się wpół i zaczął potrząsać Gjallarhornem, aż osiągnął on pierwotną długość.

- PotrząsasZ Gjallarhornem do pierwotnej długości - zauważył Zaphod.

- Zamierzam wezwać smoki.

- Aby zabiły mnie w zagmatwany sposób.

Uśmiech Hajmdala wyglądał jak sierp księżycy.

- Otóż to, Beeblerzęchu. Zamierzam poinstruować je, aby zabiły cię przypadkiem, ale tak, żeby wyglądało to na morderstwo.

- O! A co z zadaniami? Gdzieś musi być złoty topór, który chcielibyście, abym odnalazł.

- Chciałeś jedno zadanie - powiedział Hajmdal. - I jedno dostajesz.

Zaphod dmuchnął w dłonie.

- Świetnie. Wspaniale. Możemy zaczynać? Marznę. Moja zapasowa dziura na karku naprawdę czuje zimno, co akurat przypadkiem jest tytułem mojego następnego albumu.

- To łatwe zadanie - powiedział niewinnie Hajmdal. - Musisz tylko przejść przez most.

Przejść przez most, pomyślał Zaphod. Brzmi znajomo. „Most” to bardzo powszechne słowo. Często też używane w sensie metaforycznym.

- Który most?

- Ten! - ryknął Hajmdal, aż zatrzęsała mu się broda. - Cholerny most, na którym stoisz.

- W porządku, próbuję tylko uściślić szczegóły. Przejść most, na którym stoję. Coś jeszcze?

- Jest na nim rura fałszywej atmosfery, więc nie zdryfujesz na bok. Jeśli dotrzesz do pierwszej ściany, musisz się na nią wspiąć.

Mam się wspiąć na ścianę. Znajome. Ale słowo „ściana” jest jeszcze powszechniejsze niż „most”.

- A więc przejść i się wspiąć. Rozumiem. Nie ma ukrytych zasadzek?

- Pomijając próbujące zrzucić cię w otchłań smoki? Nie.

Zaphod zmarszczył czoło.

- A więc smoki nie są smokami przyjacielskimi, śpiewającymi piosenki i tak dalej, jak w opowieściach dla dzieci?

- Śpiewają elegie żałobne.

- Naprawdę? Co się rymuje z „oskórować”? - Rzadki błysk przenikliwego dowcipu Zaphoda zazwyczaj następował w najgorszym możliwym momencie.

- Doskonale. Właśnie odebrałeś sobie dziesięć sekund z przewagi na starcie.

Hajmdal zajął heroiczne stanowisko, co niełatwo osiągnąć, gdy człowiek jest ubrany w jaskrawy kombinezon narciarski, trzeba jednak uczciwie przyznać, że bóg dobrze sobie radził. Uniósł róg i zatrąbił długą, falującą serię nut, która zabrzmiała podejrzenie podobnie do starej betelgeusańskiej kołysanki pod tytułem *Arkel Szmarkel siadł na szmandzie*, choć z półtonem bardziej sugerującym przemoc.

Zaphod poczuł nagły chłód w bliznowatej tkance, gdzie zwykł być jego drugi kark. Obrócił się w miejscu, gdzie jeszcze do niedawna migotał srebrny obcas, i pomknął jak burza rurą fałszywej atmosfery przez tak zwany tęczowy most.

Vogoński statek hiperprzestrzenny klasy biurazownika - „Instancja Wykonawcza”

Kiedy „Instancja Wykonawcza” wykolebała się z hiperprzestrzeni mniej więcej w taki sam sposób, w jaki pijany betelgeusański reporter mógłby się wytoczyć ze zlokalizowanych wygodnie krzaków z pustym pęcherzem, konstant Skoszon siedział w hiperprzestrzennej kołysce w domowym biurze i dygotał. (Chodzi oczywiście o reportera z pustym pęcherzem, nie krzaki - o ile nie byłyby to krzaki howei, które wystrzeliwiają nasiona w lekko kwaśnym roztworze po tym, jak ich listowie wykryje wilgoć. Zasadniczo biorąc, sikasz na nie, a one sikają na ciebie).

Jeszcze osiem skoków, pomyślał Skoszon. I zlikwidujemy kolejny gatunek.

Aby być uczciwym, należy powiedzieć, że pomysł ten nie sprawiał mu tyle satysfakcji, ile powinien. Bez dwóch zdań dla Vogona nie było większej przyjemności od zamknięcia akt dotyczących rozkazu wykonania zadania, konstant Skoszon nie był jednak może aż tak skończonym draniem, jak lubił sądzić jego ojciec. Tak naprawdę to w minionych miesiącach, kiedy Skoszon zagłądał w swe wnętrze w poszukiwaniu twardego vogońskiego rdzenia, koniecznego do wykonywania niektórych z bardziej niesmacznych obowiązków, zamiast stali i *kroompst* znajdował wrażliwość, a nawet empatię. Było to straszliwe, okropne. Jak konstant miał zostać prostetnikiem, jeśli po bańce krążyły mu tego typu niewydarzone emocje?

Nie chcę być prostetnikiem. Nawet nie chcę być biurokratą egzekwującym środki przymusu.

Oczywiście, na mostku Skoszon robił za dobrego Vogona - wymachiwał cienkimi jak spaghetti ramionkami, aby salutować tacie, rozplýwał się euforycznie na temat torped typu Niepotrzebna Bolesna Powolna Śmierć - ale nie wkładał w to pompującego krwi organu.

Nie chcę nikogo zabijać, nawet za pomocą odpowiednich papierów.

Skoszon musiał wziąć kilka głębokich oddechów, dopiero wtedy mógł skupić się na następnej myśli.

Istnieją rzeczy ważniejsze od papierkowej roboty.

Powiedział to głośno.

- Istnieją rzeczy ważniejsze od papierkowej roboty.

Poczuł w gardle żółć, ale był tak zaaferowany, że nie mógł się tym rozkoszować. Zwlókł się z hiperprzestrzennej kołyski i poczłapał wzdłuż odpływu łóżkowego, aż znalazł spluwaczkę,

do której mógł charknąć.

Lepiej.

Naprawdę powiedział głośno coś takiego? Co się z nim działo?

Skoszon ostrożnie opuścił się na koję - akt ten zaskoczyłby jak cholera jego kolegów ze statku. Vogoni generalnie nie mieli zasady, aby opuszczać się na cokolwiek w delikatny sposób. Głównymi możliwościami otwartymi dla Vogonów były nieskoordynowane wykopyrtnięcie się albo toporne zwalenie się. Wstawanie było jeszcze gorsze od sadowienia się. Wstawanie z czegokolwiek niższego od stołka barowego zazwyczaj łączyło się z posiniaczoną kością ogonową, a wymagało skomplikowanego systemu ciężarków i krążków oraz powodowało wydzielenie pól wiaderka płwociny. Skoszon posiadał jednak coś dotychczas wśród Vogonów niesłyszanego. Młody konstant dostał w darze odrobinę gracji.

Szybko nimi poruszając w górę i na boki, Skoszon wbił dwa palce pod deskę, na której leżał materac, i wyciągnął mały różowy kawałek plastikowej kontrabandy. Wsunął obiekt pod miękkie udo i przez kilka chwil nerwowo się furmotał, zbierając w sobie *kroompst*, aby odpowiednio zaprezentować się na zewnątrz.

- Ostatni raz... - obiecał sobie. - Jedno spojrzenie i pozbędę się tego. Nigdy więcej. Absolutnie ostatni raz.

Popatrz na mnie, powiedziała różowa rzecz, grzejąc przez materiał portek. Popatrz na mnie i zobacz siebie.

Palce Skoszona postukały w ramkę i z nagłym przypiływem odwagi złapał plastikową rączkę.

Miał w ręku plastikowe lustro z zestawu Barbie, kupione w tanioszajkowym markecie w Port Brasta. Prawdziwa pamiątka z Ziemi. Na pokładzie ich statku lustra były zakazane, Vogoni byli bowiem wystarczająco depresyjni bez oglądania własnych gąb w polerowanym szkle.

Uwaga w Przewodniku:

Vogoni przeżyli dzięki przepelnionej determinacją ekstraspekcji. Poza godną pogardy dłu-baniną w sztuce poetyckiej, w celu uniknięcia rozmyślenia o własnych licznych niedostatkach fizycznych i psychicznych, większość Vogonów próbuje mocno skupiać uwagę na innych gatunkach. Vogoni rzadko spędzają czas w komorach wypornościowych, nigdy nie medytują w komorach parowych i zdecydowanie nie gapią się w lustrach na swe niewydarzone krostowate facjaty. Jediną rasą, jakiej udało się storpedować zniszczenie planety przez Vogonów, byli Tubavixowie z Sinnustry, którzy posłali vogońskiej flocie reformatującego wirusa ekranowego, który zamienił wszystkie ich monitory w lustra. Pięć minut po załadowaniu wirusa statki Vogonów zaczęły się nawzajem ostrzeliwać torpedami.

Skoszon popatrzył na siebie w lusterku i nie odczuł śladu obrzydzenia. Tak naprawdę podobało mu się to, co widział.

O Boże, pomyślał. Co się ze mną dzieje?

Coś się z nim stało. Kilka miesięcy wcześniej jego blok kleiku śniadaniowego został skażony czubkiem macki mandarynki muchomorowej, która wydzieliła do układu Skoszona akurat tyle enteogenu, by nakłonić go do uznania tego, co od jakiegoś czasu podejrzewał.

Nie nienawidzę się.

Jak na Vogona, była to rewolucyjna - o ile nie heretycka - myśl i gdyby Skoszon przyznał się do niej w trakcie badań psychotechnicznych, z pewnością zostałby wykluczony z korpusu biurokratycznego. O ile korpus biurokratyczny w ogóle prowadził psychotechnikę.

Ostatnio konstant Skoszon nie tylko miał tę myśl.

- Nie nienawidzę się - szepnął do lustra. - Pod wieloma względami wcale nie jestem taki zły.

A jeżeli Skoszon się nie nienawidził, co mógł wyemanować w kierunku wszechświata? Jeśli nie miłość, to jakąś jej życzliwą, rozmytą wersję.

Lubię się, więc może, prawdopodobnie, inni też mogą mnie polubić.

- Na pewno nie, jeśli najpierw ich zabiję - powiedział Skoszon ponuro do własnego odbicia.

Już jedno oglądanie, jak Ziemianie są wypleniani, mocno go dręczyło - za drugim razem mógłby zacząć się nienawidzić.

Zacisnął palce wokół lustreczka.

Dlaczego powiedziałem ojcu o kolonii?

Znał odpowiedź na to pytanie.

Powiedziałem mu, ponieważ jest to powszechnie znane i na pewno by się dowiedział - a wtedy to ja byłbym tym, który coś ukrył. A beze mnie Ziemianie nie mieliby szansy.

Skoszon słabo uśmiechnął się do swego odbicia, po czym wetknął lustreczko pod deskę, na której leżał materac.

Musi istnieć jakiś sposób, pomyślał. Jakiś sposób na uratowanie ludzi, który nie spowoduje, że zostaną wyrzuceni w kosmos z wyrzutni raketowej.

ROZDZIAŁ 7

„Tanngrisnir”

Statek Wowbaggera przesunął się z realnego wszechświata do tajemniczej omniwarstwy ciemnej przestrzeni w kierunku czerwieni. Widok przez iluminatory był tak niezwykle egzotyczny, że przeciętna istota mogła wytrzymać go jedynie kilka sekund przed zapadnięciem w katalepsję albo zastąpieniem go przyjemnymi wyobrażeniami, które ujawniały mnóstwo na temat tworzącej te wyobrażenia osoby.

Ford Prefect spałowiał.

- Gąsborwhamm... - zaskrzeczał, zakrywając iluminator torbą. - W trakcie moich dni widziałem niejedno, także podczas mych nocy, ale to tutaj... to jest... - Uciekł z mostka, uznając, że w życiu mężczyzny są momenty, kiedy lepiej być samemu, niż dyskutować widok, który, jak podpowiadało mu skradające się podejrzenie, pochodził z zakamarka jego umysłu, zwłaszcza powstałego pewnego zimowego popołudnia podczas festiwalu mięsa na Karni-wale, w którym uczestniczył przebrany za kuro-niedźwiedzia i zaplątał się w stertę krzesel, skąd uratowało go stadko trzynogich studentek z ludu wargossawek, które zażądały bardzo dziwnego odwzajemnienia się.

- W czym problem? - spytała Random. - Widzę ciemność i jeszcze więcej ciemności. Wieczność niczego.

- Więc jesteś szczęśliwa - stwierdził Bowerick Wowbagger. - Można oglądać znacznie gorsze rzeczy od niczego. Na przykład nicość.

- Rozkoszne. Powinieneś zająć się pisaniem kart z pozdrowieniami.

- Posłuchaj, dziwny dzieciaku: mogłabyś się czegoś nauczyć.

- Od ciebie? Dziękuję bardzo. Sądzę, że raczej pozostanę głupia.

- Twe życzenie już zostało spełnione.

Random najeżyła się odrobinę więcej, niż już była najeżona, co było o odcień więcej niż u przeciętnego tępomordego kolcowieprza, który właśnie wyczuł tropiącego go psa.

- Jak śmiesz? Nie wiesz, kim jestem?

- Wyznawczynią Kultu Nonsensu z Jąkalskich Równin Błotnych na Santraginusie Pięć? - proponował Bowerick.

- To absurd.

- Przepraszam, pomyliłem się. Kultu Absurdu z Jąkalskich Równin Błotnych na Santraginusie Pięć.

Uwaga w Przewodniku:

Rozmowa ta ma elementy podobne do wymiany, która doprowadziła do załamania się Kultu Nonsensu z Santraginusa Pięć. W swym apogeum KN miał na liście mailingowej kilkadziesiąt nazwisk, ale cała organizacja uległa autodestrukcji po wyjątkowo kontrowersyjnej sesji piątkowych pytań i odpowiedzi, w trakcie której skarbnik komitetu T'tal Ychune zakwestionował w obecności prezesa Oloona Yjeeta słuszność nazwy stowarzyszenia. Transkrypt rozmowy jest następujący:

Yjeet: Prezes rozpoznaje skarbnika Ychune'a.

Ychune: Jasne, ze mnie rozpoznajesz. Jestem twoim kuzynem. Dziugaliśmy razem vorklowe pierogi, a może wolisz o tym zapomnieć?

Yjeet: T'tal, proszę...

Ychune: Skarbniku Ychune.

Yjeet: (westchnienie) Skarbniku Ychune, proszę... moglibyśmy spróbować przeprowadzić to w uprzejmy sposób?

Ychune: Wiesz wszystko na temat uprzejmości, co? Wpadnięcie w zeszłym tygodniu do mojej narzeczonej z garścią zapasowych środków antykoncepcyjnych było bardzo uprzejme. Bardzo.

Yjeet: Wyjaśniłem to.

Ychune: (wybuch gorzkiego śmiechu) Oczywiście, opowiastką o balonie wodnym. Jakże mógłbym zapomnieć?

Yjeet: Chciałeś przedstawić coś oficjalnego?

Ychune: Oczywiście. Zamierzam sprawić, aby nazwę stowarzyszenia zmienić z Kultu Nonsensu na Kult Absurdu.

Yjeet: Mówisz poważnie?

Ychune: Całkowicie. Nonsens jest odrobinę przestarzały, trąci nieco slapstickiem. Sądzę, że absurd nada nam więcej wagi.

Yjeet: Wagi? Jesteśmy stowarzyszeniem celebrującym historię absurdalnej komedii, jak przedstawiano ją na kartach z pudełek z płatkami zbożowymi Waga. To absurdalne.

Ychune: Aha! Przemawiasz na moją korzyść.

Yjeet: (nagle wstaje) Yjenean kocha mnie, nie ciebie. Pogódź się z tym. I możesz sobie zatrzymać to idiotyczne stowarzyszenie.

Ychune: (także wstaje i wyciąga wielką maczetę, którą jakimś sposobem udało mu się ukryć w regulaminowych pasiastych komediowych szortach) To nie głupie, to absurdalne. W tym różnica.

Reszta transkryptu jest nieczytelna, smugi krwi bowiem rozmyły atrament. W ostatnich wersach można odcyfrować jedynie trzy zwroty: „testowane elektronicznie”, „nazwij je szortami komediowymi” oraz „oczywiście, że słonie śnią”. Proszę wyciągnąć własne wnioski.

Random skrzyżowała ramiona i przemieściła punkt ciężkości, jakby opierała się silnemu wiatrowi.

- Wiem, co sobie myślisz, Bowericku. Uważasz, że lada chwila zabraknie mi słów i przejdę do „nienawidzę cię”, oraz wyjścia z tupaniem nogami.

- Miałem nadzieję, że tak właśnie się stanie.

- Drugi raz tak łatwo się nie wymkniesz. Mam zręczliwość emeryta i energię nastolatki, więc jeśli chcesz, mogę się kłócić cały dzień.

Bowerick Wowbagger ujął nasadę nosa w dwa palce.

- Nie masz pojęcia, jak to jest dalekie od tego, co chcę.

Im bardziej wymiana eskalowała, tym energiczniej Trillian splatała palce. Miała taki deficyt mądrej rodzicielskiej wiedzy, że nie miała nawet pojęcia, gdzie znajduje się moralnie suchy teren. Choć czasami była w stanie dostrzec jego przebliski - jak krótkowzroczny autostopowicz dostrzega w nocy mignięcia nasiąkniętego mgłą wzgórza - to gdyby przypadkowo nań wpaść, nie miała zielonego pojęcia, kto akurat na nim stoi ani jak się tam wspiąć.

- Random! - warknęła, po czym szybko się wycofała. - Chciałam powiedzieć Random. Delikatnie, jak Rann... doommm.

- Co bełkoczesz, matko?

Trillian czuła narastanie dawnej wrogości, przełknęła ją jednak.

- Chcę być wobec ciebie łagodna, wyrozumiała. Ale bełkot? Bełkot, skarbie? Jestem więcej niż twoją matką, jestem twoją przyjaciółką, ale nie bełkoczę, skarbie.

Random skierowała swe gockie lasery na Trillian.

- Naprawdę? Wygląda mi na to, że właśnie to robisz. Bełkoczesz i się wahasz. Nie powinnaś być gdzieś daleko stąd i relacjonować przebiegu wystawy psów? Może znowu zostawić mnie w spokoju z całkowicie obcymi ludźmi?

Zanim Trillian zdążyła wybrać odpowiedź, a następnie stonować ją wynikłym z poczucia winy współczuciem, Bowerick Wowbagger uznał, że jak na razie, ma dość.

- Statek! - powiedział. - Do rury z młodszym żeńskim egzemplarzem!

Z nagle płynnego sufitu wysunął się koniec przezroczyściej rury, która zawisła nad głową Random. Przez chwilę kopiowała ruchy dziewczynki, po czym - kiedy predyktywne oprogramowanie uznało, że wie, jaki następny ruch wykona cel - opuściła się z głośnym łoskotem.

Random została zamknięta w dźwiękoszczelnej rurze i posłana w objęcia Morfeusza za pomocą porcji migoczącego zielonkawo gazu. Jej twarz drgnęła w skurczu, po czym nabrała dziwnego wyrazu, który nie od razu dało się zidentyfikować jako uśmiech.

- Teraz się rozplaczę - powiedziała Trillian, gapiąc się czule na otumanioną lekami, uwięzioną córkę. - Od lat nie widziałam takiego uśmiechu. Ostatnio, kiedy mianowano ją w szkole przygoto-

wawczej Sędzią Juniorem. Uwielbiała wyznaczać kary.

- Dzieciak śni. Jeśli chcesz, mogę ci pokazać zapis - zaproponował zielony kapitan statku.

Gardło Trillian zatykała kula złości - miała uzasadniony powód, aby ją wykaszleć.

- Jak śmiesz! - zawyła z szeroko otwartymi oczami i wyrzuconym do przodu podbródkiem. Po-
dałeś mojej córce uspokajacze!

Wowbagger podniósł z podłogi mały różowy plasterek.

- I odciąłem jej palec wskazujący.

Trillian zaczęła się dusić w dalszym ciągu tkwiącą w gardle kulą złości.

- Że co? Co zrobiłeś?

- Technicznie rzecz biorąc, zrobił to statek. Brzegi końca rury są ostre, w ostatniej sekundzie musiała wystawić palec. Prawdopodobnie po to, aby wykonać obsceniczny gest.

- Moja dziewczynka... moja mała dziewczynka. Obciąłeś...

Wowbagger rzucił palec w kierunku sufitu, który wchłonął go w plazmę.

- No, no, no. Nie obciąłem. Obcinanie zakłada premedytację. W najgorszym wypadku był to nieszczęśliwy wypadek.

Trillian załomotała dłońmi w rurę.

- Arturze! Ten szalenciec tnie na kawałki naszą córkę!

- Raczej nie - powiedział Wowbagger, spoglądając na swój wafłowy komputer. - Komputer wyhodował jej już nowy palec.

Trillian popatrzyła. Była to prawda - z końca śródreżca Random delikatnie wyrastał nowiutki różowy palec wskazujący. Nie było śladu krwi, a nastolatka nie zdradzała jakichkolwiek objawów dyskomfortu.

- Twoja córka jest zrelaksowana i śni - powiedział uspokajająco Bowerick Wowbagger. Na widok tego, co ukazywał ekran, jęknął. - Choć może lepiej nie będę ci pokazywał jej snów. Są nieco matkobójcze.

- Obudź ją!

- Mowy nie ma.

- Natychmiast ją obudź.

- Nieprawdopodobne. Jest nie do wytrzymania.

- A ty nie?

Wowbagger rozważył ten wariant, pocierając kciuk palcem wskazującym, jak było tradycją w jego ludzie.

Uwaga w Przewodniku:

Ludzie Wowbaggera uważali, że jest to stara opowieść niezadowolonych konkubin - aż do chwili gdy naukowcy odkryli kieszonki naturalnego blokera adenozy, wydzielanego pod poduszkami kciuka. Szybkie potarcie go powodowało wydzielenie takiej ilości energii, jaką uwalnia pięć średnich filiżanek napoju kawowego. Wielu ludzi uzależniło się od tych drobnych skoków euforii i spędzało całe dni na kręceniu kciukami.

- Niektórzy chyba uważają, iż jestem nie do wytrzymania - stwierdził w końcu Wowbagger - byłbym jednak gotów się założyć, że nikt nie lubi tej dziewczynki... o ile nie jest zaślepiony związkami rodzinnymi.

- Więc jestem zaślepiona?

- Nie przychodzi mi do głowy żaden inny powód, dlaczego miałabyś tolerować tę osobę. Jest wstrętna, pozwól mi na tyle.

- Nie pozwalam ci na nic!

- Słyszałaś, jak się do mnie odzywa? Jak rozmawia z tobą?

Policzki Trillian płonęły.

- Miałyśmy pewne problemy. Ale to nasze problemy. Teraz uwolnij moją córkę.

Na samą myśl o tym Wowbagger jęknął.

- Może potrzynam ją przez jakiś czas w magazynie? Mogę kazać komputerowi rozpuścić nieco nikotyny, zalegającej na ścianach jej płuc.

- Nawet nie waż się myśleć o jej magazynowaniu! - zawyła Trillian, pokonując potężną potrzebę tupnięcia nogą. - Nikotyny? Paliła?

- Zgodnie z moimi odczytami, przez kilka lat.

- Palenie! Skąd wzięła na to czas?! Nie pamiętam, abym przy jej ciągłym narzekaniu choć raz widziała, jak robi wdech!

- Magazyn? Kontynuuj.

Trillian czuła pokusę.

- Nie. Nie, ale może skrobanie płuc?

Bowerick pomachał palcami nad kilkoma sensorami i tuba z Random w środku rozświetliła się migoczącymi falami laserowego światła.

- Przez kilka następnych dni będzie musiała wypocić smołę. Może odczuwać mdłości.

- Świetnie. To powinno dać jej nauczkę. Palenie!

Bowerick włożył dłoń w amorficzny żelowy stół i wyciągnął z niego kubek herbaty.

- Sądzę, że powinniśmy ją tam zostawić aż do osiągnięcia mgławicy. Nikt nie będzie cierpiał, wszyscy wygramy.

W postawie Wowbaggera było coś czarującego i Trillian zapomniała o odciętym palcu. W końcu Random była w perfekcyjnym stanie. Tak naprawdę lepszym niż świetnym. W stanie mennicznym.

- Nie... nie mogłabym. Mogłabym?

Wowbagger wzruszył ramionami.

- Z informacji, które zebrałem, wynika, że nie jesteś raczej matką stulecia, więc co może zaszkodzić jeszcze kilka dni?

Nagle czar przysł.

- Jak śmiesz?! Ty nieokrzesany zielony obcy stworze!

- Jesteśmy w otwartej przestrzeni, więc technicznie biorąc, pojęcie Obcego tu nie istnieje.

- Nie masz pojęcia, przez co przeszłam! Nie masz prawa mnie osądzać!

Na tym etapie rozmowy Artur najchętniej wymknąłby się w poszukiwaniu czegoś o najwyższym znaczeniu, choć nienazwanego, znajdującego się w bliżej nieokreślonym miejscu, do którego bardzo trudno dotrzeć. Nawet Fordowi wystarczyłoby jedno spojrzenie na twarz Trillian, aby wiedzieć, że powinien zamknąć swój koktajlowy otwór, ale Wowbagger, który od tysiącleci pielęgnował życzenie śmierci, odruchowo kierował swój zielony dziób w kierunku niebezpiecznych sytuacji.

To nieprawdopodobne, myślał, ale może ta ziemaska kobieta, zdecydowanie atrakcyjna kobieta z Ziemi, mogłaby wyrzucić mi poważną fizyczną krzywdę?

Myślenie życzeniowe.

- Tak naprawdę to mam pojęcie, przez co przeszłaś. Komputer wydobyl twoje wspomnienia. Mam wszystko w pliku.

- Przeglądałaś moje wspomnienia?

- Oczywiście. Zabrałem cię na pokład mojego statku. Mogłaś być seryjnym zabójcą. Gdybym miał szczęście.

- Nie miałaś prawa.

- No to zaczynamy dziennikarską gadkę. Co się stało z: „Nie sprawimy najmniejszych kłopotów”?

- Prosiłam o zabranie na pokład kilku autostopowiczów, nie o wydłubywanie nam z głów wspomnień.

- Znowu użyłaś nieodpowiedniego rzeczownika. Nie było żadnego wydłubywania.

Trillian zacisnęła pięści, aż trzasnęły kostki dłoni.

- Ty pedantyczna, lizusowata dupo wołowa!

- No tak. Zapomniałem, z jakim upodobaniem lubicie... lubiliście... stosować obelgi wykorzystujące motywy dotyczące niższych form życia. Co teraz? Impertynencka małpo?

- Stać mnie na więcej.
- Naprawdę? Idę po notes. Wiesz, zawsze szukam inspiracji.

Trillian zamachała rękami jak kombatant pacyfikowany przez niewidoczne ręce.

- Doskonale, Wowbaggerku! Zrób sobie listę obelg, abyś mógł skracać sobie czas swego nic niewartego życia, doprowadzając ludzi do przygnębienia.

- W odróżnieniu od spędzania życia z dala od dziecka, donosząc o przygnębiającej sytuacji innych ludzi?

- Przynajmniej nie doprowadzam ich do depresji.
- Naprawdę? Może spytasz dziewczę w rurze?

Doskonale do siebie pasowali i Bowerick rozgrzewał się do meczu. Wrzucił kubek w sufit i skupił uwagę na ludzkiej samicy.

- No to zaczynaj, Trillian Astra. Powiedz coś, czego jeszcze nie słyszałem milion razy.

- Zarkwoń się, Bowericku.

- Co to ma być? Coś nowego.

- Sądzisz, że będę marnować czas, próbując zrobić wrażenie na kimś, kto okaleczył mi córkę?

- Tak sądzę. Osobowości medialne zawsze próbują wywrzeć wrażenie na wszechświecie. Pomyśl o mnie jak o widzu.

Trillian może się uśmiechnęła, w każdym razie w ruchu na twarzy uczestniczyły zęby.

- Jak o widzu? Nigdy nie adresowałam mej oferty do widzów z twojej grupy.

- Czyli jakiej?

- Oszołomów. Smętnych samotników.

- Smętnych samotników? - Wowbagger nie był w stanie pohamować uśmiešku.

- Ukrywasz się na tym statku. Za słowami. Jesteś smutnym, samotnym, głupim osobnikiem, marnującym niezwykły dar, który otrzymałeś. Wyobraź sobie, co mógłbyś zdziałać!

Wowbagger nie był w stanie wytrzymać jej wzroku.

- Widziałem rzeczy, w które wy, ludzie, nigdy byście nie uwierzyli. Okręty szturmowe walące salwami z ramienia Oriona. Migotanie promieni C w ciemności niedaleko Bramy Tannhausera. Wszystkie te chwile zaginą w czasie jak łzy na deszczu.

- Jesteś żaloszny.

- To był jeden z moich ulubionych filmów. Oglądałem mnóstwo filmów.

- I zelżyłeś mnóstwo ludzi.

- To też.

- A wszystko z powodu kilku elastycznych taśm.

- Zarkichane taśmy. Wiemy teraz, że cała doktryna elastycznych taśm była waleniem w bambus.
- Miałeś wieczność i zmarnowałeś ją.

Bowerick oparł się ciężko o ścianę, aż zniknął po bark.

- To prawda. Zmarnowałem i chciałem umrzeć.
- Ja też.

Zaskoczyło to Bowericka, także to, jak bardzo go to dotknęło.

- Chciałaś umrzeć?

Trillian położyła dłoń na jego gładkim zielonym policzku.

- Nie, głuptasie. Chciałam, abyś ty umarł.
- Wreszcie w czymś się zgadzamy.

Trillian wpatrywała się w szmaragdowe oczy Wowbaggera.

- Kiedy będziesz musiał umrzeć?

Bowerick wystarczająco długo kręcił się po świecie, aby umieć dostrzec okazję, kiedy w trakcie rozmowy coś wpadło mu w ucho.

- Nie natychmiast - odparł i pochylił się, aby pocałować Trillian Astrę.

Lekko drżała, ale nie tak bardzo jak dziewczynka w rurze, która właśnie odzyskała przytomność.

Asgard

Stawianie śmiertelnym niemożliwych do wykonania zadań, a następnie przyciąganie stołka barowego do basenu widokowego i obserwowanie nieszczęśliwego księcia albo konkurenta wypruwającego sobie kichy w celu wygrania zakładu z bogiem, było podniętą dla boskich Azów. Uwielbiali zwłaszcza zlecać zabicie najwściekłego smoka, wspięcie się na najwyższą wieżę albo pokonanie najrozleglejszej pustyni. Wszystko, co było w stopniu najwyższym. Najlepszymi niemożliwymi do wykonania zadaniami były te tak bardzo zbliżone do prawdopodobnych do realizacji, że biegający w kółko biedny matoł niemal czuł zwycięstwo, aż zza pleców wypełzała mu porażka i serwowała fatalną dawkę okrutnej śmierci.

Zadania były generalnie dawane w grupach po trzy, aby sprawdzany osobnik mógł w pierwszych dwóch poczuć smak sukcesu, nawet pozwolić sobie na odrobinę chojrackiej pewności siebie, co, w chwili gdy prowadzący sprawdzian bóg zadawał śmiertelny cios w trakcie zadania numer trzy, powodowało znacznie energiczniejsze klepanie sobie „piątek”. Odyn upierał się przy zasadzie dzikiej karty, więc teoretycznie śmiertelnik zawsze miał szansę odnieść sukces, ale w historii przydzielania zadań tylko jednemu osobnikowi udało się wykonać wszystkie trzy i nie zginąć. Prawdę mówiąc, był to sam Odyn - w jednym z ludzkich przebrań, z których był tak dumny.

- Oooo! - musieli zawyć pozostali bogowie i udawać, że nie ma nic dziwnego w tym, iż śmiertelny porusza się szybciej, niż rejestrują to kamery, i za każdym razem, kiedy ma ochotę, zmienia swą wielkość. - Co za niezwykły śmiertelny, który w niczym nie przypomina Odyna!

Można by pomyśleć, że się wysilił z fałszywym imieniem, przekazał telepatycznie Loki Hajmdalowi. Wodyń. Daj spokój.

Zaphodowi Beeblebroxowi udało się stargować z trzech zadań do jednego, co oznaczało, że dozna porażki i zginie dwa zadania wcześniej. Wyrze to wyniszczający, traumatyzujący wpływ na wszystkich wewnątrz lodowej powłoki (z wyjątkiem Zaphoda Beeblebroxa).

Gnając po tęczowym moście, prezydent Galaktyki stwierdził, że pochyla się na bok.

Bez Lewego Mózgu moja równowaga to kicha, stwierdził. I mój oddech też.

Łapał wielkie hausty powietrza, ale tylko niewielka część docierała do płuc.

Gdzieś jest przeciek.

W rzeczywistości nie było żadnego przecieku krtaniowego - sprawa polegała na tym, że płuca Zaphoda były przyzwyczajone do dopływu powietrza przez dwie tchawice, a teraz pozostała mu tylko jedna i z trudem walczyła o prawidłowe wypełnianie obowiązków. Sytuacji nie polepszał fakt, że unosząca się nad powierzchnią mieszanka tlenu i dwutlenku węgla zawierała (jak dla większości śmiertelników) nieco zbyt wiele CO₂, więc im bardziej Zaphod zbliżał się do powierzchni planety, tym bardziej kolebało mu się w głowie.

- Komplementy dla dolnego podgrzewacza! - wrzasnął, ponieważ wydało mu się to odpowiednie.

Choć mogło to brzmieć jak bezsens, złożony ni w pięć, ni w dziewięć do kupy przez odurzony i otumaniony mózg, ten konkretny zwrot przypadkiem był tego dnia hasłem dla helheimskich armat ciśnieniowych, umieszczonych pod asgardiańskimi kopalniami żelaza. Nie miałyby to najmniejszego znaczenia, gdyby deliryczny bełkot Zaphoda nie został przechwycony przez zanikające promienie telefonu Hajmdala do Odyna i przekazany do bezprzewodowej słuchawki Hel, pani Helheimu. Nawet wtedy nie podjęto by jednak żadnego działania bez zastosowania bezawaryjnego puk-o-kodu - skomplikowanej sekwencji stuknięć, znanej jedynie najgrubszym rybom spośród bogów, która musiała być fizycznie wstukana w żyłę żelaza biegnącą przez Hlidskjalf, czyli kamień, z którego zrobiony jest gigantyczny tron i wieża obserwacyjna Odyna, a biegnący aż do Helheimu. Ponieważ żelazo Asgardu posiada w swoich molekułach trochę boskiej magii, między żyłą a jakimkolwiek fragmentem wyjętego z niej metalu - na przykład mostem - istnieje pewna więź komunikacyjna. Kiedy Zaphod parł przez Bifrost, zardzewiałe nity jego roztopionych obcasów przy każdym kroku posyłały w konstrukcję mostu tumany wibrujących stuknięć i puknięć - stuknięć i puknięć, które idealnie pasowały do bezawaryjnego puk-o-kodu helheimskich armat ciśnieniowych.

Bardzo mało prawdopodobne. Jeden do czterdziestu siedmiu milionów. Błaha szansa dla kogośkolwiek albo czegokolwiek idącego śladami spowalniającej coraz bardziej swe obroty aureoli przypadku i szczęśliwego trafu napędu nieskończonego nieprawdopodobieństwa.

Poczucie równowagi Zaphoda było jeszcze bardziej zakłócanie przez minicyklony, gnające

po rurze fałszywej atmosfery i dudniące mu wokół głowy i ramion.

Zawirowania powietrza przez smoki, pomyślał Zaphod. Bestie są blisko.

O ile zmysł równowagi Zaphoda był lekko skonsternowany, to tyle zbliżanie się smoków od tyłu ostro atakowało jego pozostałe zmysły. Mknęły przez prawdziwą atmosferę - z nieprawdopodobną gracją, falując przy każdym uderzeniu skrzydeł długimi szyjami, z kołyszącymi się wokół nozdrzy niedużymi płomykami. Kilka łuskowatych łbów pojawiło się na skraju pola widzenia Zaphoda, ale wydawało się, że stwory wcale się nie spieszą ze straceniem go z mostu.

Igrają ze mną. Wstrętne latające gryzonie.

- Dobry wieczór, panowie! - zawołał bez tchu. - Nie da się was przekupić, jak sądzę? Mam w statku niezły replikator. Czego tylko zechcecie. Wystarczy słówko.

Smok z największą liczbą rogów podleciał bliżej, aby dać do zrozumienia, że jest rzecznikiem grupy.

- Czego tylko zechcemy? - spytał tonem przypominającym wsysanie mięsa przez szyjkę butelki.
- Rany! Świetnie. Niech się zastanowię. Moglibyśmy go oszczędzić, co, chłopaki?

- Jasne.

- Dałoby się załatwić.

- Czemu nie?

Zaphod uznał, że początek jest zachęcający.

- Więc czego byście chcieli? Powiedzcie, co mógłbym dla was zrobić.

Najeżony rogami smok pożał kawał skóry, który zwisał mu z nosa.

- Mógłbyś wsadzić nas wszystkich na swój statek?

- Oczywiście - wydyszał Zaphod, ani przez ułamek sekundy nie zastanawiając się nad tym, czy mówi prawdę.

- I przenieść nas do innego świata? Młodego, kipiącego życiem?

- Żaden problem. Z głowy mogę wymienić kilkanaście, a to tylko moja głupsza głowa.

Smok przysunął się jeszcze bliżej i błękitne płomyki z jego salamandrowatych nozdrzy nadpaliły Zaphodowi włosy.

- I moglibyśmy wybić wszystko na planecie co do nogi? - spytał basowym szeptem.

- I drzewa! - dodał jeden z jego towarzyszy. - Chcielibyśmy spalić drzewa, tak dla jaj.

- I drzewa - powtórzył smok rzecznik. - Także smoki potrzebują rozrywki.

Zaphod ze zdumieniem obserwował, że może równocześnie biec i mówić.

- Co było przed drzewami?

- Zabić wszystkich i złożyć w zwłokach jaja. To dla nas bardzo ważne. Mógłbyś to załatwić, mały śmiertelniku?

- Gdzie w ciałach? - spytał Zaphod, aby nie przerywać konwersacji.

- No wiesz. W zagłębieniach, jamach ciała. Dobre są oczodoły.

Choć nie sądził, że go na to stać, Zaphod zignorował ból w płucach i przyspieszył.

Dlaczego zawsze robisz takie rzeczy, głupolu? - skarcił się w myśli. Wiesz w ogóle, co tu robisz?

Nie wiedział. Przyczyna objawi się, gdy będzie miał sekundę na zastanowienie. Jeżeli będzie ją miał.

*

Głęboko w trzewiach Asgardu rozkładał się zasilany magmą głębokozanurzeniowy megaszescian do oczyszczania ścieków. Pod nim i nieco z lewej, w miejscu, które można by bez narażania się na jakikolwiek zarzut nazwać odbytnicą Asgardu, znajdował się region zwany Niflheim. Na najniższym jego krańcu - można go było bez problemu określać mianem wewnętrznego zwieracza Asgardu - znajdowało się Helheim.

Hel, pani owego zwieracza, leżała rozwalona na ułożonej na jej tronie stercie poduszek, zrobionych z nadmuchanych jelit węży. i głaskała etolę ze smoka niemowlaka, którą owinęła szyję.

- Co sądzisz o mej nowej etoli? - spytała Modguda, jej jedzącego zwłoki towarzysza, który obecnie przybrał postać gigantycznego orła.

Modgud zmrużył oczy.

- Wydaje mi się, że ciągle jeszcze żyje, skarbie.

Hel skrzyła smoczkowi kark tak mimochodem, że sugerowało to wielkie doświadczenie.

- Co sądzisz teraz?

- Nie wiem... - Modgud ziewnął. Jak na zjadacza zwłok zawsze był nieco małostkowy. - Wygląda tak... nieżywo.

Hel gwałtownie wstała, wyrzucając w górę chmurę popiskujących poduszek.

- Właśnie złapałam... to to-to-to-to... - wydukała, wkręcając słuchawkę głębiej w ucho.

Modgud wspiał się na szponach.

- Co, skarbie? Właśnie złapałaś co?

- Hasło, powiedzonko, od Odyna.

- Które? „Wymień filtr do ścieków”?

- Nie. Nie, ty głupi ptaku. „Komplementy dla dolnego podgrzewacza”. To hasło dla armat ciśnieniowych. Zaraz będziemy pod ostrzałem.

Modguda zranił osobisty atak, dla dobra planety postanowił jednak na razie sobie odpuścić.

- No, no, no, skarbie... trzymaj się. Nie ma potrzeby histeryzować. Nie potrzebujesz jakiegoś potwierdzenia?

Hel pomacała czoło owłosionym przedramieniem.

- Tak! Oczywiście, że tak, drogi przyjacielu. Bezawaryjnego puk-o-kodu. Przepraszam za głupią uwagę o ptaku.

- Nie przejmuj się - odparł serdecznie Modgud. - Pracujesz w wielkim stresie. - Po cichu przysiągł sobie, że musi zacząć podwyższać codzienne dawki trucizny. Może nie zabije tej wiedźmy, ale dopingowanie jej skręcaniu się na sedesie przez pół dnia to też coś.

Rozluźniony uśmiech Hel zamarł, kiedy bezawaryjny puk-o-kod zawibrował przez jej tułów z żelaznego tronu, na którym siedziała.

- Co jest?

- Zamknij się, idioto. Liczę puknięcia.

Modgud zaczął czyścić piórka, a jego pani liczyła.

- Wojna! - zawołała w końcu, skacząc na równe nogi. - Asgard zaczął wojnę. Wreszcie mam okazję wydostać się z tej dziury i wrócić na powierzchnię. Jeżeli mój system obronny okaże się sukcesem, to siemano, przegrany fajfusie.

- Przegrany?

Hel przewróciła oczami.

- Jesteś taki wrażliwy jak na zjadacza trupów... grzej armaty.

- Które? Chyba wszystkie?

- Oczywiście, że wszystkie.

- Do czego strzelam?

- Nie do mostu, jest na nim Hajmdal. Do wszystkiego innego, co się rusza! Możemy stracić kilka smoków, ale wewnątrz powłoki są Obcy!

Przegrany fajfusie, pomyślał z dąsem Modgud, otwierając okienko na nadgarstkowym komputerze. Wreszcie uznajemy istnienie tu na dole technologii. Wreszcie nie polegamy na archaicznych połączeniach telefonicznych i puk-o-kodach.

- Czytam telepatycznie, co myślisz! - zazgrzytała Hel. - Coś o tchnieniu i racicach!

Kilkoma stuknięciami w ekran na nadgarstku Modgud aktywował armaty.

Boże, dopomóż nam, pomyślał. Ale nie ci, których mamy tu na dole. Jacyś inni, nieco mniej...

Zjadacz zwłok nie dokończył myśli, na wypadek gdyby Hel akurat przypadkiem udało się włączyć ośrodek czytania w myślach.

*

Zaphod tracił oddech, a resztkę powietrza, która mu pozostała, opryskiwała mu płuca pinezkami i szpilkami. Smoki wirowały wokół mostu - był ich przynajmniej tuzin - trącając się dla zabawy barkami, muskając ogonami. Wypluwały w kierunku ofiary kule ognia w taki sposób, aby tylko odrobinę go mijały i uderzały w most, odłupując kawałki lodu.

Mimo wszystko, pomyślał Zaphod. Zabity podczas walki ze smokami w Asgardzie. Nie najgorsza metoda odwalenia kity. Lepsze od poślizgnięcia się na mokrej plamie i wpadnięcia w nudną dziurę. Szkoda, że nie dotarłem do ściany.

Ściana. Czyż Dionah Carlinton-Housney nie wspomniała czegoś o ścianie?

Dotarcie do ściany powinienem uczynić mym nowym krótkoterminowym celem, postanowił Zaphod z tym samym pełnym zbiornikiem pozbawionego podstaw rozumowania, które charakteryzowało większość jego zmieniających życie decyzji. Nawet jeśli to ostatnia rzecz, jaką uczynię, dotrę do ściany.

Dwa potknięcia później nogi ugięły się pod nim i zostało mu tylko wleczenie się po moście trzyręcznym pełzaniem.

- Ściana, do cholery - wycharczał. - Ściana.

Smoki uznały to za pyszną zabawę i jeden z nich wyjął nawet spod łuski telefon komórkowy, aby zadzwonić do weekendowych kumpli.

- Naprawdę, Bumie, powinieneś widzieć tego idiotę. Pamiętasz gościa z drewnianymi protezami? Pamiętasz, jak zapaliliśmy go jak pochodnię? Ten jest jeszcze śmieszniejszy. Przylatuj tu.

Jeszcze więcej smoków. Wrucajnie.

Skrzydła bestii nurkowały w atmosferycznej rurze, szarpiąc ubranie Zaphoda małąkami, ostrymi szponami.

- Dajcie spokój! To oficjalna prezydencka marynarka. Nie wiecie, jaszczury, kim jestem?

Kiedy Hajmdal luzacko biegł mostem, z uśmiechem szerszym od krzywiącego się burmistrza Optimizji z implantami zębów, który wygrał w swe urodziny w planetarnym lotku i odkrył, że jego głównemu rywalowi w amorach ze szkoły średniej niedawno właśnie przyprawiono rogi, a prokuratorska sprawa przeciwko niemu samemu padła, Bifrost podskakiwał od uderzeń potężnych stóp.

- Nie uda ci się - powiedział bóg, którego oczy powiększały pomarańczowe szkła okularów.

- Są na receptę? - spytał Zaphod.

- Nie wypełniłeś zadania. Bablopryksie.

- Nazywam się Beeblebrox! Może tego nie zauważasz, ale za każdym razem, kiedy błędnie wypowiadasz moje nazwisko, źle się czuję. Generalnie jestem do wszystkiego pozytywnie nastawiony, ale jakimś sposobem to naprawdę boli. I wcale nie jest śmieszne.

- Sądzę, że jest, Figobzdaxie - odparł Hajmdal, używając swych boskich mocy głosowych do przekazywania komentarzy smokom, które, chichocząc, wypluwały z siebie kule ognia i klepały skrzydłami. - Co sądzicie, moje piękne zwierzątka?

- Moim zdaniem to beczka śmiechu - odpowiedział paskowany na czerwono samiec alfa, unoszący się nad mostem ze zwisającymi tylnymi nogami, co jest trudniejsze, niż wygląda. - Jeśli mnie pytasz, szefie, błędne wypowiadanie nazwiska tego śmiertelnika jest bliskie...

Z ust wydobyły mu się kolejne dźwięki, nie były to jednak słowa jako takie, a jedynie popiski-

wania i kilka początkowych spółgłosek, które prawdopodobnie zamierzały stać się przekleństwami, zanim ból wyłączył wszelkie polecenia, płynące z płata ciemieniowego smoczego mózgu.

- Co to ma... - wydukał Hajmdal i opadła mu szczeka. Paskowany na czerwono alfa eksplodował plazmowym płomieniem, trafiony od tyłu jakąś rakieta.

- Ło! - powiedział Zaphod. - Często się zastanawiałem, co się stanie, jeśli smok wstrzyma oddech.

Trafiony został kolejny smok - w bark - i poleciał korkociągiem ku powierzchni planety, wypuszczając za sobą przypominające rozlewający się atrament chmury granatowoczarneho dymu.

- Nie zamierzasz reagować? - spytał Zaphod. - Nie masz tego całego superszybkiego urządzenia reagującego? Mają go tylko główni bogowie?

Na takie dictum Hajmdal musiał zareagować.

- Lećcie, moje piękne - zawołał. - Ukryjcie się na powierzchni.

Smoki złamały szyk lotu i rozproszyły się w poszukiwaniu schronienia, znajdującego się jak najdalej od tego, co atakowało ich towarzyszy. Choć były szybkie, wielu nie udało się uciec przed nawałnicą nadlatujących spiralnymi torami tuż przy krzywiznie planety pocisków odrywających się pojedynczo od sfory w chwili, gdy namierzyły cel.

Hajmdal znowu zgniótł swój róg i zatelefonował w trybie alarmowym do Helheimu.

- Hel? Zostaliśmy zaatakowani.

- Wiem - odparła wiedźma. - Nie przejmuj się, posłałam wam trochę tarcz. Widzisz wroga?

Hajmdal był znany z takiej czujności, że nie potrzebował snu. W tawernach Skandynawii mawiano, że widzi, jak rośnie trawa, i słyszy, jak po drugiej stronie oceanu spada liść. Było to jednak dawno temu, a obecnie Hajmdal często wymykał się po wypiciu latte na drzemkę i generalnie nie zauważał głosu jesieni.

- Nie widzę. Tylko rakiety nadlatujące z południowej półkuli.

Hel zahmmmmmmowała.

- Z południowej półkuli, mówisz. Nie przez łuk Bifrostu?

- Nie. Patrę na łuk. Zdecydowanie z południa.

- I nie widzisz żadnych Obcych? Zielonych koleśi, z laserami albo coś w tym stylu?

Hajmdal ścisnął trzon Gjallarhornu, aż róg zazgrzytał.

- Nie. Żadnych zazarkwionych Obcych. Jedyne grupy niebieskich torped z różowawymi smugami. Podobne nieco do naszych, jeśli dobrze pamiętam.

- Nie, nie, nie - powiedziała Hel tonem poczuwającej się do winy nastolatki, blokującej matkę w drzwiach do swego pokoju, pełnego chłopaków i narkotyków, kradzionej biżuterii, może nawet granej do tyłu muzyki. - Nie mogą być nasze. Nasze mają czerwone smugi. Jasnoczerwone, niektórzy powiedzieliby, że fioletowawoczerwone.

Hajmdal stęknął, gdyż trafiony został kolejny smok.

- Nie obchodzi mnie, jak niektórzy by powiedzieli. Zestrzel je, Hel. Możesz to zrobić?

- Eee... tak. Komputer... ee... odizolował ich częstotliwość, moglibyśmy więc być w stanie wysłać sygnał do autodestrukcji, co właśnie robię... teraz.

Pozostałe rakiety eksplodowały w błyskach różu i jaskrawej bieli, tryby i tłoki załomotały o lodową powłokę.

- Dobra robota - stwierdził Hajmdal, któremu po opalonych policzkach płynęły łzy ulgi. - Odyn dowie się jeszcze dziś o twoich wysiłkach.

- Dowie się? Powiesz mu? To wspaniałe. Oczywiście mogłabym zniszczyć te rakiety znacznie szybciej, gdyby były nasze, mam już bowiem częstotliwości. Najwyraźniej nie były to więc nasze rakiety i jak mogłyby nimi być, ale gdyby ktokolwiek pytał, nie były nasze. Ktoś taki jak Odyn, na przykład. Nie nasze. Rozumiesz?

Hajmdal zamierzał odpowiedzieć, kiedy zauważył, że Zaphod Beeblebrox znalazł w sobie nowe rezerwy energii i najszybciej, jak mógł, gnał ku ścianie.

Jeśli pokona ścianę, będę musiał dotrzymać słowa.

Mimo tej prawdy i niedawnej utraty smoczej brygady twarz Hajmdala rozjaśniał szeroki uśmiech. Beeblebrox niemal dotarł do ściany, ale „niemal” było niemal tak samo przydatne, jak proszenie lotufreta o wykonanie czegokolwiek wymagającego użycia kciuka - na przykład otwarcia butelki, zagrania na lutni albo pobawienia się w autostopowicza. Przy całym zysku, jaki mógł z niego mieć, Betelgeusańczyk mógłby tak samo dobrze stać bez ruchu. W realnej przestrzeni nic nie mogło wyprzedzić boga. Nawet gdyby pozostał mu już tylko jeden krok, Beeblebrox mógł być tak samo dobrze rok świetlny od ściany - w ołowianej kurtce i neutronowych buciorach.

Łap Beeblebroxa, pomyślał Hajmdal i zanim zawierające tę uwagę elektryczne impulsy zdążyły zaniknąć, trzymał Zaphoda za gardło i przyciskał go do ściany.

- Nie mam pojęcia, co zrobiłeś moim ukochanym smokom, ale cokolwiek to było, w niczym ci teraz nie pomoże.

Zaphod miał wrażenie, jakby na piersi przykucnął mu gado-ssak. Nie sympatyczny wegetarianin, który usiadł przypadkiem i doczłapie sobie, kiedy usłyszy głos Zaphoda. Nieagresywny zmutowany mięsożerny gadossak, który wbrew radzie rodziców i stada postanowił zmiękczyć mięso ofiary przed spożyciem za pomocą skakania po nim pośladkami.

- Głupi zmutowany gadossak - wydyszał Zaphod, któremu kręciło się w głowie od biegu i inhalacji CO₂.

Ucisk Hajmdala ciutkę się wzmocnił.

- To wszystko? To są ostatnie słowa sławnego prezydenta Kurduplofloxa?

Zaphod coś sobie przypominał.

- Nie jestem jedyny z przydomkiem, co?

Bóg nerwowo drgnął.

- O czym mówisz?

- Nie próbuj nawet zaprzeczać. Wszyscy macie swoje tajemne zdrobniałe imię. Świadczące o władzy. Thor opowiedział mi o tym pewnej nocy w trasie, po koncercie na otwartym powietrzu w kamieniołomie na Zentaikwabuli. Byliśmy tak nawaleni, że nie wyobrażasz sobie. Pocałowałem Kiszonkolubne.

- Kłamca - syknął Hajmdal.

Zaphod był urażony.

- Nie jestem z tego dumny, ale pocałowałem to Kiszonkołubne jak najbardziej, a także jego obsługującego.

- Żaden śmiertelny nie może znać naszych przydomków. To zakazane. Kłamiesz.

Wielka, gładka twarz Hajmdala była centymetry od twarzy Zaphoda. Jego złość migotała w powietrzu dookoła, a Gjallarhorn jarzył się czerwono-boską mocą. Zaphod maksymalnie wykorzystał sytuację.

- Kłamię? Ja? To mocne, nie? Jedyne powtarzam, co powiedział mi Thor. Nie zabijajcie posłańca i te pe.

- Nie mów tego. Ostrzegam cię, śmiertelniku!

Nawet Zaphod dostrzegał absurdalność tego ostrzeżenia.

- Bo co? Zrobisz mi coś paskudnego? Naślesz na mnie smoki albo oderwiesz mi głowę?

Do Hajmdala dotarło, że powinien skończyć odrywanie głowy, nim Zaphod zdąży wypowiedzieć imię, nagle nerwowość zakneblowała go jednak na znaczący moment. Instynktowne wykorzystywanie znaczących momentów było jedną z nielicznych dziedzin, w których Zaphod naprawdę był fachowcem - pozostałymi były jego szeroko opisywana technika Wielkiego Wybuchu, trzyręczne miksowanie Pangalaktycznych Gardłogrzmotów oraz system odwróconego suszenia nadmuchowego, który nadawał jego czubowi włosów na głowie dodatkowej sprężystości.

- Daj spokój. Zgięty Kijku - powiedział. - Daj mi wejść na górę.

I Hajmdal dał. Po wywołaniu na głos jego świętego przydomka nie miał wyboru. Bóg cofnął się kilkanaście kroków i nadąsany, odwrócił się plecami.

- Jeśli ktoś... ktokolwiek... nazwie mnie w Asgardzie Zgiętym Kijkiem, jestem zobowiązany do grzeczności. Idiotyczny Zgięty Kijek? Co to za boskie imię? - wymruczał, kopiąc luźne kawałki lodu, aż przelatywały przez ścianę atmosferycznej rury, tworząc na powierzchni planety w dole lokalne deszcze. - Loki to sugeruje, a Odyn, oczywiście, uważa to za przekomiczne. Loki mówi: „Popatrzcie na męczącego się na stoku Hajmdala z tym zgiętym kijkiem” i szef o mało nie połyka ze śmiechu brody. I od tego dnia się zaczęło: Zgięty Kijku to, Zgięty Kijku tamto. Miałem wspańnięte imię. Byłem Okiem Asgardu, ale po kilku kuflach najwyraźniej trudno to wymówić, więc jestem teraz Zgiętym-w dupę-Kijkiem. - Ramiona gigantycznego boga kilka razy podskoczyły i z tyłu sprawiał wrażenie kogoś, kto być może lekko chlipnął z żalu nad sobą.

- Hej, daj spokój! - Zaphod wziął się w garść. - Po co ta smętna mina? Dzieje się wiele, co wyjdzie ci na korzyść.

- Cóż takiego? Tkwię na tym idiotycznym moście ze zgrają gadów za przyjaciół. - Tupnął nogą, powodując rozejście się po moście drżących falowań. - Wiesz, co teraz robią? Masz pojęcie?

- No cóż, chyba...

- Oddają się orgii! - zawył Hajmdal. - Staromodnej orgii. A ja? Popatrz na mnie: ścigam śmiertelnych. Mógłbym być w środku, pokryty jerową żywicą tkwić po szyję w...

- W porządku, wielki facecie, istnieje kilka obrazów, których nawet ja nie chciałbym pływających w którejs z moich głów.

- Loki ma dwa pałace. Dwa! Po wszystkich numerach, jakie wykreślił, i siedzi u stołu Odyna. A dlaczego? Dlaczego? Ponieważ pamięta dowcipy. - Hajmdal się odwrócił. Wąsy miał mokre, oczy przepełnione rozpaczą. - Debilne żarciki! To ja chronię planetę. Halo!

Zaphod wsadził trzecią rękę do kieszeni.

- Wiesz, co widzę?

- Co? - Wystająca dolna warga Hajmdala rzucała spory cień.

- Bohatera.

- Nie traktuj mnie jak głupka, Kurduplo... Beeblebroxie.

Zaphod walnął pięścią w udo boga.

- Nie traktuję cię jak głupka, głuptasie. Jesteś prawdziwym bohaterem. A we wszechświecie nazbiera się ich nie więcej niż tuzin. Ja, ty i jeszcze czterech.

Skinienie głową Hajmdala było ledwie widoczne, nawet przy tak wielkim podbródku jak jego.

- Może. Odyn tak tego nie widzi.

Zaphod wspiął się na czubki palców.

- Odyn mnie teraz słyszy?

- Prawdopodobnie nie, jesteśmy w rurze. Chyba że specjalnie słucha.

- W takim razie wybaczone, że to mówię, ale nie zasługuje na ciebie. Posunę się wręcz dalej. Może Odyn powinien się sobie przyjrzeć i zadać sobie pytanie: kto powinien teraz obok mnie siedzieć? Cykorzący sztukmistrz czy mój lojalny strażnik? Sądzę, że sporo ludzi chciałoby poznać odpowiedź na to pytanie.

- Cykorzący? Tak sądzisz? Naprawdę?

- Może i jesteśmy śmiertelni, ale głupi na pewno nie. Ludzie cię lubią, Hajmdal. Uwielbiają cię.

- Może kiedyś tak było.

- Jest teraz. W dalszym ciągu. Wiedziałeś, że na Algolu jest kult Hajmdala? Te słoneczne mał-

py nie mają cię nigdy dość.

- Naprawdę? Na Algotu, mówisz?

- A na Ziemi byłeś, no cóż, bogiem. Wszędzie stawiano ci pomniki.

Hajmdal zachłysnął się lekko.

- O tak, Ziemia... kochali numer z rogiem. - Oczy zamglily mu się i przez chwilę Hajmdal bisował w Skandynawii, aż się zorientował, że Zaphod gra na jego słabościach.

- Nie! - warknął bóg i wytarł sobie nos. - Koniec z tym. Skończyliśmy. Żadnych konszachtów ze śmiertelnymi.

- Musisz. Znam twoje tajne imię.

- Jasne, wal! To chwyć poniżej pasa, nawet jak na ciebie.

Zaphod oparł dwie dłonie o biodra.

- Wzywam twe sekretne imię i żądam mego prawa do wejścia, Hajmdalu, Drzewo Świata, znany także jako Oko Asgardu.

Hajmdal parsknął, nie do końca nieszczęśliwy, i mocno chwycił Gjallarhorn. Postukał nim w ścianę i cała konstrukcja rozsypała się w pył, który rozproszył się po atmosferze, piszcząc: Wolność, nareszcie wolność. Hajmdalu, ty draniu!

- Muszę cię wpuścić - powiedział Drzewo Świata. - Thor prawdopodobnie jest przy Studni Urd, gdzie topi swe smutki, obecnie mniej lub bardziej tam mieszka. Możesz się z nim napić piwa, jeśli ci pozwoli.

- Jedno piwo - stwierdził Zaphod. - Wezmę tylko łyczek.

Gdyby Lewy Mózg przejął tę myśl, gorzko by się roześmiał i oświadczył, że szansa, aby Zaphod Beeblebrox „wziął tylko łyczek”, jest mniej więcej taka sama, jak udzielenie przez mysz odpowiedzi wprost na proste pytanie.

ROZDZIAŁ 8

„Tanngrisnir”

Ford Prefect także zbliżał się do piwnego momentu. Betelgeusański badacz był zdecydowany cieszyć się spokojem i ciszą ciemnej podróży tak długo, jak trwała. W swojej kabynie pozawieszał na iluminatorach koce, zreplikował kufel piwa goggles, po czym podłączył się do komputera statku. *Autostopem przez Galaktykę* ma niezłe łącze sub-etowe, ale system „Tanngrisnira” był tak szybki, że bez zauważalnego opóźnienia mógł wyświetlać w czasie realnym hologram z miejsca oddalonego o tysiąc lat świetlnych.

Megabłyskawicznie wruczajnie, pomyślał Ford, który nie wiedział o hologramach nic poza tym, że strzelają iskrami i nie należy ich lizać.

Ford zalogował się do uBidu i założył się sam ze sobą o kolejny kufel piwa, że nie uda mu się wszystkiego, co prawdopodobnie zarobi do końca życia, wydać w mgnieniu oka. Wygranie zakładu było dziecinną igraszką. Kupił kilka luksusowych jachtów kosmicznych, trzysta galonów odbij-o-galaretki z czosnkiem, niewielki kontynent na Antaresie dla ulubionego bratanka i kilka egzemplarzy megarośliny Zabójcza Gdy Podlana w doniczkach dla najmniej ulubionych pracowników koncernu NieskończoZamaz - wszystko na limit bez dna swej karty dine-o-płatniczej.

Puszczanie wszystkiego na rachunek *Autostopem*, pomyślał Ford, mogłoby sprawić, że poczułbym ukłucie poczucia winy, gdyby redaktor naczelny, Zamiwoop Vann Harl, nie był pozbawionym jaj sługusem Vogonów, otwierającym szeroko kieszenie na ich łapówki.

Jako wędrowny badacz terenowy Ford generalnie nie miał nic przeciwko łapówkom, gdzieś należało jednak postawić granicę, a w jego przypadku przebiegała ona tuż przed tymi, którzy próbowali unicestwić go w paskudny sposób. Próbę morderstwa za pomocą zatrucia alkoholem był gotów wybaczyć i - bardziej niż prawdopodobne - zapomnieć, ale jeśli ktoś próbował go zabić za pomocą głowic termojądrowych, Ford miał skłonność do żywienia urazy.

Po zakończeniu terapii zakupowej Ford kilka razy zamrugał i opadł plecami na oparcie fotela.

Dziękuję, Doxy Ribonu-Clegg, pomyślał. Dziękuję za wynalezienie sub-ety.

Uwaga w Przewodniku:

Z technicznego punktu widzenia Doxy Ribonu-Clegg nie wynalazł sieci sub-eta, a raczej odkrył jej istnienie. Fale sub-etowe krążyły wszędzie przynajmniej od tak samo dawna jak bogowie, czekając cały czas, aż ktoś wpompuje w nie dane. Legenda mówi, że znakomity profesor Ribonu-Clegg leżał kiedyś na plecach na polu na rodzimej planecie i kiedy gapił się zaczerwienionymi z niewyspania oczami na wiszący nad nim wycinek kosmosu, uzmysłowił sobie, że cała przestrzeń jest naładowana informacją i być może - gdyby udało się ją odpowiednio zminiaturyzować - dałoby się przenieść przez kosmiczny kanał tę czy inną jej dawkę. Tak więc Ribonu-Clegg pognął do swego prymitywnego laboratorium i z młynków do pieprzu, kilku żywych la-

laboratoryjnych myszy, paru wybebeszonych urządzeń laboratoryjnych i dwóch lub trzech profesjonalnych fryzjerskich nożyczek skonstruował pierwszy w historii nadajnik sub-eta. Po połączeniu elementów Ribonu-Clegg wczytał fot-o-pix ze swego albumu ślubnego i zaczął się modlić, aby poskładał się on do kupy po drugiej stronie pokoju. Nie udało się to, ale pojawiły się numery na wieczorne ciągnięcie loterii państwowej, co zachęciło profesora do opatentowania wynalazku. Ribonu-Clegg użył wygranej do zatrudnienia grupy prawników-rekinów, a ci skutecznie pozwali dziewięćdziesiąt osiem firm, które wynalazły działające przekaźniki sub-eta, co uczyniło profesora najbogatszym człowiekiem na planecie - aż wpadł do akwarium z prawnikami, oni zaś podążyli za swym instynktem i go zjedli.

Ford był w połowie czwartego kufła, gdy odsunęły się drzwi jego pokoju i ekran na ścianie rozjaśnił równoległobok zielonego światła.

- Hej! Wchodź! Próbuję się zrelaksować wywalaniem firmowej kasy. Zgaś latarkę.

- Bardzo śmieszne - powiedział głos tak sarkastyczny, że nawet niepełnosprawne słuchowo nomiki orzechowcowe z Oglaronu wyczułyby przez wąsy nieszczerłość.

Ford odwrócił się wraz z fotelem i stwierdził, że blask pada od stojącej w drzwiach osoby.

- Wyglądasz nieco zielono - zauważył.

Random niemal zawyła.

- Też byś tak wyglądał, gdybyś spędził trochę czasu zamknięty w rurze z chmurą chlorofilizującego gazu, który próbuje cię uszczęśliwić.

- Uszczęśliwić? To by się nigdy nie udało, prawda?

- Na pewno nie, jeśli matka kręci niemal na twoich oczach z paskudnym kosmitą. Odrażające.

Ford skinął głową z całą swą życiową mądrością.

- No tak, zasada deBeoufa. Czytałem o tym w czymś, co miało prawdziwe kartki. Osobliwy twór, gdzie przewraca się papierowe płachty.

- To była książka - powiedziała Random i być może popatrzyła spode łba, ale trudno to było ocenić.

- O właśnie. Wygląda, że nie jesteś szczególnie zachwycona ostatnią romantyczną historią.

Random weszła do kabiny na sztywnych nogach, z każdym krokiem nad jej ramionami wznosiły się chmury zielonego pyłu.

- Nie. Nie jestem. Jest taki arogancki. Taki...

- Pormokabaniasty?

- O tak. Właśnie.

Ford niecierpliwie poruszał palcami w powietrzu, jakby w coś stukał. Nie mógł się doczekać, kiedy znowu owinie palce wokół uchwytu kufła.

- Więc może porozmawiaj o tym z Arturem. Jest twoim patriarchą biologicznym.

Random gorzko się uśmiechnęła.

- Z Arturem? Próbowałam, ale też się zakochał. W pieprzonym komputerze.

Nawet Forda nieco to zaskoczyło. Nie chodziło o zakochywanie się przez ludzi w maszynach - miał kuzyna, który kiedyś mieszkał dwa lata z tosterem - ale Artur był taki spięty, zasadniczy, taki... całkowicie ziemiański.

- Miłość to miłość - stwierdził, korzystając z wiedzy zaczerpniętej z broszury pacyfistycznego uzdrowiska, które odwiedził kiedyś na Hawaliusie. - Nie sądz, jeśli nie chcesz, aby pojawił się ktoś, prawdopodobnie zielony, i osądził cię, i powiedział: daj spokój, po co to osądzanie, nie sądz, jeśli nie chcesz, aby pojawił się ktoś, osądził cię i tak dalej. - Ford przerwał, aby złapać oddech. - Wypiłem kilka piw, więc parafrazuję.

Jęknął w oczekiwaniu ciosu w pysk zimną rybą cynizmu, ale Random nagle była cała słodka.

- To naprawdę dobre, Ford. Wiesz... mądre. Wracam do kabiny, zmyję z siebie nieco tego szajsu i poważnie się zastanowię nad nieosądzaniem ludzi.

Ford z galanterią machnął jej na pożegnanie.

- Masz ten samorodek wiedzy za darmo, młoda damo. Zawsze gdy poczujesz potrzebę usłyszenia kilku mądrych słów, nie żenuj się wpaść do starego Forda. Mam tony porad w nietypowych zakresach, o których większość ludzi nie ma zielonego pojęcia. Na przykład: co robić tuż przed wybuchem planety. Uwierz mi, jestem najlepszym we wszechświecie ekspertem w tej bardzo wąskiej dziedzinie.

Powiedziawszy to, powrócił do obserwacji ekranu, zadowolony, iż jego okazjonalne zadanie jako Forda Prefecta Wychowawcy Młodzieży przynajmniej w tym żywocie zostało wykonane.

Wychowywanie dzieci. Fraszka. Pojęcia nie mam, o co całe zamieszanie.

Gdyby Ford był nieco bardziej skupiony i mniej wystrefowany, przypomniałby sobie z własnej młodości, że nastolatki nie szcędzą słodyczy jedynie z trzech powodów. Pierwszy: należy oznajmić szokującą wiadomość, zwykle dotyczącą ciąży, używania środków uzależniających lub zakazanego związku. Drugi: wytworzył się u nich głębszy poziom sarkazmu, praktycznie niewykrywalny dla nikogo poza innym mistrzem tej formy, a zdecydowanie nie był nim atakowany sarkazmem dorosły. Trzeci: odrobina gładkiej gadki była przydatnym sposobem odwrócenia uwagi w przypadku, gdy gładko gadający nastolatek chciał coś ukraść.

W chwili gdy Ford Prefect mógłby zauważyć, że jego karta bez limitu zniknęła, już została odłożona na miejsce. Tuż przedtem Random Dent wykorzystwała retrozakupowe okno czasowe uBidu i kupiła coś od dawno zmarłego sprzedawcy. Coś nieco bardziej złowrogiego niż trzysta galonów odbij-o-galaretki. Z czosnkiem.

Czosnkiem w galarecie, nie w złowrogim obiekcie.

*

- Jestem najbardziej nieszczęśliwą osobą we wszechświecie - opowiadał Artur Dent komputerowi „Tanngriisnira”. - Przydarzają mi się niemiłe rzeczy. Nie wiem dlaczego, ale zawsze tak

było. Niania, zawsze gdy dawała mi dropsa, nazywała mnie swym małym magnesem nieszczęść. Tyle że była z Manchesteru i mówiła nieszczęszcz.

Migoczący hologram, który siedział po turecku w nogach łóżka, mrużył oczy, aby szybciej mu szło przeczesywanie pamięci Artura.

- Och... - powiedział hologram Fenchurch. - Dropsa... a przez nanosekundę sądziłam...

- Dokądkolwiek się udam, coś jest wysadzane albo rozwalane przez wściekłych kosmitów.

- Ale ty nie - powiedziała Fenchurch.

- Słucham?

- Nie jesteś wysadzany ani rozwalany. Miałeś już jedno długie i zdrowe życie, a teraz masz kolejne.

Artur zmarszczył czoło.

- Tak, ale... Miałem okres szlafrokowo-piżamowy. Jak bardzo nieszczęśliwym można być? Nie wspominając o byciu porzuconym na pastwę losu na...

- Większość przedstawicieli twojego gatunku nie żyje - przerwał mu komputer, dokładnie tak, jak (jak uważała pamięć Artura) zrobiłaby Fenchurch. - Szansa, że przeżyjesz, wynosiła jeden do miliarda, a jednak ci się powiodło. Dwa razy. Dość szczęśliwy zbieg okoliczności. Tak naprawdę to szczęście na poziomie bohatera powieści.

- Rozumiem twój argument, ale...

- I masz piękną córkę.

- Tak, ale jest humorzasta.

- Naprawdę? Dziwna rzecz, jak na nastolatkę. Naprawdę jesteś przeklęty.

Artur został zbity z pantałyku. Jak miał się czuć, jeśli nie jak ktoś wsadzony na minę? Holograficzna Fenchurch jeszcze dołała oliwy do ognia. Co prawda, nie było to nic tak dziwnego jak: „Patrz! Małpa!”, ale i tak bardzo zaskakującego.

- Kochać kogoś to zarówno stan, jak i czynność - powiedziała.

- Rozumiem. A co się stało ze szczęściem?

- O, tamta rozmowa była powierzchowna, naprawdę chcesz wiedzieć więcej na temat miłości.

- Czym jest?

- Właśnie. I dlaczego najwyraźniej nie jesteś w stanie pogodzić się z jej utratą.

Na tę prawdę Arturowi zaczęło szybciej bić serce.

- A ty wiesz? Możesz mi powiedzieć? Tylko proszę bez liczb.

Fenchurch podrapała się po płatku ucha i w miejscu dotyku zaiskrzyło.

- Mogę ci podać słownikową definicję miłości, wszystkie synonimy i tak dalej. Mogę ci opowiedzieć o endorfinach, synapsach i pamięci mięśni, ale zapach, jaki drga w sercu, jest dla mnie

tajemnicą. Jestem komputerem, Arturze.

Artur ukrył rozczarowanie za pomocą tradycyjnego energicznego pocierania rąk i sztywności górnej wargi.

- Oczywiście. Żaden problem.
 - Zostałam stworzona, aby żyć wiecznie, ale ty zostałeś stworzony, aby żyć.
 - To nie hasło Cybernetycznej Korporacji Syriusza? - spytał Artur, marszcząc czoło.
- Fenchurch rozgrzała dwie grupy pikseli, aby zaróżowiły się jej policzki.
- Może, znaczy to jednak tylko, że cała firma reklamowa uważa, iż w to uwierzysz.
 - Aha, więc nie ma odpowiedzi.
 - Jedynie pytania.
 - Sądziłem, że nie znamy wielkiego pytania.

Fenchurch przyjrzała się swoim palcom.

- Dla każdego brzmi ono inaczej. Dla mnie: ile trwa połowiczny czas rozpadu reaktora statku? Tak naprawdę nie zostałam stworzona, aby żyć wiecznie, to jedynie hasło reklamowe.

- A jak brzmi odpowiedź na pytanie o połowiczny czas rozpadu?
- Pojęcia nie mam. Ten cholerny reaktor został tknięty boską magią. Powinien się wypalić dziesięć tysięcy lat temu.
- Więc i dla ciebie nie ma odpowiedzi?
- Nie.
- Rozmowa pozostaje tylko rozmową?
- Na to wygląda.
- Wygląda na to, że wszyscy polegają na Thorze. Wiem, że był twoim szefem, ale wywarł na mnie wrażenie niezwykle nudnego.

Fenchurch marzycielsko wpatrzyła się w przeszłość.

- Nudnego? Nie. Był kochany. Boski.

Artur nie pamiętał, aby Fenchurch kiedykolwiek miała minę jak w tej chwili.

- Sądzę, że w tej sprawie pozostaniemy odmiennego zdania.
- Doskonale, Arturze Dencie. Mam wybrać przypadkowe pytanie z leksykonu twojej pamięci?
- Świetny pomysł.

Komputer szukał chwilę w plikach.

- Miałbyś ochotę na filiżankę herbaty?
- Na to pytanie umiem odpowiedzieć.

Asgard

Uwaga w Przewodniku:

Azowie zawsze przykładali ogromną wagę do absolutnej wspaniałości Asgardu. Cytuje się syna Odyna, Baldura, który rzekomo powiedział: „Wszystko jest potężne, wielkie i doskonałe. Wy, śmiertelni, z waszymi żalonymi rzeczami i sprawami nie macie pojęcia, jak wyglądają naprawdę doskonałe rzeczy i sprawy. Mamy rzeczy i sprawy, od których przewróciłyby się wasze małe rozumki, i mamy też coś innego - coś w rodzaju maści, w słoikach - co przywróciłoby wam wszystko w głowach do normy. Mamy kosmiczną krowę, która wylizła Walhallę z lodu, i starego człowieka, który wypocił ojca Odyna przez pachę. Tego typu rzeczy dzieją się w Asgardzie na co dzień”.

Powyższa wypowiedź jest typowym przykładem standardowo niejasnego, niespójnego tekstu z imprezy, który skłonił Boama Katarsee, charyzmatycznego przywódcę Horyzońskiego Kultu Agnostycyzmu, do przemycenia się w brzuchu kozy do Asgardu, aby na własne oczy obejrzeć planetę. Często samplowane nagranie Katarsee brzmi następująco: „Zapach zza mojej kryjówki jest niemal nie do zniesienia, wytrzymam jednak dla was, moi ludzie. Nic zaskakującego, że nikt już nie wierzy w tych bogów, bo naprawdę to strasznie śmierdząca sprawa. Słyszę trzaskający ogień, gdzieś z zewnątrz, muszę więc wziąć nóż i wyciąć sobie otwór do ucieczki, zanim to truchło zostanie wrzucone do pieca. Muszę wyjąć nóż... mój nóż... gdzie jest mój cholerny nóż? Wiem, że go miałem, w kieszeni płóciennych spodni. Niech to Zarkwon trzaśnie! Mam na sobie sztruksy! Płomienie zbliżają się, czuję ich gorąco. Ratunku! POMOCY! Wierzę. Wierzę. Nie zjadajcie mnie. Proszę...”. W tym momencie słowa Boama Katarsee robią się niezrozumiałe - z wyjątkiem „moje nogi” i „mamo!”. Przez dziesięć lat od ofiary Boama wiara w Azów osiągnęła na jego rodzimej planecie nieznane szczyty, a bestseller wśród T-shirtów miał napisane z przodu wyraźnymi, łatwymi do odczytania literami: WIERZĘ. NIE ZJADAJCIE MNIE.

Sprawa polegała na tym, że w czasach Boama Katarsee śmiertelni niewiele wiedzieli o Asgardzie, a teraz wiedzą jeszcze mniej, jako że żaden śmiertelnik tam się nie udał i nie przeżył, aby opowiedzieć, co widział, a jeśli jakkolwiek śmiertelny twierdzi, że tego dokonał, jest to albo przebrany Odyn, szukający przygód, albo ktoś kompletnie i na wskroś chory na głowę.

Zaphod Beeblebrox wjechał z poziomu tęczowego mostu na powierzchnię Asgardu luksusowym wagonikiem kolejki linowej. Wagonik był nie tylko wygodny - z własnymi polerowaczami kasku i troskliwą klatką grzejących stopy jaszczurek - ale także dogodny, zatrzymał się bowiem w samym centrum centrum Walhalli.

W opancerzonej budce siedział „celnik” wiking, który na widok śmiertelnika nieco się zdziwił. Prawdę mówiąc, był tak zdziwiony, że oczy wypadły mu z orbit.

- Ło! - Zaphod się skrzywił. - To naprawdę niesmaczne. Możesz zrobić tak jeszcze raz?
- Nie mogę - odparł wiking, wkręcając sobie oczy z powrotem. - Niech mnie piorun trzaśnie,

a kim ty jesteś?

Zaphod odpowiedział w uświęcony tradycją sposób odpowiadania na pytanie pytaniem. Lubił stosować tę taktykę ze względu na jej element denerwujący.

- A kim ty, do pioruna, jesteś?

- To ja tutaj zadaję pytania!

- Jakie zadajesz pytania... tutaj?

Wiking przewrócił oczami, wytwarzając dźwięk, jaki robi bezzębny staruszek, siorbiąc z filiżanki gorącą herbatę.

- Robisz sobie ze mnie żarty?

- Kto robi sobie z ciebie żarty?

Wiking skoczył na równe nogi.

- Dobra. Jestem reanimowanym starym wikingiem. Wystarczy? Aby się tu dostać, ginie w bitwie, po czym reanimują nas jako kretyńskich pracowników cywilnych. Byłem kapitanem własnego langskipa. Rozpruliśmy Anglię, wyrwaliśmy farsz z Saksończyków i za coś takiego dostaję robotę za biurkiem. Zapchlona robotę za biurkiem, wyobrażasz to sobie? Ja! Eryk Czerwona Ręka. Czerwona, rozumiesz, z powodu krwi, która z niej skapała. Oczywiście nie mojej własnej.

- Eryk przestał się drzeć głównie dlatego, że oczy znowu mu się zaczęły wykręcać.

- Rany! - odparł Zaphod. - Naprawdę głęboko to w tobie tkwi.

- Jątrzyło się przez jakiś czas - przyznał wiking, wycierając oko rękawem.

- Lepiej się czujesz?

Eryk westchnął.

- Lepiej. Upuścić sobie nieco napięcia zawsze pomaga.

Zaphod poklepał go po ramieniu.

- Musisz dbać o zdrowie psychiczne, kolego.

- Dzięki. To pierwsza miła rzecz, którą ktokolwiek mi powiedział, odkąd znosiłem się do wielkiej wyprawy na splądrowanie Brytanii. Kapnąłbym łezkę, gdybym mógł.

- Nie wstydź się. Zaphod Beeblebrox lubi rozsiewać radość w miejscach, do których nie docierają inni prezydenci.

Eryk przysunął do oczu deskę z przypiętymi do niej dokumentami.

- O tak... Beeblebrox. Miałem w twojej sprawie telefon od Hajmiego niebiańskiego chłopaka. Oczywiście żadnej wzmianki, że jesteś śmiertelny. Po co oszczędzać serce Eryka, i tak już nie żyje. Typowe.

- Szukam Thora.

Eryk cmoknął.

- Żaden problem go znaleźć. Przy Studni Urd. Idź prosto do Yggdrasila, gigantycznego jesionu, potem skreć w lewo i nie dawaj pieniędzy jednorożcom, bo to jedynie je zachęca. Kiedy spotkasz gościa z haczykowatym nosem, który reaguje na imię Lief, powiedz mu, że moim zdaniem zamieniliśmy się gałkami ocznymi.

*

Nawet Zaphod nie miał trudności ze znalezieniem złotego drzewa - choć jego uwagę odwracały gromady przypominających zombie, reanimowanych wikingów, człapiących po wyłożonych kocimi łbami ulicach i ściskających w kościstych dłoniach pranie albo obojętnie podążających za maleńkimi pieskami.

- To absurdalne - powiedział w końcu. - Wszyscy mają haczykowane nosy.

Drzewo było naprawdę potężne, jego migoczące gałęzie zwieszały się nisko nad ziemią, obciążane mieczami i tarczami poległych bohaterów oraz billboardami reklamującymi płatki zbożowe ZugaNugget, których producent (o ile wierzyć reklamom) sponsorował transport poległych bohaterów przez walkirie z ich śmiertelnego poziomu.

Zaphod zrezygnował w końcu z poszukiwań człowieka imieniem Lief i poszedł dość syfiasto wyglądającą alejką, po której syfiastych ścianach spływał niezły syf, a ponieważ była to strefa magiczna, syf płynął także w górę ścian.

- Co za syf! - stwierdził Zaphod i pogratulował sobie oświadczenia, które nie tylko było mało cenzuralne, ale także określało stan faktyczny i na dodatek mogło ostrzec każdego, kto skradałby się alejką za jego plecami.

- Mówisz do mnie, blondasie? - powiedział jakiś głos i Zaphod stwierdził, że to, co brał za powstały ze ścieków stalagmit, jest poplamionym kawałkiem korzenia jesionu Yggdrasil, przebijającym się od spodu przez kostkę.

- Proszę wybaczyć - powiedział Zaphod. Czuł się jedynie lekko nieswojo, rozmawiając z drzewem. W minionych kilku latach rozmawiał ze znacznie gorszymi rzeczami. - Sądziłem, że jesteś częścią kanalizacji.

- Niewiele mi brakuje - odparł Yggdrasil, choć Zaphod nie dostrzegał żadnych ust. - Przy tej ilości śmieci, jaką wylewają tu prosto na ziemię... Wszystko przechodzi przez moje korzenie. Nic dziwnego, że obsunąłem się o kilka punktów w IQ, nie? Jesteś tym, co jesz i tak dalej.

- Szukam Thora.

- Wielkiego Rudzielca? Przez te drzwi i dalej prosto.

Zaphod zmrużył oczy, aby przebić się przez półmrok, drzwi były jednak tak samo trudne do dostrzeżenia jak usta Yggdrasila.

- Nie widzę żadnych drzwi.

- Musisz wypowiedzieć magiczne słowa.

Zaphod potarł skronie i skupił się.

- W porządku. Nie podpowiadaj. Coś czuję, wypływającego z eteru. Czy to brzmi: „Drzewa są

wrucajne”?

- Pochlebstwami wszystko zyskasz - powiedziało drzewo i rozsunęło grupę pnączy czepiających się wilgotnej ściany, ukazując nikotynowożółty poblask. - Masz wejście, blondasie.

Zaphod wszedł do środka. Nie musiał się schylać, ponieważ drzwi za pnączami były zrobione dla osoby o znacznie większych gabarytach.

Nano

Hillman Hunter patrzył przez okno gabinetu na tropikalny majestat planety, którą kupił na skraju mgławicy.

Dobrze zrobiłeś, Hillers, powiedział mu w głowie głos jego Nano. Gdybyś nie przesunął tych ludzi z Ziemi, ich atomy byłyby teraz rozproszone po całej Galaktyce. Co byś wolał: nieco niepokojów społecznych czy masę trupów?

Hillman wiedział, że jego Nano ma rację, nie mógł jednak pozbyć się myśli, że gdzieś po drodze zrobiono go w wała. Musiał istnieć lepszy układ, a Zaphodowi Beeblebroxowi jakimś sposobem udało się go przed nim ukryć i Hillmana bolała myśl, że został wykiszowany przez oczywistego matoła.

Zawibrował stojący na jego biurku interkom, odtwarzając uwagę Hillmana od widoku. Pomachał ręką nad sensorem i na biurku pojawił się niewielki hologram, ukazujący jego sekretarkę.

- Tak, Marilyn?
- Chce się z panem widzieć pewna kobieta.
- Była umówiona?

Marilyn zamiauczała, jakby było to trudne pytanie.

- Mówi, że będzie.
- To nieco zagadkowe, Marilyn. Mogę prosić o wyjaśnienie?

Zanim Marilyn zdążyła odpowiedzieć, w fotelu do prowadzenia rozmów Hillmana pojawiła się kobieta. Ostatnie wywiady sprawiły, iż przywykł do powolnej materializacji, przechodzącej przez kolejne stadia migotania, ta kobieta zmaterializowała się jednak, jakby włączono przełącznik.

- Jezusicku! - zapiszczał Hillman.
- Właściwie to nie. Nazywam się Gaja, Hillmanie Hunterze - powiedziała kobieta poważnym, ale przyjemnym tonem.
- No tak, Gaja, Ziemia-Matka. - Hillman zaczął przerzucać stertę leżących na jego biurku aplikacji. - Nie zamierzałem prowadzić rozmów z żeńskimi bogami.

Gaja przyspiliła Hillmana ciemnobrązowymi oczami.

- Nie, ale dla mnie zrobiłbyś wyjątek, postanowiłam więc przyspieszyć sprawę.

Połączenie oczu i głosu było hipnotyzujące i Hillman stwierdził, że jest mu bardzo miło w towarzystwie kobiety.

- To było prawdopodobnie... to było rozsądne działanie.

Gaja miała trójkątną twarz ze zmysłowymi ciemnoczerwonymi ustami.

- Masz czas na rozmowę ze mną, prawda, Hillmanie?
- Oczywiście. Jezusie, oczywiście, na rany mamusi!
- Jestem Ziemią-Matką bez Ziemi i potrzebuję nowego domu. Mogłabym tu być szczęśliwa, Hillmanie. Ty też mógłbyś być szczęśliwy.
- No tak, Ziemi-Matko. Szczęśliwy jak Świnia w... bardzo szczęśliwy.
- Nie ma potrzeby prowadzenia dalszych rozmów kwalifikacyjnych.
- Nie. Dlaczego miałbym rozmawiać z kimkolwiek więcej?

Gaja uśmiechnęła się i pochyliła do przodu. Hillman widział, że jej szczupłe palce są silne.

- Mogę wykarmić tę ziemię. Sprawić, że wszystko będzie rosło.
- To wspaniale. Rośnięcie to dobra rzecz.

Ziemia-Matka rozłożyła na bok ramiona i Hillman poczuł zapach letnich miesięcy swej młodości.

- Kobietom napełnią się piersi i będą płodne, a mężczyźni będą ich pożądać.
- Gżenie się też jest niezłe.
- Musimy jedynie wyjaśnić kilka drobiazgów związanych z honorarium.

Akurat tego nie należało mówić Hillmanowi Hunterowi, gdyż mgła w jego głowie się rozwiła i nagle poczuł potrzebę zadania kilku kluczowych pytań.

- Drobiazgów związanych z wynagrodzeniem? Jakich na przykład?
- No cóż, cały pakiet jest mizernie mały. Jak mam utrzymać świętę...
- Świętę? Nie przypominam sobie, aby w ogłoszeniu była mowa o świcie. Wymieniono tylko jedną pozycję.
- Ale z pewnością bogini mojej rangi...

Hillman nagle zamienił się w rekina.

- O jakiej randze mówimy? W ostatniej pracy niczym pani nie zachwyliła. O ile pamiętam, planeta została nawiedzona przez zarazę i większość plonów została zniszczona za pomocą pestycydów.

- Sprawy wymknęły się na Ziemi nieco spod kontroli - przyznała Gaja. - Ale to się nie powtórzy.

- Naprawdę? Może przeanalizujemy to? Powiedzmy, że dochodzi do powstania, wzrostu wiary w innego boga. Jak by pani sobie z tym poradziła?

Gaja uprzejmie się uśmiechnęła.

- W przeszłości radziłam sobie z różnymi problemami. Kiedy sytuacja tego wymaga, umiem być twarda.
- Proszę wyjaśnić.

- Pamiętam, jak kiedyś Uranus strącił cyklopów do Tartaru, aby nie widzieli światła. Sprawilo mi to spory ból, jako że, może nie wiesz tego o mnie, w znaczeniu refleksologicznym Tartar był moimi jelitami. Zrobiłam wielki krzemienny sierp i kiedy Uranus zjawił się w mej komnacie na cotygodniowe: „Jak twój tata?”, kazałam memu synowi Kronosowi obciąć mu sierpem fajfusa. - Na wspomnienie tej chwili Gaja radośnie klasnęła w dłonie. - Och, co to była za noc i pół! Sądzę, że odpowiedzieliśmy na twoje pytanie. Twardo, ale uczciwie, oto moje motto. Ciągle jeszcze mam gdzieś ten sierp. Nigdy nie wiadomo, kiedy przyda się kilka kropel wyschłej świętej krwi.

Hillman skrzyżował nogi - czuł fantomową utratę, której miał żarliwą nadzieję nie doznać nigdy w rzeczywistości.

Obok imienia Gai na aplikacji napisał trzy słowa:

PO MOIM TRUPIE.

Asgard

Śmierząca nora zniszczonych marzeń, do której wszedł Zaphod, dokładnie pasowała do miejsc, z jakich zwykle go wyrzucano, i natychmiast poczuł się jak u siebie.

Miejsce jak dla mnie, pomyślał. Nawet powietrze jest tu niebezpieczne.

Prawda w stu procentach. Zarazki zbijały się w gromady i dryfowały przez mętne powietrze kolorowymi chmurami, słabosilnie próbując zarazić skamieniałych zombie i niby-bogów. Zaphod nagle był szczęśliwy, że Lewy Mózg zaszczepił go od A do Z podczas snu. W każdym razie LM przysięgał, że to były szczepienia.

Nad głową Zaphoda przeleciała chmura, podśpiewując: *otwarte komórek ściany, zropiałe rany*, została jednak odstraszona zapachem środka przeciwwirusowego w jego oddechu.

Gdyby był to film, każdy przerwałby to, co robił, aby pogapić się na przystojnego nieznajomego, większość klientów Studni Urd była jednak pod tak znacznym wpływem, że ledwie mogła skupić spojrzenie na kuflach na stole - nie wspominając o rzucie okiem na przybysza. Ktoś z pijących zawył: „Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin, panie prezydencie!”, najprawdopodobniej jednak był to wynik halucynacji. Zaphod zszedł trzy stopnie na poziom knajpy, ominął kilka pa-skudnych parujących kałuż, aż dotarł do baru, wznoszącego się niczym potężny klif.

Z góry popatrzył na niego blady reanimowany wikiński barman z kilkunastoma blond włosami, przylepionymi do błyszczącej łysiny.

- Co mogę dla ciebie zrobić, młody?

- Możesz mi powiedzieć, gdzie jest Thor.

Barman zagwizdał przez dziurę w policzku.

- A dlaczegoś chciałbyś znaleźć Thora? Jesteś żywy i tak dalej.

- Czy to znaczy, że ma zły humor?

- Można powiedzieć. Nic nie robi, tylko pije i gra w szachy. A im więcej przegrywa, tym więcej pije.

- W ogóle nie wygrywa?

Barman parsknął.

- Wygrywa? Nikt tu nie wygrywa, młody.

Zaphod popatrzył na wikinga.

- Nie nazywasz się przypadkiem Lief?

Barman natychmiast się wściekł. Wyciągnął z kabury pod pachą minitopór i zaczął rąbać kontuar.

- Powiedz Erykowi, że jak chce rozmawiać o gałkach ocznych, to niech sam przyjdzie. Powiedz mu to ode mnie. Niech przyjdzie, to pogadamy!

- Powiem mu - odparł Zaphod, cofając się. - Jeżeli przeżyję pogawędkę z Thorem.

- Nie Thorem powinieneś się martwić - stwierdził barman, szybkim ruchem palca wskazując w kierunku ciemnej wnęki w głębi baru. - Tylko tymi małymi draniami.

Zaphod machnął pewny swego.

- Nie martw się. Jestem w show-biznesie od lat, wiem, jak obchodzić się z draniami.

*

Wedle asgardzkich standardów bar był zatłoczony i Zaphod miał wrażenie, że w trakcie podchodzenia szybkim krokiem do stolika Thora traci na wadze. Po drodze minął kilka awantur, dwa magiczne rytuały (w tym jeden z udziałem rozżarzonego szpikulca i kręgu wyjących jednym głosem wilków), stos pogrzebowy, obłożony wysoko ciałami i kiełbaskami, oraz zamrożone jezioro z jeżdżącymi na łyżwach karłami, gonionymi przez trzynogie potwory.

Mógłbym tu mieszkać, pomyślał Zaphod.

Gry i zabawy zatrzymały się zawstydzone przed boksem Thora. Wyglądało na to, że niepisana umowa każe zostawić Boga Piorunów w spokoju, co najprawdopodobniej było wynikiem informacji, wyraźnie napisanej na poblakłej do białości ścianie czymś, co wyglądało na zakrzepłą krew: ZOSTAW MNIE W SPOKOJU, TO PRAWDOPODOBNIEM CIĘ NIE ZABIJĘ. OCZYWIŚCIE NIC NIE MOGĘ OBIECAĆ. PRAWDOPODOBNIEM, TO WSZYSTKO, NA CO MNIE STAĆ.

Zaphod przeszedł linię spokoju i po raz pierwszy od wejścia do baru poczuł na sobie spojrzenia licznych oczu.

Nie cykoruj, Zaphodzie, powiedział sam do siebie. To, co się między nami stało, miało miejsce wieki temu. Prawdopodobnie już o wszystkim zapomniał. Sam ledwie cokolwiek pamiętam. Miało to coś wspólnego z międzyplanetarnym incydentem z udziałem parasolki o mitycznej mocy i tajnego przepisu na mistrzowskie lody. Zaphod zmarszczył czoło. Nie. Numer z parasolką i lodami dotyczył całkiem innego boga.

Zaphod widział byłego przyjaciela - siedział przy okrągłym stoliku, plecami do tłumu. Cóż to były za plecy - szersze niż przeciętny lodowiec, z węzłami mięśni o wielkości głazów i potężnymi, napiętymi pasmami mięśni na ramionach. Rude włosy zwisały, związane w nędzny ogon, a rogi hełmu były poplamione od długich nocy spędzonych w złym powietrzu planety.

Zaphod zastanawiał się, czy nie zacząć od drobnego żarciku, powietrze nagle jednak rozerwały ostre, piszczące jak nahelowane głosy.

- Co? I to wszystko?

- To ma być ten znakomity ruch?

- Od ilu już lat to robimy? Niczego się nie nauczyłeś.

Zaphod cicho wszedł do wnęki. Rzucił szybko okiem pod pachą Thora.

Bóg Piorunów wysłuchiwał kazania grupy złotych figur szachowych, stojących po przeciwnej stronie szachownicy. Jego figury były drewniane, najwyraźniej zostały zastraszone i zamilkły.

Mały złoty skoczek był agresywny.

- Daj spokój, Thor. Rozmawialiśmy o tym. Nigdy nie odsłaniaj króla. To podstawowa wiedza. Cholerne przedszkole.

- Uważaj! - zadudnił Thor i głos sprawił, że po kręgosłupie Zaphoda przebiegły dreszcze. Głos przypominał sennego tygrysa, warczącego na dnie studni; nic dziwnego, że kobiety nigdy nie miały go dość.

- Bo co? - odparował wyzywająco skoczek. - Jesteśmy starożytnymi figurami szachowymi Azów. Nie możesz nas zabić, jesteśmy tak samo nieśmiertelne jak i ty, do tego, pozwolę sobie dodać, znacznie starsze.

- Mogę was, bezczelnych huncwotów, sobie stopić i zrobić z was nocniczek. Co ty na to?

Skoczek się roześmiał.

- Możesz nam grozić, ile chcesz, dziewczynko z piorunami, a w dalszym ciągu będzie szachmat.

Thor zabębnił palcami w stół.

- Ustawcie się na nowo! Muszę dokończyć pewną sprawę. - Płynnym ruchem Thor okręcił się na krześle i posłał wielki wojenny młot, który leżał w poprzek jego ud, wirującym ruchem prosto w kierunku głowy Zaphoda.

Młot zamarł centymetr od jego nosa, po czym zapędził go w kąt niczym zaganiający stado owiec pies.

- Ładna akcja z młotem - zaskrzeczał Zaphod. - Wiedziałem, że nie zamierzałeś mnie zabić.

Thor odwrócił się plecami.

- Wynoś się stąd, zanim dam Mjöllnirowi zrobić to, co chciał od pierwszego przeklętego dnia, w którym się spotkaliśmy.

Zaphod spróbował się poruszyć, ale młot przycisnął go z powrotem do ściany.

- Daj spokój, przyjacielu. Przebyłem długą drogę, aby z tobą porozmawiać.

Thor stęknął.

- Wiesz w ogóle, dlaczego tu jesteś? Pamiętasz?

- Nie do końca - odparł Zaphod. - Aby być szczerym, muszę jednak przyznać, że unosi mi się nad czołem gigantyczny młot, a z pewnością wiesz, ile osób kocha mą twarz, jestem więc nieco rozkojarzony.

Ramiona Thora opadły i westchnął.

- Ludzie kochali moją twarz. Byłem uwielbiany, dopóki się nie zjawiłeś.

- Znowu możesz być uwielbiany. Właśnie dlatego tu jestem. O, przypomniałem sobie!

- Wynos się, Zaphod. Zabieraj swój nędzny żywot i znikaj z mojego. Nie zabijam cię tylko dlatego, że nie da się zappełnić pustki we własnym wnętrzu ciałami. Nauczyłem się tego w kręgu czasu. - Pstryknął palcami i Mjöllnir wskoczył mu w dłoń. - A teraz odejdz, Beeblebrox. Muszę zadzwonić do mojego trenera kontroli nad agresją.

- Możesz pogadać z nami, kolego - powiedziała złota wieża.

Thor pomasaował szczyt błyszczącej figury.

- Wiem. Wiem, że zawsze mogę na was polegać.

- Mamy zabić śmiertelnego? - spytał pionek. - Wieża może wpełznąć mu do gardła i go zadławić.

- Nie. Nie jest tego wart, ale doceniam propozycję.

Ponieważ Zaphod nie był w stanie ocenić, jak sytuacja się rozwinie, nie zawahał się nawet pół sekundy potrzebnej na zignorowanie oferty. Wspiął się na podnózek, potem na siedzisko fotela, wszedł dalej po poprzeczkach drewnianego oparcia i w końcu stanął na stole Thora.

Bóg Piorunów pochylał się nad piwem, jakby ktoś zamierzał mu je ukraść. Oczy miał spuszczone, emocje zamieniły twarz w napuchniętą maskę. Zbierała się burza, a w przypadku Thora nie była to jedynie figura retoryczna - nad głową kipiała mu miniaturowa burzowa chmura, z której niczym jaszczurze języki wysuwały się ostrza błyskawic.

- Fajne miejsce - powiedział Zaphod, przysiadając na popielniczce. - Przydałoby się jednak kilka dużych telewizorów. Może też jacuzzi. Czasami lubię połączyć piwo i bąbelki.

Thor podniósł kufel i huknął nim w blat, aż piana wykipiała przez krawędź.

- Korzystaj do upojenia - powiedział. - Bąbelki i piwo.

Zaphod przyjął propozycję - jak większość - za dobrą monetę i błyskawicznie rozebrał się do bielizny, nie zapominając na szczęście o wyłączeniu akumulatorów przed wskoczeniem do kufła Thora. Zanurzył się po jabłko Adama i przez kilka chwil płynął na grzbiecie, używając trzech rąk, równocześnie wypływając fontannę bursztynowej piany.

- Podoba mi się to miejsce - zbulgotał Zaphod. - Ma taką miłą... jak to nazywacie?

- Toaletę?

- Nie. To drugie.

- Atmosferę?

- No właśnie. O to mi chodziło.

Thor zamruczał groźnie i w chmurze nad jego głową zakotłowało się od elektryczności.

- To jest Studnia Urd, Zaphodzie. Gdzie wałęsają się półbogowie i różne indywidua podłego autoramentu. Przychodzę tu, aby nikt mnie nie nagabywał.

- Indywidua podłego autoramentu! - powiedział złoty goniec, stojący na poziomie oczu Zaphoda. - To dość mocne. Lepiej trzymaj swe nastroje w szachu, przyjacielu.

Uwagę Zaphoda odwrócił błysk dziesiątków opalonych, jędrnych nóg i setek białych zębów.

- Patrz, te atletycznie wyglądające damy machają chyba do nas!

Thor dyskretnie popatrzył przez palce. Grupa posagowych walkirii powolnymi ruchami zmywała za pomocą beczek wody krew z napierśników ZugaNugget.

- Wybij to sobie z głowy, Zaphod. Są poza twoim zasięgiem.

Zaphod wylał z kufla.

- Poza moim zasięgiem? O czym ty mówisz?

- O wykonalności. Popatrz na te dziewczyny. Bez trampoliny nie byłbyś w stanie sięgnąć im nad nagolenniki. Zastanów się, są także poza moim zasięgiem.

Zaphod otrząsnął się jak pies.

- Daj spokój! Nie takiego Boga Piorunów znałem. Pamiętam, jak mój przyjaciel Thor zniknął na tydzień z niejaką Eccentricą Gallumbits, co skończyło się tym, że zaczęła mu płacić.

- Daj spokój, Zaphod.

Zaphod szybko wskoczył w spodnie.

- Dokładnie tego potrzebujesz, stary. Ciebie i mnie w tangu z kilkoma pięknymi kobietami. Idę do nich.

- Nie idziesz.

- O tak! Może i jestem mały, ale bez wątplenia mam pewne *je ne sais quoi*.

- Pewne co?

- Pojęcia nie mam, ale jeszcze nigdy mnie to nie powstrzymało.

W oczach Zaphoda był błysk, który Thor doskonale znał.

Uwaga w Przewodniku:

Błysk ten nie miał nic wspólnego z minibluskami. Było to raczej spojrzenie wyrażające bezlitosny romantyzm, podobny do tego, jaki widuje się w oczach narcyzoryby z Flargatonu, która w trakcie szukania partnera jest gotowa nadymać się w sposób przekraczający tolerancję elastyczności łuski. Jeżeli jest taka konieczność dla wywarcia wrażenia na samicy, samiec narcyzoryby powoduje własny spektakularny wybuch. Jest to rzeczywiście mogąca zrobić wrażenie cecha, a - oddając sprawiedliwość samicom - zazwyczaj uznają poświęcenie i zanim nałożą najlepszy naszyjnik z pereł i wrócą na rafę, często są przez kilka dni obrażone.

Lektura dodatkowa:

Scaly Finnster (śp.). Miłość, która rozrywa na strzępy.

- Cofnij się, Zaphod! Ostrzegam cię!

Zaphod szedł po stole, właśnie omijał spluwaczkę.

- Dokładnie tego potrzebujesz, Thorze. Będziesz mi jeszcze dziękował. - Skierował swój najlepszy uśmiech do walkirii. - Witam panie! Może jeszcze mnie nie znacie, ale jutro będziecie za mną tęsknić.

Zdezorientowane półuśmiechy walkirii nagle rozmazały się za szklaną ścianą. Zaphod przez chwilę sądził, że to nagły przypływ ich chcicy rozgrzał powietrze do wrzenia, zaraz jednak zauważył, że Thor uwięził go pod kieliszkiem do wódki, co dość gwałtownie uświadomiło mu, jaki jest w tym świecie mały. Zwłaszcza że zdawał się mieć taki rozmiar, jaki zechciał mu nadać Thor. Zaphod mógłby przysiąc, że jeszcze kilka sekund temu nie zmieściłby się pod kieliszkiem.

- Daj spokój, Thor! - wrzasnął, a głos odbił się od szkła i uderzył go jak pięścią.

Dziwne, pomyślał Zaphod. Akustyka w środku sprawia, że brzmię płacziwie.

- Masz być moim skrzydłowym - dodał Zaphod. - Jesteśmy jedną drużyną. Pamiętasz te tancerki antygraw w Han Dold City?

Thor przyciągnął kieliszek w swoją stronę, przesuwając go niebezpiecznie blisko skarżącego się piona i dla utrzymania równowagi Zaphod musiał tańczyć po stole jak baletmistrz.

- Nigdy nie byłem w Han Dold.

- Naprawdę? Mógłbym przysiąc... w takim razie to musiał być jakiś inny Az. Przypominam sobie rudą brodę. Na pewno nie byłeś to ty?

- Na pewno. Jestem bogiem, a my nie zapominamy niczego. To jest częścią problemu.

Thor podniósł kieliszek i Zaphod poczuł, że rośnie, aż był mu niemal równy, a nie jak jego piesek.

- Problem? Jaki problem?

Thor walnął w stół, aż po blacie poleciały fale piwa.

- Jaki problem? Jaki zarkwokichany problem, Zaphodzie? Mówisz poważnie? Naprawdę o to pytasz?

Zaphod zmarszczył czoło.

- To była masa pytań. Jaki problem? Jaki zarkwokichany problem? Jak brzmiało trzecie?

- Nieważne - powiedział Thor i łyknął piwo w ilości, która pozwoliłaby utopić stado gadziossaków. - Zaphod Beeblebrox ma w głębokim poważaniu wszystkich poza sobą samym...

Uwaga ta niemal zszokowała Zaphoda, uważał bowiem, że dzielenie się z pewnymi ludźmi głębią osobowości jest najczystszy aktem miłości.

- To straszne, co mówisz. Przez lata byłem twoim najlepszym przyjacielem.

- Aż przekonałeś mnie, abym zamieścił w sub-ecie to wideo - gorzko stwierdził Thor. Sprężysta burzowa chmurka nad jego głową sflaczała, uwalniając drobną mżawkę. Nie potrzeba było wielkiego mózgołoga, aby pojąć symbolikę.

Zaphod zauważył, że jest już tylko o głowę niższy od boga. Usadowił się na pobliskim stołku i uznał, że mógłby dla poprawy nastroju rzucić dowcipem.

- Nigdy nie przepuszczę okazji, aby posiedzieć sobie na tronie - powiedział, stukając palcami w stół. BABAM BARAMBAM.

Thor poklepał obuch Mjöllnira.

- Jeszcze jeden, Zaphodzie. Walnij jeszcze jeden.

- Nie możemy zapomnieć o tym wideo? To sprawa przeszłości i pozwól, że coś ci powiem o przeszłości. Jest właśnie tam, w przeszłości. Pamiętasz to zdanie o przeszłości? Jest już w przeszłości. Ledwie mogę je sobie przypomnieć, poza tym, że zawierało słowo „przeszłość”. Przeszłość składa się ze wspomnień, te z kolei są zrobione z martwego materiału, który nie może cię zranić, jak mógłby na przykład spiczasty patyk. Z atomów i tak dalej. Także z kwarków, co wcale by mnie nie zdziwiło. Ale już zmarnowanych, leżących bez ruchu i niczego nikomu nie-robiących.

- Masz coś konkretnego do powiedzenia? Czy to też przeszło do przeszłości?

Zaphod artystycznie ułożył ramię wokół masywnych barków Thora.

- Sens mojej wypowiedzi jest taki, że być może postawienie na to wideo było nie najlepszym wyborem, ale sprzedaż biletów spadła i potrzebowaliśmy czegoś, aby twój profil wrócił na listę A. Wideo z ukrytej kamery było ostatnim krzykiem mody i szczerze mówiąc, niektórym ludziom się spodobało.

- Niektórym ludziom? - zaburczał Thor. - Na przykład temu kultowi na statku prywatkowym? Te świry na pewno z radością rzuciły się do oglądania. Niestety, reszcie Galaktyki, zwyczajnym śmiertelnikom, nie bardzo spodobał się pomysł, aby ich bóg paradował obwiązany szmatami jak dewiant z ciemnego zaułka.

Zaphod wzruszył ramionami.

- Muszę przyznać, że doszło do pewnych sprzeciwów.

Thor pomasaował sobie skronie.

- Sprzeciwów... Wiem, jaki jesteś płytki, ale nawet ty musiałeś zauważyć efekty uboczne. Mój ojciec wysadził całą planetę, na której filmowaliśmy. Wszystkie moje piękne świątynie zostały zburzone. Spadłem z czwartego miejsca ulubionych bogów na sześćdziesiąte ósme, za Skadi! Skadi! Boginię zarkwodurnych rakiet śnieżnych!

- Rakiety śnieżne to ważna rzecz. Daj spokój, przyjacielu, nie możesz wyrzucić całej sprawy z pamięci? Tak jak ja?

Thor przeciągnął ośmioma palcami przez brodę.

- A ten kostium, Zaph? I te kałamarnice pom pom?

Cap! - pomyślał Zaphod. Mam go!

- Drobną pomyłką w kalkulacji. Może.

- A to, co mówiłem... - jęknął Thor i zadrżał.

- To był występ aktorski. Grałeś rolę.

- Odyn wysrał kota. Tak naprawdę to małego żywego tygryśka. Matka nie może na mnie patrzeć. Powiedziała Lokiemu, że widzi jedynie lateksowy gorset.

- To była sztuka. Nie każdy rozumie sztukę.

- Masz pojęcie, ile wyświetleń miał ten filmik? Przez minionych pięć lat był na pierwszym miejscu filmów oglądanych w całej sieci sub-eta!

- Doskonale to ująłeś. Minionych! Ten film przeszedł do przeszłości. W przyszłym roku pojawi się nowe wideo z Thorem, przywróci cię do gry, odda należne ci miejsce.

- Naprawdę... i cóż zaplanowałeś na bis? Mam się wyrwać z odbij-o-galarety?

Zaphod przysunął się tuż do twarzy Thora.

- O nie, przyjacielu. Żadnych ustawianych numerów. To będzie realne. Oldskulowa naparzan-ka. Wyśledziłem nieśmiertelnego, który ma ukradziony ci statek i wyzwiał cię na ostateczną roz-grywkę.

Burzowa chmura nad głową Thora wypluwała gromady tryskających energią błyskawic.

- Kontynuuj, Zaph. Słucham cię.

Hillman Hunter

Hillman Hunter nie był jedynie stereotypowym Irlandczykiem - był stereotypowym ajryszem z minionej epoki, jakiego mógł sobie tylko wymarzyć Celt wygnaniec w okularach w szmaragdowych oprawkach i z łbem nasączonym whisky i nostalgią. Na szczycie głowy Hillmana Huntera tkwiło gniazdo zrobione z kręconych rudych włosów, twarz miał pokrytą piegami wielkości miedzianych pensówek, kołyszący się chód na beczkowatych nogach sugerował młodość spędzoną w siodle rasowego konia, a w prześwicie rozpiętego kołnierzyka koszuli migotał złoty krzyżyk.

Z całym szacunkiem do irlandzkości na nutę *diddle-iii-aj*, ale Hillman Hunter przypominał wór kartofli. Kiedy wchodził do pomieszczenia, trzeba było się mocno wysilić, aby nie powitać go serdecznym: „Pochwalony!”, podziękować Bogu za łagodny dzień i zagaic o zdrowie U2. Nawet ton jego głosu pasował do oczekiwań - a czemu nie miałby, jeśli Hillman wzorował swój akcent na Barrym Fitzgeraldzie, irlandzkim aktorze, który był już stary, kiedy telewizja była jeszcze młoda. Tak samo wystudiowana wydawała się reszta trywialnego pakietu. Farbował włosy, odkąd posiwał w osiemnastym roku życia. Stał się mistrzem lokówki, a bladą cerę nakropił sobie piegami, leżąc godzinami na łóżku opalającym.

A motyw tych wszystkich zabiegów? Prosty. Coś, co dawno temu powiedziała mu jego Nano.

- Ludzie kupują wygody - powiedziała, rozpruwając świni gardło sierpem. - Jeśli zapewnisz im wygodę, kupią wszystko, co zaoferujesz.

Połączenie mądrości i fontanny tętniczej krwi było nieodparte i Hillman nigdy nie zapomniał lekcji, jakiej udzieliła mu babcia.

Zapewnij ludziom wygodę, po czym sprzedawaj im, co zechcesz.

Tak więc młody Hillman przepoczwarzył się w lubianego aktora i zaczął sprzedawać drogie rzeczy bogatym ludziom. Opychał samochody i jachty, potem wszedł poziom wyżej - w konie i zamorskie nieruchomości. Miał dar. Wrodzony talent. Ludzie uwielbiali jego gadkę o starym świecie i byli zauroczeni jego kunsztem w posługiwaniu się tradycyjną irlandzką pałką *shillelagh* (choć preferował wersję miniaturową i inkrustowaną diamentami). W wieku czterdziestu lat Hillman był milionerem - z samych prowizji. Tuż po pięćdziesiątce był w połowie drogi do zostania miliarderm, krążył między rezydencjami jaguarem i chodził po posiadłościach wspomagany przez dwa biohybrydowe stawy biodrowe, lepsze od oryginalnych, i które na dodatek w razie złamania wezwałyby producenta.

Hillman doszedł do wniosku, że dałoby się wyciągnąć więcej kasy, gdyby ktoś bystry wymyślił sposób na spędzenie forsiastych ludzi w jednym miejscu i doprowadził ich do tego, aby bulili dzień w dzień. Jak to jednak osiągnąć? Odpowiedź wyrzała spomiędzy migotu nagłówek telewizyjnych wiadomości. Czasy były nielekkie i cierpiące na brak ludzi Siostry Okazyjnej Pomocy zostały zmuszone do wystawienia na aukcji jednej z nieruchomości Kościoła - wyspy Innisfree.

Hillman tak się podniecił, że jego lewy staw biodrowy zadzwonił do Japonii.

Innisfree. Wyspowa inspiracja dla ulubionego filmu Nano wszech czasów: *Spokojnego człowieka*. Celuloidowy dom jego własnego szablonu osobowościowego. Los dawał wskazówkę, przeznaczenie podsuwało torbę z prezentem, opatrność waliła w łeb młotkiem sugestii.

Hillman przelicytował mętną korporację, której pochodzenie każdy, kto jako tako znał się na sieci sub-eta, mógł prześledzić aż do grupy wypoczynkowej na gwieździe Barnarda, i kupił wyspę wraz z pozwoleniem na samotnię, którą zakonnice zamierzały wybudować dla weekendowych grup picia sherry.

Już pierwszego mglistego poranka, kiedy skifem z zaburtowym silnikiem popływał po jeziorze Lough Gili w irlandzkim hrabstwie Sligo, Hillman Hunter wiedział, że znalazł garnek złota.

- W mordę jeża - zaklął cicho i z polotem. - To ziemia obiecana.

Zamiast samotni Hillman zbudował najbardziej luksusowy w Irlandii ośrodek wypoczynkowo-sanatoryjny i dla zapewnienia, aby ściągał zainteresowanie wyłącznie najbogatszych klientów, wymyślił religię i wpisał ją do broszury.

Uwaga w Przewodniku:

Choć Hillman Hunter nie mógł tego wtedy wiedzieć, pismo „Kto Co Gdzie” połączyło go w parę z Karem Paltonnle'em z Esflovian, kolejnym wygadany typem, któremu udało się przekonać kilka zamkniętych społeczności, że z czystej logiki wynika, iż w chwili nadejścia Armagedonu zostaną wybrani do przeżycia. Jego kariera ruszyła z kopyta dzięki niezwykle szczęśliu, kiedy Armagedon przybył na Esflovian pod postacią kwalifikowanej grupowej terapii jądrowej. Pan Paltonnle zarobił kupę szmalu jako przywódca kultu do wynajęcia, prawdziwą fortunę zbil jednak na oprogramowaniu komputerowym, po opatentowaniu programu o nazwie Boski Guru, pozwalającego każdemu chętnemu na jawangelistę wpisać kilka faktów o społeczności, której zamierzał dostarczać przewodnictwa duchowego, a komputer zastanawiał się przez minutę lub dwie, po czym wypluwał odpowiedni katechizm, kompletny z odpowiednią liczbą przykazań, uzasadnieniami wszelkich przesądów oraz hierarchią świętych. Pakiet w wersji deluxe dawał kupującemu możliwość zarejestrowania się jako oficjalny bóg za pomocą prawnej furtki, pozwalającej ominąć zwykły wymóg trzech cudów.

Powinniśmy się nazywać Nanici, postanowił Hillman bez pomocy oprogramowania. I powinniśmy wierzyć w istnienie planety Nano, przygotowanej przez boga dla wytrwałych w wierze. Któregoś dnia zostaną oni zebrani w statku kosmicznym i zawiezieni - oczywiście pierwszą klasą - na wspomnianą planetę, dobrze by więc było, aby wierni zostali zebrani w jednym miejscu i czekali tam na kosmonautę. W innym przypadku mogliby nie załapać się na lot i albo utknąć na Ziemi, która przejdzie apokalipsę, albo musieliby łapać późniejszy lot, w którym mogłyby zostać już tylko miejsca w klasie biznesowej.

Hillman poskładał ewangelię z kilkoma miejscowymi ludźmi pewnego pijackiego wieczoru w barze Caseya w Skibbereen. Jedynym poważnym problemem, który napotkali, była prawidłowa wymowa słowa „apokalipsa”, Hillman był bowiem do tej pory przekonany, że zawiera ono „X”.

Nikt nie da się na to nabrać, kpił wydział turystyki, to całkiem nieprawdopodobne - co oczywiście niemal gwarantowało, że całe przedsięwzięcie stanie się wielkim sukcesem.

Irlandzcy suberbogacze wylądowali pierwsi, tuż za nimi Rosjanie i Południowoafrykańczycy. Dla odrobiny wiarygodności Hillman zawarł umowę z kilkoma członkami angielskiej rodziny królewskiej i tamy się otwały, co oburzyło Hillmana, miały bowiem dwudziestoletnią gwarancję, a stracił przez to dwie trzecie wydartego morzu wybrzeża.

Trzy lata później Hillman był głównym pasterzem własnej niewielkiej megazamożnej trzódki, która wymierała w tempie pół tuzina na miesiąc, zostawiając mu znaczące kawały ziemskiego dobrobytu tak długo, aż obiecywał zamrażać ich głowy do przybycia kosmitów.

- To działa, gdyż jest proste - mawiał często Hillman swojemu zastępcy, Buffowi Orpingtono-

wi. -Nie trzeba robić nic, aby być Nanitą. Nic nie zostaje odcięte, nikt nie trzyma człowieka pod wodą, nie ma świętych pism, poczucia winy, przykazań. Wystarczy być bogatym i we wtorek, idąc do bufetu lunchowego, mieć na sobie nanicki T-shirt. Nie mogłoby być prościej.

Uwaga w Przewodniku:

Faktem jest, że istniała religia, do której jeszcze prościej było należeć niż do Nanoizmu. Członkowie Świątyni Delikatnie Delikatnie, bardzo popularnej w Brequindańskich Strefach Umysłowych, stwierdzili, iż większość wojen we wszechświecie powodują agresywnie rozpowszechniający wyznawaną przez siebie religię fanatycy, postanowili więc, że ich własna metoda chrzczenia będzie całkowicie bezbolesna i można ją będzie przeprowadzać bez świadomości ze strony chrzczonego, iż jest poddawany temu rytuałowi. Wystarczyło, aby ktoś z wiernych na pięć sekund skierował w którymś kierunku mały palec i cicho powiedział pip, i (z ich punktu widzenia) ktoś ten stawał się członkiem ich Kościoła. W ciągu pięciu brequindańskich lat Świątynia DD była najszybciej rozrastającą się religią w Strefach Umysłowych. Niestety - ponieważ w imieniu Delikatnie Delikatnie nie były prowadzone żadne święte wojny i nikt nie został okaleczony - Świątynia nie została uznana przez Galaktyczną Radę Religii i nie zakwalifikowała się do przyznania jej statusu dobroczynności, więc rozwiązała się w czasie niecałej połowy cyklu księżycowego.

Hillman Hunter był dumny z tego, co stworzył, i prowadził negocjacje z australijskim ministrem w sprawie budowy drugiego kompleksu na Antypodach. Pewnego czwartkowego popołudnia, gdy Hillman siedział w toalecie i na ekranie swojego telefonu z ekranem dotykowym grał w bilard, z nielokalnego numeru nadeszła wideorozmowa. Zaintrygowało to Hillmana, gdyż telefon nie obsługiwał funkcji wideo. Odebrał, dbając o to, aby odwrócić ekran od wyeksponowanych kolan, podejrzewając po cichu, że może Nano była na niego zła za nadużycie jej imienia i podłączyła się do komórki z życia po życiu.

Na ekranie pojawiła się twarz. Nie była to twarz Nano - za mało podbródków i włosów na twarzy.

- Dzień najlepszy! - powiedział radośnie Hillman, zamieniając się w dobre samopoczucie. - Kimże możesz być?

- Odpowiedzią na twoje modlitwy. Końcem twej tęczy.

- To dobrze, panie bobrze. - Hillman użył uniwersalnego cytatu ze swej biblioteki Nano.

Twarz się zmarszczyła.

- Słucham? Co to znaczy? Proszę mówić wyraźnie. Twój akcent dezorientuje moją rybę, co w przypadku wszystkich innych małą się nie zdarza.

Chore, pomyślał Hillman nie bez powodu. Kompletnie urojone.

Zgadzam się, Hillers, szepnął głos jego martwej babci.

- Kształty, jakie przyjmują twoje usta, nie pasują do słów, które z nich wypływają - zauważył

Hillman. - A poza tym ten telefon nie ma wideo.

- To jeden z moich cudów - wyjaśniła tajemnicza głowa w niejednoznaczny sposób, jaki Hillman miał dobrze poznać. - A sprawa z ustami i słowami bierze się stąd, że nie masz ryby Babel, więc statek tłumaczy symultanicznie. Jasne? Pojąłeś sytuację, małpi ludku?

Dość tej hecy, pomyślał Hillman.

- Jaśniutkie - odparł. - Dobra robota ze zhakowaniem telefonu, niestety, muszę się teraz rozłączyć. Muszę kierować religią. - Rozłączył się i wstał, aby rozpocząć skomplikowane motorycznie zadanie zapinania rozporków swoich tweedowych spodni.

- Nie tak szybko - powiedziała głowa, która pojawiła się, znacznie powiększona, na drzwiach łazienki. - Pozbycie się mnie wymaga czegoś więcej niż przyciśnięcia guziczka na telefonie, Hillmanie Hunterze.

Z szoku Hillman puścił spodnie i cofnął się aż do muszli klozetowej.

- Na wszystkie świętości... - westchnął. - Jak to zrobiłeś?

Głowa kpiarsko parsknęła.

- To? To dla ciebie jest czymś? Ja jestem gotów dać ci do ręki coś, co pozwoli ci ruszyć po prawdziwą władzę, a ty mi mówisz, że rzucanie obrazów na płaską powierzchnię w metalowej ramie to jakiś wyczyn? Hillman, przyjacielu, jesteś ignoranckim pormokabanem. Bez urazy.

Hillman nie czuł urazy, dopóki nie usłyszał zwrotu „bez urazy”. Przyszła mu do głowy myśl.

- Jesteś z Nano? O to chodzi? Miałem cały czas rację? - Hillman już tak długo sprzedawał tekst o Nano, że czasami sam go kupował.

Głowa roześmiała się tak intensywnie, że po chwili musiała zacząć oddychać w papierową torebkę.

- Nie, nie miałeś racji, głupia małpo. Nie ma planety Nano. - Usta głowy wykrzywiły się w chytry uśmiech. - Jak na razie...

- Mów dalej. - Nos do interesów całkowicie zagłuszył wybitny sceptycyzm Hillmana.

- Szukałem jakiejś możliwości inwestycji na twojej planecie, która, tak poza tym, nie będzie krążyć po okolicy już zbyt długo. Sub-eta wyrzuciła mi ten ośrodek i mam takie wrażenie, że wszyscy twoi starsi zamożnisie daliby każdą złotą monetę, jaką posiadają, aby ktoś zabrał ich na Nano, zanim Ziemia wybuchnie. A po wylądowaniu na mitycznej Nano będą potrzebowali wybitnego przywódcy.

Wybitny przywódca, pomyślał Hillman. Co za totalna bzdura...

Nagle zaszeptał do niego głos jego Nano - tak jak zawsze, gdy życie Hillmana znalazło się na ważnym rozdrożu: Posłuchaj go, Hillers. Ten dureń może zrobić dla ciebie więcej, niż sądzi. Apoxylipsa nadchodzi i czas wiać z tej planety.

Wiedziałem, że jednak było „x”, pomyślał Hillman, a na głos powiedział:

- Żeby ten przekręt zadziałał, trzeba by sakramencko przekonującego argumentu.

Uśmiech na twarzy przybysza poszerzył się o kilka ząbków.

- Co powiesz na wielki statek kosmiczny, pojawiający się ni stąd, ni zowąd? Sądysz, że przekonaliśmy to pozostałe małpy?

Hillman nie skomentował małp w końcu to był biznes.

- Masz roboty?

- Lepiej - odparł Zaphod Beeblebrox, bo właśnie on to był. - Mogę ci załatwić pływającą głowę.

Nano

I tak Hillman Hunter stał się naczelnym szefem na planetoidzie, zarządzając osiemdziesięcioma siedmioma starszymi bogatymi ludźmi i ich personelem. Był zamożny i miał władzę, ale zdawało się, że nie ma ani minuty dla siebie, aby się tym cieszyć. Emerytowani bogacze, czego szybko się dowiedział, byli najbardziej wymagającym ludkiem w Galaktyce. Nic nie było dla nich wystarczająco dobre ani gotowe dostatecznie szybko. Nie pomagało też, że magrateańscy budowniczowie planet guzdrali się nad listą usterek i robili wielkie halo z powodu każdego szczegółu, jakby nikt im nie powiedział, że domy będą musiały mieć dachy i podłogi.

- Okna też chcesz? - spytał brygadzysta, a brwi niemal mu uciekły z zaskoczenia. - Trzeba było powiedzieć pół roku temu. Gdybyśmy wiedzieli, chłopcy by je powstawiali. Jeśli zachciało ci się teraz okien, musimy zastopować hydraulików, którzy już się zjawili na budowie. Nie spodoba się to malarzom, którzy wchodzą, gdy schodzą hydraulicy. A mamy kilka mieszanych małżeństw malarsko-hydraulicznych, co spowoduje napięcia domowe. Mamy za mało masażystek terenowych, więc u niejednego z moich chłopaków dojdzie do niezbyt przyjemnego nagromadzenia się kwasu mlekowego w barkach. No ale w sumie to twoje pieniądze i twoja decyzja. Mówię tylko, że powinieneś być powiedzieć wcześniej, kiedy było to wygodniejsze, a nie spychać dzikimi żądaniem cały projekt w przepaść finansową.

Uwaga w Przewodniku:

W całej znanej historii istnieje tylko jeden udokumentowany przypadek budowlańca, który przystał na zmianę w planach bez popadania w komedianctwo. Miało to miejsce w przypadku pana, który nazywał się Carmen Ghettim, betelgeusańskiego dealera samochodów, który odesłał zmiany planów budowlanych na tyle na czas, że zdążył poinformować budowlańca o zmianach, zanim rozpoczęła się budowa. Należy podkreślić, że pan Ghettim przesłał notatkę za pośrednictwem szczególnie agresywnego teriera z wystającą dolną szczęką.

Gdy nie negocjował z budowlańcami, Hillman spędzał czas na poszukiwaniach boga nadającego się do rządzenia planetą, a zadanie nie okazało się tak radosne, jak sobie wyobrażał. Hillman widział siebie, zaangażowanego w filozoficzne dywagacje o naturze szczęścia albo będącego zadziwianym przez zdumiewające objawy boskiej mocy, zamiast tego był zmuszony mozolnie przebijać się przez papkę nadętych CV, w których pseudobogowie próbowali przedstawić się jako znacznie ważniejsi, niż w rzeczywistości byli.

Hillman szybko dostrzegł, że kiedy bóg na drugiej stronie wtrącał linijkę o urlopie dziekańskim na boską kontemplację, oznaczało to, iż przez ostatnie tysiąc lat był bezrobotny. Kiedy bóg twierdził, że ma wpływ meteorologiczny pewnego stopnia, oznaczało to, że ogląda prognozy pogody, po czym twierdzi, iż jest odpowiedzialny za to, co się wydarzyło. A jeśli bóg trąbił o swej omniprezencji, istniało duże prawdopodobieństwo, że miał fruującego gdzieś bliźniaka.

Odpadki, myślał Hillman smętnie. Odpadki i szczyzny. Zero samorodka jakości.

Właśnie wrzucał ostatni plik aplikacji do biurkowej spalarki, kiedy do gabinetu zajrzał Buff Orpington.

- Hej, Buff! Jesteśmy gotowi?

Obwisła twarz Buffa zafalowała jak galareta.

- Wszystko czeka, Hillman. Możemy skopać kilka tyłków.

Te waleczne słowa nie były w stanie poprawić Hillmanowi nastroju.

Skopać kilka tyłków? Większość osadników ledwie mogła ruszać się wolnym truchtem. Wszystkie tyłki, które mieliby skopać, musiałyby być stacjonarne, miękkie i nisko osadzone.

Tyłkami, o które chodziło, były obwisłe pośladki osadników mieszkających na zachodzie Nano, którzy z powodów religijnych porwali francuskiego szefa kuchni Conga - byli Tyromancerami, wierzącymi twardo w przepowiadanie przyszłości z wpeł zastygniętego sera, a popisowym daniem Jeana Claude'a była boska *quiche* z czterech serów, z kaparami i wędzonym łososiem. Tyromancerzy nie mieli nic przeciwko kaparom i łososiowi, uznali jednak, że serowe nadzienie to herezja.

Magrateańczycy ostrzegali mnie, że coś takiego może się zdarzyć, pomyślał smętnie Hillman. Przeprowadzka z planety to najbardziej traumatyczna rzecz, jaka może się przytrafić czującej istocie - poza oblanie ketchupem i wrzuceniem do jamy z żarłoczną trajkoczącą poczwarą z Traal - kimkolwiek ona jest. Ludzie robią się fanatyczni w stosunku do tego, co musieli zostawić. Cała ta tyromancja zaczęła się na Ziemi jako hobby, ale na Nano stała się obsesją. Aseedowi Prefluxowi udało się przerobić całe osiedle.

Hillman wyszedł za Buffem. Przyszło mu do głowy, że z tyłu wygląda on jak grizzly wciśnięty w spodnie w szkocką kratę i wiatrówkę - kudłacz, którego włosy na przedramionach świstały na wietrze.

Oddziały stały na placu, przygotowane do inspekcji, jednak ustawione w szeregu tak kiepskim, jakiego nawet Hillman by sobie nie wyobraził. Nie było personelu - ani jednej osoby.

Odwrócił się do Buffa Orpingtona.

- Gdzie osobiści trenerzy?

- Odeszli.

- Lewis też?

- Wszyscy.

- A kosmetyczki?

- Nie widzieliśmy kosmetyczki niemal od tygodnia. Moja Cristelle nie miała manikiuru od dziesięciu dni. Jest na skraju wyczerpania nerwowego.

Hillman był zszokowany.

- Dziesięć dni?! To barbarzyństwo. Dlaczego nikt nic mi nie powiedział?

- Byłeś zajęty rozmowami. To miejsce się rozsypuje, Hillmanie. Na całe miasto zostało nam

ledwie pół tuzina szefów kuchni. Ludzie są zmuszeni... - Buff wziął głęboki wdech, aby się uspokoić - ...gotować sami dla siebie.

Irlandzki temperament Hillmana eksplodował.

- Nie płacimy fortun, aby gotować sami dla siebie! Co z umowami? Ci ludzie podpisali umowy!

- Mój chłopak, Kiko, powiedział, abym wetknął sobie umowę tam, gdzie słońce nie dochodzi - zapiszczał z szeregu Buckeye Brown, teksaski nafcjarz. - Powiedział, że to nowy świat i wszyscy powinniśmy być równi. Jego zdaniem traktujemy służących jak niewolników.

Hillman był zbulwersowany. Oto, co się działo bez ustanowionego przez boski autorytet łańcucha dowodzenia.

- To się musi skończyć. Najpierw odrzucimy napastników, potem, dla ich własnego dobra, wyciągniemy personel z dziczy. Jak młodzi, zdrowi ludzie bez umiejętności prowadzenia biznesu mogą mieć nadzieję przeżyć na tej porośniętej zieleni nowej planecie, do jasnej ciasnej? - Sama końcówka była już niemal z innego wątku. Hillman był tak podniecony, że niemal zapomniał, kogo udaje.

Buckeye patrzył ponuro na czubki swoich mokasynów z aligatora od Ferragamo, które wyprawa w dzicz na pewno doprowadziłaby do zniszczenia.

- Chce pan, żebyśmy szli w dzicz? Tata opowiadał mi o niej, ale nigdy tam nie chodziłem.

Do szkoły też nigdy nie chodziłeś, pomyślał Hillman.

- Nie udamy się do dziczy, panie Brown. To zabawa dla młodych ludzi. Nie, zwabimy tych nicponi z powrotem apartamentami Premium Plus.

Buff był przerażony.

- Chyba nie mówisz o Premium Plus z widokiem na lagunę?

- Jeśli będzie to konieczne.

- Z całodobową obsługą portierską?

- Wątpię. Ekipa portierów wskoczyła miesiąc temu na statek. Będziemy musieli dać portierom apartamenty. Może nawet karty członkowskie do siłowni.

- Ale portierzy nie mogą się sami obsługiwać - zajęczał Buff. - To chore. Czy świat już całkiem zwariował?

Jak każdy dobry sprzedawca, Hillman szybko znajdował rozwiązania.

- Roboty, chłopaku. Załatwimy roboty. Słyszałem, że Korporacja Syriusza ma androidy usługowe z prawdziwie ludzkim profilem osobowości. To idealne rozwiązanie. Co mogłoby pójść z tym nie tak?

- Sądzę, że to mogłoby zadziałać - powiedział udobruchany Buff. - Moglibyśmy też zaimportować kosmitów, lubiących pracować w słońcu. Mogliby nam płacić. Możesz to sprawdzić w swoim *Przewodniku*.

- Zrobię to zaraz po tym, jak odprawimy tych dowcipnisiów.

Hillman rozejrzył się po placu Johna Wayne'a i zadumał się nad tym, jak szybko wszystko podupadło. Jeszcze pół roku temu plac był zachwycającym centrum ich nowego społeczeństwa, teraz zaś między kamiennymi płytami rosło zielsko, a dziwne niebieskie owady wygryzały dziury w szkle.

Potrzebujemy boga. Szybko.

Buckeye Brown odchrząknął.

- Skąd w ogóle wiadomo, że Tyromancerzy zaczną dziś ofensywę?

Szczęśliwy, że ma do zaoferowania pewne informacje, Buff nie zwlekał z odpowiedzią. Rozsunął stopy i lekko zabujał się na kłębach paluchów, jakby miał złapać sztangę.

- To jedyny dzień, kiedy mogą się zjawić. Od poniedziałku do środy robią ser. W piątek z niego wróżą. Sobota i niedziela służą do kontemplacji przekazów zawartych w serze. Czwartek jest jedynym dniem, w którym dozwolone są czynności świeckie.

- A skąd o tym wiemy?

- Aseed przysłał e-mail. Na wypadek gdyby ktoś z nas chciał się do nich przyłączyć. Muszę powiedzieć, że prezentacja jest całkiem miła. Masa fruwających ikon sera. Najwyraźniej, jeżeli się nie przyłączymy, sprowadzimy na całą planetę Przeklnięcie.

Hillman przez chwilę kłapał szczęką.

- Przeklnięcie? Nie mówisz poważnie.

Buff wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Jestem poważny jak sucha studnia. - Wyciągnął z kieszeni zmięty mszał. - O, jest tutaj: „Dzień Przeklnięcia trafi niewiernych w ogromnej i straszliwej postaci, prawdopodobnie związanej z Serem, wszelka bowiem wielka i straszliwa postać może być rozumiana jako emanacja Sera”.

Hillmanowi powoli zaczynało już śmierdzieć słowo „ser”.

- Wielka i straszliwa, do jasnej ciasnej. Kto pisze te bzdury?

- Aseed. Nazywa to Pierwszą Ewangelią Tyromancji.

- Niedorośnięty rudy wypierdek! - zaklął Hillman. - Za kogo on się uważa?

Pytanie to przyniosło falę zdecydowanego braku odpowiedzi ze strony zebranych oddziałów, pomijając pewne elementy stylizacji i ekscentryzmów, Aseed wyglądał bowiem niemal identycznie jak Hillman. Najwyraźniej Hillman jako jedyny tego nie dostrzegął.

Na szczęście nie doszło do żenującej sytuacji, zadzwonił bowiem telefon Buffa.

- O, mój telefon! Jaka szkoda, właśnie zamierzałem odpowiedzieć na pytanie, za kogo właściwie ma się Aseed, teraz jednak dzwoni mój telefon, więc zamiast odpowiedzieć na pytanie, lepiej odbiorę. Wielka szkoda. - Wyplątał telefon z kieszeni i rozsunał go. - Tak? Jesteś pewna? Dobrze. Już ruszamy. - Zamknął telefon i uniósł go melodramatycznym gestem. - Tyromancerzy się zbliżają.

- Co? Naprawdę? Kto dzwonił?

- Silkie. Siedzi na czatach w kawiarni w Książkowej Stodole.

Książkowa Stodoła była najwyższym budynkiem centrum handlowego i na drugim piętrze miała kawiarnię z przeszkloną ścianą. Siedząca tam czujka mogła mieć oko na główną drogę i równocześnie przeglądać najnowsze książki. Silkie Bantam zazwyczaj zgłaszała się dobrowolnie do tego zajęcia, była bowiem namiętą miłośniczką horrorów i obserwując okolicę, mogła przeczytać kilka makabrycznych rozdziałów.

- Jakie sprawiała wrażenie?

- Wkurzonej. Sama musiała sobie zrobić kawę.

Hillman czuł, że wszystko mu się wyślizguje z rąk. A więc ludzie z Książkowej Stodoły też... Ta sprzeczka z Tyromancerami musiała się dziś skończyć.

- No, moje zuczki! - rzucił Hillman i tupnął, aby dodać sobie animuszu. - Jak stoimy z bronią?

Była to dziedzina Bufifa. Na Ziemi był fanem Kirka Douglasa, więc dostał przydział do działu zaopatrzenia w broń.

- Nie najgorzej - odparł, prowadząc szmacianą brygadę w kierunku stojącego na placu pomnika Seana Boksera. Narzędzia walki leżały na cokole. - To głównie sprzęt ogrodowy - przyznał Buff. - Ta podkaszarka ma niezłą wagę i może porządnie kogoś ciachnąć. Mamy kilkoro grabi, którymi można dźgać i zahaczać za nogi i tego typu. Osobiście dostarczyłem tę dziewiątkę, nie jest to mój ulubiony kij golfowy, to oczywiste, ale pozwala się niezle zamachnąć. Dość niebezpieczny, zwłaszcza w odpowiednich rękach.

Choć osobiście podpisał formularz zabraniający przywożenia z Ziemi broni mechanicznej, Hillman miał nadzieję, że uda się zebrać nieco poważniejszy arsenał.

- To wspaniale! - zawołał z pustym entuzjazmem. - Pokażmy tym pobusom, jak ludzie Conga umieją walczyć.

Wziął podkaszarkę i zamierzał wcisnąć uruchamiający ją przycisk, gdy Buff postukał go w łokieć.

- Lepiej zaczekaj z tym, aż będzie potrzebne. Akumulator nie jest zbyt dobrze naładowany.

- Rozumiem.

- Zwykle zajmuje się tym Jose, ale zwiął z jedną z twoich służących.

- Jasne. Oczywiście. No cóż, możemy pracować z tym, co mamy.

Poszli luźno rozproszoną grupą w kierunku głównej bramy. Ośrodek został zaprojektowany wzdłuż linii oryginalnego Innisfree, jedynie na końcu laguny dodano centrum handlowe. W płytkiej wodzie stały ptaki ruszofomajtkofe - niektóre czytały, ale większość pracowała nad opalenizną i jęczała, że ptasie odruchy tak szybko znikają, jeśli ktoś dostarczy przemiłą lagunę bez krokogatorów.

Uwaga w Przewodniku:

Ptaki ruszofomajtkofe przez długi czas były ofiarami własnej atrakcyjności oraz bezlitosnego chowu wsobnego. Ruszofomajtkofe były przez stulecia szanowane w Galaktyce jako tkaczki delikatnych tapet z piór - aż pewien ambasador handlowy Rady Galaktycznej oświadczył, iż ich upierzenie jest niezwykle piękne i musi stanowić element wszystkich modnych lagun. Skutecznie oznaczało to koniec ruszofomajtkofego stylu życia, zjawily się bowiem kulturowe hieny i zaczęły agresywnie hodować i selekcionować ruszofomajtkofe w celu uzyskania idealnego upierzenia, które można by rozwieźć po Galaktyce dla rozweselenia wodnej instalacji tego czy innego dyplomaty. Ruszofomajtkofe nie rzuciły się specjalnie do walki, są bowiem próżnymi stworami, które lubią, jak ktoś się na nie gapi. Kulturowe hieny, z drugiej strony, nie mają drygu do narcyzmu i lubią spędzać czas na majstrowaniu przy innych gatunkach i wydawaniu zysków na gorzałę i słodkie desery. „Jesteśmy niczym przeciwne końce tego samego spektrum”, powiedziała kiedyś kulturowa hiena do ptaka ruszofomajtkofego, na co ten odparł: „Tak, o ile jeden koniec spektrum jest zrobiony z szajsu i ty się na nim znajdujesz”.

- Mam sa twa miesiące ottać pracą magistersko - wyseplenił jeden z ptaków ruszofomajtkofych do kolegi. - A jeszsze nie saczołem badań.

Inny dostrzegł na moście Buffa.

- Hej, Buffy! Jak leci?

- Nieźle, Perko. Wcale nie tak źle. Skończyłeś już pisać książkę?

Perko przewrócił oczami.

- Mam wszystko w głowie, Buff. Muszę tylko zaparkować tylną stronę na krześle i zacząć pisać, rozumiesz, co mam na myśli?

- Doskonale rozumiem - odparł Buff, który nie miał pojęcia, o czym mówi ptak, był jednak w nastroju do pozytywnych deklaracji.

Wojownicy Conga poszli za Hillmanem do głównej bramy, którą był zmuszony otworzyć wciągnikiem.

- Ktoś z nas powinien się być nauczyć kodu - wydyszał Hillman. - To absurdalne. Magrateañczycy przesubowali kody zapasowe, ale są ich setki. Elektronicznie sterowane bramki, kasy fiskalne, ekrany sub-etowe. Nic nie działa bez kodów.

Kiedy brama została otwarta na tyle, aby dało się przez nią prześlizgnąć, mężczyźni stanęli przy punkcie kontrolnym i zapatrzili się w tropikalny las za dzielącą dwie posiadłości równiną, porośniętą puszystymi kępami fioletowej trawy. Gałęzie drzew krzyżowały się gęsto i zwisały, ciężkie od owoców i przedstawicieli fauny, i jedynym sposobem, aby przejść przez las, było skorzystanie z półeliptycznego, cylindrycznego tunelu, który przewiercono laserami.

Hillman wyjął telefon i zrobił zbliżenie wylotu tunelu.

- Widzę tych sprowadzonych na złą drogę pobusów - prychnął. - Jadają wózkami golfowymi. Do jasnej ciasnej, to raczej nie Lekka Brygada, co nie?

Zbieranina wokół niego serdecznie się rozrechotała, naśladując wojowników, jakich oglądali na filmach wojennych, po czym też powyciągali telefony, aby zrobić sobie zbliżenie zbliżającego się konwoju.

- Widzę dziesięciu - powiedział Buff, który miał najdroższy telefon, z najlepszym obiektywem.
- Nas jest tylko ośmiu.

- Tak, ale jesteśmy na szczycie wzgórza - odparł Hillman.

- No i?

- Każdy wie, że pozycja na wzgórzu ma zasadnicze znaczenie... kujawskie znaczenie, jasne, w takiej sytuacji?

Buckeye był dotknięty.

- Nie wiedziałem. Więc nie każdy, nie?

- A teraz już wiesz?

- Chyba tak.

- Więc każdy, nie?

Hillmana nie cieszyło zwycięstwo w takich drobnych werbalnych sporach. To miała być spokojna ugoda. Bez sprzeczek.

- Nie rozumiem, co ma być dobrego w tym wzgórzu - powiedział nadąsany Buckeye. - Niektórzy z nas mają mokasyny, a dookoła jest masa ostrych kamieni. Mokasyny mają podeszwy jak papier.

- Ja włożyłem buty do golfa - stwierdził Buff z żądnym krwi uśmiechem. - Będę więc mógł zdeptać drani. Rozwalić im mózgi na papkę.

Uwaga w Przewodniku:

Buff Orpington był przypadkiem w prostej linii potomkiem Sigurda, szlachetnego wojownika wikingów. Pan Orpington nie zdawał sobie z tego sprawy, jego uwagę zwracało jedynie to, że lubił dodawać do piwa miodu i fantazjował o obcinaniu żonie kucyków toporem. W późniejszym okresie hybrydowa ryba Babel miała wyekstrahować jego rasowe wspomnienia, a on sam zdecydować się na noszenie na pole golfowe legginsów z foczego futra.

Hillman od razu dostrzegł, jak szybko nadchodząca konfrontacja może się wyślizgnąć z rąk.

- Spoko, chłopie. Nie będzie żadnego rozpakowywania mózgów. Po pierwsze, pielęgniarki operacyjne zasadziły się z kilkoma wózkami golfowymi w piętnastym bunkrze, a po drugie, nie jesteśmy klasą robotniczą. Żadnych walk, dopóki nie będzie to absolutnie konieczne.

- W porządku, Hillman - powiedział skarcony Buff. - A jeśli nas obrażą? Albo naszych dziadków?

Policzki Hillmana straciły swój zwykły różowy odcień.

- Jeżeli ktokolwiek obrazi moją Na... eee... babcię, rozwalę mu łeb.

*

Nanici nie byli jedynymi, którzy obserwowali szosę. W gęstej wegetacji przy wylocie tunelu przypadła do ziemi grupka gibkich, głodnych mięsożerców o mocno zgiętych palcach i ścięgnach napiętych w oczekiwaniu ataku. Jedna z postaci, potężna i zwalista, uniosła do ust skórkę chleba, zanim jednak zdążyła rozerwać ją silnymi zębami, została jej ona wyrwana przez przywódcę sfory.

- Co ty wyprawiasz? - spytał przywódca, który nazywał się Lewis Tydfil.

- Potrzebuję energii - odparł podwładny, który używał tylko imienia: Pex.

- Ale to jest chleb.

- To co?

- Węglowodany po piętnastej? Oszalałeś?

- To tylko skórka. Nic więcej.

Tydfil uniósł skórkę, aby mogli ją zobaczyć wszyscy trenerzy i wszystkie kosmetyczki.

- Tylko skórka. Nic więcej. Wiesz, ile jest w skórce łyżeczek cukru? Ktokolwiek z was wie?

- Dwie? - spróbował Pex.

- Siedem! - zawył Tydfil. - Siedem. Jeśli jesz to po piętnastej, możesz tak samo dobrze wsadzić sobie w tyłek pompę z cukrem.

- Daj spokój, Lewis...

- Pięćdziesiąt pompek. Na kostkach!

Pex jęknął.

- Byłem głodny. Mam już dość zbierania owoców z drzew, Chcę czegoś świeżo upieczonego albo ugotowanego.

- Dlatego tu jesteśmy. A teraz, zabieraj się do pompek.

Pex kątem oka dostrzegł spojrzenie manikiurzystki, która wpadła mu w oko. Jej paznokcie wyglądały, jakby najpierw zostały zanurzone we krwi, a potem w diamentowym pyłe. Pomysł upokorzenia się na jej oczach wcale mu się nie podobał.

- Nie, Tydfil. Wal się. Kto uczynił cię przywódcą?

Lewis Tydfil wyprostował się na całą wysokość i zgiął kolano, aby zaprezentować mięsień brzuchaty łydki.

- Objąłem przywództwo na podstawie posiadanych kwalifikacji.

- Też mam kwalifikacje.

- Jesteś instruktorem fitnessu - powiedział Tydfil tonem zwykle kojarzącym się z morderczymi

dyktatorami, seryjnymi zabójcami albo przystojnymi chłopakami byłych dziewczyn. - Każdy przygłup może spędzić weekend w zapyziałej siłowni i zostać instruktorem fitnessu.

- Mam dyplom.

- A ja stopień naukowy.

- Mam specjalizację z ćwiczeń z odważnikami.

- A ja jestem ekspertem od ściany kinetycznej i mogę się zajmować osobami skierowanymi przez internistów - przebił go ponownie Tydfil.

Pex wyciągnął z przodu szortów zwinięte czasopismo, co wywołało u manikiurzystki lekkie rozczarowanie.

- Brałem udział w pictorialu w „Men’s Health”. Patrz, ten z przodu to ja.

Tydfil postanowił wbić ostatni gwóźdź w trumnę rywala.

- A ja byłem doradcą fitness w reality show. Mieliśmy gwiazdy z telenowel!

Na takie dictum nie było rady. Pex opadł na kostki i zaczął odliczać pompki seriami po dziesięć.

- Świetnie - stwierdził Tydfil. - A teraz wszyscy pozostali: bądźcie cały czas nawodnieni i nie przestawajcie się rozciągać. Oni wkrótce tu będą. - Sprawdził kilku towarzyszy walki. - Bledniemy. Proszę nieco kamuflażu.

Dwie kosmetyczki z przypiętymi na plecach zbiornikami samoopalacza zaczęły malować pasy na kończynach wskazanych instruktorów.

Spomiędzy drzew wyszedł specjalista od power walk.

- Nadjeżdżają szosą. Jean Claude jest w ostatnim wózku.

- W porządku, wszyscy słuchać! - powiedział Tydfil. - Wystarczy capnąć Jeana Claude’a i wszyscy będą mieli do woli naleśników z mąki pełnoziarnistej. Rozgrzejmy się wolnym truchtem i atakujemy na mój sygnał.

- Jaki on będzie? - spytał Pex, kończąc kolejną pompkę.

- Strzełę ci w głowę z pistoletu startowego.

- Słucham?

- Może po prostu powiem: do ataku! Jeszcze jakieś pytania?

Podbródek Pexa niemal dotknął ziemi.

- Nie. Zrozumiałem.

Uśmiech Tydfila był szeroki i doskonały.

- To świetnie. No to ruszamy. Kolana wysoko. Wypchnąć pierś.

*

Trenerzy pojawili się jak spod ziemi i napadli na ostatni wózek golfowy, kiedy tylko minął

skraj tropikalnego lasu.

*

- Co to ma... - zawył Buckeye. - Widzieliście to? Ktoś widział, co się stało?

Nikt nie odpowiedział, wszyscy byli bowiem zbyt skupieni na rozgrywającym się na asfalcie dramacie. Zza granicy, za którą zaczynała się roślinność, wystrzeliła grupa opalonych i przeżących mięśniaków atletów i otoczyła wózek golfowy, w którym jechał Jean Claude. Szybkimi ruchami zamigotały bicepsy i wózek znalazł się przy krawężniku, został przewrócony i potoczył się w dół nasypu. Ledwie dało się zauważyć mignięcie trykotów i żelu do włosów i zniknęli tak samo, jak się pojawili. Kierowca nie miał najmniejszej szansy na naciśnięcie zwisającego mu na smyczy na szyi przycisku urządzenia alarmowego. Jedynymi dowodami napaści były chmura opadającego pyłu i oddalające się przekleństwa krępego instruktora, który niewystarczająco się rozgrzał. Dopiero po kilku sekundach reszta konwoju zauważyła, że brakuje straży tylnej.

- Do jasnej ciasnej - szepnął Hillman, wreszcie mając na myśli to, co mówi. - To było... nie do wiary. Nie wiedziałem, że ludzie mogą się tak szybko poruszać.

Buff, który kiedyś był na rozmowie o indywidualnym treningu, ponuro skinął głową.

- Aha. To twoi trenerzy. Bardzo dobrze nawilżeni.

- Zrobili się agresywni - zaskrzeczał Buckeye. - Nikt nie jest bezpieczny. Sądziś, że uda się ich powstrzymać podkaszką? Jesteśmy potępieni! Skazani na zagładę!

Nadszedł czas na działania kierownicze.

- Weźcie się w garść, bando tchórzy! - warknął Hillman. - Ciągle jeszcze musimy się rozprawić z Tyromancerami.

Była to prawda. Tyromancerzy nie zawrócili, wręcz zwiększyli prędkość, z jaką zbliżali się do terenu Nanitów. Z wszelkim prawdopodobieństwem należało zakładać, że uciekają z miejsca napadu, na wypadek gdyby trenerzy mieli zamiar ponownie uderzyć.

- Schodzimy ze wzgórza? - spytał Buckeye.

- Daj mi święty spokój z tym idiotycznym wzgórzem - odwarknął Hillman, zaraz jednak przypomniał sobie, że Buckeye jest, technicznie rzecz biorąc, klientem. - Niech się pan nie martwi wzgórzem. Proszę podążać za mną.

- I porozwalać im zarkwolone łby?

- Zarkwolone? Co to ma znaczyć?

- To tylko zwykłe słowo, jakie usłyszałem od jednego z handlowców w kosmodromie.

- Proszę lepiej zachować je dla siebie, zwłaszcza w obecności dam.

Buff wzruszył ramionami.

- Nie ma sprawy. Chciałbym mieć w ręku miecz. Wielki zarkwo... przepraszam... dwuręczny miecz z owczym futrem na głowicy. Gdybym miał coś takiego, zginąłbym szczęśliwy i poszedł prosto do nieba.

Buckeye poszarpał rękaw nerwowym mchem.

- Kiedy to wszystko się skończy, musisz pogadać z moją żoną, miejskim psychiatrą, o ile uda nam się ją zwabić z plaży. Zamieszkała z młodym ratownikiem. Jej zdaniem to oczywisty przypadek odwrotnej projekcji edypalnej. Próbowałem wszystkiego, wziąłem nawet serię drańskich pigułek, aby mogła mieć dobrego faceta albo złego faceta.

- Mam nadzieję, że nie przeżyję dzisiejszej chwalebnej bitwy - odparł Buff, beztrąsco ignorując jeremiadę Buckeye'a.

Wózki golfowe Tyromancerów toczyły się po jedynej dwupasmowej drodze dla powozów na Nano, co było wyraźnym dowodem na to, iż technologia ta jeszcze długo nie przestanie być normą, i z każdą chwilą zbliżały się do ośrodka.

- Może to i lepiej - mruknął Buckeye.

Choć później twierdził, iż było to sprawą przypadku, dokładnie wtedy but do golfa Buffa trącił mokasyn Buckeye'a Browna, robiąc na nim poważny ślad.

Uwaga w Przewodniku:

Ten stosunkowo niewinny incydent miał doprowadzić do vendetty wet za wet, która eskalowała przez stulecia, kulminując w zniszczeniu trzech planet, osiemnastu krążowników bojowych klasy mokasynowej oraz niewielkiego hotelu w neutralnym świecie. Jeśli chodzi o efekty pozytywne, to doszło do zakazanej afery miłosnej między dwojgiem młodszych członków zwalczających się rodzin. Aferę tę zaadaptowano na film, serię książek i sztukę sceniczną, która odniosła średni sukces.

Lektura dodatkowa:

Bandera Brown-Orpington: Nowa rasa (Brown & Orpington).

Tyromancerzy wjechali na wzgórze dość dobrze zorganizowaną półkolistą formacją, która zmarła naturalną śmiercią, kiedy kierowca numer cztery odmówił naciśnięcia na hamulec i zjechał do tyłu w dół zbocza, zderzając się z pniem drzewa bantalowego, które - na szczęście dla kierowcy - było w stanie hibernacji, inaczej bowiem zdecydowanie rzuciłoby na niego urok.

- Ładne wejście - prychnął Buff, nonszalancko machając kijem numer dziewięć.

Z pierwszego wózka wysiadł Aseed Preflux, spędził chwilę, posyłając zbitemu z tropu kierowcy spojrzenie, które mówiło: „Jesteś idiotą”, po czym skierował uwagę na Nanitów.

To, jak bardzo przypomina Hillmana - włącznie ze schodzącym, niczym u diabelskiego krasnala, w dół czoła trójkąciem włosów i spiczastym podbródkiem - było bardzo denerwujące. Gdyby Nanici przyjrżeli się dokładniej swoim nemezys, być może by zauważyli, że w grupie Tyromancerów mają kilku sobowtórów.

- Ser powiedział mi, że tak właśnie się wyrazisz o naszym wejściu - rzekł Aseed.

- Szkoda, że Ser nic nie powiedział o zasadzce na drodze, co nie, chopie? - szybko odparował

Hillman. Jego ludzie nagrodzili ripostę szóstką na skali śmiechu, gdzie jedynka to delikatny chichot, a dziesiątka nieopanowany rechot. Dowcip Hillmana zdecydowanie nie zasługiwał na więcej niż czwórkę.

- Nie drwij z Sera! - wściekle zaintonował Aseed. - Sprowadzisz na nas wszystkich Przeklęcie!

Buff dziewiątką wziął czoło Aseeda na muszkę.

- Zaraz zamienisz się w serek topiony.

Kolejny śmiech. Na dobrą ósemkę.

Na policzkach Aseeda Prefluxa zakwitły czerwone plamy.

- Jasne, mów dalej. Powiedz wszystkie dowcipy o serze. To takie łatwe, prawda?

- Łatwe jak randka - mruknął Buckeye.

- Właśnie. To też. Każ im wszystkim zejść z drogi, to zabierzemy się do interesów.

Ludzie Aseeda zbili się za nim w groźną gromadę - wyglądali tak wojowniczo, jak tylko możliwe, mając na uzbrojeniu wyłącznie przyrządy związane z serem.

- Co to jest? - spytał Hillman, wskazując na jedno z drewnianych narzędzi. - Do czyszczenia rur?

- To popychacz maselnicy! Doskonale wiesz!

- Skąd miałbym, chłopaczku? Mam kogoś, kto robi mi ser, zanim położę go na krakersie.

- Bluźnierca! - zawył Aseed, a jego przyjaciele podjęli okrzyk.

- Posłuchaj tego harmidru - powiedział Buff. - Co za wrzawa.

- Że co?

- Nic, Hillmanie. Dlaczego nie pozwolisz mi załatwić tych ciot? Zostało ich tylko ośmiu.

- Jeszcze nie, Buff. Może nasi przyjaciele nie chcą walczyć? Może przybyli, aby oddać nam Jeana Claude'a?

- Nic z tego! - zawył Aseed, ale wściekłość szybko mu przeszła. - Tak naprawdę to już go nie mamy. Zabrali go ci trenerzy, sądzę, że do swoich plażowych kwater.

- Widzieliśmy. A więc wystawiliście jednego z wiernych do wiatru.

Aseed zrobił z palców wskazujących i kciuków trójkąt, który przyłożył do czoła.

- Ser wymaga poświęceń - zakomunikował.

Pozostali powtórzyli gest.

- Estyma szczerza dla Sera! - zaintonowali z minami tak poważnymi, że agencja reklamowa, robiąca kampanię *Bong-o-w-mózg: antydepresant dla całej rodziny*, z miejsca mogłaby ich zatrudnić do zdjęć „przed”.

Hillman i Nanici szybko zrobili miny „po”, wybuchając tak gwałtownie śmiechem, że dwóch

puściło bąka.

- Estyma szczerza dla Sera... - parsknął Hillman. - I to w chwili, gdy człowiekowi się wydaje, że już głupiej być nie może...

Aseed westchnął.

Więc nie przyłączacie się do nas?

- Nie. Nie przyłączamy się. Dlaczego wy nie przyłączycie się do nas, Preflux? Odsuście sobie serowe sprawy. U nas wszystko odbywa się na luzie, a razem moglibyśmy przechytrzyć personel.

- Nie. Wszyscy muszą się pokłonić Serowi.

- Estyma szczerza dla Sera.

Teraz Hillman musiał westchnąć.

- W takim razie chyba będziemy musieli walczyć.

- To jedyne wyjście. Ale bez bicia po twarzy.

- Oczywiście. Nie jesteśmy zwierzętami. I żadnego dobierania się do jaj.

- Nie wolno nam kontaktować się z jajami niewiernych, chyba że przez rękawiczki ze zsiadłego mleka, których jednak nie udało nam się jeszcze stworzyć.

- Więc nie po twarzy ani nie w jaja.

Buffa powstrzymywała niewidzialna gumowa taśma.

- I jeszcze coś... - powiedział Aseed. - Będę walczył, także moi podwładni, z ręką, którą ubijam mleko, w kieszeni, więc zgodnie z zasadami fair play...

- A więc jedną ręką, nie w twarz i nie po jajach?

- Zgoda. Jeśli wygramy, przystapicie do naszej szczęśliwej grapy, jeśli wy wygracie, będziemy wracać, aż zwyciężymy.

Hillman zamknął oczy i wsłuchał się w głos swojej Nano.

Co mam zrobić, Nano?

Odpowiedź przyszła natychmiast.

Dopieprz tej bandzie parujących kup, Hillers! Spraw im manto, jakiego długo nie zapomną.

Jaśniutkie, Nano, jaśnusięńkie.

- W porządku, Buff, rób, co najgorsze - rozkazał na głos Hillman.

Uśmiech Buffa Orpingtona zdawał się ukazywać więcej zębów, niż zazwyczaj było w ustach człowieka.

- Aaaaahrhrrrr! - zawył i załomotał pięściami w klatkę piersiową jak niedźwiedź, a za oczami zaczęły mu migotać obrazy płonących klasztorów - Śmierć Tyromancerom!

- A przynajmniej zdrowy łomot - dodał Hillman i wcisnął przycisk uruchamiający podkaszarkę.

- Nie po jajach... - zapiszczał Aseed, kiedy zwałił się na niego wielki jak mamut Buff Orpington. - Niepojaaaaaaj... ach...

W tym momencie na niebie pojawił się ogromny krąg sera. Wirował nad głowami walczących i wydawał z siebie upiorny pomruk. To nagłe i całkowicie niespodziewane zjawisko ściągnęło na siebie uwagę szybciej, niż byłaby w stanie zrobić Eccentrica Gallumbits w piątek, na konwencji Cnotliwych Durniów, pojawiając się w neonowym T-shircie z migającym napisem DARMOWY PIĄTEK. Nawet Buffowi Orpingtonowi wyparował z czachy bojowy spazm, pozostawiając po sobie mgiełkę niedowierzania.

- To niemożliwe! - zawołał. - Nie do wiary!

Aseed Preflux zbladł bardziej od podwójnie kremowego cheddara.

- Przeklnięcie! - zawył i dotknął palcami czoła. - Sprowadziłeś je na nas, Hillmanie Hunterze!

Hillman wyłączył podkaszarkę.

- Co? O nie. Na pewno nie. To niemożliwe. Poważnie?

Aseed i jego banda Tyromancerów, wściekle zbijając się w trójkąt, zaczęła się cofać od muru ośrodka.

- Nie będziemy ginąć za twoje grzechy, Hunter. Spójrz sam w oblicze gniewu Koła.

Tyromancerzy odwrócili się na pięcie i zaczęli wiać, co nie jest łatwe przy równoczesnym kłanianiu się i robieniu znaku Sera, w efekcie czego ponad połowa z nich pokoziołkowała w zarosniętą granicę i potrzebowała chwili na powłazenie do wózków golfowych i jak najszybsze pognanie z wyciem silników tam, skąd przybyli, gotowi nawet przejechać przez ścieżkę zdrowia, przygotowaną przez trenerów. Gdyby Ser chciał ich pojmać i rozgromić, nie miałby żadnego z tym problemu, wyglądało jednak na to, że jest dość zadowolony z władczego unoszenia się nad Nanitami.

- Co o tym sądzisz? - Hillman wypchnął pytanie bokiem ust w kierunku Buffa.

Buff wzruszył mięsistymi ramionami.

- Nie wiem do końca. Gouda, może cheddar.

Ser uznał, że ma dość bycia serem, i zamienił się w przewracające się oko, które należało do jego ulubionych.

Hillman potężnie westchnął, a całe jego ciało się rozluźniło, jakby kości przeszły w galaretowaty stan.

- Oczywiście. Powinienem był się domyślić.

Ogromne oko przewróciło się szaleńczo, po czym zamieniło w ekran, na którym pokazywano chyba reality show z udziałem kolosa o imieniu Pinky. Pinky przez kilka sekund szalał, po czym ekran eksplodował chmurą maleńkich futrzastych kulek z zębami, które to ząbki zjadły otaczające je futro, aby ukazać znajdujący się pod spodem błyszczący biały statek. Był on tak odjechany, że

wszystkie inne odjechane statki, takie na przykład jak Wszechkosmiczny Syriuszowy Nieztejziem, wyglądały przy nim tak odjechane jak gromada pryszczu na nosie czterdziestolatka, który jeździ na trójkołowym rowerze po biurze w trakcie prezentacji najskuteczniejszych sposobów odetkania rur kanalizacyjnych.

Uwaga w Przewodniku:

Analogia ta sprawdza się dość dobrze niemal wszędzie - z wyjątkiem miasta Majchr, znajdującego się w pobliżu sławnych Szpul Nieskończoności Allozymianusa Syneki. Majchr zamieszkują Pszawrianie, którzy od dzieciństwa są uczeni przeciwstawiać się oczekiwaniom. Każdy kto spełni oczekiwania, dostaje trzy szanse, po czym jest zrzucany z ukształtowanych jak palce Księżycoklifów. W rzeczywistości mało kto dostaje trzy szanse, wszyscy bowiem tego oczekują. W Majchrze piegowaty czterdziestolatek na trójkołowym rowerze byłby uosobieniem niespodziewanego odjechania. Fakt, że prezentacja dotyczyła rur kanalizacyjnych, zostałby uznany za elegancki ozdobnik, biorąc pod uwagę to, iż na Allozymianusie Synece stała grawitacyjna wynosi jedynie 1 m/s^2 , więc ścieki po prostu odpływają w kosmos.

Jaskrawy biały statek kosmiczny odrobinę zadrżał, po czym dokończył się materializować z odgłosem przypominającym zderzenie cytryny z wielką sztabą złota. Fragment kadłuba zasyczał jak woda sodowa w szklance, po czym zniknął, ukazując wysoką postać w kasku, którego aura zdawała się składać z chóru aniołów, śpiewających w boskiej harmonii: „Thor!”.

- Alleluja... - szepnął Hillman.

Buff Orpington opadł na kolana i zapłakał.

ROZDZIAŁ 9

„Tanngrisnir”

Langskip Bowericka Wowbaggera wyslizgnął się z głębokiego kosmosu niczym węgorz z ciemnych głębin rafy, jego silniki emitowały strumienie egzotycznych błękitnych płomieni, które po wejściu w realną przestrzeń się krystalizowały. W środku „Tanngrisnira” nie było ani jednego pasażera, którego podróż nie odmieniłaby w znaczący sposób.

Częściowo była to wina przestrzeni jako takiej, rękaw ciemnej materii jest bowiem przede wszystkim konstruktem emocjonalnym i może intensyfikować uczucia, które w innym przypadku mogłyby potrzebować na wyklarowanie się kilku lat. Dla świetlnej istoty zajrzenie nawet na chwilę w serce ciemnej przestrzeni ma efekt podobny do tego, jaki dałby tuzin otarć się o śmierć. Wszechświat w taki właśnie sposób przekazuje istotom, aby żyły dalej. Jest to dobre, o ile uczucie, pączkujące w sercach, jest dobre.

Kiedy statek wrócił w atmosferę Nano, po czym leniwym meandrem skręcił ku większym z dwóch osiedli, skanując przy tym każdy atom planety, w pasażerach znajdujących się wewnątrz amorficznej powłoki kipiały przeciwstawne emocje, próbujące rozgnieść ich serca o żebra i sprawiające, że mózgi puchły im do granic wytrzymałości.

Czy to możliwe, abym go kochała? Czy to możliwe? Czy po tylu latach mogę ot tak, pośrodku destrukcji planety, wpaść na mężczyznę i się w nim zabijać?

Trillian

Ale przecież nie jest mężczyzną, prawda? Boże, dziewczyno, nawet nie wiesz, kim on jest. Nie masz zielonego pojęcia o tym Wowbaggerze ani o jego fizjologii. Mogłyby być niezłe jaja w noc poślubną. Czy duch matki nie zacząłby wyć ze śmiechu, gdyby okazało się, że twój nowy mąż chce, abyś złożyła mu na dywanie kilka jaj, które mógłby zapłodnić?

Bleee... Nie, to zbyt wiele. Nie mogłabym. Nie mogę.

Dlaczego nie? Dla Zaphoda zrezygnowałaś ze wszystkiego, a wcale go nie kochałaś. Był interesujący, to fakt, ale nie kochałaś go. A teraz masz okazję być szczęśliwa i kręcisz nosem.

Nos... Artur uwielbiał mój nos. Może on i ja jeszcze mamy szansę... bez dwóch zdań byłoby to jasno określone.

Nie kochasz Artura. Nigdy go nie kochałaś, a poza tym nieustannie jest zadurzony w Fenchurch.

A co z Random? Potrzebuje cię. Już raz ją zostawiłaś, pamiętasz? Obiecałaś poświęcić to życie córce.

Czy negowanie własnego szczęścia uszczęśliwi moją córkę?

Tak to zazwyczaj działa, nie?

Ale go kocham. Kocham go, mammo!

Kogo nazywasz mamą? Opanuj się, dziewczyno.

Mogę kochać dwie osoby, nie? To dozwolone.

Może, ale Random ma pierwszeństwo.

Random

Wsadzili mnie w idiotyczną rurę, co? Ja im pokażę! Pan Nieśmiertelny sądzi, że jest nieśmiertelny? Może powinien nieco więcej posurfować po sub-ecie. Może - gdyby jego komputer nie był zajęty robieniem cielecych oczu do mojego taty - zauważyłby na bardzo peryferyjnej stronie bardzo peryferyjny artykuł o Pyntoladze, Sześciopalczystym Nieśmiertelnym z Santraginusa, który został przeklęty nieśmiertelnością przez napromieniowany stymulujący mięśnie elektroniczny pas do odchudzania i w jaki w końcu sposób zginął.

A więc Bowerick Wowbagger chce umrzeć? Cóż za niewdzięcznością byłoby mu w tym nie pomóc.

cichy głosik: Byłaś politykiem. Kochającą żoną. Prezydentem Galaktyki. A teraz zamierzasz pomóc tej istocie się zabić?

Straciłam męża, pracę i przyszłość. Czas zacząć myśleć o sobie.

cichy głosik: Wystarczający argument Więc go zabij.

Bowerick Wowbagger

Czy to może być miłość? To możliwe?

Daj spokój, Bow Wow, przemawia przez ciebie ciemna materia.

Nie. Jestem w stanie poradzić sobie z mą ciemną materią Żyję na tym statku od lat. Chyba jednak kocham tę kobietę. Obserwuje się to ciągle, niemal w każdym filmie, który oglądałem: ludzie nawiązują natychmiastowe związki, zakochują się od pierwszego wejrzenia, zostają trafieni piorunem.

To nie film. Powinieneś od czasu do czasu nastawić wiadomości i zobaczyć, o ilu miłosnych piorunach jest mowa.

To miłość. Mogłaby to być miłość. Dlaczego nie miałyby to być miłość? Czy po takim czasie nie zasługuję na nic?

Zasługuję na śmierć. Czy nie za tym tęskniłem przez wszystkie lata?

Tak, ale tylko dlatego, że niczego dla mnie nie było. Niczego poza komputerem w ukradzionym statku. Teraz coś jest. Ktoś.

Nie trać koncentracji. Naprawdę ci zależy na śmierci. Nie pozwól, aby śmiertelna istota wszystko popsuła.

Kiedyś też byłem śmiertelny. Nie są tacy źli.

Naprawdę? Kim jesteś i co zrobiłeś z prawdziwym Bowem Wowbaggerem? Popraw mnie, jeśli się mylę, ale nie spędziliśmy ostatnich kilku tysięcy lat na obrażaniu śmiertelnych? Nie masz pełnego wydania *Tezaurusu Totalnego Tłumoka*?

Tak, ale...

I... nie twierdziłeś, że byłeś już kiedyś zakochany?

Tak, ale to było co innego. Sądziłem, że to była miłość, ale teraz widzę, że był to jedynie brak niesmaku. Trillian ma w sobie coś innego.

Trillian. O ile naprawdę się tak nazywa.

No, teraz to już się czepiasz.

Wiem tylko, że po raz pierwszy od nie wiem jak dawna masz szansę być martwy. Niewielką, fakt, ale jeśli ten debil Beeblebrox się przebije, istnieje. Jesteś gotów wszystko zaryzykować tylko dlatego, że poczułeś miętę do śmiertelniczki?

Tak. Jeśli mnie zechce - zaryzykuję wszystko. Jeśli nie, wracamy do planu A.

To znaczy?

Obrazić każdego na planecie i spróbować dać się zabić.

Amen.

Artur

To absurdalne. Spędziłem większość tej niesamowitej podróży, rozmawiając z komputerem.

Właściwie to rozmawiałeś ze sobą. Komputer zanurza się jedynie w twoje wspomnienia i kompiluje odpowiednie reakcje na podstawie rozmów z przeszłości. Jeśli dobrze się wsłuchasz, usłyszysz BLIP w miejscu, gdzie połączono fragmenty zdań.

Wiem. Wiem. Trudno się jednak rozerwać na kawałki. Straciłem Fenchurch i o mało mnie to nie zabiło. Nawet teraz, po tak długim czasie, nieustannie o niej myślę.

Po tak długim czasie? Wcale tak wiele go nie minęło.

Mówię o moim wirtualnym życiu. Spędziłem sporo czasu na tej plaży, rysując wizerunki Fenchurch.

Wiem. Były okropne. Trzeba żyć dalej.

Chcesz powiedzieć - aż Vogoni zniszczą tę nową planetę?

Albo aż ja ją uratuję. No wiesz - już ratowałem planety.

Wydaje mi się, przyjacielu, że to nasze ostatnie życie. Ile jeszcze przeżyjemy zniszczonych światów? Ani jednego - ot co!

Wowbagger być może przegoni Vagonów. Albo Thor, w zależności od tego, kto zwycięży. Ota-
cza nas cały kosmos i jesteśmy jego częścią. Nie chcę spędzić reszty życia, trącąc się w my-
ślach stopami z pudłem kondensatorów i chipów.

Wiem. Masz rację, ale tu jest bezpiecznie. Nikt nas nie znajdzie, nie wspominając o groźeniu
bronią termonukleamą.

Więc zostaniemy tu na zawsze.

Nie... chyba nie.

Więc co zrobimy?

Będziemy żyć dalej.

Nie czuję tego.

Ruszaj się!

W porządku. Zapomniałeś o Fenchurch?

Jasne. Oczywiście. O fen-kim?

Takiego cię lubię.

cichy głosik: Fenchurch. Nigdy nie zapomnij.

Ford

Mogę nie mrugać przez osiem minut. Osiem minut, to pewnie jakiś rekord? Niemruganie tak re-
laksuje... byłem nieco zrelaksowany przed wejściem na pokład tego statku, ale teraz jestem zde-
cydowanie w śpiączce... a może tylko śpię w mączce? Może coś w tym jest, nogi mam bowiem
blade jak mąka, co z jakiegoś powodu jest dość niepokojące.

Piwo, piwo, wspaniałe piwo. Im więcej wypijesz piwa, tym więcej strachu przybywa.

Gąsborwhamm! Byłem głupcem. Wiem, co mam robić. Muszę napisać coś dla *Przewodnika*
o tym statku, na wypadek gdyby wydawcom kiedykolwiek udało się zdemaskować Vagonów. Mój
Boże, to byłaby sensacja. Ilu śmiertelnych mogło podróżować na pokładzie „Tanngnisnira”? Nie
mam pojęcia. Założę się, że niewielu, a następny poczuje sporą ulgę, znajdując uspokajający i in-
formacyjny wpis w *Przewodniku*. Jasne. Co napisać? Coś zwięzłego, żeby dranie nie miały nad
czym majstrować. Ale w dobrym stylu. Coś, co w każdym elemencie emanuje słowami „Ford
Prefect” i równocześnie oddaje esencję tak wyrafinowanego, złotego statku. Ostatnia rzecz, jaką
złożyłem, była nieco rozgadana. Skrócić. Od razu iść do sedna. Natychmiast do głównego tematu,

bezpośrednio do tego, co najważniejsze. Istota na horyzoncie, kapitanie.

Aha! Mam. Istnieje tylko jedno słowo, które opisuje zarówno mego ducha, jak i ducha tego wspaniałego pojazdu. Ulubione pojęcie, tak samo popularne wśród starych figo, jak i młodych fago, zestaw zgłosek tak samo pięknych, jak i użytecznych: Wrucajny.

*

Zebrali się na mostku, aby obserwować zejście ku błękitnej planecie.

Ford podszedł do zakrzywionej ściany, która zabulgotała i zrobiła się przezroczysta.

- Chciałem, aby to zrobiła - powiedział z uśmiechem Ford. - Pomyślałem tak sobie i statek zrobił to, co trzeba.

Widok był zdecydowanie spektakularny i nawet Wowbagger odwrócił na chwilę wzrok od Trillian, aby docenić przestwór fal, nakrapianych plamkami złotego słońca i uciekających pod dziobem statku.

- To... ładne - powiedział tonem blaslessiańskiego więźnia na zwolnieniu warunkowym, któremu po dwudziestu latach zwrócono kubki smakowe. - O tak. Ładne.

Trillian objęła ramionami jego biceps.

- Ładne? To wspaniałe, niesamowite. Zdawało mi się, że umiesz używać słów.

- Dobrych nie - odparł Wowbagger z uśmiechem. - Dzięki wszystkim śmierdzącym śmiertelnikom od pewnego czasu nie mam na nie potrzeby... z wyjątkiem obecnego towarzystwa.

Random przepchnęła się obok, „przypadkiem” trącając Wowbaggera łokciem.

- Z wyjątkiem większości obecnego towarzystwa - dodał.

Random słodziutko się uśmiechnęła.

- Chciałabym tylko powiedzieć, panie Wowbagger, że mam nadzieję, iż, tak jak pan sobie życzy, dziś pan umrze.

- Random! - zawołała Trillian. - Jak możesz mówić coś tak okropnego? A poza tym to się nie wydarzy. Zaphod Beeblebrox jeszcze nigdy w życiu nie spełnił groźby ani obietnicy.

Wowbagger uśmiechnął się do niej.

- Nie martw się. To efekt ciemnej przestrzeni. Emocje się nasilają, ludzie mówią rzeczy, których nie myślą. Dziewczyna się uspokoi.

- Nie licz na to - odparła, szczerząc zęby, Random.

Trillian nie dosłyszała tego. Emocje się nasilają, krążyło jej po głowie. Ludzie mówią rzeczy, których nie myślą.

- O Boże... - powiedział z podnieceniem komputer, brzmiąc nagle jak nastoletnia fanka zespołu rockowego. - To Thor! Po tamtej stronie wyspy. Nie do wiary, łapię Thora. Ciekawe, czy mnie pamięta?

Czoło Wowbaggera się napięło.

- Jesteś pewien?
 - Oczywiście, głuptasie. Program rozpoznawania twarzy daje ponad milion punktów zgodności.
 - Komputer, tylko się nie podniecaj. Ląduj.
 - Gdzie? Obok Boga Piorunów?
- Wowbagger odwrócił się od Trillian.
- Nie. Tutaj. Muszę się zastanowić.
- Świetnie, pomyślała Trillian. Ja też.
- Świetnie, pomyślała Random. Potrzeba jeszcze chwili na dotarcie mojej przesyłki.

Cong

- Zaphod Beeblebrox... - powiedział Hillman, jakby to nazwisko było przekleństwem, choć nie wiedział, iż na kilku planetach rzeczywiście nim się stało. - Zaphod syn złej matki Beeblebrox.

Zaphod leżał na leżaku na placu, bez dwóch butów, z trzema podwiniętymi rękawami.

- Powtarzasz to i powtarzasz, Hillmanie, jakby moja obecność nie oznaczała rozwiązania wszystkich twoich problemów, a była czymś złym.

- Rozwiązania jakich wszystkich problemów?

- A jakie masz?

Hillman zabębnił palcami w stół z nadzieją, że kelnerka to zauważy i wreszcie, na Boga, przyjdzie i przyjmie jego zamówienie. Przerwał w połowie bębnienia.

- No cóż, tak na początek to nie mamy kelnerek. Wszystkie są na plaży z osobistymi instruktorami. I zabrały ze sobą całą gorzałę.

Zaphod sięgnął po buty.

- Rozumiem, Hillmanie, miło się z tobą gawędziło. Gdybyś tylko mógł mi wskazać kierunek, gdzie znajduje się ta plaża...

- To wszystko twoja cholerna wina, Zaphodzie! Wszystko było dobrze do chwili pojawienia się zachodniej społeczności miejskiej. Tyropolis, co to za nazwa? Ich personel zbuntował się jeszcze przed naszym. - Wyciągnął palec w kierunku Zaphoda. - Uwierzysz, że niektórzy nasi ludzie sami muszą sobie dokonywać irygacji okrężnicy?!

- Każde nowe społeczeństwo ma problemy z ząbkowaniem. Trzeba przez nie przejść za pomocą dyplomacji i alkoholu.

- Problemy z ząbkowaniem? Ten świr Preflux to coś poważniejszego od problemu z ząbkowa-

niem.

Zaphod spróbował powstrzymać chichot, ale wyprysnął mu nosem.

- Co w tym śmiesznego, Beeblebrox?

- Nic.

- Podziel się radością. Nalegam.

- Właśnie nazwałeś Aseeda Prefluxa świrem.

- No i co? Jest świrem.

- Jeśli tak jest, to ty też.

Hillman zmarszczył czoło.

- Co to ma znaczyć?

- No cóż, on jest tobą, a ty nim. Nie mów, że tego nie zauważyłeś.

- To jedna wielka kupa końskiego łajna - odparował Hillman. ale w żołądku tkwił mu kawał lodu, mówiący, że to prawda.

- Zachodnia społeczność miejska? Tyropolis? To wy z innego wymiaru. Wyekspediowałem was za pierwszym razem, więc pomyślałem sobie: hej, czemu nie zrobić tego znowu? Właśnie zabierałem się do trzeciej grupy, kiedy BUMMM, pojawili się Vogoni.

- Więc Ziemia została zlikwidowana?

- Całkowicie i po wsze czasy. Nawet Arkle Schmarkle i cała jego zgraja nie byłiby w stanie posklejać jej do kupy.

- Nie rozumiem.

- To taka stara dziecięca rymowanka z Betelgeuse. Arkle Schmarkle był dzieciakiem, który sklejał do kupy jajka, które spadły z muru. Tragiczny koniec.

- Rozumiem. W każdym razie, wracając do tej planety: Aseed Preflux to ja? Jestem tym nadętym, pustym durniem? To chcesz powiedzieć?

Zaphod strzelił palcami trzeciej ręki, na nauczenie się czego potrzebował kilku miesięcy.

- Badabingo! No, może niedokładnie nim jesteś. Jesteś jego wersją z kilku milionów wszechświatów, leżących dalej na osi, stąd drobne różnice. Najpierw imię. Ty masz bandzioch, on nie. Ty farbujesz włosy, jego są naturalnie rude. Tego typu.

Hillman nawet nie miał siły zaprotestować przeciwko oszczerstwu z farbowaniem włosów. Wiedza o istnieniu nieskończonej liczby alternatywnych Hillmanów Hunterów to jedno, a prowadzenie wojny z jednym z nich to całkiem co innego.

- Nie mogę uwierzyć! - wyrzucił w końcu z siebie. - Wrobiłeś mnie, Beeblebrox. Wystawiłeś mnie przeciwko samemu sobie.

Zaphod poklepał się po policzkach i piersi z udawanym przerażeniem.

- Wrobiłem cię? Ja? To niedorzeczne. Próbowałem tylko zarobić parę groszy. Wiedziałaś, że zjawia się nowi osadnicy. To nie moja wina, że wy, potomkowie małpy, walczyacie, z kim tylko się da, nawet z innymi wersjami siebie samych. - Zaphod nagle się wyprostował. - Święta majchrolacho! Mam rację, prawda? Trafiłem, co?

Hillman gotował się w milczeniu i poszarpywał bródkę. Beeblebrox faktycznie miał rację. Uratował im życie i przeniósł ich do nowego Edenu. Trudno było obwiniać go o to, że ludzka rasa raz za razem wszystko musiała spieprzyć. Hillman popatrzył przez plac na Buffa Orpingtona, zachowującego się jak dzieciak na kroplówce z cukru - krążącego wokół Thora z wywieszonym ozorem i machającego kijem golfowym.

- Osiedle się rozpada - przyznał Hillman. - Naprawdę przydałby mi się bóg.

Zaphod udał zaskoczonego, jakby spodziewał się pójścia rozmowy w innym kierunku.

- No cóż, mam boga.

- To prawdziwy Thor? Naprawdę?

- To naprawdę Thor, a ja jestem jego menedżerem.

Hillman zaplaskał wargami.

- Że co? Nawet bogowie teraz kosztują?

- Obudź się, Hillman. Bogowie zawsze kosztowali. Mogę ci załatwić układ.

- Będziemy mieli wyłączne prawa?

- Nie mogę obiecać. Thor to pierwsza liga. Świętość klasy A. Mnóstwo kultur chciałoby oddawać mu cześć.

- Jest wszechobecny?

- Nie, ale jest dość szybki.

Hillman zastanowił się nad tym. Posiadanie boga postury Thora mogłoby ponownie sprowadzić planetę na dobrą drogę. Koło sera Aseeda Prefluxa nie wytrzymałoby długo w konfrontacji z tak wielkim młotem, jaki miał Thor, a mając rozliczać się z Bogiem Piorunów, personel pomyślałby dwa razy, zanim odmówiłby wykonywania obowiązków.

- Kiedy mógłby zacząć?

W kieszeni Zaphoda coś zapiszczało i obmacał się, aż zlokalizował miniaturową kartę komputerową, którą dostał od Wowbaggera.

- Niemal natychmiast - odparł, patrząc na ekran. - Thor musi jeszcze tylko udzielić odrobinę kary boskiej. Może zechcielibyście to obejrzeć, że tak powiem, odbyć jazdę próbną nowego nabytku. Będzie dość efektownie.

Zaphod odwrócił się do Thora.

- Thor?! Gotowy? Nieśmiertelny wylądował! - zawołał.

- Na pewno? - odparł Thor, podejrzliwie obserwując Buffa Orpingtona, który próbował złapać

Mjöllnira. - Nie wiem, czy jestem gotów. Widziałeś tego gościa? Jest sarkastyczny czy naprawdę uważa mnie za wspaniałego? Chce zostać kaznodzieją. Chce sutannę. Tego właśnie chcesz, chłopcze?

Buff skinął głową, aż zafalowały mu podbródki.

- O tak... - wydyszał. - O tak... o tak... o tak...

Tyropolis

Langskip Wowbaggera przyziemił na pięknej, sfalowanej łące za osiedlem i natychmiast przybrał kształt oraz teksturę trawiastego pagórka. Znajdujące się w pobliżu krowy Wielkie Ame-glikańskie pokłóciły się, która ma się oddać w ofierze przybyszom, i przekleły swe kiepskie szczęście, powracając do malowania ogonami plakatów z protestami przed niechęcią Tyromancerów do jedzenia ich.

Wowbagger otworzył luk i pasażerowie z wdzięcznością postawili stopy na twardej ziemi.

- Naprawdę tu ładnie -Hpowiedziała Trillian. - Spokojnie.

W tym momencie przez łąkę przebiegła rozhisteryzowana krowa, walnęła ją z byka w pierś i zawyla: - Zjedz mnie! Zjedz mnie!

Trillian odskoczyła od mokrego, owłosionego pyska.

- Hej! Blee... jestem... wegetarianką.

- Warzywa! - wypluła krowa. - Co w nich szczególnego? Dlaczego tylko one mają się dobrze bawić? Włókno i witaminy. I co z tego? Mnie z tyłka leci białko. Dosłownie.

Zanim pasażerowie „Tanngriisnira” zdążyli zrobić kolejny krok, otoczyły ich rozzłoszczone krowy.

- Jesteśmy wściekłymi krowami! - zaintonowały chórem. - Jesteśmy wściekłymi krowami!

Artur się roześmiał.

- Wiecie co... to śmieszne, bo na Ziemi była taka choroba...

Do Artura podeszła brązowa krowa.

- Nie jest pan wegetarianinem, proszę pana?

- Dlaczego? Nie, w zasadzie to nie.

- Założę się, że spałaszowałby pan pyszną poledwicę z kilkoma ziemniaczkami i dwoma kieliszczkami winka.

Artur poklepał się po brzuchu.

- Prawdę mówiąc, z przyjemnością. Brzmi to świetnie. Befsztyk. Nic się z nim nie może równać. Człowiek dostaje dokładnie to, czego chce. Słowo daję, cóż za mięso!

Kiedyś myślał o tym, że istnieją zwierzęta hodowane tak, aby marzyły o rzeźni, przerażała Artura, teraz jednak odnalazł w swym sercu iskrę akceptacji i optymizmu.

Ciemna materia, pomyślał. To przejdzie.

- Czytasz w moich myślach, Arturze, przyjacielu - stwierdził Ford. - Zazwyczaj nie jestem za pożeraniem istot czujących, ale te koleżanki są uparte.

Krowa przednią nogą zaczęła popychać Artura i Forda w kierunku buzującego żarem z węgla drzewnego grilla.

- Jak panowie życzyliby sobie befsztyki?

- Krwisty - odparł Ford. - Tak krwisty, że weterynarz z defibrylatorem mógłby reanimować zwierzę.

- Dla mnie średnio wysmażony.

Krowie jakimś sposobem udało się ułożyć na przedniej nodze serwetkę.

- Znakomicie. A wino?

Artur nie miał pojęcia, jak na tej planecie wygląda sytuacja z winami. Nie wyglądało na to, aby mieli czas na wybrzydzenie z rocznikami.

- Zaskocz mnie.

Wowbagger czuł się nieco osaczony przez pozostałe krowy. Nigdy nie był przesadnym miłośnikiem mówiących czworonogów. Walczył z tą fobią od dłuższego czasu.

- Naprawdę powinniście nieco się cofnąć albo będę zmuszony usmażyć was moim pistoletem energetycznym.

- Wreszcie! - zawyła jedna z krów.

- Ustaw na maksymalną moc! - zabłagała inna.

Trillian ujęła Wowbaggera za ramię.

- Znam ten gatunek. Chcą, aby je jeść.

- Nie zamierzam ich jeść, ale mogę je powystrzelać.

W Random jeszcze kipiały emocje z podróży.

- Więc dlaczego nie porozwalasz wszystkich, kosmito? Pokaż matce, jaki naprawdę jesteś.

Wowbagger poczuł, jak Trillian ściska go za ramię, i jego niepokój odpłynął.

Popatrzył na Trillian. Jak to możliwe? Jak to zrobiłaś?

Jak już przedtem omawiano, wszechświat ma awersję do delikatności i nie może pozwolić, aby trwała długo, każde bowiem przepełnione miłością szybkie spojrzenie musi zostać w innej części kosmosu zrównoważone krótkim ostrym wstrząsem. Czasem niezbyt krótkim.

Uwaga w Przewodniku:

Bowerick Wowbagger (albo, jak opisuje go A₂G₂-2: „zielony wrucet z pięśliwym statkiem, który krąży, obrażając ludzi”) w realnej przestrzeni podzielił do tej pory z Trillian Astrą (albo, jak nazwałoby ją pismo „KtuuCuu”: „szczęśliwą laską, która poraziła obraziciela”) trzy czule chwile, a za każdą musiały zapłacić nieszczęśliwe jednostki na przeciwległych krańcach wszechświata. Glamowi Fodderowi, inspektorowi do spraw planowania na Alfie Centauri, kawałek palca odgryzła pigmejowata nornica, która wlaźła do jego papierowej torby, ponieważ postanowił poddać recyklingowi torbę na kanapki z kosmitowiną. Ursool Dypher, doradca małżeński z supergorącego układu Hastromil, dostał napadu paniki, kiedy para, której dawał ślub o trzeciej, okazała się jego synem i córką, których oddał do adopcji, gdy był młodszy. Morty Grimm, solista supergrupy Hoolooroo Widzialne Spektrum, doznał dyfuzji trzeciego stopnia, kiedy inżynier oświetlenia przypadkowo nałożył na oświetlający solistę punktowiec niebieski żel.

Ta czuła chwila została przerwana przybyciem konwoju wózków golfowych. Wejście mogłoby być dramatyczne, niestety, prowadzący wózek nie wyważył bramy, a zaplątał się w popękane belki.

Zaprzyjaźniona z Arturem krowa wypłuła kłęb przeżuwanej trawy.

- Przygłupy. A niby to oni tu rządzą.

- Wegetarianie?

- Nie. Uwielbiają świnie. Nigdy nie mają ich dość. Z jakiegoś jednak powodu my, biedne krowy, nie jesteśmy w jadłospisie. Dziękujemy więc panu. Bardzo panu dziękujemy.

Z płataniny połamanego płotu i wózka wypłatał się Aseed Preflux.

- Arturze, co wyjdzie ze skrzyżowania płotu z wózkiem golfowym? - zapytał Ford.

Artur nie zdążył spróbować odpowiedzieć, zaatakowali ich bowiem Tyromancerzy.

- Odejdźcie od tego grilla! - zaordynował energicznie Aseed. - Potrzebujemy tych krów!

- Zatrzymam ich - szepnął Artur Fordowi do ucha. - Ty bierz Bessy na grilla.

Niestety, krowa usłyszała.

- Nie podoba mi się to - powiedziała. - Nie nazywamy się Bessy. Tak naprawdę „Bessy” jest już w eleganckich kręgach niemodne. W tym sezonie obowiązują takie imiona jak Trisjam i Pollygrino.

Aseed przebił się przez stłoczone krowy, aż dotarł - zdyszany i poobijany - do przybyszy.

- Kto tu dowodzi? - zapytał.

Wowbagger wystąpił, unikając wszystkiego, co parowało albo mlaskało.

- To będę ja. Bowerick Wowbagger, kapitan statku.

- Jakiego statku? Nie widzę żadnego statku.

- Ponieważ jest zakamuflowany, ty nierozdziewiczony umysłowo prosty organizmie.

Aseed poczerwieniał.

- Że co? Co to ma znaczyć? Jak śmiesz?

- To, co znaczy. Zaskoczenie i oburzenie. Przypomina mi, dlaczego się tym zajmowałem.

- Zajmowałem? - spytała Trillian.

Wowbagger popatrzył na swoje buty, ciągle jeszcze przyzwoicie czyste.

- Ostatnio straciło to cały urok.

Odwaga Aseeda rozkwitała wraz z pojawianiem się innych osadników, ciekawych, co ma znaczyć całe zamieszanie.

- Przepraszam, że przerywam waszą czułą chwilę...

(Na pokładzie krążownika pasażerskiego, mijającego właśnie gwiazdę Barnarda, doktor pokładowy kichnął i ukłął się w kolano igłą strzykawki. Pomijając jęczenie, kolano dostało na dwa dni ścisłą dietę wodną).

- ...ale w jakiej przybył tu pan sprawie, panie Wowbagger?

- Przybyłem, aby zostawić tu tych humanoidów u ich pobratymców, i zamierzałem zelżyć każdego, ale teraz chyba przestało mi zależeć.

Aseed nieco podniósł wzrok.

- Ci ludzie to nasi pobratymcy? Są Tyromancerami?

Szczęka Wowbaggera zadygotała.

- Tyromancerami? Jesteście Tyromancerami? Nie wierzę!

Fala zuchwałości Aseeda wyraźnie opadła.

- Nie mów mi, że nie wierzysz w Ser. Nie sądzisz chyba, że wszystko jest tylko w mojej głowie.

- Ależ skąd. Znam Sera. Nie widziałem go od wieków.

Preflux opadł na kolana. Coś zachlupotało, coś innego trzasnęło i zaczęło parować.

- Z... znasz Sera? Byłeś w jego wysoko postawionej obecności?

- Wysoko postawionej? Kto powiedział ci coś takiego?

- Pan Ser osobiście, w mych wizjach..

Wowbagger skinął głową.

- W dalszym ciągu marzy. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają. Znajdź pusty mózg i wślizgnij się weń, Seruś zawsze tak działał. Znam ten boski numer: dawno temu zatrudniłem go, aby mnie zabił. Próbował to zrobić za pomocą dipu do maczania sera. Nie przyniosło większego skutku, poza tym, że od tamtego czasu nie toleruję laktozy.

- Sprowadziłeś na nas Przeklęcie?

- Przeklnięcie? To przekomiczne. Naprawdę? Skądże. Daj spokój. Nie spodziewaj się, że ludzie nie będą się śmiali, jeśli używasz tego typu teologicznych pojęć. Jeśli masz na myśli wielką kulę sera nad tamtym drugim osiedlem, powinieneś się domyślić, że to drugi statek kosmiczny wtacza się w strefę normalności.

- Nie Przeklnięcie?

- Wątpię. Z całym szacunkiem dla Serusia, może i jest młodszym bogiem, ale nie jest zbyt dobry w projekcjach. Słyszałem, że uczy się do egzaminu z boskości średniego stopnia, a ponieważ nie widziałem, aby w kalendarzu pojawiły się jakieś święta świętego Sera, podejrzewam, że nie zdał.

- Ja też - powiedziała krowa. - Ponieważ jest zerem. Jak i ty, Preflux.

- Zamknij się, krowo, albo jak mi dopomóż...

Krowa splunęła.

- Co mi zrobisz? Nie zjesz mnie?

- Właśnie. Nie zjem ani ciebie, ani nikogo z twojej rodziny. Gdziekolwiek się schowacie, znajdę was i nie zjem ani kawałka.

Krowa zbaraniała.

- To jeszcze nie koniec, Preflux... - wymamrotała.

Zadzwonił telefon Aseed. Odebrał i przeprowadził krótką rozmowę. Popatrzył na drogę w kierunku tunelu.

- Jesteś reprezentantem Sera, Wowbagger?

Wowbagger zmarszczył czoło.

- Nie nazwałbym tego reprezentowaniem. Trochę go znam. Wypiliśmy kilka piw.

- Więc przyjacielem - nie odpuszczał Aseed. - Mistrzem, że tak powiem.

- W najlepszym wypadku znajomym.

- Ale z tego, co mówi mi mój człowiek, Hunter załatwił sobie prawdziwego boga.

- Aha.

- I jedzie do nas.

- Aha. I chciałbyś, abym reprezentował Sera.

- Zechciałbyś? Byłoby super. - Aseed zrobił znak trójkąta.

- Co to jest?

- Trójkąt serowy. Estyma szczerza dla Sera. Taki slogan wymyśliłem.

Wowbagger się roześmiał.

- Nie ruszaj się. Muszę to sfotografować dla Serusia. Będzie zachwycony.

Trójką Aseeda zadrżał.

- Nie widzi nas? Nie ma go wszędzie wokół?

- Serusia? Zrobi wszystko, aby przypiąć się do jedzenia i rozsyłać nabiłowe sny. I powiem ci coś jeszcze: uwielbia ser i wołowinę. Zwłaszcza dania, w których ser i wołowina są połączone.

Aseed opuścił ręce wzdłuż tułowia.

- A myśmy przez cały czas chronili wanny serowarskie...

Powietrze nagle zatrzeszczało i Artur poczuł, że włoski na przedramionach stają mu dęba.

- Chyba powinienem uciekać. Thor może mnie pamiętać.

Na wschodzie, tuż nad linią drzew, pojawiła się na niebie niewielka burzowa chmura. Z jej brzucha w regularnych odstępach wystrzeliwały fotogeniczne błyskawice i wyglądało, jakby ujeżdżała je wielka postać.

Wowbagger cierpko się uśmiechnął.

- A więc Beeblebrox go dorwał... Nie do wiary.

- Lepiej w to uwierz - odparł Ford. - Nazwałeś go tłustodupym, pamiętasz?

Trillian osłoniła oczy ramieniem i zmrużyła je, aby dostrzec Boga Piorunów.

- Straszny z niego pozer. Wielki młot to nie wszystko. Może to tylko jeden wielki pokaz świateł. Może wcale nie chce walczyć.

Tego typu deklaracja praktycznie gwarantuje całkiem przeciwne i - biorąc pod uwagę uczestników wydarzenia - melodramatyczne wydarzenie, a Trillian jako dziennikarka powinna przed jego wygłoszeniem ugryźć się w język.

Uwaga w Przewodniku:

Istnieje teoria, wysunięta przez Schicka Brithausa, kontrowersyjnego doktora od kości z pretelepatycznej Kakrafoon Happy, która mówi, iż wszechświat jest zbudowany na niepewności, a ostateczne stwierdzenie/działanie powoduje chwilową próżnię energetyczną, w którą wpływa diametralnie przeciwstawne stwierdzenie/działanie. Do sławnych powodujących próżnię stwierdzeń należą: To pewnie nie będzie tu pasować?

Oraz:

Rzygać mi się chce od obstawiania co tydzień tych samych numerów. Nigdy ich nie losują.

Oraz:

Jesteśmy pokojowo nastawieni. Nawet Silastyczne Diabły Pancerne ze Striteraxu nie chciałyby zaczynać z nami bójki.

Oraz:

Wyglądasz świetnie w tym swetrze, Felixie. Mowy nie ma, aby ktoś nazwał cię świrem i wrzucił do kompostu.

Oraz:

Może to tylko jeden wielki pokaz świateł. Może wcale nie chce walczyć.

Istoty subatomowe usłyszały wższszsz odsysania energii i w próżnię wpadła potężna błyskawica, która osmałiła duży kawał łąki, pozostawiając w środku ugotowane krowie truchła i wielkie X.

- Farciary - mruknęła jedna z krów, która przeżyła.

Środkowy mózg Wowbaggera i różne zwoje nerwowe zostały zalane przez sprzeczne emocje. Przez tysiąclecia jego największym życzeniem było umrzeć, a teraz w mroku pojawił się plasterek światła - szansa, że zasada, która kazała mu szukać śmierci, była tak naprawdę wadliwa. Stał przed następującym dylematem: czy to mądre dać minąć znakomitej okazji na zostanie zabitym za znikomą szansę, że mógłby pocieszyć się kilkoma krótkimi dziesięcioleciami szczęścia z już umierającą kobietą?

- Sądę, że X oznacza miejsce - powiedział Ford, trzymający w dłoni kawał zwęglonego mięsa. Odwrócił się do najbliższej krowy. - Macie jakiś sos? Jest trochę suche.

Artur stwierdził, że tego rodzaju zachowanie nie oburza go jak kiedyś. Wielokrotny kontakt z wybujałym łakomstwem Forda Prefecta nieco zerodował jego poglądy na temat zachowania.

- Ktoś chyba wspominał coś o winie - powiedział, próbując nie brzmieć przesadnie entuzjastycznie.

Random zrobiła nachmurzoną minę, nikt jednak nie zwrócił na to uwagi, gdyż poza pogardliwym wyęcieniem ust był to kompletny repertuar jej mimiki.

- To niesmaczne - powiedziała, gładko przechodząc w wyraz twarzy numer dwa. - Jesteście świniami.

- Świniami? - zapytała krowa. - Nic mi nie mów o świniach.

ROZDZIAŁ 10

Rozeszło się wśród czujących istot Nano, że w Tyropolis może lada chwila dojść do poważnego kryzysu i najprawdopodobniej najlepiej by było oddalić się na bezpieczną odległość, aż ziemia przestanie się trząść. Co oczywiście oznaczało, że wszyscy natychmiast udali się na zwęgloną łąkę na obrzeżach miasta z wyjątkiem Nicklesa Adare'a, byłego burmistrza Nowego Jorku, który siedział zamknięty w sali ośrodka terapeutycznego w Congu i odbywał przymusowe odtrucie.

Szwendotirliptaki przybyły jako jedne z pierwszych, mają bowiem wrażliwe lotki pierwszorzędowe i ich przywódca, Perko Saint Waring Nakrapiany, używał ich do kierowania pożyczonym minibusem. Zatrzymał busa, wjeżdżając nim w rów, po czym kazał dwóm członkom stada trzymać miejsca przy płocie, a z resztą udał się na poszukiwania bezmlecznego cappuccino.

Następni przybyli osobiści instruktorzy. Biegli przez pola w formacji diamentu, najwyraźniej niezbyt zauważając popołudniowe słońce. Potem wbiegli na drogę - każdy z rowerem na lewym ramieniu, a kosmetyczką przy drugim.

- Nie powinniście na nich jeździć? - spytał Artur nabitego młodzieńca, który akurat się przy nim rozgrzewał.

- Człowieku, dorośnij - odparował instruktor i odszedł sztywnym krokiem, pozostawiając Artura w stanie konfuzji.

Thor rozgrzewał się na osmalonej łące, robiąc różne pozy i upewniając się, czy jego legginsy odpowiednio się trzymają. Był zdenerwowany. Mówiąc prawdę, choć wydawało się to niemożliwe - zwłaszcza zdaniem Zaphoda - ogarnęło go przerażenie. Był to jego pierwszy publiczny występ od nadania przekłętą wideo, którego najwyraźniej nikt tu nie widział. Ci ludzie widzieli w nim pierwszej klasy boga, który nigdy nie miał do czynienia z gwiazdorstwem rockowym ani sprośnymi filmami. Miał szansę wyrzucić tu dobre wrażenie. Miał na czym budować przyszłość.

Jeżeli dziś dobrze sobie poradzę, mógłbym rozpocząć długą drogę do odzyskania reputacji, pomyślał Thor. Naprawdę mam nadzieję, że ten nieśmiertelny nie wyłamie się z gry i nie zginie zbyt szybko. Bóg zabijający nieboga nie wygląda dobrze, chyba że sprytnie się wszystko rozegra.

Zebrał się spory tłumek, a atmosfera sprawiała wrażenie bardzo świątecznej. Młodsze szwendotirliptaki wrywały sobie martwe pióra z ogona i zrzucały je wirującym lotem na pole, a nakrecony kofeiną szwadron starszych robił defiladę lotniczą z synchronizowanymi pętlami i kaskaderskimi nurkowaniem.

Instruktorzy formowali na skraju skruszałej od wysokiej temperatury trawy ludzką piramidę, a życzliwe kosmetyczki pocieszały zdesperowanych mieszkańców Tyropolis i Cong, z których większość już dawno zapomniała, jak samemu się upiększać.

- Te moje włosy... - zawodziła starsza kobieta. - Skierowałam na nie to, co tak dmucha na gorąco, ale nie chcę zmienić koloru...

- A te paznokcie... - mówiła druga. - Nic tylko rosną. Codziennie to samo. Wróc, Jaśmin.

Wróć, proszę...

Buckeye Brown był w trakcie złowrogiego wzrokowego trójkąta. Najpierw popatrzył w dół na czubki swoich butów, potem na Buffa Orpingtona i w końcu na wysokiego, opalonego mężczyznę w czerwonych spodniach i klapkach, ściskającego w zębach gwizdek.

O głowę i ramiona wznosił się nad ten tłum Bóg Piorunów.

Mogę zjednoczyć tych śmiertelnych, myślał. Jeden bóg. Jedna wiara. Im więcej ludzi będzie we mnie wierzyć, tym więcej będę mógł policzyć. I założę się, że któraś z tych dziewczyn umie ładnie zaplatać brodę. Ledwie ta szczęśliwa myśl powstała w jego głowie, powróciła dawna niepewność. To będzie katastrofa. Ludzie z sub-ety nienawidzą mnie. Nieważne, jak delikatnie zabiję tego nieśmiertelnego, podejną do tego negatywnie. Thor wzruszył ramionami. Kilka warokczyków w brodzie nigdy nie zaszkodzi - może poprawią mi humor.

*

Znajdującemu się po przeciwległej stronie osmalonego kręgu Wowbaggerowi kręciło się lekko w głowie i czuł się, jakby miał omdleć. Wreszcie nadeszła chwila, kiedy będzie mógł pocałować cielesną rzeczywistość na do widzenia i życzyć jej krzyżyk na drogę. Kilka żywotów cierpienia zbliżało się do końca.

On chyba może tego dokonać, myślał Wowbagger. Podjudzę go lekko kilkoma dobrze dobranymi komentarzami i walnie mnie tym wielkim urządzeniem do wbijania pali.

Thor oczywiście wyglądał tak, jakby był w stanie to zrobić. Energia emanowała z niego falami i trenował rzucanie błyskawicami w stadko krów, które zgłosiły się do tego zadania, stanowiąc ruchomy cel.

Nada się. Czuję to.

W uroczystym nastroju Bowericka Wowbaggera tkwił jednak drobny cień. Ziemską kobietą, Trillian Astra, zmieniła go.

Tłoki mego serca pompują jak szalone. Straciłem apetyt. Kompletnie nie mam ochoty na obrażanie ludzi. To niemal jakbym złapał jakiegoś wirusa, tyle że mnie wirusy się nie imają.

Wowbagger wiedział, co się stało. Ciemna przestrzeń pochwyciła plamkę fascynacji i rozdmuchała ją, aż zaczęła się wydawać miłością.

Tak właśnie jest? Nie mógłbym być nagle szczęśliwy? Tak dla odmiany?

Wątpliwe.

Dama, o którą chodziło, stała przy płocie i klóciła się z córką. Pamiętaj, Bowerick: weźmiesz kobietę, dostaniesz i córkę.

Zaskakujące, ale niezbyt się tym przejął.

Zawsze pozostaje rura, choć ostatnim razem Trillian nie była zachwycona tym rozwiązaniem.

Wowbagger pomachał przez łąkę i Trillian odmachnęła mu.

Machanie. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz komuś machałem.

Trillian zakończyła awanturę, odwracając się plecami do Random, i ruszyła przez pole, za każdym krokiem nakłuwając ziemię spiczastymi obcasami.

- Ta dziewczyna - wydyszała, uderzając lekko w przedramię Wowbaggera - wie, jak utrzymać mnie na chodzie.

- Co mówi teraz?

Twarz Trillian była blada - z wyjątkiem dwóch czerwonych plam wielkości jabłka na policzkach.

- Wszystko, czego nie chcę słyszeć.

- Przemawia przez nią ciemna przestrzeń. To minie.

- Nie sądzę. Random nienawidzi mnie i wszystkiego, co kocham. Sądzę, że gdybym kiedykolwiek kochała Artura, też by go nienawidziła.

- A nigdy go nie kochałaś?

- Nie. Zdawało mi się tylko, że się starzeję, a był jedynym dostępnym ludzkim partnerem.

- Rozumiem.

- Już raz ją zostawiłam. Nie miałam zamiaru, tak się po prostu wydarzyło. Nienawidzi mnie za to.

- Na pewno cię nie nienawidzi.

Trillian ostro skinęła głową.

- O tak. Mówi, że przeze mnie czuje się okropnie. A jeśli ona nie może mieć męża, dlaczego ja miałabym...

W tym miejscu Trillian postanowiła przerwać, pół zdania za późno.

Wowbagger zachłysnął się zaskoczony i natychmiast się rozkaszał, aby ukryć zaskoczenie.

- Przestraszyłam cię?

- Nie. Skądże znowu. Czy dobrze zakładam, że mówiłaś o mnie jako o potencjalnym materiale na męża?

W oczach Trillian migotały łzy.

- Tak, ale to tylko słowa. Tak długo marzyłeś o tym momencie, a nie mam ci do zaoferowania nic poza znojem. Muszę poświęcić to życie Random, obiecałam jej to. Ty rób swoje, zabij się i nie przejmuj się mną.

- Tak jak to ujmujesz, robi wrażenie czegoś egoistycznego.

Trillian otarła policzki.

- Nie, doskonale cię rozumiem. Przeżyłeś w tym przepięknym statku okropny okres jako nieśmiertelna istota. Ciągłe picie piwa i obrażanie ludzi, nie wspominając o byciu nie z tej ziemi uroczym i przystojnym. To oczywiste, przeżywałeś piekło.

- Formułujesz to tak, jakby to było dość wytworne.

- A nie było? Jeśli dobrze sobie przypominam, łączono twoje nazwisko z kilkoma gwiazdeczkami.

- To były jedynie fizyczne związki. Te kobiety nic dla mnie nie znaczyły.

Powyższe zdanie jest trzecie na liście najgorszych zdań, jakie można powiedzieć istocie żeńskiej dowolnego gatunku.

- Nic nie znaczyły? Dlaczego nie?

Wowbagger rozłożył ramiona.

- Jak mogłyby? Już w chwili kiedy się łączyliśmy, starzały się.

To zdanie zajmuje drugie miejsce na podium.

Oczy Trillian błysnęły.

- Starzały się. Wszyscy się starzejemy, Bowerick. Uwierz albo nie, ale ja też.

Wowbagger pojął, że brak z jego strony prowadzenia w ciągu minionych lat komunikacji na bliskim poziomie osobistym czyni cuda w kierunku wzrostu jego szans na samotną śmierć w bardzo bliskiej przyszłości.

- Może i tak - odparł desperacko - ale zostały ci jeszcze lata, zanim będziesz zbyt stara do rozmnażania się.

I oto doszliśmy do zdania na szczycie podium. Trafiony, zatopiony do kwadratu. Zielony patyk w zielonym dołku.

*

Z okazji ponownego spotkania Zaphod i Ford wykonali skomplikowany betelgeusański rytuał, składający się z błyskawicznych potrząśnięć rąk, którego żaden z nich nie pamiętał dalej niż do drugiego złapania się pod pachy.

Ford wyczarował z torby dwa jajka smoka morskiego i zrobił powitalny koktajl.

- Uwielbiam operę - powiedział, kiedy minęły efekty. 4 Tak dobrze się ich słucha przy drinkach. Szkoda, że nie mamy skrzepu krwi do possania.

Zaphod cmoknął.

- Skrzep krwi... naszło mnie pewne wspomnienie. Pamiętasz tamto narzędzie?

- Oczywiście.

- I to z zakrzywionym końcem?

- No, no! Co za wrucajna kryjówka! Mnisi. Kto wie?

Siedzieli na kawałku elastycznej trawy, której udało się uciec przed piorunowym pokazem Thora, i obserwowali unoszące się im nad głowami szwendotirliptaki.

- Składają jajka w locie? - spytał Zaphod. - Trochę to niefrasobliwe.

- Te ptaki składają masę jajek. Jedynie próbują ograniczać wielkość populacji.

Łąką szedł Artur, zdecydowany przerwać sielankę istotną informacją, czym większość Betelgeusańczyków nie lubi zajmować się na co dzień, na wypadek gdyby miało im to popsuć nastrój.

Uwaga w Przewodniku:

Betelgeusańczycy są znani z całkowitego ignorowania rzeczywistości, zwłaszcza w chwili gdy trzymają w ręku jakikolwiek napój alkoholowy, a jeszcze bardziej gdy w drinku pływają zabawne kostki lodu, które hipnotycznie o siebie szcękają i mogą sprawić, iż nawet najbardziej gwałtownie nadciągająca katastrofa wydaje się trywialna. Niezbyt znaną kosmiczną ironią jest fakt, iż w chwili gdy wydarzyła się katastrofa Hrunga, wspólnoty praksomodlitewców na Betelgeuse Siedem zachwyciły się akurat operą prekoga Panteoha Wielka Katastrofa Runięcia Hrunga. Przeżył jedynie ojciec Forda, gdyż aby złapać mocniejszy sygnał w Przewodniku i obejrzeć kolejny odcinek Ostatniego Behemota, jaki pozostał, wymknął się kolegom z pracy. Hrung, o którym mowa, ma mało do powiedzenia na temat swego runięcia - poza tym, że postanowił zrezygnować z tańca interpretacyjnego i bardzo mu przykro z powodu kłopotu, jaki sprawił.

- Vogoni... - powiedział Artur, machając dłonią w kierunku bliżej nieokreślonego miejsca na niebie. - Vogoni się zbliżają.

Zaphod zdawał się tak zaniepokojony Vagonami, jak żarłoczna trajkocząca poczwara byłaby zaniepokojona poczwarami trajkoczących żarłoków.

- Nie martw się, małpoludzie. Ciesz się chwilą.

- Nie martwić się? - wypluł z siebie Artur. - Nie widziałeś, co zrobili z Ziemią? Nie pamiętasz ich promieni śmierci?

Uśmiech Zaphoda był tak protekcyjny, że bez problemu dostałby za niego pięć lat w aszowfiańskim więzieniu.

Uwaga w Przewodniku:

Na kontynencie aszowfiańskim wszyscy są tak bardzo napięci, że trzeba było uregulować sprawę wyrazów twarzy i intonacji mowy. Dwudziestoletni konflikt graniczny z Kołtoł został zainicjowany przez uniesioną brew, która okazała się później po prostu tak właśnie wyskubana, co doprowadziło do powstania aszowfiańskich powiedzeń: „Zanim wyskubiesz, pomyśl”, „Nieodpowiedzialne wyskubywanie kosztuje życie” oraz „Wyskubujesz jedną, wyskubuj wszystkie”.

- Ziemię zniszczyli Grebulończycy, nie Vogoni - wyjaśnił Zaphod. - To skomplikowane. Nie oczekuję po tobie, że zrozumiesz.

- Skomplikowane? Jak coś takiego może być skomplikowane?

- Dla małpy. Nie dla rozwiniętej istoty.

Artur pomachał palcami.

- Jestem rozwinięty. Mam kciuki, nie?

- Kciuki?-parsknął Zaphod. Gdyby to było wszystko, na czym polega ewolucja, Galaktyką rządziłyby termokrety.

- Termokrety. Osiem kciuków, doskonałe w otwieraniu słoików, ale mniej więcej tyle komórek mózgowych co skrzep krwi - wyjaśnił Ford.

- Pamiętasz tamten skrzep? Dostałem jęczmień i chyba czosnek.

- Tak sądziłem. Zdecydowanie jęczmień.

Artur trząsał mu dłońmi przed nosem, jakby grał na niewidzialnym akordeonie.

- Vogoni! Halo? Vogoni nadlatują!

- Tak, wiem - odparł Zaphod. - Ale aby tu się dostać, będą musieli przeskoczyć przez kawałek niezłe zagiętej przestrzeni. Z moich obliczeń wynika, że nie poradzą sobie przez najbliższych kilka stuleci, o ile w ogóle.

- Kilka stuleci? Jesteś pewien?

- Oczywiście. Rozluźnij się.

Gdyby Ford akurat nie pił, zwrot: „Z moich obliczeń wynika”, wychodzący z ust tej akurat głowy Zaphoda, mógłby spowodować zapalenie się kilku ostrzegawczych lampek, jednak słońce grzało, wszędzie kręciły się ładne dziewczyny, a Ford nie chciał, aby nastrój popsuł mu obraz śliniącego się Vogona w jego głowie.

Artur jeszcze nigdy nie miał do czynienia z dobrym nastrojem, którego nie dałoby się popsuć.

- Wyglądasz na bardzo spokojnego, Zaphodzie. Nie powinieneś być zdenerwowany?

- Dlaczego miałbym? Thor wrócił do gry i właśnie mam rozpocząć nową odsłonę jego kariery. Sprawy mają się tak świetnie, że powinienem skierować na siebie zamrażający promień, aby zachować moją wrucajność dla przyszłych pokoleń.

- A co z tekstem o tłustej dupie?

- Jakiej tłustej dupie?

- Wowbagger nazwał cię tłustodupym, pamiętasz? Od tego wszystko się zaczęło.

Kiedy Zaphod skierował się pamięcią wstecz, jego oczy zadygotały w oczodołach.

- Nie pamiętam. Nic takiego nie pamiętam. Tłustodupy, powiadasz? Nigdy nic takiego nie mówił.

Mimo całego doświadczenia w kontakcie z Zaphodem Artur zbaraniał.

- Nie pamiętasz? Więc co tu w ogóle robisz?

Zaphod poklepał Artura po ramieniu.

- Podążam za chwilą - odparł mądrym tonem, jaki oszczędzał sobie na chwile, które uważał za szczególne w życiu innych ludzi. - Nie próbuj mnie rozumieć, bądź jedynie wdzięczny, że czujesz na porażonej zdumieniem twarzy ciepło aury Zaphoda Beeblebroxa.

Twarz Artura nie wyglądała na szczególnie porażoną zdumieniem.

- Nieważne, ale tak właśnie cię nazwał. Uwierz mi na słowo.

- Raz? Kilka razy?

- Kilka razy.

Zaphod skoczył na równe nogi.

- W porządku. Czas rozkręcić imprezę. Więcej niż osiem razy, twoim zdaniem?

- Może dwanaście. Przynajmniej dziesięć.

Zaphod już maszerował po osmalonej trawie.

- Thor. Thor, stary przyjacielu. Gotów do nakręcenia nowego wideo?

*

Powinienem był palić, pomyślał Wowbagger. Czemu nie? Cały czas próbować utrzymać się w dobrej formie, równocześnie wynajmując kolejnych idiotów, którzy by mnie wymazali. Lekka w tym sprzeczność, Bowericku, stary druhu. Może jest w tobie coś, co chce żyć.

Bowerick podrapał się w nos, który nagle go zaswędziało, i pomyślał, że miło byłoby doznawać podobnych objawień przed umawianiem się na walkę na śmierć i życie z jednym z Azów.

Wowbagger stał sam na jednej z kresek zwęglonego X i czekał, aż Thor uwolni się od menedżera, grupki mężów stanu, kilku zachwyconych nim instruktorów i dziewczyny, która najwyraźniej zaplatała mu warkoczyki w brodzie.

- Dawaj! - zawołał. - Nie mam całego dnia!

- Dlaczego nie?! - odkrzyknął od strony płotu szwendotirliptak. - Zdawało mi się, że jesteś nieśmiertelny.

Zareagowano na to tak gromkim śmiechem, że Wowbagger postanowił zdusić sprawę w zarodku. Jego motto zawsze brzmiało: Jeśli masz do czynienia z krzykaczem, stawiaj na coś głęboko osobistego.

- Masz na piórach ogona plamy, ptaszku. Moczysz się przez sen?

Pozostałe ptaki zarechotały tak mocno, że kilka odruchowo poskładało jajka, a ptak, do którego skierował ripostę, rzucił mu tak wściekłe spojrzenie, że Wowbagger z zadowoleniem pomyślał o rychłej śmierci.

W końcu Thor najwyraźniej skończył pozaringowe przygotowania i wstał z Mjöllnira, na którym przysiadł.

No to zaczynamy. Najwyższy czas.

Bóg Piorunów był potężnym egzemplarzem, przekraczał Wowbaggera wzrostem przynajmniej

cztery razy, ale nie odbierało mu to ani prędkości, ani płynności ruchów. Poruszał się tak, jakby starał się przy każdym kroku niczego nie zniszczyć.

Prawdopodobnie jestem jedyną tu osobą, która się go nie boi, pomyślał Wowbagger, zaraz jednak zamienił myśl na: Jestem tu prawdopodobnie jedyną osobą poza Beeblebroxem, która się go nie boi. Beeblebrox prawdopodobnie uważa, że on wygra walkę.

Zaraz potem zaczęło się dziać coś śmiesznego. Z każdym krokiem, jaki Thor robił przez osmałoną ziemię, jakby malał.

Rozedrgane powietrze, pomyślał Wowbagger. Nie ma innej możliwości.

Była. Thor faktycznie się kurczył i kiedy dotarł do środka wielkiego X, był zbyt niski, aby pozwolono mu na korzystanie z większości pojazdów w wesołych miasteczkach.

- Hej! - powiedział zdziwiony. - Co jest grane?

Wowbagger zamrugał.

- Sądzę, że chyba ja. Z twojej perspektywy.

Thor poklepał się po maleńkiej sylwetce.

- Przepraszam - powiedział zażenowany. - Pomysł Zaphoda. Gdybym ot tak tu przyszedł i cię zmiażdżył, w jakim postawiłoby mnie to świetle? Wyszedłbym na łobuza, ot co. A tak, przy skierowanych na nas kamerach, wyglądam na zabójcę gigantów, co zdaniem Zaphoda stanowi znacznie lepsze wyjście, a w końcu gość zna się na mediach. - Bóg zmarszczył czoło. - Choć czasami popełnia błędy.

Wowbagger poczuł za gałkami ocznymi lekkie drżenie, zapowiadające, co się zaraz może wydarzyć.

- I co ma być? Mam uklęknąć, a ty mnie walniesz?

Thor był niemal oburzony.

- Co? Skądże znowu. Tak nie może być. To byłaby egzekucja. Musimy zaprezentować tym ludziom odpowiednie przedstawienie. I nie tylko im. W końcu przekaz pójdzie na całą sub-etę.

- Sub-eta. Nigdy nie oglądałem.

- Nigdy?

- Nie. To chłam. Wolę codziennie klasyczny film.

- Chciałbym, aby wszyscy byli jak ty, ale to, niestety, niemożliwe. W dzisiejszych czasach, w tym wszechświecie, kariery są robione i łamane w sub-ecie.

- Ale przecież jesteś bogiem, po co ci kariera?

Thor wygładził brodę. Chyba nie zdawał sobie do tej pory sprawy z tego, że miał w nią wplecionych kilka paciorków.

- Dobre pytanie, znam jednak na nie odpowiedź, ponieważ po moim załamaniu się zadawaliśmy je sobie na posiedzeniach terapeutycznych. Bogowie mają ego boskiego rozmiaru, więc dla

utrzymania zdrowia potrzebujemy masy miłości. Widziałeś tych wszystkich bogów krążących po okolicy i rzucających zarazy na plony oraz osuszających rzeki? Ci chłopcy nie byli kochani. To taki cykl. Nie masz pojęcia, w jaką depresję mogą popaść bogowie. W jednej chwili jesteśmy uwielbiani, w następnej pogardzani. Uwierz mi, wiem, co to wzloty i upadki.

Uwaga w Przewodniku:

Loki Oszust używał kiedyś swego hipnotyzującego uroku do przekonania Azów, iż postanowił zmienić się na lepsze, więc założył ośrodek mózgolecznictwa dla bogów. Lista jego klientów szybko rosła, boskości, które poczuły ulgę, pchały się do niego drzwiami i oknami, aby dokonać u nich regresji i dowiedział się, dlaczego, do jasnej cholery, tak bardzo przyciągają ich jedno-rożce i tak dalej. Thor też szybko poczuł się lepiej i zaczynał odczuwać prawdziwe uczucie wobec brata, gdy odkrył, że Loki zawarł układ z pismem „KtuuCuu” i sesje terapeutyczne publikowano w odcinkach. Co gorsza, Loki uznał sesje Thora za nieco nudnawe, więc dodał trochę płaczu, niekontrolowanego dyszenia i fiksację na punkcie Eccentriki Gallumbits.

Wowbagger z namysłem skinął głową, aby wyrzeć wrażenie, że jest gotów współczuć, tak naprawdę był jednak tylko gotów skinąć głową.

- To świetnie. Teraz wszystko rozumiem. Cykl. Oczywiście. To co, posiłujemy się trochę?

Thor spojrział przez ramię, zaniepokojony, że ktoś się domyśli fikcyjnej natury całego pokazu.

- Najpierw wymiana zdań. Ukradłeś mój statek, bla, bla, bla. Potem zadajesz pierwszy cios, ja udaję, że jestem ranny, może trochę pokuśtykam. Tam i z powrotem. Potem BUMMM! w skroń i tłusta dama dobrze i prawdziwie zaśpiewała, przyjacielu.

- Jaka tłusta dama?

- Nic takiego. To wyrażenie, którego używają walkirie.

Wowbagger rozejrzał się po liniach bocznych. Na twarzy Trillian widać było łzy, nie robiła jednak niczego, aby powstrzymać to, co się działo.

- W porządku, mały. To byłem ja. To ja ukradłem ci statek.

Thor ostro wciągnął powietrze, nadał maleńką pierś i próbował nie wyglądać na przerażonego perspektywą wygłoszenia tekstu, który musiał wygłosić.

- Ty! Ojciec podarował mi międzygwiazdowego langskipa, który nazwałem imieniem mej ulubionej kozy! (Równocześnie myślał: Nienawidziłem tej kupy brudu i dlatego sprzedałem paskudę gościowi w barze).

- Tak jest. Ukradłem go i zrobiłbym to ponownie!

- Czyżby? Może i jestem łagodnym bogiem, nawet wielkim, ale są granice mego przebaczenia.

Dość tego nieszczęsnego kabinotażu, pomyślał Wowbagger. (Pojęcie „kabinotaż” usłyszał, przygotowując globalną obelgę dla planety oper mydlanych Słoneczny Widok, której cały świat składał się ze scenografii telewizyjnej z osiemnastoma satelitarnymi słońcami, aby można było

kręcić na trzy zmiany). Przyspieszmy nieco akcję.

- Skończ walić w bambus, groteskowy mały wikingu. Tatuś cię nienawidzi, a mamusia udaje, że jesteś czyimś innym synem.

Thor odruchowo skurczył się o kolejne dwa centymetry. Nie było tego w scenariuszu.

- Co? Co powiedziałeś?

Wowbagger brnął dalej.

- Wszyscy o tym wiedzą. Thor Pijany, tak cię nazywają. Powinieneś być zostać w barze.

W górze pojawiła się mała burzowa chmurka i wystrzeliła kilka białych błyskawic.

- Ukradłeś mój statek, wstrętny gigancie... - wypluł z siebie Thor. Równocześnie chodziło mu po głowie: Pluję... Bogowie nie powinni pluć. To katastrofa; znenawidzą mnie.

- Jasne. Co tylko twierdzisz. I jeszcze jedno, o czym wiedzą wszyscy: nie cierpisz śmiertelnych.

- Ja nie... Że co? To był statek mojego ojca! Pamiętasz langskipa?

- Uważasz śmiertelnych za jednostki drugiej klasy. Nie oczyściłbyś sobie buta śmiertelnikiem.

Thor urósł. Całkiem sporo.

- Oczywiście, że bym to zrobił.

- Wypucowałbyś sobie but śmiertelnikiem?

Z widowni doleciało kilka buczących odgłosów, może nawet syknięcie.

- Nno... tak. Znaczy się nie. Nie wiem, może gdyby but się ubrudził?

Wowbagger dotknął palcem podbródka.

- Czy prawdą jest to, co słyszałem o pewnym filmie wideo...

Dalej nie zaszedł, nagle bowiem Thor wzniósł się nad nim wielki jak wieża, z Mjöllnirem gotowym do uderzenia.

A cóż się stało z „tam i z powrotem”? - pomyślał Wowbagger i więcej nie zdążył, gdyż młot spadł z taką prędkością aż jego kontur się rozmazał i trafił go w głowę z odgłosem, jakby meteor spadł na lodowe pole.

Żegnaj, Trillian, pomyślał Wowbagger, po czym jego ciało zostało wepchnięte piętnaście metrów prosto do grobu.

Thor miał mieszane uczucia co do swego pokazu. Zamach nad głową zawsze dobrze wypadł w telewizji, szkoda tylko, że nie mógł jeszcze nieco przedłużyć ruchu. Ale jaki w końcu miał wybór? Zielony goguś właśnie zamierzał sypnąć się z wideo, różne wyszukiwarki otagowałyby jego komentarz i ledwie człowiek by się połapał, wszyscy zlinkowałyby się ze starą stroną.

Właśnie zamierzał odwrócić się do Zaphoda, aby sprawdzić reakcję menedżera, gdy z głębokości około piętnastu metrów pod jego nogami doleciała słaba myśl. Brzmiała:

Nasowrona wie o tarle;

a może:

Na Zarkwona! Nie umarłem.

*

Zaphod gwizdał pierwszy wers *Blinko w Zatoboksie* - starej epickiej betelgeusańskiej szanty o kolczastym mięczaku i czasie, jaki spędził w niewoli.

- Co sądzisz, Ford? Dość zrobił?

Ford odpowiedział, gwizdząc drugi wers.

- Pojęcia nie mam. Nigdy nie sądziłem, że jest zagrożenie. Nie było dramatu.

- Masz rację. Wszystko poszło zbyt szybko. - Zaphod się rozejrzył. - Zastanawiam się, czy na rynku jest jeszcze ktoś, kto chciałby dostać młotem w głowę.

Thor przybiegł wolnym truchtem.

- Co sądzisz? Ładny zamach i po wszystkim, nie? Trochę straciłem nerwy, pozwoliłem zielonemu trochę się podjudzić. Ale nie martw się, Zaph, następnym razem to się nie powtórzy.

- Następnym razem?

- Następnym razem. Zielony nie zginął.

- Że co? Jesteś pewien?

- Jak najbardziej. Wyłazi właśnie spod ziemi, a po głowie krążą mu paskudne myśli.

- Ile mu dałeś?

- Nie wiem, może pięćdziesiąt procent, coś koło tego.

Zaphod zagwizdał kolejne kilka nut *Blinko*.

- Pięćdziesiąt? Naprawdę? Ktoś przedtem to przeżył?

- Nikt, kto nie miał miejsca przy długim stole.

Zaphod dał znak swojemu klientowi, aby nieco się pochylił.

- Powiedz mi, Thor, ale tak szczerze: możesz wykończyć Wowbaggera? Jesteś w stanie?

Thor się zgarbił.

- Zaph, mogę wykończyć całą tę planetę przy siedemdziesięciu pięciu procentach. - Rozciągnął pierścień rotatorów. - Choć wszyscy niech się może nieco cofną.

*

Wowbagger wypchnął łokieć przez szczelinę w ziemi.

Mam zrujnowany garnitur, pomyślał. A ta wielka mała nawet nie rozerwała mi skóry.

*

Trillian była załamana. Uderzenie młotem rozbiło jej duszę na pół i już nigdy nie będzie taka jak przedtem.

Spędziliśmy razem jeden dzień i był najważniejszym dniem w moim życiu.

Trillian zastanawiała się, czy postąpiła dobrze. Czy choć przed sobą samą będzie mogła udawać, że zrobiła dobrze?

Tuż obok Random przycupnęła na płocie i wkładała sporo wysiłku w to, aby nie zauważać poświęcenia matki.

- Mhm... - mruknęła nagle. - Palant w dalszym ciągu żyje. Czuję to.

Po raz trzeci w życiu Trillian Astra zemdląca.

*

Przez mgławicę przebijał się wielki stożkowaty statek z białego stopu. Jego kiedyś gładki kadłub był poznaczony dwoma wiekami uderzeń kosmicznych odpadków. Działała nie więcej niż jedna dziesiąta ośmiuset trójpaliwowych rakiet, a systemy podtrzymywania życia ledwie zapewniały załodze powietrze do oddychania. Zapasy świeżego jedzenia zostały niemal całkowicie zużyte, od kilku miesięcy pito jedynie płyny z odzysku.

Cała załoga była zmęczona i wygłodniała. Morale upadło nisko i nikt nie znał innego domu od tego gigantycznego statku, do podróży którym zostali zatrudnieni, aż misja zostanie zakończona.

Kapitan, kiedyś korpulentny gigant, skurczył się do wielkości wrony, pozostał jednak dla wszystkich bohaterem. Kiedy pod koniec dnia praca okazała się dobrze wykonana, w jego oczach migotał zielony ogień, a jeżeli ktoś odmówił wykonania rozkazu albo oficer źle potraktował któregoś z jego ludzi, płonęły ciemną czerwienią. Załoga uwielbiała go i gdyby zaszła potrzeba, poszłaby za nim do piekła.

Nazywał się Eddon Cho i właśnie nadszedł dzień ostatecznego wypełnienia misji, którą powierzył mu ojciec, i być może chwila rozpoczęcia odrobiny życia tylko dla siebie.

- Nawigator, powtórz! - zawołał przez mostek do młodego Maszego O'lis Enca, dopiero siedemnastolatka, a już doskonałego pilota.

- Jesteśmy tutaj, kapitanie. Nie może być wątpliwości. Orbita jest nieco dziwna, ale powietrzem da się oddychać.

Cho skinął głową. Bardzo dobrze się składało, gdy bowiem uda im się wylądować, już nie wystartują. Nigdy.

- Świetnie, sprowadź nas na dół. Ostrożnie z kompensatorem i każdą ekstra iskrę energii, którą mamy, poślij do Weryfikatora.

Masze O'lis Enc przełknął ślinę.

- Do Weryfikatora? Boże. Jest pan pewien, kapitanie?

- Jestem - ponuro odparł Eddon Cho. - Mamy tylko jedną próbę. Schodź!

O'lis Enc strzelił kostkami palców, po czym ujął w dłonie ster manualny.

- Niech Gwarancja Niezniszczalności czuwa nad nami.

W całym statku jego modlitwę powtórzyło ponad dwa tysiące dusz.

*

Tłum na powierzchni Nano czuł się lekko oszukany. Po kilku kawach i nagromadzeniu się w jego skrzydłach kwasu-o-czekiwaniowego, Perko Saint Waring Nakrapiany ujawniał nową i niezbyt atrakcyjną stronę osobowości.

- To wszystko? - zawołał. - To koniec przedstawienia? Drętw-o-wate. Żalodne.

Hillman Hunter też nie był szczególnie pod wrażeniem.

- No, rypnięcie było niezłe, ten zamach-i-łup, ale chłopak serowców wraca na górę. Co mi to daje?

Buff Orpington miał łzy na policzkach.

- Zrobi wszystko jak należy. Poczekaście i popatrzcie. Thor jedynie się rozgrzewa, to wszystko. Wygimnastykuje sobie bloki mięśniowe.

- Oby się pospieszył, bo inaczej wszyscy zaczniemy oddawać cześć wielkiemu Serowi.

Płytką paplaninę przerwał widok ponad setki spiralnie poruszających się kręgów światła, opadających przez atmosferę ku powierzchni. Kręgi stopniowo okazywały się dyszami wylotowymi raket hamowania gargantuicznego statku, który opadał ku powierzchni planety i po kolei zrzucał osłony. Kilka dysz zaiskrzyło i przynależne do nich rakiety zgasły, powodując szarpnięcia całego statku, aż wylądował w pobliskim jeziorze, zamieniając je w kłąb mgły.

- Ohoho - powiedział Ford. - Upiorne.

Przez kilka chwil panowała niemal kompletna cisza, po czym z włazu w brzuchu dziwnego statku wysunął się smukły automatyczny wysięgnik zaopatrzony w przewody zasilające. Na jego końcu znajdował się migoczący czujnik, który szybko przesunął się w kierunku tłumu, omijając krowy mające nadzieję na spotkanie z mięsożercą.

Wysięgnik coraz bardziej się wydłużał, przeszedł nad głową Wowbaggera, między nogami Thora, odskoczył od Zaphoda, który próbował go złapać, i zatrzymał się przed Random.

- Random Dent? - zapytał głosem typowym dla robotów z czasów, kiedy roboty były jeszcze robotami i nie posiadały osobowości.

Random mimo lęku nie ustąpiła.

- Eee... tak. Tak sędzę.

Na czubku wysięgnika powstał otwór.

- Spluń.

Random pozwoliła skapnąć do zagłębienia kropli śliny, którą natychmiast zbadały liczne lasery. Po kilku chwilach zapaliło się zielone światełko.

- Tożsamość potwierdzona. Oto pani paczka i dziękujemy za zakupy w uBidzie.

Z wysięgnika w oczekującą dłoń Random spadła koperta.

- Dziękuję - odpowiedziała cichym, przepełnionym poczuciem winy głosem.

- Życzę dużo przyjemności z produktu - powiedział wysięgnik. - W przypadku jakichkolwiek zastrzeżeń proszę bez wahania zapisać je na kostropatej desce i wbić ją sobie młotkiem w kanał słuchowy. - Wysięgnik zaczął wracać w kierunku statku. - Misja zakończona. To była ostatnia przesyłka.

Z wnętrzu gigantycznego statku doleciał stłumiony chóralny wiwat, po czym konstrukcja zaczęła się powoli rozpadać.

*

Random była młoda, a jej płuca wypełniała skoncentrowana ciemna materia, więc nie zastanawiając się nad możliwymi konsekwencjami, rozerwała kopertę i pobiegła wzdłuż płotu do miejsca, gdzie Thor cierpliwie wysłuchiwał zagrzewającej do wysiłku przemowy Hillmana Huntera.

- Załóż je na młot - powiedziała, przerywając przywódcy Nanitów.

Bóg Piorunów zmarszczył czoło.

- Chyba coś słyszałem - stwierdził. - Jakby pip, pip, pip.

- Zniż się! - wrzasnęła Random.

Thor się pochylił. Oparł dłonie na kolanach.

- No popatrz. Dziewczynka. Boże drogi, jesteś moją fanką? Chcesz autograf? Zazwyczaj nie występuję w szkołach, ale mógłbym zrobić wyjątek.

- Posłuchaj mnie, specu od pogody. Zrobiłam na sub-ecie risercz na temat nieśmiertelnych i w tysiącach linków, które znalazłam, nie było ani jednej sprawdzonej i potwierdzonej metody, jak kogoś zabić.

Zaphod parsknął.

- Ale to jest Thor, dzieciaku. Nie możesz go sprawdzić i potwierdzić. Jest wielki, tak wielki, jak ma ochotę być.

- Hm, niech będzie, ale jeśli nie uda mu się na oczach tych wszystkich ludzi zabić zielonego gościa, wypadnie na wielkiego głupka.

- To mi nie grozi - stwierdził Thor, ale bez większego przekonania.

- Nie, jeśli założysz je na obuch młota.

- Nic nie idzie na młot, dzieciaku. Mjöllnir zostanie czysty.

Random zaczęła mówić bardzo powoli, aby Bóg Piorunów pojął.

- Znalazłam teorię małego znanego naukowca z niedostrzeganego świata, który twierdzi, że nieśmiertelnego można zabić tylko czymś, co pochodzi z tego samego wydarzenia transformacyjnego.

Nawet Zaphod to pojmował.

- A co przetransformowało Wowbaggera?

- Wpadł do przyspieszacza cząstek, gdy próbował wyjąć z niego dwie gumowe taśmy. Kupiłam je na uBidzie od głównego kapłana Świątyni Wowbaggera.

Thor wyciągnął palec wskazujący i kciuk.

- Dlaczego właściwie nie miałbym nimi owinać młota?

*

Bowerick Wowbagger Nieskończenie Przedłużony miał lekkie zawroty głowy i delectował się nimi, przypominały mu bowiem czasy, kiedy był śmiertelny. Wypełzył z pęknięcia w ziemi i kiedy statek uBidu rozpadał się za jego plecami w pył, leżał na zasuszonej trawie i dyszał.

Kolejne intrygi, pomyślał. Nie powiem, aby dzisiejszy dzień nie był ciekawy.

Po chwili leżenia w pyle i zastanawiania się nad sobą i nieprawdopodobnym już zejściem śmiertelnym stwierdził, że na ziemi ktoś jeszcze leży.

Trillian.

W tym momencie Wowbagger był pewien, że się zakochał, przestał bowiem myśleć o stosunku Trillian do siebie, a zaczął myśleć o niej.

Nic jej się nie stało? Co się wydarzyło?

Wowbagger otrząsnął się z oszołomienia i wstał.

- Idę! - zawołał i zaczął biec. - Idę!

Na twarz padł mu cień. Coś wielkiego jak góra zasłoniło mu Trillian.

- Czas na coś wielkiego - powiedział zgięty wpół Thor, przez co jego głowa wydawała się odwrócona do góry nogami.

Jak to możliwe, że hełm nie spadł mu z głowy? - pomyślał Wowbagger.

W tym momencie Mjöllnir trafił go z taką siłą, że Wowbagger poleciał prosto w stratosferę.

*

Artur był zagłębiony w konwersacji ze szwendotirliptakiem, kiedy zauważył, że Trillian wali się na ziemię.

- Nie - wyjaśniał właśnie. - Gra nazywa się krykiet. Bramki, które my, Anglicy, nazywamy *wicket*, są zrobione z palików... dobry Boże!

- Daj spokój - powiedział ptak. - To strasznie pokręcone. Więc jeśli ktoś biegnie, nazywa się to „biegiem”?

„Dobry Boże” nie było jednak skierowane do ptaka, a wyrzucone odruchowo z głębi gardła, gdy Trillian zwała się bez czucia na glebę. Artur rzucił sojowy jogurt, który popijał, i pobiegł wzdłuż płotu w kierunku leżącej bez ruchu Trillian.

To haniebne, kipiało mu w głowie. Jej własna córka, nasza własna córka, odchodzi. Co się stało z Random? To dziecko trzeba wziąć w karby.

To ostatnie stwierdzenie było za dzieciństwa Artura często powtarzane w jego domu. Ojciec popisywał się nim przy każdej możliwej okazji, gdy Artur choć minimalnie zboczył ku zakazanemu zachowaniu. Branie w karby oznaczało poważną przemowę, której niezbywalnymi elementami były II wojna światowa, ogrodowe altanki, filatelistyka i sztywna górna warga. Na koniec każdego wykładu młody Artur otrzymywał pozwolenie na wzięcie małego łyżeczka z ojcowskiej piersiówki z brandy - aby wreszcie stał się mężczyzną. Tak więc za każdym razem, kiedy Artur rozmyślał o tych dyscyplinujących pogawędkach, czuł smutek, potem rozbawienie, następnie robił się senny, a w końcu budził się z bólem głowy.

Ukląkł przy Trillian i nieporadnie ułożył jej głowę w zgięciu łokcia.

- Jestem, jestem - powiedział. - Jeśli mnie słyszysz, to chciałbym ci powiedzieć, że wyglądasz świetnie. Wiem, że kobiety spędzają mnóstwo czasu na zamartwianiu się jak wygląda ich strój podczas wypadku i tak dalej.

Udzielanie pocieszenia kobietom nigdy nie należało do silnych stron Artura Denta. Gdyby „udzielanie pocieszenia” należało do stanowisk, na które szuka się ludzi za pomocą anonsów prasowych, Artur nigdy nie wyszedłby poza rozmowę wstępną - zwłaszcza gdyby przewidywano egzamin praktyczny.

Uwaga w Przewodniku:

Przez ostatnie trzy dziesięciolecia czasu realnego Artur Dent uczynił swe życie nieskończenie bardziej paskudnym niż konieczne, wykazując spektakularną zdolność do mówienia tego, co trzeba, w nieodpowiedniej chwili. Kiedy jego najlepszy przyjaciel z uniwersytetu, Jason Kingsley, został po trzech latach puszczony kantem przez miłość swego życia, Stacey Hempton, Artur zapewnił go, iż nie pozostanie długo sam, gdyż takie zdziury jak Stacey bez trudu można złowić w dowolnej dyskotecie. Kiedy jego irlandzka ciotka Maedhbhdhb (w mowie: Hilda) została śmiertelnie trafiona spadającym kościelnym rzygaczem. Artur szepnął jej do ucha: „Przynajmniej nie wykończą cię papierosy, co?” Większy od Artura brak taktu ma jedynie prezydent Galaktyki Zaphod Beeblebrox, który dał PeeBee Anjay, żelatynowemu królowi Shivers City, na prezent urodzinowy skąpe majtki z leopardziego futra.

Artur dźgnął policzek Trillian palcem.

- Trillian! Daj spokój. Obudź się!

Ponieważ nie zareagowała, Artur spróbował przypomnieć sobie trwający jeden wieczór kurs pierwszej pomocy, w którym musiał wziąć udział, pracując w BBC. O ile dobrze pamiętał, większość wieczoru zajęła wymiana wtyczki maszyny do kawy, ale czy nie było tam jeszcze czegoś? Demonstracji z użyciem plastikowej atrapy człowieka z balonami zamiast płuc? Usta-usta?

Artur nie miał zielonego pojęcia, czy to, co zamierzał spróbować nieporadnie przeprowadzić, jest działaniem najlepszym, ale podnosiło mu nieco nastrój, że widzi jakieś działanie, którego

można spróbować.

Położył głowę Trillian na miękkiej trawie i pochylił się nad nią.

- Trzeba zacisnąć palcami nos i odchylić głowę do tyłu - powiedział głos zza jego pleców. Był to ptak, z którym jeszcze przed chwilą rozmawiał.

Spotkałem tego ptaka w centrum, pomyślał Artur, powstrzymując histeryczny chichot.

Kciukiem rozsunął wargi Trillian i wziął głęboki wdech.

Jestem zdenerwowany. Dlaczego jestem zdenerwowany?

- No, dawaj, człowieku! Zaczynaj!

Ten ptak był naprawdę nachalny.

Artur lekko zadrżał, po czym zanurkował. Wargi połączyły się, Artur zatkał nieszczelności w kącikach palcami i dmuchnął. Z początku nie było reakcji - Artur miał wrażenie, że dmucha w tunel. Po chwili ramiona Trillian uniosły się, objęła go za szyję i namiętnie pocałowała.

Co? Nieoczekiwane. Dawno temu ten pocałunek byłby spełnionym marzeniem.

Artur cofnął się i stwierdził, że oczy Trillian są szkliste i wypełnione łzami.

- Artur? Sądziłam, że...

Artur natychmiast zrozumiał.

- Chodzi o Wowbaggera. Kochasz go.

Kiedyś rozbiłoby to świat Artura w pył (gdyby miał jakiś świat do rozbicia), teraz jednak czuł głębokie współczucie dla Trillian, która - tak jak on stracił swoją - właśnie miała stracić swoją wielką miłość.

- Tak, kocham go - odparła Trillian i kiwnęła głową, co spowodowało, że po policzkach spływały jej strumyki łez. - W ciemnej przestrzeni stało się coś, co przyspieszyło proces zakochiwania się. Gdzie on jest?

Artur rzucił okiem na środek osmalonej polany w chwili, w której Wowbagger rozpoczynał wzlot w stratosferę. Mając świadomość swoich braków w dziedzinie taktu, spróbował powiedzieć coś nieokreślonego.

- Och... kręci się w pobliżu. Odpocznij, pójde po niego.

*

Random patrzyła, jak Wowbagger wystrzeliwuje w powietrze, jednak widok - wbrew temu, co oczekiwała - nie przepełnił jej triumfem. Poczwała, że w niewielkiej części jest odpowiedzialna za tarcia między nimi. Wrażenie to szybko jednak przeszło i nadpłynęła fala triumfu.

Masz za swoje, zielone dziwactwo. Wynocha do życia po życiu.

cichy głosik: Jak możesz? Zielone dziwactwo? Walczyłaś o równość wszystkich gatunków w całej Galaktyce. Jak mało trzeba, aby odrzeć cię z pozorów...

Zamknij się! Nie jesteś prawdziwy. Nigdy cię nie było, a poza tym to zielone dziwactwo całowało moją matkę.

Wowbagger leciał wyżej i wyżej, cały czas wymachiwał rękami i nogami, aż w końcu zniknął.

I tak się dzieje, kiedy wsadza się Random Dent w rurę.

Stanął przed nią Artur. Ramiona krzyżował na piersi, całe jego ciało krzyczało: „Nie jestem zadowolony!”.

- Coś ty nawyprawiała?

Random też skrzyżowała ramiona.

- Nic. O czym mówisz?

- Coś dałaś Thorowi, widziałem. I nagle jest w stanie zrobić krzywdę Wowbaggerowi. Pytam więc znowu: Coś ty nawyprawiała?

Random nie było tak łatwo złamać.

- A ja powiem ci znowu: Nic nie zrobiłam.

- O co chodzi, Random? Chcesz ukarać matkę, o to chodzi?

- Nie.

- Dlaczego jej to robisz? Nie widzisz, że zakochała się w tym Wowbaggerze? Może ci się to nie podobać, ale tak już jest.

- Masz rację. Nie podoba mi się to.

- Dlatego pomagasz Thorowi?

Twarz Random była jak wykuta z kamienia.

- Stoję tutaj. Jak mogłabym mu pomóc?

Artur postanowił spróbować z innej beczki.

- Byłaś zakochana? Nie pamiętasz, jakie to uczucie?

Random szarpnęła głową do tyłu jakby została uderzona w twarz, a jej dłoń pomknęła odruchowo do miejsca na piersi, gdzie zwykł siedzieć jej ukochany Fertle.

- Tak, pamiętam, czym jest miłość. Moja odeszła, dlaczego więc ona miałaby być szczęśliwa?

- Robisz to, ponieważ Trillian cię zostawiła?

- Zostawiła mnie, ale odniosłam sukces wbrew niej. Tyle lat niewolniczego harowania w biurze, pięcia się po szczeblach drabiny... ale dokonałam swego.

Artur złapał córkę za ramiona i wbił wzrok głęboko w jej oczy. Próbował przebić się przez echo ciemnej materii i dotrzeć do kryjącej się w głębi, pełnej temperamentu i ciepłych uczuć dziewczyny.

- Nie dokonałaś swojego. Nie było żadnego biura. A Trillian nie porzuciła cię na dziesięciolecia, zostawiła cię na tydzień z ojcem i poleciała wykonać zawodowe zadanie. To wszystko. Nic

gorszego nie zrobiła. To ty sprowadziłaś nas wszystkich na Ziemię i stworzyłaś swą gorzką egzystencję. To wszystko twoja robota, Random, przestań więc być tak egoistyczna i powiedz mi, jak uratować tego biedaka.

Przemowa była naprawdę ostra. Random musiała przyznać, że nie doceniała ojca.

- Ale...

- Żadnych ale! - zadudnił Artur jak prawdziwy ojciec. - Mów, młoda damo.

Nagle ciemna mgła się rozwiała i Random dostrzegła prawdę tego, co robi. W jej młodym sercu wezbrały emocje i przyznała się do winy z cmoknięciem i przewróceniem oczami, co było czymś znacznie więcej, niż można wydusić z większości nastolatków.

- Cofnij się o krok, Arturze. Nie musisz być aż tak dramatyczny. Może i dałam Thorowi dwie taśmy z gumy, na którą Wowbagger ma alergię. Może. Czy to dla ciebie wystarczające przyznanie się, AR-TU-RZE, czy powinienam paść na kolana i prosić o wybaczenie?

Arturowi nawet całkiem podobał się przyływ władzy rodzicielskiej.

- Młoda damo, możesz mi mówić: „tatusiu”. Przez przynajmniej dziesięć najbliższych lat.

*

Podbudowany sukcesem Artur męsko pomaszerał do centrum zwęglonego X, gdzie Zaphod masował Thorowi bark.

Nie mogę uwierzyć, że zamierzam zrobić to ponownie, pomyślał, niezbyt jednak głośno, na wypadek że nogi usłyszą i go zawrócą.

- Od dawna nikogo tak naprawdę nie uderzyłem - mówił właśnie Thor. - Wiem, powinienem ćwiczyć, ale człowiek się rozleniwia. Mimo wszystko ładny łuk zamachu, powinno dobrze wyglądać na zwolnieniu.

- Nie żyje?

Thor przekrzywił głowę i wsłuchał się w niebo.

- Nie. Słyszę, jak kaszle. Choć jest poważnie ranny. Z pewnością nie jest już tym, kim był. Jeszcze jedno pacnięcie powinno załatwić sprawę.

Ford znalazł się w centrum X równocześnie z Arturem.

- Cześć, chłopaki. To przestaje być zabawne.

Thor westchnął.

- Wiesz, też tak sądziłem. Gdybyśmy mieli walkę albo coś w tym stylu, heroiczną bitwę, ale... jestem tylko ja, wielki facet, łomoczący mikrusa.

Artur splótł ramiona na piersi i popatrzył na Zaphoda wzrokiem tatusia.

- To prawda i dlatego cała sprawa natychmiast zostaje zamknięta.

Zaphod odwzajemnił spojrzenie.

- Gramy w nieruchomą minę? Nie wolno zamrużyć, tak?

- Nie, Zaphodzie, to nie gra. Zabawiliście się i czas kończyć.

- Zrobiłbym to z przyjemnością - odparł Zaphod. - Naprawdę, ale od tej walki dużo zależy. Cała kariera Thora, moje piętnaście procent. Obawiam się, że Wowbagger musi odejść.

- Nie zapominaj o tłustodupym.

Artur był zszokowany.

- Ford! Dlaczego o tym wspominasz?!

- Przepraszam. To nie było pomocne, prawda?

Artura nieco onieśmiał fakt, że chroniący genitalia Thora sączonek rzuca tak duży cień, iż niemal całego go zakrywa, ale starał się wytrzymać.

- Sprawa polega na tym, Zaphodzie, panie Thor, że Trillian bardzo polubiła Wowbaggera, tak naprawdę bardziej niż polubiła. A jakim byłbym ojcem dla jej córki, gdybym nie próbował działać na jego korzyść?

Thor zmarszczył czoło.

- Dlaczego wydajesz mi się znajomy? Rzeczy zazwyczaj nie wydają mi się znajome. Albo je znam, albo nie.

Nogi Artura bardzo chciały przejąć panowanie nad sytuacją i zacząć biec szybciej niż kiedykolwiek od chwili, gdy pędził, aby powstrzymać matkę od przeglądania jego specjalnego notesu ze zdjęciami wyciętymi z rocznika prowadzących program *Błękitny Piotruś*.

- Rozmawialiśmy kiedyś. Na latającej prywatce. Próbowaleś poderwać moją przyjaciółkę.

- Poderwać? O jaki rodzaj podrywania ci chodzi?

- Znasz ten rodzaj podrywania, kiedy obejmuje się kogoś i podnosi go nad ziemię?

- Oczywiście.

- Więc nie o niego chodzi.

Thor pomasażował czoło, jakby ciągle jeszcze miał kaca.

- To wyjaśnia sprawę. Straciłem na tamtej prywatce wystarczającą ilość komórek mózgowych, aby przez wiek zasilać Rząd Imperialny. - Bóg Piorunów odsunął się na bok. - Spada.

- Zrobiłeś, co mogłeś, Ziemianinie, i brawa - powiedział Zaphod. - A teraz idź sobie, podczas gdy mój klient zajmie się tym, co umie najlepiej.

- Nie mogę odejść - odparł uparcie Artur. - Nie mógłbym spojrzeć Trillian w oczy. A ty, jeśli postanowisz kontynuować, już nigdy spokojnie nie zaśniesz.

- Moje sumienie będzie czyste.

- Nie o twoje sumienie bym się martwił.

Zaphod zmarszczył czoło.

- A o co? Wypluj to, człowieku. Wiesz, że nie umiem czytać między wierszami.
- Martwiłbym się o ścigającą mnie Trillian, która wbija mi dzię między łopatki.

Zaphod zadrżał.

- Uuu. Zrobiłaby to, nie? Wyraźnie to widzę. - Popatrzył w kierunku stojącego przy bocznej linii Hillmana Huntera. - Obiecałem gościowi śmierć. Pochodzi z Ziemi, a wiesz, jacy tamtejsi ludzie bywają. Chodzi im tylko o rozlew krwi.

- To nieprawda, Zaphodzie. Nie jesteśmy krwiożerczymi potworami.

Zaphod parsknął.

- Nie? Więc dlaczego wysadziliście swoją planetę?
- Nie wysadziliśmy naszej planety! Wyście to zrobili! Wy, kosmici!
- No to do czegoś dochodzimy. Dochodzimy do tego, o co ci chodzi.
- Do tego, o co mi chodzi? To ty jesteś gotów zamordować kogoś tylko dlatego, że nazwał cię tłustą dupą.

Zaphod zbladł.

- Co powiedział?

Artur odwrócił się do kolana Thora.

- A ty jesteś gotów zabić kogoś tylko po to, aby dostać robotę.
- Rozmowa ze mną jest bezcelowa - odparł Thor, szarpiąc brodę z wplecionymi paciorkami. - Nie mam stosunku do śmiertelnego życia. Jeśli o mnie chodzi, wy, ludzie, jesteście tak samo ważni jak mrówki. Nie te wielkie, zmutowane i przerażające, ale zwykłe mrówki. Szczerze mówiąc, zbyt martwię się powrotem do kariery, aby dbać o pojedyncze istnienia.

- A poza tym to nie morderstwo? - powiedział Zaphod tonem tak protekcyjnym, że zaczęłyby skakać wszystkie różowe kulki ektoplazmy, znajdujące się w czujniku nadęt-o-sobowości. - On chce, żebyśmy go zabili.

- Już nie - stwierdził Artur.
- Naprawdę? Jesteś pewien?

Thor cofnął się o krok.

- Może go zapytamy?

*

Wowbagger huknął w ziemię z taką siłą że nieśmiertelność wyskoczyła z niego niczym wizerunek ducha, pozostawiając rozpląszczonego w płytkim zagłębieniu w trawie, rozbitego śmiertelnika.

- Aua - jęknął. - To... aua... ktoś ma coś przeciwbólowego?

Ford wyciągnął z torby ręcznik.

- Possij róg - poradził. - Ten niebieski pasek powinien nieco złagodzić klucie ran.

Thor mocniej chwycił Mjöllnira.

- Jakieś ostatnie życzenie?

Wowbagger wypluł ręcznik.

- Umowa zerwana. Muszę żyć.

- Aha, widzicie! - powiedział Artur. - Chce żyć. Nie możecie go zabić.

Thor zachichotał, co zabrzmiało jak odchrząknięcie wielkiego niedźwiedzia, który właśnie przełknął kilku dobrze odżywionych ludzi.

- Nie mogę? Kto to mówi? Ty?

Nagle pojawiła się Trillian, przepchnęła się obok diskutujących mężczyzn i opadła na kolana przy wybitym przez ciało Wowbaggera kraterze.

- Nie. Ja to mówię, wielki potworze. Kocham tego człowieka, kosmitę czy kimkolwiek jest, i nie odbierzesz mi go.

- Pamiętam cię jak przez mgłę - stwierdził Thor, ale nie uderzył. Był wystarczająco bystry, aby wyobrazić sobie ciemną medialnie stronę walenia młotem w bezbronną kobietę w celu zabicia znajdującego się za nią załamane go mężczyzny.

- W mordę Zarkwona, Zaphod - stęknął. - Przechlapane. Też miałem nadzieje.

Zaphod zgrzytnął zębami. Musiało dać się wydusić z tej sytuacji jakieś drobne zwycięstwo.

- No cóż, przynajmniej wyrzeknij się Sera.

Wowbagger zakaszlał i stęknął.

- Żaden problem. Nienawidzę sera.

Bierz, co dają pomyślał Zaphod. Odwrócił się do tłumu z rękami wzniesionymi jak kaznodzieja.

- Wowbagger został pokonany! - zawołał. - Wyrzekł się Sera i uznał Thora za swego boga.

Hillman Hunter zaboksował w powietrze, a Buff Orpington skoczył w grupę Tyromancerów i uderzał w ramię kogo udało mu się trafić.

Zaphod natychmiast się zrelaksował.

Doskonale. Zamieszki. Zamieszki zawsze świetnie mi służyły. Jestem czynnikiem Chaosu. I Spustoszenia. Ci dwaj bogowie są najbliższymi sobie wokalistami harmonicznymi we wszechświecie. Może powinienem ich zakontraktować jako chórek dla Thora.

*

Trillian pocałowała Wowbaggera w czoło i starła mu z ust niebieską świecą krew.

- Zostaniesz ze mną?

Wowbagger uśmiechnął się ale dużo go to kosztowało.

- Tak długo, jak będę w stanie. Ten młot wybił ze mnie nieśmiertelność. Nie wiem, czy zostało mi więcej niż pół życia.

- Będzie musiało wystarczyć - powiedziała Trillian i machnęła ręką ojcu swojego dziecka aby pomógł wyjść z dołka przyszłemu ojczymowi ich dziecka.

*

Random obserwowała wszystko z boku, jeszcze nie gotowa do buzi-buzi.

To wpływ ciemnej materii czy płynie ze mnie?

Myśl ta przez chwilę ją niepokoiła szybko jednak została zastąpiona tą, że powinna wykorzystać sytuację do wyduszenia z Artura kilku naprawdę tajnych prezentów.

Artur... Zdecydowanie nie tatuś. Może tata.

*

Po tym jak Wowbagger i Trillian pożegnali się z kilkoma osobami, Thor zaniósł byłego nieśmiertelnego do „Tanngrisnira” - ku wielkiej radości komputera pokładowego.

- Halo, Thor! Tęskniłem za tobą.

- Przepraszam za komputer - powiedział Thor głupkowato do półmartwego mężczyzny, którego niósł na rękach, i młodej kobiety, trzymającej owego półmartwego za rękę. - Tata zaprogramował statek tak, aby mnie wielbił, i swym magicznym okiem zamknął program w kapsule tak, że nie udało mi się go nigdy skasować. Głównie dlatego pozbyłem się tej łajby. Zresztą po co mi statek? Mam Mjöllnira.

- Jestem tutaj - powiedział komputer. - Słyszę, mały, co mówisz. Ale wybaczam ci.

- W porządku. - Thor pospiesznie położył Wowbaggera na łóżku, które wysunęło się z podłogi.
- Zostaw go w plazmie na tydzień i będzie tak zdrowy, jak może być śmiertelny.

- Śmiertelny... - wycharczał Wowbagger. - Jesteś pewna, że tego chcesz, Trillian?

Trillian pociągnęła nosem.

- Poradzę sobie.

- To wspaniale. - Thor nagle poczuł przyływ klaustrofobii. - No to zostawię was samych. Muszę iść na bankiet, najwyraźniej ktoś wrzucił na ruszt trochę wołowiny. Bawcie się dobrze.

- Nie! - zawył statek. - Nie opuszczaj mnie!

- Muszę lecieć - odparł Bóg Piorunów i wypadł pędem ze statku.

- Niiieeeee... - wył komputer. - Niiieeeee... nie znowu...

Trillian wykorzystała doktorat z astrofizyki i czas spędzony na pokładzie „Serca ze Złota” i szybko skierowała „Tanngrisnira” w stratosferę.

Owinięty kokonem plazmy Wowbagger szybko poczuł się lepiej.

- Dokąd lecimy? - spytał.

Odpowiedź była prosta.

- Gdzieś razem.

Choć kosztowało go to sporo bólu, Wowbagger się roześmiał.

- To dość romantyczne. Zawsze taka jesteś?

- Dowiemy się, nie? Mamy cały czas tego świata.

- Nie, w zasadzie to nie, ale to, co mamy, jest cenne.

Trillian przewróciła oczami.

- Jezu, mam już dość tej eleganckiej gadki-szmatki.

- Ja też. Chcesz polecieć gdzieś kogoś obrazić?

- Myślałam, że nigdy nie zapytasz.

- Byłaś kiedyś w Chwiejnych Robaczych Dziurach na Stryk Lycombdan Tsing?

- Nie. Kto tam mieszka?

- Palanty. Kompletni frajerzy.

Trillian włączyła szukanie na galakt-o-mapie.

- Więc na co jeszcze czekamy?

Wybrała jasny punkcik na ekranie i „Tanngisnir” połączył się z nocnym niebem w jedność.

ROZDZIAŁ 11

Vogoński statek hiperprzestrzenny klasy biurazownika - „Instancja Wykonawcza”

Hiperprzestrzeń odchrząknęła i w przejrzystym przestworzu satynowego kosmosu, 0,01 parseka za termosferą Nano, wypuła vogoński biurazownik. Na pokładzie „Instancji Wykonawczej” trzy tysiące członków Korpusu Biurokratycznego wypadło z hiperkołysek i zaczęło rozmasowywać na brzuchach odciski od pasów.

Prostetnik Jeltz był pierwszy na pozycji i rozpraszał niepokojące ersatzo-ewolucyjne otumanienie waleniem w przyciski i wrzeszczeniem na mniej pracowitych podwładnych.

- Żwawiej, do niczego nieprzydatne kurzobabomóźdzki! Więcej *kroompst!* Goni nas zegar, a jest atomowy i nigdy nie zapomni o ani jednej sekundzie!

Załoga jęknęła *KROOMPST...* i powlokła się na stanowiska, półprzytomnie przekierunkowując wrogość na planetę w dole.

- Hiperprzestrzeń to wakacje, a nie miejsce, w którym dałoby się żyć - stwierdził Jeltz. - Więc wybijcie sobie z głowy jej fałszywą wygodę.

Na pokładzie „Instancji Wykonawczej” było niewiele wygod - niezależnie od tego, czy fałszywych, czy prawdziwych. Jakikolwiek miękkie meble były dla załogi *verboden* - aby wszyscy mieli świadomość, czym pachnie kantowanie. Poza tym Vagon bez ostrych reakcji jest przydatny jak gumowa laska w zawodach wkładania kwadratowego drąga w okrągłą dziurę.

Uwaga w Przewodniku:

Pewien starzejący się konstant zlekceważył kiedyś przepisy i wszczepił sobie w pośladki dwie poduszki. Niestety, w dżunglowym mieście Rhiis Bhuuohs złapał unoszącego się w powietrzu mikroskopijnego pasożyta, który zjadł go żywcem, zaczynając od gąbki. Zanim pasożyta zabiły racje żywnościowe z mesy, rozwalił sześć pokładów vogońskiego krążownika.

Jeltz rozwarł szczękę, aby zajodłować po Skoszona, kątem oka dostrzegł jednak, że mały konstant już faluje przy jego łokciu.

Ghrhmmm, pomyślał (Vogoni nawet myślą pomrukami). Ten chłopak porusza się, jak na jednego z nas, cholernie szybko. To dobrze czy źle?

Postanowił, że to problem typu: „do rozważenia później”. Priorytetem była eksterminacja Ziemi. Jeltz miał do tej akurat rasy niezły wór uraz i spędził cały hiperprzestrzenny trans na tworzeniu scenariuszy wykończenia z nawiązką jej ostatnich przedstawicieli. Tym razem nikt nie przeżyje.

- Tym razem nikt nie przeżyje - zapewnił Skoszona, na wypadek gdyby chłopak sądził, że tatko

traci *kroompst*.

- Badabingo! - stwierdził konstant Skoszon.

Jeltz zmarszczył czoło, choć przy tak dużej ilości mięsistych powierzchni na jego czole jedynie bliski krewny był w stanie zinterpretować minę.

- Co powiedziałaś?

- Badabingo. To takie wyrażenie. Używa się go, jak sądzę, na Blagulon Kappa.

- Wyrażenie! - zawarczał Jeltz pełną oktawę powyżej zwykłej rozpiętości głosu. - Nie używamy wyrażeń!

Skoszon zrobił dwa szybkie kroki do tyłu, udało mu się jednak nie przewrócić.

- Oczywiście, że nie. Dziękuję za reprimendę, ta... prostetniku. Jakie to szczęście, że mam taki wzór.

Jeltz podyszał, wyraźnie ułagodzony.

- Wyrażenia, a nawet slogany, są generalnie dopuszczalne jedynie w poezji oraz kontekście ironicznym. Na przykład kiedy odpalałem torpedy w kierunku ekoplanety Foliavintus, powiedziałem: „Nie zapomnijcie o utylizacji zawartych w nich urządzeń elektrycznych”.

- Niezwykle diaboliczne, prostetniku.

Vogońskie pojęcie o zasadach humoru jest tak słabe, że Jeltz wyjaśniał dalej.

- Było to śmieszne w złośliwy sposób, ponieważ: „Nie zapominaj o utylizacji urządzeń elektrycznych” było na Folavintusie czymś w rodzaju nieustannego rządowego sloganu, powtarzanego jak dżingiel.

- Rozumiem...

- A także, ponieważ po użyciu torped nie da się utylizować sterujących wybuchem urządzeń elektrycznych. Tak naprawdę na tej planecie już nigdy nie miało być zutylizowane żadne urządzenie elektryczne.

- Bada... ładne.

- To nie koniec. - Jeltz nagromadził w policzkach żółć, po czym ją przełknął. - Moje torpedy zutylizowały planetę jako całość. Rozumiesz?

Skóra Skoszona nabrała szmaragdowej bladości.

- Rozumiem. Pojąłem wszystkie poziomy.

Jeltz eksperymentalnie poruszał głową w górę oraz w dół i z przyjemnością stwierdził, że jest całkowicie wolna od hiperszczęśliwego otumanienia.

- Przywołajcie kilka gorzkich myśli - polecił załodze przez radio pokładowe. - Znajdźcie coś, co można nienawidzić, i wkrótce staniecie się sobą. Proponuję Ziemiaków na planetce pod nami. Po wszystkich udrękach, jakie spowodował rozkaz ich eksterminacji, zasługują bardziej niż w pełni na wasz gniew.

Wszystko wskazywało na to, że załoga posłuchała rady, i wkrótce w całej „Instancji Wykonawczej” zaczęły się rozlegać szczęknięcia i łoskoty załadowywanych wyrzutni torped i rychtowanych plazmowych armat.

- *Migocz, migocz* - zarecytował Jeltz - *planetoidko ma...*

Popatrzył na Skoszona.

- Rym?

Myśląc, Skoszon szczekał zębami. Wiedział, czego się od niego oczekuje.

- Hmh... *wkrótce sprawimy, że pójdiesz w otchłań bez dna.*

- Znakomicie, mój synu - zbulgotał Jeltz. - Czasami niemal mnie uszczęśliwiasz.

Miasto Cong, Innisfree, Nano

W sali bankietowej Thor i Zaphod tkwili po pachy w gratulacyjnym bufecie, kompletnie nieświadomi - mówiąc względnie -mającej lada chwila nastąpić z góry całkowitej anihilacji. Względność dotyczyła pojęcia „z góry”, anihilacja bowiem miała być całkowita niezależnie od tego, jaką skalę lub miarę odniesienia wzięłoby się pod uwagę.

- Byłeś wspaniały, panie - powiedziała Amegliańska Wielka, zmiękczając sobie mięso w udźcach za pomocą tłuczka przywiązanego do kopyta. - To, jak poruszałeś, panie, młotem... - Krowa spróbowała tłuczkiem powtórzyć cios Thora. - Powiem szczerze: dreszcze mnie przechodzą.

Thor szarpnął warkoczyk na brodzie.

- Naprawdę? Nie sądzisz, że przegiąłem? Może nowoczesny bóg powinien nieco przyhamować melodramatyzm?

Zaphod wynurzył się z wiadra z Pangalaktycznym Gardłogrzmotem.

- Bzdura, stary. Zamłotkowałeś zielonego jak ta lala i w ostatniej sekundzie okazałeś litość. Totalnie genialne. Książkowe mistrzostwo.

Thor zasłonił usta dłonią i na wypadek gdyby ktoś ukrył w pobliżu mikrofon, zaczął szeptać.

- Muszę przyznać, Zaph, że miałeś rację. Dzięki tym wszystkim wielbiącym mnie ludziom czuję się bardziej realny, żywszy niż po zakończeniu okresu muzycznego. Szczerze uważam, że mogę zacząć zostawiać złe dni za sobą.

- Wróciliśmy, dzieciaku. Religia to nowy ateizm. Kiedy zjednoczymy wszystkich osadników w wierze, będziemy mieć przed sobą cały wszechświat. Wyobraź sobie, ile pamiątkowych młoteczków można sprzedać.

- Znam gościa w Asgardzie. Ma w kuźni zgraję elfów. Jeden telefon i zacnie wykuwać małe Mjöllnirki.

Zaphod wsadził rękę w coś, co było wazą zupy na bazie soi albo do połowy pełną sopluczką. Tak czy owak, z zachwytem oblizwał palce.

- Wreszcie zacząłeś mówić jak człowiek, Thor. Czas kołem się toczy i stare dobre czasy wróciły.

- Ładna mieszanka przysłów - powiedziała krowa. - Bardzo pasująca. Co powie pan na stek, aby zamknąć żołądek? Jeśli nie lubi pan żuć, zrobię mielonego.

Zaphod zignorował zwierzę.

- Musimy zorganizować wielką imprezę. Pokonanie Wowbaggera jest dobre dla kolonii lub dwóch, ale do ożywienia twojej kariery na poziomie kilku galaktyk potrzebujemy czegoś o sferycznych proporcjach.

- Ma pan chyba na myśli... - zaczęła krowa, ugryzła się jednak w język, intuicyjnie wyczuwając, że poprawianie gościa nie jest dobrym pomysłem na nakłonienie go do uboju i konsumpcji.

Zaphod był na fali.

- Bo ja wiem... powiedzmy, że gdzieś jest zaraza.

Thor nie był przekonany.

- Daj spokój, Zaph. Nie powstrzymam zarazy młotem.

- W porządku. Susza. Możesz przebić się młotem przez skałę do podziemnej rzeki.

Thor wziął krowę i wsadził ją sobie w usta, ledwie pozostawiając jej czas na choć kilka przepelnionych zachwytem podziękowań.

- Bo ja wiem... ludzie mają teraz niezłych geologów. Znalezienie podziemnej rzeki to nie problem.

- No to coś z szarańczą. Albo z wulkanami. - Zaphod wlał na stół, dzięki czemu mógł patrzeć Thorowi w oczy. - To przełom, na który czekaliśmy. Będziesz potężniejszy niż kiedykolwiek. Czuję to.

- Tak sądzisz? Naprawdę?

- Bez najmniejszej wątpliwości.

Otworzyły się drzwi sali bankietowej i do środka zajrzał Hillman Hunter.

- Halo-hej-ho, moi obzartusi dobroczyńcy - zaświergotał. - Wszyscy nawaleni po sufit i gotowi zacząć robić interesy? Mam oficjalne umowy o świętości.

Zaphod uspokajająco skinął głową w kierunku swego klienta.

- Nie ma sprawy, rzuciłem już okiem. Standardowe boskie obowiązki.

- Święta religijne?

- Trzydzieści dwa. I dwa kolejne za każde dziecko spłodzone z osobą śmiertelną.

Thor był pod wrażeniem.

- Ładny paragraf...

Zaphod położył dłoń na jego potężnym barku.

- Ładny dla nich i nie zapominaj o tym.

Hillman ruszył w ich kierunku tanecznym krokiem. Zataczał się na boki i za każdym zakrętem dotykał skroni.

- Jak człowiek ma się zbliżyć do swego boga? - zapytał. - Próbuję różnych ruchów.

- Podoba mi się dotykane głowy - stwierdził Thor. - Ale odpuść sobie przelewanie się na boki.

- Możesz to robić dla mnie, jeśli masz ochotę - stwierdził Zaphod. - Chyba też zasługuję na nieco admiracji?

Hillman wspiął się na stół i podał umowy.

- Jest pan w sumie supergościem, panie Beeblebrox. Czegokolwiek potrzebujemy, sprowadza nam pan swoim statkiem. Czasami wydaje mi się, że gdyby się pan nie zjawił, nie potrzebowalibyśmy niczego.

Nawet Zaphod zauważył w tym stwierdzeniu lekką zjadliwość, ale postanowił ją zignorować.

- Hej, Hilly, co to za tekst ołówkiem na dole strony? Ot tak go sobie dopisałeś?

Hillman wykonał paradny numer irlandzkiego krasnala.

- Ojejku, sakramenckie, nie martw się tym. To jedynie klauzula zabezpieczająca. Mówi, że urzędujący bóg, w tym przypadku Thor, jest odpowiedzialny za ochronę planety przed atakiem obcych z kosmosu. No wiesz, wielkimi laserami, bombami atomowymi i te pe.

- Żaden problem - odparł Zaphod wspaniałomyślnie. - Na takich peryferiach mgławicy przez jakieś parę stuleci nie będziemy potrzebowali ochrony planety.

Palce Hillmana rytmicznie zatańczyły i rzucił okiem ku niebu.

- No, nigdy nie wiadomo - stwierdził.

„Instancja Wykonawcza”

Prostetnik Jeltz podniósł fotel tak, aby objął mu ciasno siedzenie, po czym opuścił ciężar ciała na hydrauliczną kolumnę. Rozległ się przeciągły syk, który - jak zawsze twierdził Jeltz - wydawał z siebie fotel.

- Siedzenie jest lekko wilgotne - burknął.

- Przepraszam, prostetniku - zabalgotał konstant Skoszon, mocując podpórkę łokcia Jeltza oraz łokieć. Kiedy Skoszon nie kręcił się na wysokości jego nerek, Jeltz czuł pustkę w skroni.

Zbyttno się uzależniam od tego chłopaka, pomyślał. Czas odesłać go ze statku w jakieś niemiłe

miejsce.

- Mój fotel ma być bardzo wilgotny, wręcz przemoczony. Wiesz, jak nienawidzę skrzypienia.
- Zaraz się tym zajmę.

Jeltz powstrzymał go uniesionym palcem.

- Stój! Najpierw praca, wilgotne krzesło potem. W imię dokończenia zadania jestem gotów na otarcia.

- Oto prawdziwy duch, komendancie. Jest pan wybitnym *kroompsterem*.

Mostek bulgotał powolną, nerwową aktywnością - Vogoni szykowali się do pracy najszybciej, jak pozwalały im na to nieporadne ciała.

Uwaga w Przewodniku:

Niedawno przeprowadzone maximegalońskie badanie oceniło żwawość Vogonów na tym samym poziomie co Nodoszczów z Brzytwolba VI. Vogoni byli zachwyceni faktem, że dorównują komuś, póki się nie dowiedzieli, że Nodoszcze to gigantyczne jednonogi ze zrosniętymi palcami, żyjące na księżycu o grawitacji ledwie wystarczającej do tego, aby nie odlecieć w podskokach w kosmos. Dwóch innych maximegalońskich statystyków rzuciło dwie kości pocieszenia, dzięki czemu okazało się, że Vogoni są na piątym miejscu ras odwiedzanych przez inne istoty i zdecydowanym liderem w zakresie rozpoznawanej sylwetki.

Lektura dodatkowa:

Kompletna Statystyka Maximegalońska, vol. 1-15 000,

Krótki przewodnik po Kompletniej Statystyce Maximegalońskiej, vol. 1-25 000.

Jeltz jednym okiem obserwował uważnie ekran, drugiemu pozwalał wodzić po mostku - sposób patrzenia z niezależną rotacją gałek ocznych wyćwiczył, aby mieć oko na załogę. W przestrzeni przed statkiem unosił się mały błękitny świat, otoczony postrzępionymi chmurami, prawdopodobnie pełen zdrowych gatunków, upajających się bezgranicznym szczęściem, że wolno im prowadzić prosty żywot na niczym nienękanym planetoidzie.

Niczym nienękanym. Już niedługo.

- Wreszcie... - wymamrotał Jeltz. - Wreszcie, w końcu i ostatecznie nieuniknienie.
- Wreszcie... - odparł jak echo konstant Skoszon, ale było to echo słabe i zanikające.
- Co nam mówi statek, konstancie?

Vogoński biurążownik był wspaniałym pojazdem - pod warunkiem że pracowało się w środku. Pracując na zewnątrz, na przykład jako skrobacz osłon albo przepychacz silników, od czystej symetrobii można było popaść w ślepotę albo wręcz w obłęd. Większość pojazdów, nawet jeśli zdawkowo i nieprzyjaźnie, robi ukłon w kierunku urody. Statki vogońskie stosują inną metodę: wkładają kominiarki i napadają na urodę w ciemnych uliczkach. Plują urodzie w oczy i przebijają

ją się brutalną siłą przez zasady estetyki oraz aerodynamiki. Krążowniki Vagonów nie tyle lecą przez przestrzeń, ile profanują ją i odrzucają na bok. W środku jednak statek Vagonów jest napełniony większą ilością wysokotechnologicznych sprytogadżetów, niż dałoby się znaleźć w przeciętnym ośrodku badań nad wysokotechnologicznymi sprytogadżetami. Nawet dobrze wyposażony autobus bojowy Silastycznych Diabłów Pancernych ze Striterax odsunąłby się na bok, aby przepuścić vogoński statek - a „Instancja Wykonawcza” był czymś absolutnie topowym, najśladszym szczupakiem w bajorze. Nie wygrałby konkursu piękności, ale bez trudu umiał określić, ile świń błotnych gryzie się po udach po przeciwległej stronie wszechświata. A także, ile kleszczy każda ze świń ma na grzbiecie. Prawdopodobnie także, jakie mają grupy krwi. Na koniec mógłby powybijać kleszcze za pomocą mikrointeligentnych bomb.

Konstant Skoszon oderwał się od upragnionego miejsca przy łokciu prostetnika i ruszył kołyszącym się krokiem ku głównemu wyświetlaczowi instrumentów. Nie było potrzeby się kołysać, bez problemu mógłby stąpać z gracją, Skoszonowi codziennie jednak przypominano, co Vagoni robią gatunkom, które mają czelność ewoluować.

Z każdym zakołysaniem się Skoszon rzucał uważne spojrzenie na obecnych na mostku pozostałych konstantów i sprawdzał, czy żaden nie próbuje uzurpować sobie jego pozycji naczelnego lizusa. Podpuszczanie przełożonych było w korpusie ogólnie przyjętą praktyką. Wystarczyłby podłożony prostetnikowi smakowity plaster informacji i Skoszon już szedłby do raportu i dostawał degradację do ekipy przepychającej silniki. Skoszon był pewien, że nie poradziłby sobie, musząc żyć w jakiejś dziurze i patrzeć na statek z zewnątrz.

Wyświetlacz pokrywał całą ścianę od bakburty i składał się z dziesiątków zachodzących na siebie ekranów gazowych, pokazujących na bieżąco uaktualniane obrazy ze skanerów. Skoszon przyjrzał się ekranom w poszukiwaniu czegoś, czegokolwiek, co mogłoby ocalić Ziemiaków. Kłamstwo byłoby przy tym bezcelowe, odczyty miały bowiem taką formę, że w znacznej części były odporne na idiotyzm. (Ze strony projektanta była to roztropna decyzja, ponieważ załoga w sporej części składała się z idiotów. Idiotyzm znacznie ułatwia bycie Vagonem).

Musi coś być, dumiał Skoszon. Nie chcę zabijać tych ludzi. Chcę ich wypytać o muzykę country. I może objąć Australijkę. Są takie ogorzale.

Popatrzył na odczyty. Ziemiaki bez najmniejszej wątpliwości byli na Nano. Komputer rejestrował na powierzchni ponad dwa tysiące humanoidów, przynajmniej dziesięć procent z tego Ziemiaków. Skany DNA i fal mózgowych potwierdzały ich pochodzenie.

- No i? - wydyszał Jeltz. - Podaj mi dobre wieści, konstancie.
- Ziemiaki. Nieco ponad dwieście jednostek. Pięć domacicznie.
- *Migocz, migocz...* - zadudnił prostetnik. - Kanonier, konstruj schemat ostrzelania.
- Czeka!

Skoszon wypluł to z siebie, nim zdążył ugryźć się w język.

Na mostku zapadła niemal komiczna cisza. Chyba nawet instrumenty ściszyły popiskiwanie i pomlaskiwanie. Może i planetoida w dole przestała się poruszać.

- Czeka? Konstancie, powiedziałaś: „Czeka”? - Głos Jeltza był gładszy od szklanego oceanu

i groźniejszy od szklanego oceanu z czyhającymi pod powierzchnią rekinami-imadłami, naprawdę wygłodniałymi i niezbyt przyjaźnie nastawionymi wobec szczurów morskich, które wkroczyły w ich środowisko.

Oczka Jeltza wwierały się w Skoszona.

- Dlaczego powiedziałeś: „Czekaj”? Nie chcesz, abyśmy dokończyli misję?

Skoszon czuł, jak w żołądku kipi mu kwas, ale nie w sposób, w jaki powinien.

Jedno słowo. Powiedział jedno słowo i jego kariera, jego życie - zostały zakończone.

- Nie miałem na myśli czekania jako takiego.

- Więc nie powiedziałeś: „Czekaj”?

- Powiedziałem.

- Powiedziałeś: „Czekaj”, ale nie miałeś tego na myśli.

- Tak, prostetniku. Właśnie.

- To mać w głowie, konstancie. Oczekuję od załogi, aby mówiono to, co chce się powiedzieć.

- Mówię to, co chcę powiedzieć...

- Więc miałeś na myśli, byśmy czekali?

- Nie, tato! Nie miałem.

Grzech ostateczny! Próba wykorzystania związków rodzinnych dla uzyskania łaski. Vogoni znają lojalność tylko wobec jednego: zadania.

Klatka piersiowa prostetnika Jeltza zabulgotała od przetykanej złości, a jego ucho zatrąbiło.

- No dobrze, sy-nnn-u. Jeżeli nie miałeś na myśli tego, co mówisz, i nie chcesz powiedzieć, co masz na myśli, nie ma z ciebie użytku na tym statku. W każdym razie nie w środku.

Skoszon padł na kolana i zaczął błagać.

- Żadnej szansy, prostetniku? Jedna szansa jest tradycją.

Dolna warga Jeltza wysunęła się jak leżąca na brzuchu foka słoneczna. Jedna szansa faktycznie była tradycją. On sam też dostał jedną szansę na rehabilitację od swego mentora, prostetnika polowego Turgida Rowlsa.

Uwaga w Przewodniku:

W trakcie dziewiczej podróży Jeltza, którą odbywał przy łokciu Turgida Rowlsa, omyłkowo podstawił mu do odcisku palca zadanie BDI40565, a nie - jak należało - zadanie BDI40664, co spowodowało więcej zamieszania, niż można by się spodziewać, BDI40565 było bowiem rozkazem konfiskaty atmosfery, a BDI40664 nakazem zapłaty za wypożyczenie filmu. Najogólniej mówiąc, student z Blagulon Kappy zaspał i zapomniał oddać Króla Wojowniczych Robaczków Świętojańskich II, a kiedy się przebudził, okazało się, że jest na ginącej planecie i pozostaje

stało mu pół minuty życia.

Stary Turgid Rowls nie był dla mnie zbyt surowy, pomyślał Jeltz. Tak naprawdę nieźle się całą sprawą ubawiliśmy.

- No dobrze, Skoszon. Jedna szansa.

Pompa krwi Skoszona zwolniła o kilka uderzeń na minutę.

- Eliminacja?

- Tak. Potrzebuję rymu do: *agresywna obsesja*. I to nie tylko końcowego, lecz także środkowego.

Skoszon zaczął wypisywać słowa w powietrzu.

- Eee... akt igliwia... progresja... .

- Szybko, chłopcze. Szybko.

- W porządku... agresywna obsesja... hm... angelologiczna impresja.

- Wyjaśnij.

- To rodzaj sztuki uprawianej na Brequindzie. Rodzaj pantomimy, w której artysta przedstawia naturę aniołów.

- Nie! Jeśli sądzisz, że możesz... naprawdę?

- Naprawdę. Spójrz, jeśli masz ochotę, prostetniku.

Uwaga w Przewodniku:

Angelologiczna Impresja była kategorią konkursową na Brenquindańskim Festiwalu Sztuki. Rekordzistą w zakresie liczby kolejnych zwycięstw był młody aktor, pan E. Mosh, który twierdził, iż jego tajemnica polega na spaniu zimą w listowiu. Stracił szansę na ósmy tytuł po tym, jak złodzieje drewna wsadzili go do rozdrabniarki gałęzi.

Jeltz trawił tę frazę i przepowiedział sobie wiersz w myślach. To mogłoby pasować. Było prawdopodobnie puka warte, ale cały wiersz i tak skłaniał się ku absurdowi.

- No dobrze, konstancie, baczność. Masz swoją jedną szansę. Wykorzystaj ją i powiedz mi, dlaczego kazałeś mojemu kanonierowi zatrzymać torpedy.

Pompa krwi Skoszona ponownie rzuciła się do galopu i potykając się, ruszył ku ekranom. Wisiały nad nim jak załamująca się fala tsunami. Szukał czegoś, czegokolwiek, co mogłoby uzasadnić jego mimowolny okrzyk.

Na ekranach nie było niczego poza uderzeniami serc, ciśnieniem krwi i niedoborem wapnia. Nic niezwykłego. Nagle zauważył wewnątrz jednej z konstrukcji dziwnie nieprzenikalne bipnię-

cie. Zrobił zbliżenie i sprawdził stan funkcji życiowych, każdy promień, jaki wysyłał, był jednak odbijany bez nawet kleksa informacji.

Ocalenie.

Skoszon z nową pewnością siebie poszurał z powrotem na pozycję podłokciową.

- Prostetniku!

- Lepiej, żeby był w tym jakiś sens. Jest tu poza tobą pęczek zapalonych kocmołuchów, którzy z przyjemnością by zabili, aby stanąć u mojego boku. Zabili ciebie, dla jasności.

- Jest sens, prostetniku. Mogę wyjaśnić moje działanie.

- To bombiaście, Skoszon. A więc kazałeś kanonierowi powstrzymać torpedy klasy Niepotrzebna Bolesna Powolna Śmierć, ponieważ...

- Ponieważ torpedy by nie wystarczyły.

- Przeginasz, Skoszon.

- Nie wystarczyłyby, ponieważ mamy na powierzchni nieśmiertelnego. Klasy A.

- Jesteś pewien?

- Stuprocentowo. Nie może być pomyłki. Promienie skanerów odbijają się od niego, komendancie.

Będziemy musieli się wycofać, pomyślał Skoszon, opierając się chęci podskoczenia z radości (radość była jednoznacznie zabroniona na pokładzie „Instancji Wykonawczej”, a podskoczenie było generalnie niemożliwe). Nie mamy obrony przed bogiem.

- Bóg... - powiedział Jeltz i klasnął w dłonie.

Mam nadzieję, że to z przerażenia, pomyślał Skoszon.

- To okazja, na jaką czekaliśmy!

Okazja, aby zwać najszybciej, jak tylko uda nam się powłączać silniki, pomyślał Skoszon optymistą.

- Kanonier, strzelaj wedle własnego wyboru tak mniej więcej w kierunku nieśmiertelnego.

Skoszon odchrząknął.

- Komendancie. Nasze torpedy nie mogą uczynić szkody nieśmiertelnemu.

Jeltz próbował chytrze się uśmiechnąć, opluł przy tym Skoszona obficie.

- Uczynić szkody nie, odwrócić uwagę tak.

- Odwrócić uwagę?

Jeltz gładko zniósł papugowanie.

- Tak, synu. Odwrócić uwagę tego boga, kimkolwiek jest, od tajnej eksperymentalnej broni, którą właśnie starannie ładujemy do wyrzutni.

- Eksperymentalnej broni? - zapiszczał Skoszon.

Jeltz zamachał dłonią.

- Tajnej eksperymentalnej broni.

Nano

Artur Dent wybrał sobie ładny strój od Nu Top Mana i cieszył się w miarę prostą przyjemnością noszenia ubrania dla dorosłych - choć był pewien, że mając u boku Random, radość z prostych przyjemności jest skazana na krótki żywot.

- To miejsce nie jest politycznym centrum Galaktyki, ale przynajmniej nie ma tu bieganiny i wszechobecnych wrzasków - poinstruował córkę.

- Jeszcze nie ma - odparła. - Jestem pewna, że sprowadzisz na wszystkich obecnych nieszczęście. Twoim przeznaczeniem jest być kosmicznym Jonaszem.

Artur się nie spierał. Nie miał żadnego argumentu, który mógłby wysunąć.

Siedzieli na ławce na placu Johna Wayne'a i w cieniu pomnika, przedstawiającego Johna Wayne'a w postawie Seana Boksera, jedli domowej roboty lody.

- Moglibyśmy tu osiaść. Mogłabyś mieszkać tu ze mną albo z Trillian, gdybyś wolała, kiedy wróci z miodowego miesiąca. Albo z obojgiem z nas. Jak byś zechciała. Masz teraz wybór.

Random czuła rozgrzewające ją od środka zadowolenie, ale walczyła z nim.

- Nie wiem, czy powinnam jeść lody - stwierdziła. - To produkt mleczny, prawda? Dość bliskie sera. Tyromancerom mogłoby się to nie podobać, a powinnam szanować ich wiarę.

- Zrezygnować ze wszystkich produktów mlecznych? To dość trudne. Krowy byłyby załamane.

- Chyba powinniśmy sporządzić coś w rodzaju listy - powiedziała Random, nie przerywając lizania. - Nie mogę zrezygnować z koktajli mlecznych. Właśnie się dowiedziałam o ich istnieniu.

Artur odchylił się do tyłu i wystawił twarz do słońca.

- Dziś rano widziałem Aseeda Prefluxa, wychodzącego z piekarni z *quiche* „cztery sery”.

Random wypłuła kawałek wanilii w kształcie plastra miodu.

- Co? Po tym wszystkim, o co walczył? Co za hipokryta!

- Stwierdził, że tylko komuś ją niesie. Najwyraźniej nie była jego.

- Będę musiała sobie z nim porozmawiać.

- Random... mówię to bardzo niechętnie, ale jesteś nastolatką. Może potrwać jeszcze kilka lat, zanim przejmiesz tę planetę.

Była to dobra uwaga i tkwiąca w pamięci Random była prezydent Galaktyki przyjęła ją - nawet jeśli nastolatka nie miała na to ochoty.

- Może jeszcze nie teraz, ale uwierz mi, dojdę do tego.

- Wierzę.

Plac zapełniał się obiadowym tłumem, grupkami ostentacyjnie szczęśliwych osobników. Nikt nie podejmował najmniejszej próby zabicia kogokolwiek.

Jak długo to się utrzyma? - pomyślał Artur. Aż ktoś uzna, że grzyby są święte i powinniśmy przestać siekać je na kawałki.

Po przeciwległej stronie placu pojawił się Ford i zaczął przepychać się przez buczącą tłuszczę, dobrze wykorzystując kanciaste łokcie. Gdy znalazł się bliżej, Artur rozpoznał goszczącą na jego twarzy minę.

- Nie wierzę! - zawołał i rzucił loda na ziemię.

- Tato! - krzyknęła przerażona Random. - Tu jest kompostownik!

Artur nie zareagował na uwagę. Wstał i zaczął deptać kartonik.

- Nieważne, mam bowiem wrażenie, że ta planeta zaraz ma zostać zniszczona! Ford, to prawda?

Ford dobiegł zdyszany. Jako pisarz nie nawykł do wysiłku fizycznego.

Uwaga w Przewodniku:

Górną granicę wysiłku, na jaki zdobywał się Ford, wyznaczało polowanie na ostatniego szczypcomatża w wiaderku i wyszarpywanie go szczypcami ze skorupy. Największy wysiłek fizyczny w życiu Ford wykonał w trakcie pobytu w ośrodku na Wzgórzach Huńskich, gdzie osiągnął skrajnie znakomity wynik w agresywnej sztuce WangDo. Niestety, Wzgórze Huńskie są ośrodkiem umysło-surfowania, więc Ford podjął wysiłek jedynie w myślach, co stało się boleśnie jasne, gdy zaczął barową bójkę na Jaglan Beta z pięcioma dziennikarzyniami z periodyku gadżetowego „Wielkie pały”.

- Łap ręcznik, Arturze. Musimy wiać.

Artur tupnął nogą.

- Wiem. Niech zgadnę: Vogoni zjawili się zbyt wcześnie?

Ford wyciągnął z torby *Autostopem przez Galaktykę* i sprawdził generator obrazu sub-eta.

- Albo Vogoni, albo wielki paskudny baton czekoladowy.

- To się nigdy nie skończy, prawda? - zajęczał Artur. - Ci zieloni sadyści nie przestaną póki nas wszystkich nie wykończą.

Ford postukał się w dolną wargę.

- Nie sądzą żeby chodziło im o mnie. Gonią jedynie za wami, humanoidami.

Random osłoniła oczy przed słońcem.

- Niczego nie widzę.

- Są tam, na pewno. *Autostopem* nigdy nie kłamie.

- Ten idiotyczny przewodnik cały czas kłamie. Więcej w nim kłamstw niż prawdy.

Ford jak z armaty wystrzelił standardowy slogan:

- *Autostopem przez Galaktykę* jest w stu procentach dokładny, to rzeczywistość nie jest rzetelna.

Artur miał wrażenie, że znaczący procent czasu nieprzenaczonego na sen spędził, słuchając wodolejstwa przyjaciela podczas gdy kończył się ten czy inny świat.

- W porządku, Ford. Co mamy robić?

Pytanie najwyraźniej zdeorientowało Betelgeusańczyka.

- Robić?

- W sprawie Vogonów. Jak przeżyjemy?

- O, aha. W tej właśnie sprawie przyszedłem. Widziałeś, jak szedłem przez plac? Byłem cały naładowany. Nie interesowało mnie, kogo przewracam.

- Widzieliśmy cię. Teraz powiedz, co możemy zrobić. Możemy zabrać się autostopem?

Ford się roześmiał.

- Żartujesz? Vogoni nie dadzą się ponownie na to nabrać. Nawet ich osłony mają osłony.

- Więc co?

- Musimy pobiec, dość szybko, na kosmodrom. Może zdążymy wskoczyć na pokład „Serca ze Złota”.

- Coś widzę - powiedziała Random, wskazując w niebo na gromadę spadających gwiazd, lecących ku nim, opadających przez atmosferę zsynchronizowanymi pętlami.

- Albo i nie - odparł Ford.

Wyjął z dłoni Random lodu i zaczął go powoli lizać, smakując każdą kroplę.

„Instancja Wykonawcza”

- Hologramy pocisków? - spytał Jeltz. - Co sądzisz, kanonierze?

Kanonier raczej nie zamierzał się spierać.

- Czemu nie, prostetniku.

Jeltz sprawiał wrażenie niemal rozradowanego.

- W zasadzie to czemu nie? Latające konie byłyby ładne.

- Latające konie - stwierdził kanonier i uruchomił odpowiedni program.

- *Migocz, migocz...* - zabalgotał Jeltz.

Nano

Thor potężnie beknął i strzepnął okruchy z tuniki. Strzelił palcami i Mjöllnir zapiszczał, wyskoczył z ładowarki w ścianie i pomknął ku jego dłoni.

- Co to za najeźdźcy? - spytał bóg Hillmana.

- Zgodnie z danymi programu rozpoznawania to są Vogoni, mój panie. Dość twarde palanty. Specjalizują się w niszczeniu planet.

Zaphod był zachwycony.

- Vogoni już tu są?! To będzie niesamowite. Epickie. Będziesz miał okazję zdziesiątkować tych *bastardos*.

Thor wykonał kilka ćwiczebnych zamachów.

- Zdziesiątkować? Jesteś pewien, że powinienem? Nie zamierzam przesiadywać w kolejnych trybunałach, poza tym jeszcze nie wiemy, jak wypadnie w sub-ecie manto, jakie dostał nieśmiertelny.

Hilhnan słodko się uśmiechnął.

- Jakie trybunały, panie? Po prostu broniłeś swej planety. Jest w umowie.

- Otóż to - powiedział Zaphod. - Doskonały PR. Załatwienie vogońskiego biurowca załatwi ci miejsce w czołówkach wiadomości najważniejszych stacji. W BBS, Orbicie, Novej, nawet w Leviathanie, choć to banda partyzantów. Wielkie religikomy uwielbiają mlóćących wokół łobuzów niemal tak samo jak męczenników.

Thor zrobił kilka ćwiczeń przygotowawczych do latania, spróbował rozmasować sobie ten i ów stwardniały mięsień.

- Mam nadzieję, że tym razem uda mi się zrobić porządne przedstawienie, dać widzom nieco dramatyizmu. Być nieco bardziej jak tata. No wiecie... boski. Chyba już się czuję bosko.

Zaphod klepnął go w udo.

- To wspaniale. Sprawa jest prosta: my albo oni, więc może powinieneś powoli zacząć się ruszać.

Thor zamarł w pół ruchu.

- Zacząć się ruszać? To zabrzmiało jak rozkaz, Zaph. Bogowie nie przyjmują rozkazów od śmiertelnych.

Zaphod był zraniony.

- Nigdy nie wydałbym ci rozkazu, o potężny. Do głowy by mi to nie przyszło. Jedynie tobą manipuluję, dla twego dobra.

Uwaga w Przewodniku:

To, że Zaphod Beeblebrox był w stanie kimś manipulować, mówi nam wiele o kruchym poczuciu własnej wartości manipulowanej osoby. Zwłaszcza biorąc pod uwagę, że prezydent Beeblebrox poznał słowo „manipulować” dopiero miesiąc wcześniej w ramach programu rozwoju osobistego „słowo na tydzień”. Najwyraźniej przeczytał jedynie podstawą słowotwórczą.

Thor zagryzł koniec wąsa.

- Czy to...
- Tak, to dobre, wielki chłopaku. Pozytywne i przepełnione szacunkiem.
- Na pewno?
- Stupro-zarko-centowo.
- Doskonale, śmiertelniku. Uwolnię tę planetę od zła.

Zaphod zaboksował w powietrze.

- Słyszałeś, Hillman? To jest odpowiedź. Ktoś powinien go filmować.

Thor wybrał na trzonku młota muz-o-menu i przewinał je, aż doszedł do *Powalmy się młotami* i w sali zadudniły potężne hymnowe akordy.

- *Walmy, ile sił... mamy w młotach... swyych!* - zaryczał Thor na całe gardło, po czym wystartował pionowo w górę i wybił w karbonowych, pochłaniających energię panelach sufitowych dziurę w kształcie gwiazdy.

- Atak! - zawył Zaphod za swoim klientem, ciekaw, czy Thor umie rozróżnić piętnaście procent od dwudziestu. Po chwili zadał sobie pytanie, czy on sam by umiał. Musiałby to zrobić Lewy Mózg.

Hillman Hunter też myślał o pieniądzach.

- Jezusicku, Zaphod. Porozmawiaj ze swoim człowiekiem. Te sakramenckie panele są drogie. Nie może wychodzić drzwiami, idealnie sprawnymi drzwiami, i załatwiać młotowania, nie niszcząc środków trwałych?

Zaphod przekrzywił głowę.

- Daj spokój, Hillman. To bóg. Bogowie robią wszystko z rozmachem. Kiedy ktoś zabierze się do pisania świętej księgi, lepiej to w niej wypadnie.

- To byłby tom, który pozwoliliby przesunąć co nieco... - powiedział z zadumą Hillman.

Zaphod teatralnie objął Irlandczyka.

- Mogę dać ci wyłączne prawa.

Hillman przycisnęła umowę do piersi.

- Już to zrobiłeś, koleżko.

Thor czuł wiatr we włosach i muchy na zębach.

- Wizjer - powiedział i z krawędzi hełmu wysunęło się niewielkie błękitne pole siłowe.

Tego typu rzeczy były istotą bycia bogiem: nieliczenie się z grawitacją, włosy, potężne umięśnione nogi. Same dobre boskie rzeczy. To właśnie mu służyło. Latanie i młócenie młotem (generalnie rzecz biorąc).

Lubię też być kochany, pomyślał, ale nie wypowiedział tego głośno.

Dawno temu bóg mógł sobie siadać okrakiem na czubku góry i wyrzaskiwać, co mu ślina na język przyniosła, a śmiertelni w dole uznawali zniekształcone echa za opartą na wszechwiedzy supermądrość. Jedną z ulubionych historyjek Odyna, którą opowiadał, dotyczyła czasu, kiedy uprowadził żonę śmiertelnemu i do zadanych mu ran na godności dodał obelgę, wydzierając się na nieszczęśnika z charakterystycznym dla siebie grubiaństwem, że może iść się pieprzyć.

Wyobraźcie sobie moje zaskoczenie, mawiał wtedy Odyn świętoszkowatym olimpijskim tonem, jaki uwielbiał przybierać, kiedy podczas mojej następnej wizyty w tym miejscu okazało się, że dokładnie w tym miejscu, gdzie to się stało, stoi świątynia z napisem: BYT NIEWIETRZNY. Kręta jest ścieżka do wiedzy i zadowolenia.

Oczywiście wszyscy wybuchali wtedy rechem - z wyjątkiem Frigg, szczególnie zachwyconej przechwałkami męża o licznych skokach w bok.

Teraz jednak wszędzie znajdowały się urządzenia rejestrujące. Cokolwiek powiedział jakiś bóg, natychmiast było przekazywane słowo w słowo na cały wszechświat. Skończyła się korzyść z wątpliwości, skończyły się bowiem wątpliwości. Jeżeli bóg mówił: „dupa”, wszyscy słyszeli: „dupa”, do tego prawdopodobnie ze skasowanymi dźwiękami z tła. A jeżeli bóg mówił: „Nie wiem”, wszyscy i to słyszeli. Loki, który w weekendy uwielbiał wykradać się z Asgardu na kilka głębszych ze śmiertelnymi, dał sekcji Obojętniaków w opakowaniu prezentowym kosz miążu ceglanego, co miało miejsce po pijackim popołudniu z głośnym narzekaniem na zaburzenia wzroku. Czy też, jak ujął to delikatnie Loki: „Mój główny pręt zbrojeniowy się rozbroił. A tak naprawdę przeżarła go rdza”.

Po tym incydencie ci bogowie, którzy stawiali bardziej na rozum niż na szczęście, zaczęli korzystać z dobrej rady, że będąc we wszechświecie za granicą, mają trzymać buzię na kłódkę i nie przestawać machać młotem, sproszkowana asteroida bowiem mówi więcej, niż są w stanie powiedzieć słowa.

A kiedy będę miażdżył tych Vagonów, myślał Thor, widok będzie taki, że żaden wycwaniony wygaduch nie przekręci go na coś złego.

Potem przyszło mu do głowy coś innego: Oczywiście, o ile nie ma gdzieś kogoś, kto lubi Vagonów.

Zanim zdążył rozważyć konsekwencje tego faktu i jego ewentualnego wpływu na miejsce, które będzie zajmował w rankingu celebrytów, spadła na niego pierwsza chmara rakiet, które z wyglądu bardzo przypominały konie.

„Instancja Wykonawcza”

Konstant Skoszon rozpadał się na kawałki, ale nie tak, że dało się to zauważyć. Na pierwszy rzut oka dyszał i ślinił się tak samo jak reszta załogi.

- Status boga? - spytał Jeltz.

- Co?

- Słucham?

- Co, komendancie?

Powieki Jeltza zatrzepotały, tak samo zrobiły luźne fałdy skóry między nozdrzami.

- Jaki jest status boga?

Skoszon zmusił rozbiegane oczy, aby się uspokoiły i skupiły na odczytach przed nim.

- Wzlatuje, szybko. Nadlatuje na spotkanie z nami, prostetniku.

- Znakomicie. Wreszcie będziemy mieli uzasadnioną okazję wytoczenia SZUTKI.

Generalnie Skoszon lubił dobre skróty, ale dziś wszystko mogło się zaczynać na D jak „desperacja”. Także „dno”, a tym bardziej „dokopać”.

- No, synu! Wiem, że umierasz z ciekawości.

- Chętnie bym się dowiedział! - zawołał radośnie kanonier.

- SZUTKA to skrót od Sublimacyjna Zintegrowana Uintensywniona Torpeda Krusząca i Agregująca.

Skoszon nie sądził, aby określenie „Uintensywniona” w nazwie broni było bardzo zachęcające.

Z otchłani jego rozpaczy wychynęła myśl.

Właśnie zamierzali zabić boga. Boga.

- Prostetniku, komendancie! Nie musimy złożyć werbalnej deklaracji intencyjnej?

- Ziemianie mieli już swoją deklarację. To, że ci maruderzy nie raczyli być na miejscu, aby jej wysłuchać, nie znaczy, że mam marnować cenne vogosekundy, aby składać ją ponownie.

- Ale nieśmiertelny, komendancie. Specjalna dyrektywa dotycząca Wydarzeń Niezwykłych wyraźnie określa, iż przed strzelaniem do nieśmiertelnego powinna zostać podjęta próba nawiązania komunikacji.

Jeltzowi bardzo podobało się to wyzwanie. Kiedy gołowasy rzucały człowiekowi rękawicę pod postacią działań zgodnych z instrukcjami, należało dawać im baty.

Tak mnie będą nazywać, pomyślał i od razu poczuł się lżej. Jeltz Zgodny z Instrukcjami. Doskonale.

- Ale ten bóg jest napastnikiem - oznajmił. - Unieważnia to dyrektywę specjalną.

Skoszon struchlał w środku, ale zmusił się do akceptującego skinienia głową.

- Oczywiście. Doskonała uwaga, prostetniku.

- Doskonałe wyzwanie, konstancie - szlachetnie przyznał Jeltz, po czym dodał przez ramię: - Kanonierze, wykreśl schemat dla SZUTKI.

- Może być ciężko - odparł kanonier. - Nie wiem, z czego ta istota jest zrobiona, ale promienie laserów się ześlizgują.

Jeltz poprawił się na fotelu.

- Nie, nie. Namierzaj Ziemię. Zobaczymy, jak bardzo ten bóg kocha swoich ludzi.

Sprytnie, pomyślał ciężko Skoszon. Bardzo sprytnie.

*

Thor bawił się jak jeszcze nigdy w życiu. Rakiety-konie leciały z łoskotem ku powierzchni planety zbitymi grupkami - z końskimi efektami dźwiękowymi i tak dalej.

Thor głośno zawył, po czym pomyślał: Ja zarkuję, kamery satelitarne, i zamknął paszczę.

Grrrhgggrhhh, pomyślał, czując się nieco wywrotowo.

Zmienił muzykę z *Powalmy się młotami* na klasyczne instrumentalne *Zgromadzenie Vindleswoszenów* i nadał je do każdej sieci w zasięgu Mjöllnira. Thor zawsze lubił *Vindleswoszenów* do sytuacji bitewnych, choć ostatnio efekt utworu został nieco rozcieńczony - po tym jak firma produkująca napoje gazowane użyła go jako tła do reklamy pod hasłem „koleś surfuje na promieniach słonecznych, pijąc torebkę Bipzogrzmota, uwodząc przy tym stadko dziewczuszek”.

Mnóstwo młodszych bogów w obliczu gradu rakiet wołała używać oprogramowania celującego, pozwalała wszystko załatwiać komputerowi, ale Thor lubił prowadzić działalność w sposób tradycyjny.

Nic nie robi większego wrażenia na śmiertelnych od odrobiny mięśni i ścięgien, lubił mawiać Odyn. Łam wszystko, co da się złamać.

Słuchanie przemówek Odyna bywało zwykle tak zabawne jak miecz w podudziu, ale czasami udawał mu się wartościowy postulat.

Łam wszystko, co da się złamać, pomyślał Thor i zamachnął się szeroko Mjöllnirem, odbił w prawo i trafił pierwszą grupę rakiet od dołu.

Hej! Niezłe hologramy!

Konie pędziły z hukiem ku powierzchni Nano, potrząsając łbami, a nawet wzbijając kurz. W środku przezroczystego kamuflażu ledwo dało się dostrzec czerwone oko i stalowy błysk natchmiastowej śmierci w wyniku podziału jądra atomu.

Thor krążył między nimi z rosnącym zapałem, rozgniatał ich systemy naprowadzające gołymi palcami, dokonywał jednego potężnego zerowania za drugim, rozbijał obudowy na kawałeczki. Torpedy pędziły z ogromną prędkością ale dla boskiego Aza mogły być strakami słodkiego grosz-

ku, zwisającymi z nieba na słomianym sznurku. Zygzakował między nimi jak błyskawica, zostawiał za sobą charakterystyczne odgłosy grzmotów, eliminował ostrymi ciosami wolnej dłoni zapalniki. Konie zamierały w bezruchu, migotały, po czym rozpływały się w chmurach pikseli, przypominających kłęb elektronicznych płatków śniegu.

Kiedy w jednej z bojowych głowic rozległ się bulgot detonacji, wsadził ją sobie do brzucha i wchłonał energię nuklearnego wybuchu, nakarmił nią mitochondria, rozrósł się jeszcze bardziej. Z powierzchni wyglądało to, jakby Thor połknął słońce. Cała planetoida zadygotała, a pomiędzy kanciastych zębów boga wystrzeliły promienie, jakie rzuca zachodzące słońce.

Nano

Hillman był pod dużym wrażeniem.

- To jest pierdyczony bóg! Nie ma w nim nic z twojego „martwy, ale rozmarzony”.

Zaphodowi zaczynało krążyć po głowie, że sprzedał Thora nieco zbyt tanio.

- Chyba musimy się zastanowić nad jakimś systemem bonusowym - stwierdził. - No wiesz, Hillers, to wielkie torpedy.

Hillman nawet na niego nie popatrzył.

- Po pierwsze: nie mów do mnie Hillers. Moja Na... babcia mawiała na mnie Hillers, a ty i tyśiąc takich jak ty nie bylibyście godni zanurzyć żołnierza w jej jajku na miękko. A po drugie: zbonusuj mi dupę.

„Instancja Wykonawcza”

Jeltz unosił palec, trzymał załogę w zachwyconym napięciu, hipnotyzował ją.

Mógłbym złamać tacie palec, pomyślał Skoszon z samobójczą desperacją. Potem wsadzić mu coś do ust, może jedną z moich nóg. Jak wydawałby rozkazy?

Tata odgryzłby mi nogę, uświadomił sobie. Potem napisałby rozkaz na ekranie krwią.

Palec zadrżał, nakazując kolektywny drżący wdech.

Wskazał w dół. Rozkaz został wydany.

- Zabić tego boga - powiedział flegmatycznie Jeltz.

Wzniósł się palec Skoszona, wskazując na obraz z dziobowej kamery.

- Wydaje mi się, że to jest Thor, komendancie. Jest pan pewien, że chce...

- Zabić tego boga - powtórzył prostetnik Jeltz, mieląc słowa. Kanonier trzy razy przekreślił koło zapadkowe, po czym wrzasnął w tubę.

- SZUTKA poszła. Bóg wkrótce będzie martwy, komendancie.

Nano

Fordowi Prefectowi udało się włamać do kilku stron sub-etowych z galakt-o-mapami i obserwował wielką eksplozję na ekranie *Autostopem przez Galaktykę* z kilku różnych ujęć.

- Książka daje dziesięć do jednego na korzyść Vogonów - poinformował Artura. - Stawiam kilka tysięcy na Rudobrodego. - Wzruszył ramionami. - Co mi tam. Jeśli wygram, to dużo, jeśli przegram, nie będzie w pobliżu nikogo z was, aby słyszeć, jak jęczę.

- Nie masz przypadkiem bomboodpornego ręcznika?

- Mam. I konwertującą materię poszwę na poduszkę.

Artur się uśmiechnął.

- Sarkazm, przyjacielu. Dobra robota, uczysz się.

Coś w *Przewodniku* Forda kazało mu się oderwać od konwersacji. Chwytał czubkami palców kawałek ekranu i rozciągnął go.

- A to co, na Zarkwona?

Artur zajrzał mu przez ramię.

- Kolejny koń?

- Nie. Ta ślicznotka to nie hologram. Popatrz, jaka ta torpeda jest wielka. Widywałem mniejsze asteroidy.

Artur spróbował zacieśnić poły szlafroka, którego nie miał na sobie.

- Thor ją mimo to połknie, prawda? Jest bogiem. Nie będzie problemu?

- Nie została skierowana w Thora.

- Niech zgadnę.

- Szkoda fatygi.

- Rozumiem. Masz jeszcze tamten uciech-o-blet?

Górne warstwy atmosfery Nano

Mówiąc prawdę, Thor szpanował nieco w półmroku: wplatał w lot piruety, przelatywał swobodnym lotem przez welony obłoków srebrzystych, prezentował obserwującym akcję damom mnóstwo opalonego uda. Dla zmaksymalizowania efektu dramatycznego rozbijał torpedy w rytm *Zgromadzenia Vindleswoszenów*.

To zbyt łatwe, stwierdził. Jeszcze trochę tak dalej, a oglądalność zacznie spadać.

W tym momencie jego nieśmiertelne ucho środkowe wychwyciło inne wycie silnika. Basowy

warkot małego silnika raketowego, pchającego wielki ładunek. Ci Vogoni próbowali przepchnąć coś za jego plecami.

Thor rozprawił się z ostatnią konio-torpedą za pomocą zdawkowego machnięcia młotem, po czym zaczął się rozglądać po ciemniejącym niebie. Jego bog-o-wizjer pozwolił dostrzec błyszczącą krawędź, spadającą beczkowatym łukiem ku znajdującemu się w dole miastu śmiertelnych.

Dranie chcą mi wyrwać czek z pensją.

Aż do tej chwili Thor uważał, że zachowuje się w stosunku do biurokratycznych najeźdźców ze sporą dozą łaskawości. Zgoda, poniszczył im trochę sprzętu, ale nikt nie unosił się w próżni, wciągając głębokie hausty próżni. Kiedy z zimną krwią obstuka tę nową bombę, powinien może posłać Mjöllnira, aby wybił kilka dziur w kadłubie statku Vagonów.

Thor splótł ramiona na piersi i zaczął opadać przez aurorę jonosfery Nano niczym napędzany raketowo kamień, lecący przez atmosferę o dużym współczynniku przyciągania. Choć nie mógł być w dwóch miejscach naraz, Thor był w stanie poruszać się z miejsca na miejsce szybciej niż jakakolwiek inna istota we wszechświecie.

Uwaga w Przewodniku (krótka, aby nie zaburzać płynności akcji):

Thor był piątą co do prędkości przemieszczania się istotą we wszechświecie. Ósmą bez stabilizującego lot Mjöllnira. Numerem jeden był Hermes, który swej boskiej prędkości używał głównie do tego, aby szczypać sutki Aresa i wiać.

Thor czuł, jak tarcie molekuł powietrza zwija mu czubki włosów na brodzie. Osiągał bez dyskusji dziewięćdziesiąt procent prędkości maksymalnej. Miał jeszcze zapas, ale przy pełnej prędkości ruchu nie byłaby w stanie zarejestrować go żadna kamera we wszechświecie.

Nowa torpeda zwijała się pod nim jak w ukropie - potężna gromada topornych cylindrów z jedną niewielką raketką, odpowiedzialną za ciąg. Thor pociągnął nosem, nie dało się jednak rozpoznać, z jakim materiałem wybuchowym ma do czynienia. Zapach przypominał nieco smrodek jego własnych ubrań po pijackiej nocy spędzonej za horyzontem wydarzeń czarnej dziury, ale nie był identyczny.

Co to mogło być?

Nieważne. Nawet jeśli w środku nie było materiału wybuchowego choćby na paznokiec, krater uderzeniowy byłby większy od miasta, a metamorfizm wstrząsu zamieniłby w stan płynny dobry kawał kontynentu. Gdyby ktoś ze śmiertelnych przeżył wybuch, dożyłby jedynie chwili zalania przez lawę.

Thor dotknął stopami kadłuba torpedy i ruszył w kierunku dziobu. Ponieważ do uderzenia pozostały sekundy, nie było pośpiechu - dla boga jego klasy to cała wieczność.

Powiniennem rzucić ten chłam w kosmos czy zepchnąć z kursu i posłać do oceanu? - dumał. Co wyjdzie lepiej na filmie?

Zagryzł koniec węża, przypomniało mu się bowiem coś, co powiedział Zaphod.

Zastanawiam się...

„Instancja Wykonawcza”

- Zdetonować SZUTKĘ - zarządził Jeltz.

- Tak jest, prostetniku - odparł kanonier.

Wybacz nam, szepnął Skoszon do wszechświata. Jesteśmy Vogonami.

Nano

Gigantyczna torpeda była widoczna gołym okiem. Opadała bezlitośnie na Innisfree, wypływając za sobą nierówne kłęбки gazów, jakby nadawała alfabetem Morse'a.

- Kropka, kreska; kropka, kreska, kropka - powiedział Ford Prefect. - Moim zdaniem to znaczy: Artur Dent jest fiutem i kompletnym palantem.

Artur był zbyt zmęczony, aby jego irytacja nabrała mocy.

- To czas na żarty, Ford? Naprawdę?

Wszystko wskazywało na to, że cała populacja Nano zebrała się na placu Johna Wayne'a. Wszystkie kolory skóry i wiary zjednoczyły się - albo siłą czegoś, co można by nazwać ludzką duszą, albo jej bezwiosłowym stanem w strumieniu łajna, w którym tkwili po uszy.

Random podeszła do ojca i ujęła go pod rękę.

- Ta planeta mogłaby mieć przyszłość - powiedziała. - Zamierzałam reprezentować tych ludzi.

Artur popatrzył zmrużonymi oczami na sunącą na nich potężną kolumnę zniszczenia.

- Twoja matka mnie zabije - westchnął, po czym uniósł wzrok, gdy w tłumie rozległo się kolektywne: „Oooooo”.

Nie widzimy czegoś podobnego na co dzień, pomyślał Artur, uciekając się w zdumieniu do truizmów.

Thor szedł wzdłuż gigantycznej rakiety. Od spodniej strony.

Random położyła Arturowi głowę na ramieniu - po raz pierwszy i prawdopodobnie ostatni.

- Jesteśmy uratowani, tato? Ile razy jedna i ta sama grupa ludzi może być ratowana? Wszechświat nie przewidział chyba dla Dentów wielu kolejnych szans.

Ford wcisnął się między nich.

- Przynajmniej jeszcze jedną. O ile wiem, nic nie może zabić boga.

W tym momencie SZUTKA wybuchła. Tak jakby.

Nie była to konwencjonalna eksplozja i jeśli ktoś oczekiwał tradycyjnych TRACH! BŁYSK! ŁUBUDU, preferowanych przez reżyserów filmowych i autorów gier RPG w całym wszechświecie, poczułby się lekko oszukany. Nie było fali uderzeniowej, płomieni, latających resztek - jedynie głośnie THUMMMPPP i wydęcie się we wszystkie strony idealnie sześcianowatej masy zielonego materiału. Materiał potrzaskał i porzucił się przez chwilę, złapał na kilka sekund drobną interferencję kreskówki nadawanej przez lokalną stację satelitarną, po czym podzielił się na szesnaście małych sześcianów.

- Te sześciany są małe - powiedział Ford to, o czym wszyscy pomyśleli. - Znacznie mniejsze od Thora.

Sześciany pękały jeden po drugim w szybkiej sekwencji, a cokolwiek się w nich znajdowało,

opadło na ziemię jako szary popiół. Thor zniknął.

- Gdzieś tu miałem tego uciech-o-bleta... - powiedział Ford, grzebiąc w torbie. - I kilka jajek smoka morskiego. Mogę równie dobrze iść sobie pośpiewać.

*

Coś zamigotało na niebie nad głową Zaphoda.

- Patrz! Widziałeś to?

Hillman nie odpowiedział, postanowił bowiem nie rozmawiać z Zaphodem pierdyczonym Be-blebroxem.

Zaphod popędził przez strefę parkingową centrum miasta.

- Pamiątka! - zawołał przez ramię. - Pamiątka!

Stanął pod opadającym obiektem i podrygiwał, aby zająć jak najkorzystniejszą pozycję.

Mogę? - dumał. To możliwe?

- Kamera! - zawył na wszelki wypadek. - Niech ktoś to kręci.

Oczywiście mogę równie dobrze zginąć.

Gdyby jednak przeżył, ile głosów byłby wart film? Ile subskrypcji na jego stronę sub-etową?

Obiekt nie spadał, jak powinien spadać zwykły obiekt.

Oczywiście, że nie, myślał Zaphod. Ponieważ jest to święty talizman, zrobiony z czegoś boskiego, wykopany tam, skąd w Asgardzie pozyskuje się metal.

Przedmiot falował i wzdymał się, koziołkował i ześlizgiwał się. Zdecydował się na konkretną wielkość, po czym zmienił zdanie.

Zaphod wsadził ręce do kieszeni, aby nie korciło go ich użyć. Sztuczka zdecydowanie wymagała nieużywania rąk.

Obiekt opadał nierównym lotem, Zaphod tańczył wokół w pozbawionych obcasów butach, podążając za zmianami kierunku, i wreszcie, w nieprawdopodobny sposób, prosto na głowie wylądował mu hełm Thora i natychmiast się skurczył, aby dokładnie pasować.

- Tak jest! - zawył Zaphod i walnął pięścią powietrze. - Widziałeś to, Hillers? Widziałeś cholerstwo? Do niedawna miałem dwie głowy, więc wymagało to jeszcze więcej sprawności, niżbyś sądził... że może wymagać. Powiedz mi, że nie jestem szczególny! Powiedz!

Hillman złamał przysięgę i zawołał przez parking:

- Mówiłem już, żebyś nie mówił na mnie Hillers, kupo kupy. A tak w szczegółach, to w bogu, którego mi sprzedałeś, nie było nic szczególnego.

Zaphod nagle spowaźniał.

- Nie chcę słyszeć złego słowa na Thora. Zginął, aby cię ocalić.

Hillman wskazał kciukiem na unoszący się nad miastem biurążownik.

- W takim razie nieszczególnie się spisał, co nie?

„Instancja Wykonawcza”

Pachy prostetnika Jeltza powilgotniały z zachwytu. Nie znał zbyt dobrze tej emocji i przez chwilę zastanawiał się, czy statek jakimś sposobem nie wślizgnął się z powrotem w hiperprze-strzeń. Jednak nie - świat za oknem był stabilny i gotów do zniszczenia.

- Wypuścić jeszcze kilka torped! - zawołał nie bardzo wiadomo do kogo.

Wydawało się, że Ziemianie nie mają artylerii, a po tym, jak ich bóg został odesłany do życia po życiu, byli bezbronni. Jeltz żuł tłustą dolną wargę. Jeżeli bogowie żyli w niebie, to dokąd trafiali po śmierci? Byli egoistycznymi narcyzami? A może wierzyli w Nadbogów i po śmierci przenosili się na wyższy poziom nieba?

Stworzyłem całkiem nowy rodzaj zagadki, pomyślał, a myśl bardzo mu się spodobała.

- Co sądzisz o swoim ojcu, Skoszon? - spytał unoszącego się przy jego łokciu podwładnego.

Przed odpowiedzią Skoszon się zawahał, a na jego wargach nie zagościł śliniący się połysk zwycięstwa. Prostetnik mógł pomyśleć, że konstant nie upaja się konfliktem, choć był on teraz całkowicie uzasadniony prawnie. Jeltz był pewien, że bogowie złożą skargę, wątpił jednak, czy wykroczy ona poza fazę listu - na pewno nie, jeżeli Rząd Galaktyczny posiadał w swoim arsenale SZUTKĘ. Tak się zastanawiając, czyż nie był już czas, aby bogowie zaczęli płacić trochę podatków? Azowie od zarania dziejów zajmowali nieruchomość pierwszej klasy i nigdy nie dali do państwowej szkatuły więcej niż zużytą baterię.

- No i co, Skoszon? Co ty na to?

Skoszon był wstrząśnięty do zżelowanego szpiku kości. Właśnie zabili boga. Usunęli ze wszechświata nieśmiertelnego. Z pewnością będzie to miało konsekwencje. Kosmicznym rurociągiem musiała już biec podobnej siły, ale przeciwna reakcja. A nawet gdyby miało nie być konsekwencji, było to bardzo smutne.

Skoszon ujął w dłonie podwójny podbródek, aby nie opadła mu głowa.

- Oniemiałem, prostetniku. Zrobił to pan, choć nikt inny by tego nie zrobił.

- Hmm... - zagulgotał Jeltz, kończąc szczególnie zadowolonym „m” - - Zrobiłem, nie? W Megabrantis szeptano, że nie stać mnie na to. Wyobraź sobie: Jeltz Zgodny z Instrukcjami, nie stać go na to!

- Zgodny z Instrukcjami?

- Mój nowy przydomek. Podoba ci się?

- A co się stało ze Skończonym Draniem?

Jeltz mięciusięko położył synowi dłoń na ramieniu.

- Mam nadzieję, że któregoś dnia ty staniesz się Skończonym Draniem.

Skoszon zwiesił głowę.

- Już nim jestem. Wszyscy nimi jesteśmy.

Jeltz poczuł, jak kurczą mu się gruczoły pachowe.

- Dobrze powiedziane, synu. Dobrze powiedziane.

Ten niemal czuły moment przerwał im kanonier. No, może nie czuły, ale przynajmniej nie przepełniony ukrytą agresją.

- Komendancie. Ziemianie. Dryfujemy.

Jeltz nagle poczuł niechęć do zajmowania się Ziemianami. Wydało mu się to pozbawione wyrazu, ale ponieważ interesy były krwią, to... Obrócił lewe oko w kierunku ekranu i stwierdził, że „Instancja Wykonawcza” faktycznie schodzi z pozycji geostacjonarnej nad głównym miastem planetoidy.

- Nie żeby miało to znaczenie - mruknął. - Moje torpedy mogą atakować zza rogów.

Machnął dłonią na kanoniera.

- Eksterminuj ich. Opór jest bezcelowy i tak dalej.

- Tak jest, komendancie! - odpowiedział kanonier z niestosowną satysfakcją. Bycie Vagonem oznaczało wykonywanie zadania, a nie podniecanie się (przesadne) anihilacją kolejnego gatunku, więc pozostali członkowie załogi mogliby napiętnować kogoś takiego jako świra i przysiąc sobie, że prędzej odeślą córki do innego układu słonecznego, niż pozwolą im umówić się z nim na randkę. - Sześć niewielkich ładunków powinno wystarczyć, aby ich odparować. Jeśli mógłbym coś zasugerować, w naszej gestii mogłaby leżeć też konfiskata planety, którą ci ludzie kupili. Jestem pewien, że biuro do spraw środków pochodzących z przestępstwa byłoby bardzo zainteresowane...

Jeltz był pod wrażeniem.

- O tak, kanonierze, to elegancka sugestia. Dlaczego nie przysuniesz fotela bliżej do mnie? Chyba z chęcią potarłbym cię po głowie.

- Moja tłusta głowa byłaby zaszczycona, komendancie. Proszę mi tylko wybaczyć na moment, to wysadzę tych ludzi.

- I właśnie tak, żółtodziobie... - powiedział Jeltz do syna, Skoszon jednak nie słuchał, wpadł bowiem na pomysł, jak najlepiej się znokautować i za pomocą tej bezczelności odparować sobie płyn mózgowy.

Skoszon odpiął sobie z szyi naczynie do zbierania skapującej śliny, przebiegł przez mostek i walnął kanoniera w czoło w chwili, gdy ten miał wcisnąć przycisk odpalania torped. Metalowy pojemnik przebił się przez warstwę sadła i zetknął z czaszką. Kanonier zazezował, wyprostował oczy, po czym je zamknął.

Znowu cała załoga zamarła, aby zobaczyć, jaki będzie los Skoszona. Akty nieuzasadnionej agresji nie były niczym niezwykłym na statkach Vagonów, ale agresywna ingerencja w wykonanie rozkazu prostetnika zdecydowanie należała do wyjątków.

Jeltz odchylił się do tyłu z chlupotem płynu w brzuchu i sykiem fotela.

- Konstancie Skoszon! To dziś drugi raz. Jestem zaiiiiintrygowany.

Przeciągnięcie ostatniego słowa oznaczało, że lepiej by było, gdyby wyjaśnienie Skoszona należało do jednego z najlepszych w historii tłumaczenia się ze zwariowanych działań. Lepsze nawet od wyjaśnienia Jammoisa Totalle'a, ekstralaskiego hemagoga, który niechcący sygnetem odmódził przez sen żonę i twierdził potem, iż kazały mu to zrobić kości przodków, a posunął się tak daleko, że sprowadził z innej planety kości, sztucznie je postarzył i zakopał pod korzeniami swego drzewka wango-pango.

Skóra Skoszona pociła się od wewnątrz, co było rzadkim dla Vogona stanem, nasilanym przez strach albo roztocza, powodujące wysysanie przez pory naskórkowe wilgoci z otoczenia i napełnianie nią keratynocytów warstwy podstawnej.

- Zdawało mi się, że nad tym panujesz, Skoszon - powiedział Jeltz z oczywistym rozczarowaniem, gdy jego syn zaczął się nadymać. - Skorzystaj z homeopatii, mawiała twoja matka, i, niech Zarkwon ma mnie w opiece, skorzystałem z jej rady. Następnym razem pójdziesz prosto do dołu z pijawkami, chłopcze. A na razie, jak już powiedziałem: jestem zaiiiiintrygowany.

- To nie w porządku! - wyrzucił z siebie Skoszon.

- W jakim sensie? Etycznym? Sensie dobra i zła? Nie mów mi tylko, że wraz ze zwinnymi nóżkami wykształciła ci się moralność. - Jeltz z przerażeniem wciągnął powietrze. - Nie mów mi tylko, synu, że wy-e-wo-lu-o-wa-łeś.

Skoszon zaciskał pięści i trwał w bezruchu.

- Po pierwsze, prostetniku, musiał się zepsuć filtr powietrza, ponieważ zapełniają mi się pory. Po drugie, miałem na myśli, że to nie w porządku, bo niezgodne z instrukcją.

Korale na szyi Jeltza zafalowały.

- Niezgodne z instrukcją twierdzisz? Niegodne z... - Odwrócił się w kierunku oficera komunikacyjnego. - Zarejestruj to, dobrze? Może będę musiał wyjaśnić egzekucję jego matce.

Skoszon postanowił przeć do przodu z wyjaśnieniem, jedynym innym wyjściem było położenie się na podłodze i łkanie nad stanem jego rasy.

- Według waszego rozkazu celem była eliminacja Ziemi.

- Mam nadzieję, że twoje argumenty się poprawią jak na razie bowiem...

- Ci ludzie kupili planetę od Magrateńczyków.

- O! Widzę, do czego dążysz, tyle że Rząd Galaktyczny nie rządzi Magrateńczykami. Mają oni swoją własną małą republiką która, jeśli o mnie chodzi, daje okropny przykład koloniom.

- Ma pan rację prostetniku. Oczywiście, ale Magrateńczycy prowadzą z rządem zarejestrowane interesy. Mają umowę handlową.

- Tak sędzę.

Skoszon podbiegł do najbliższej konsoly, nie myśląc nawet o tym, aby kamuflować żwawość.

- Patrz! - zawołał, szybko wyświetlając wniosek z biura planowania nowego świata w Megabrantis. - Status planetarny Nano został zaakceptowany przez centralny ośrodek planowania.

- Vogona niełatwo zirytować papierami, Ręcza Stopo, ale muszę przyznać, że jeżeli wkrótce nie dojdiesz do sedna... - powiedział kostycznie Jeltz.

- Sedno na horyzoncie, prostetniku. Centralne biuro planowania zaakceptowało Nano jako płacącego podatki członka unii planetarnej, rządzonej przez Rząd Galaktyczny.

- Mówisz jeszcze raz to samo w inny sposób? Po to posyłałem cię na uniwersytet? - Jeltz wziął mikrofon i ryknął: - Ciągłe jeszcze nie wyeliminowaliśmy Ziemiaków!

- Proszę popatrzeć tutaj, komendancie. Ostatni paragraf. Megabrantis, w ramach rutynowego działania, zaakceptowało *in blanco* wnioski o obywatelstwo właścicieli planety. - Skoszon czuł, że obrzęk słabnie, a z porów, cicho pogwizdując, zaczynają mu wylatywać strużki pary. Mówił teraz o prawie, a żaden Vogon nie mógł się spierać z literą prawa. - Z prawnego punktu widzenia Ziemiaków już nie są Ziemiakami: są Nanitami. Nanojaninami albo Nanokami? Nie jestem pewien, wiem jednak na pewno, że jeżeli ich odparujesz, odparujesz sporą grupę podatników z górnej półki, którzy jeszcze nigdy nie rozliczyli się z datku. Wyobraźmy sobie Jeltza Zgodnego z Instrukcjami smażącego obywateli z nieuregulowaną sytuacją podatkową. Czy Hoops Wszędobylski, pański stary kumpel z Panteonu *Kroompsta*, byłby zachwycony, gdyby o tym usłyszał?

W tym momencie zapasy *kroompsta* Skoszona do końca się wyczerpały i zatoczył się do tyłu, wpadając na monitory. Podwyższona temperatura jego ciała sprawiła, że po szeregu termoaktywnych gazowych ekranów pomknął tęczowy łuk.

- No, no, no! - powiedział Jeltz, a nie rzucał takich słów na wiatr. Wytarabanił się z fotela i pozwolił pociągnąć się brzuchatemu tułowiowi do przodu. - Konstancie Skoszon. Zniweczyłeś tę misję. - Prostetnik stał nad niezwykłym synem wielki jak góra, rzucając na jego oliwkową, bladą twarz bezkształtny cień.

- Zrobiłem, co należało zrobić.

Jeltz wyciągnął rękę, choć chodziło nie tyle o przydatność złapania za nią, ile o gest, mógł bowiem równie dobrze próbować trzymać się gumowej rękawicy, wypełnionej smarowidłem do chleba, zrobionym na bazie mleka.

- Dostrzegłeś prawdę słowa, a dzięki słowu następuje porządek. Wstań, mój synu. Chodź i stań u mego łokcia.

Skoszon, który spodziewał się zostać rozmazany na najbliższym detalu kadłuba, stał na drżących nogach. Odkaszał pół litra płynu oraz dwa z symbiotycznych bezwłosych lotufretów, które wszyscy Vogoni trzymają w woreczkach żółciowych do rozbijania tworzących się kamieni.

- O nie... biedni Skok i Bok...

Jeltz bokiem stopy odsunął przemoczone kulki.

- Zostaw te pasożyty. Mamy ich miliony w oczyszczalniach ścieków.

Prostetnik wypuścił z sufitu bloczek z elastyczną gumą - jeden z wielu, umieszczony tam na okoliczność nagłego przewrócenia się któregoś z Vogonów. W Skoszonie ciągle jeszcze tkwiła

iskra energii, potrzebna do udawania, że jej potrzebuje, i podciągnął się na gumie, aż stanął na baczność.

- Hoops rzuciłby się na to z pazurami - ujawnił synowi Jeltz. - Wcale by mnie nie zaskoczyło, gdyby się okazało, że monitoruje z Megabrantis komunikację i czeka, aż zrobię z misji świńskie ucho. Nie ma nic gorszego od skasowania...

- Nie tych ludzi co trzeba? - zaproponował Skoszon.

Jeltz zakaszłał mokro z drobnego dowcipu podwładnego.

- Nie tych co trzeba podatników, konstancie. Musisz uważać z tym rodzajem humoru, pozostali członkowie załogi nie mają tyle poziomów co my. Twój sarkazm mógłby zostać uznany za sympatyzowanie.

- Och - odparł Skoszon niezobowiązującą sylabą, przydatną w sytuacjach, gdy nie ma się zielonego pojęcia, co się czuje.

Jeltz plasnął na fotel.

- Stary Hoops spodziewał się, że wrócę do bazy z wielką torbą obciachu. Zamiast tego, dzięki tobie, wracamy jako bohaterowie, ze skalpem boga za pasami i podniesionymi głowami wobec urzędu skarbowego.

- Wszyscy wygrywają... z wyjątkiem Thora.

- Co ci mówiłem, synu?

- Żadnych... ee... dowcipów.

- Właśnie. A teraz wciśnij się w fotel obok mnie i porozkoszujmy się fałszywą nadzieją hiperprzestrzeni.

Skoszonowi kręciło się w głowie i drżały mu ręce. Stanął w obronie Ziemi i jakimś sposobem zrobiło się z tego coś dobrego.

Dzięki prawni, uzmysłowi sobie. Prawo nas uratowało. Od teraz muszę używać słowa.

Stał wstrząśnięty do głębi, z uniesionymi rękami, podczas gdy dwa mopy nacierały go tłuszczem, aby wpasował się w fotel.

Jeltz oddawał się chwili półczułości, na którą pozwalał sobie dwa razy w roku. Popatrzcie na mojego syna, czekającego z szeroko otwartymi oczami, aby po raz pierwszy usiąść na kolanie komendanta. Sądziłem, że lepiej będzie go odesłać, ale po tym, co dziś zrobił, pozostanie u mego łokcia. Będzie jednym z wielkich. Niszczycielem światów. Mąciocielem w głowach tych, którzy składają petycje. Któregoś dnia mój syn stanie się prawdziwym Skończonym Draniem.

Nano

Stereotypowy opis rasy czujących istot w sytuacji zagrożenia zniszczeniem przez unoszący się obcy statek kosmiczny zazwyczaj obejmuje spanikowane bieganie we wszystkie możliwe kierunki, przyciskanie do piersi najcenniejszych domowych dóbr i ustawianie z samochodów korków na mostach. (Z wyjątkiem filmu Hrarf-Hrarfów *Dzynganie na czerwone październice*, gdzie tuż przed całkowitą anihilacją wszyscy byli dość zachwyceni, ich życie bowiem biegnie w odwrotnym kierunku do strumienia czasu, co z punktu widzenia Hrarf-Hrarfów oznaczało, że właśnie przeżyli bez szwanku rundę dzyngania).

Na Nano nie było biegania i bardzo mało domowych dóbr. Mieszkańcy stali na placu Johna Wayne'a, bujając się lekko na boki niczym trzcina, i z otwartymi ustami czekali biernie na śmierć, która ma nadejść z góry.

Wszyscy z wyjątkiem Aseeda Prefluxca, który siedział na ławce i obżerał się serkiem wiejskim.

- Jakże się myliłem - chlpał w pięści. - Tak strasznie się myliłem. Aby zrozumieć Sera, adept wiary musi jeść ser.

Hillman Hunter stał w cieniu pomnika i próbował nie ściągać na siebie zbyt wielkiej uwagi - na wypadek gdyby ludzie postanowili obwinić go za wszystkie swe niedole. Niektóre rzeczy spływają zwykle w dół z bocza, ale wina zawsze wypływa na wierzch, a Hillman wołał nie cierpieć bólu aż do chwili nadejścia Wielkiego Bólu, co -jak gorączkowo miał nadzieję - powinno być stosunkowo bezbolesne.

- Do zobaczenia wkrótce, Nano - szepnął.

Jeszcze nie teraz, odszepnął głos Nano w jego głowie.

Podczas gdy Hillman kontemplował tajemniczy i być może proroczy fantomowy głos, w policzek trafiła go gruda serka wiejskiego, zatykając mu ucho i skapując pod kołnierz.

- Dobra robota z tym bogiem, frajerze! - zawołał Aseed Preflux przez plac.

To może się skończyć paskudnie, pomyślał Hillman.

Wyciągnięto kilka par nożyc do strzyżenia owiec i Hillman był pewien, że dostrzeże nóż do rozcinania listów.

Dlaczego zawsze musi się znaleźć ktoś z nożem?

Na szczęście biurażownik Vagonów postanowił oderwać się od realnej przestrzeni z uroczym pokazem błękitnej hipersilnikowej pirotechniki. W jednej chwili wisiał im nad głowami, a w następnej *wziuuuu bamp spok* zniknął, pozostawiając za sobą jedynie krótko żyjącą chmurę plazmy wydechowej.

- Aaaa... - zajęczał tłum.

Zaphod z wrodzonym wyczuciem teatralności wybrał tę akurat chwilę na wspięcie się na cokół pomnika.

- Vogoni zostali rozgromieni! - zawołał ze zgięcia ramienia Johna Wayne'a. - Thor was uratował.

- Thor nas uratował? - spytał zdziwiony Hillman. - Który Thor? Ten nieżywy, który zniknął?

Zaphod spiorunował go spojrzeniem, w którym mieściło się pytanie, jak bardzo naprawdę jest przygłupi - a kiedy Z. Beeblebrox uważa, że ktoś jest głupi, to implikuje to, iż osoba ta jest głupsza niż Zaphod, który naprawdę jest bardzo głupi, więc prawdopodobnie zbyt głupia, aby odpowiednio zinterpretować spojrzenie, a nawet, gdyby jej się udało, poczuć się obrażona.

Hillman nie był głupi, jedynie chwilowo zdebiłały i chwila minęła.

- Oczywiście! - zawył. - Thor nas uratował.

Zaphod wybałuszył oczy.

- Tak jest. Na czas. Thor wszystkich nas uratował.

Hillman wspiął się do niego na cokół.

- A kiedy będzie trzeba, powróci.

- Teraz pojąłeś - stwierdził Zaphod.

- Pan Thor będzie się komunikował ze swoimi ludźmi tylko przeze mnie!

- Mogę to zagwarantować. To, co mówi Hillers, jest tym, czego chce, abyśmy robili, Ten Który Nas Uratował.

- A jeśli nie? - spytał Aseed.

Zaphod zmarszczył czoło i wydał policzki, jakby sam pomysł był absurdem.

- Wtedy Thor będzie bardzo nieszczęśliwy. A razem z nim jego młot.

Hillman popatrzył zmrużonymi oczami na tłum, niezbyt ośmielając się wierzyć, że ktokolwiek przełknie ten byle jak wydumany stek religiobełkotu, z zaskoczeniem stwierdził jednak, że nie sunie na niego ani jedno ostrze ogrodowe lub domowe. Aseed trzymał rękę w wiaderku z serem, ale nawet on zamarł i czekał w napięciu.

Nie zabiją mnie, stwierdził Hillman.

-Dzięki Bogu - rzekł głośno.

- Nie Bogu - poprawił go Zaphod. - Dzięki Thorowi.

Hillman uśmiechnął się i przeszedł do wielkiego finiszu.

- Nano wezwało do poświęcenia - powiedział, balansując na cokole. - Nano potrzebowało tego pierdykanego męczennika...

Słowo „pierdykany” zostało skasowane na nagraniu, ponieważ po męczennictwie Hillmana wszystko, co powiedział w trakcie pierwszego życia, stało się nieskończenie ważniejsze i przepełnione mądrością.

Następną rzeczą, jaką powiedział Hillman, było: „Hurrkkkaarrrkshhhhhhh”, choć „shhhhhhh”

na końcu mogło być odgłosem uchodzących gazów, w tej właśnie bowiem chwili z nieba spadł czubek jednej z raket, której najwyraźniej nie udało się rozbić Thorowi, trzasnął elegancko pomnik Seana Boksera prosto w mózgownię, poluzował śruby biegnące wokół pasa dwuczęściowego pomnika i spowodował, że lewa rękawica wystrzeliła wirującą trajektorią i wykonała niszczycielski sierpowy, który dosłownie przeciął Hillmana na pół.

- O w dupę... - stęknął Hillman, kończąc ostatnie wystąpienie słowne w bieżącym życiorysie słowami: - Idę, Nano.

Historycy skasowali pierwszą część kwestii, zachowali jednak drugą, która tak wiele razy była błędnie interpretowana, że piętnaście tysięcy lat później pewien student trzeciego roku błędnie ją wypowiedział i przypadkowo odkrył prawidłowe znaczenie.

ROZDZIAŁ 12

Szczęśliwe zakończenie nie istnieje. Każda kultura ma maksymę, która to podkreśla, podczas gdy nigdzie we wszechświecie nie ma jednego nagrobka z napisem: KOCHAŁ WSZYSTKO W SWOIM ŻYCIU, ZWŁASZCZA UMIERANIE NA KOŃCU. Rollit Klet, niezależny dentrasski reżyser filmowy/szef kuchni, pisze w swoim wspomnieniu: *Ryba albo film - pierwsze cięcie jest moje!*: „To, co uważasz za happy end, jest tak naprawdę krótkim wychnieniem przed powrotem seryjnego zabójcy, podobno zabitego, który zarzyna każdego poza dziewczyną z największymi cyckami - ginie ona pierwsza w *sequelu* za rok”. Albo, jak zwięźle ujął Zem ze Squomshellous Zeta: „materac nigdy nie pozostaje długo suchy”. Najbardziej jednak nadużywany cytat na temat zakończeń, szczęśliwych lub innych, pochodzi z ust starego człowieka, który mieszkał na palu na Hawajusie i powiedział, że: „Nie ma czegoś takiego jak kres ani początek - wszystko jest środkiem”. Cytat kończy się nieco bardziej dosadną nutą: „Środki to syf. Nienawidzę środków. Wszystkie środki tęsknią za przeszłością i czekają, aż wydarzy się coś ciekawego. Jeśli o mnie chodzi, środki mogą iść się walić”. Goście od pamfletów zazwyczaj drukują tylko pierwsze zdanie, najchętniej z wizerunkiem ropuchy waleniowej albo paroma zachodami słońca w tle.

*

Ledwie minął tydzień od przerwanoego ataku Vagonów, ludzie zapomnieli, jakie mają szczęście, że żyją, i powrócili do niepokojenia się wielkimi codziennymi sprawami - czy nie dałoby się czegoś zrobić z napływającą późnym popołudniem znanad oceanu mgłą, dlaczego nikt nie pomyślał o przywiezieniu z Ziemi więcej masła orzechowego, co to za ostry zapach czuć pod żłobkiem i że może byłoby miło mieć większą planetę, sztuczna grawitacja bowiem zaczyna źle wpływać na zdrowie niektórych najstarszych stażem mieszkańców.

Hillman Hunter siedział za biurkiem i czytał złożone w ciągu dnia skargi, zastanawiając się, po co w ogóle wpadł na pomysł zatrudnienia boga. Większość tych śmieciarzy zasługiwała na potraktowanie ogniem i siarką albo młotem - co by tam było pod ręką. Hillman dostrzegał oczywiście realne korzyści z posiadania nieobecnego boga, który komunikował się jedynie przez swojego przedstawiciela, ale czy Thor musiał tak szybko dokonać męczeńskiego żywota? Nie mógł przed złożeniem ostatecznej ofiary popracować trochę w służbie cywilnej?

Nie miało to oczywiście znaczyć, że męczeństwo nie ma plusów. Odkąd Hillman powrócił do życia z objęć śmierci na oddziale medycznym „Serca ze Złota”, wszyscy z większą ochotą byli gotowi zaakceptować fakt, iż reprezentuje Thora na Nano. Nowe nogi bardzo w tym pomagały.

Hillman robił, co mógł, aby okazywać pobożność i mądrość, ale każda minuta każdego pierdzonego dnia zajmowania się biurokracją doprowadzała go do szewskiej pasji. Na dodatek bliźnowata tkanka w pasie swędziała gorzej niż dupa bawoła.

Jestem Hillman Hunter, Nano. Jestem postacią w stylu Krzysztofa Kolumba, zakładam kolonię i te pe. Nie mogę stemplować formularzy i prostować domowych kłótni.

Zabuczał jego interkom i na biurku wyrósł hologram sekretarki.

- Tak, Marilyn? O co chodzi?

- Przyszedł pański pierwszy interesant.

Hillman niemal poczuł ulgę. Spieranie się z żywymi ludźmi było odrobinę lepsze niż wkurzanie się na arkusze papieru.

Tyle tych głupot, że można by je wozić taczkami, pomyślał.

- W porządku, Nano. Przysyłaj ich.

Marilyn zmarszczyła czoło.

- Przepraszam, Hillmanie. Jak mnie pan nazwał?

Ja pierdyczę, przeszło mu szybko przez głowę.

- Za Nano! - powiedział szybko. - To nowy oficjalny slogan. Jak ci się podoba?

- Dobry. No, świetny - odparła Marilyn tonem tak znudzonym, że powinno zaskakiwać, iż dośłyszała jego przejęzyczenie.

Drugi tekst, jaki sprzedałem ludziom w ciągu tygodnia. Najpierw numer z Thorem, teraz to.

Do gabinetu weszli Artur Dent z córką i oczywiście Random od razu usiadła, przez nikogo nieproszona.

Ta dziewczyna nawet siedzi w nadąsany sposób, pomyślał Hillman. Ale jest łąbska.

- Usiądź, Arturze, z łaski swojej.

- Dziękuję.

- Za Nano! - warknął Hillman, uznając, że najlepiej będzie od czasu do czasu wplątać „nowy slogan” w rozmowę.

Z bzdetami tak już jest. mawiała jego Nano. Trzeba gromadzić ich coraz więcej.

- Przepraszam? - spytał Artur.

- To nasz... ee... nowy slogan. Do mobilizacji ludzi i tak dalej. Za Nano!

- Kiedy byś go używał?

- Do końca nic wiem. W żniwa, przy przepływaniu oceanu, tego typu. Przy heroicznym czynach. Co sądzisz?

- Krótki - szczerze odparł Artur.

- Lepszym chyba określeniem jest: „zgrabny”. Nie masz pojęcia, ile zebrań podkomisji zajęło opracowanie go. Za rok o tej samej porze będzie w programie nauczania.

Random oparła łokcie o biurko.

- Słyszałam, że „Nano” mówiłeś na swoją babcie.

Hillman był wstrząśnięty.

- Naprawdę? Nie przypominam sobie. Choć chyba masz rację. Jezusicku, nie zastanawiałem się nad tym od lat!

- Nie przejmuj się.

- Słucham?

- Za każdym razem, kiedy masz kłopoty, na wierzch wyłazi z ciebie Paddy Krasnal i jego pretensjonalny akcent *Oirish*.

- To absurdalne - zbulgotał Hillman, przechodząc na następny poziom wstrząsu. - Jestem Irlandczykiem.

- Ale nie tak bardzo. Prawda jest taka, że nazwałeś całą planetę imieniem babci.

- Głównym powodem była wielkość planety - odparł Hillman i uznał, że czas przejść do ofensywy. - A poza tym, gdyby nawet? Głównie ja za nią zapłaciłem, a widziałaś listę wniosków o nazwę? - Zdjął z korkowej planszy kartkę papieru - Dębowe Wzgórze. Ciocia JoJo, najwspanialsza ciotka na świecie. Frank. Planeta Frank! Daj spokój, dzieciaku. W porównaniu z tym Nano wcale nie jest takie złe.

Random zacisnęła szczękę.

- Może, ale nazywanie planet i wymyślanie mobilizujących sloganów wygląda mi na ziarno dyktatorstwa.

- Thor jest tu bogiem. Nie ja.

Artur włączył się, zanim Random zdążyła zaatakować.

- Jak nowe nogi?

Hillman zatętnił pod stołem kopytami.

- Stawy są nieco inne, ale powoli się przyzwyczajam. Powinniście widzieć, jak wchodzę wieczorem po schodach. Jak pierdyczony pocisk.

Random zachichotała.

- Thor zawsze preferował kozy, więc ludzie najwyraźniej uważają to za znak.

Hillman chwycił w tłuste paluchy ołówek.

- Znak czego? Znak, że Zaphod Beeblebrox jest cymbałem?

- Przynajmniej znowu żyjesz - odparł Artur. - I znów jesteś na... ee... kopytach. Zaphod obiecał humanoidalne nogi, kiedy będziesz się czuł na siłach na operację. Znalazł całkiem ładne w głębi lodówki.

- Byłeś martwy tylko przez dwadzieścia minut - powiedziała słodko Random. - Więc prawdopodobnie straciłeś tylko połowę IQ. Nikt nie zauważy.

Artur uznał, że roztropnie będzie ponownie zmienić temat.

- Jakiś postęp w sprawie naszych wniosków o obywatelstwo?

- Niewielki - odparł Hillman, zadowolony, że rozmowa zesła z tematu jego kozich nóg. Prawda była taka, że nie chciał drugiej operacji. Bycie półkozą miało swoje plusy. Niektóre grupy w populacji otaczały go czcią, kiedy przechodził, zdarzało się wręcz, że ludzie mu się kłaniali.

Kilka spośród młodszych, bardziej postępowych dam zadało mu wręcz szereg osobistych pytań dotyczących jego nowego obojętności. Bardzo osobistych.

- Tylko kilka pytań - powiedział, ukrywając nagły pias za ekranem monitora. - Artur Filip Dent... bla, bla, bla... świetnie, świetnie, świetnie... jaki mam wpisać zawód?

Artur pomasaował podbródek.

- Trochę czasu minęło... dawno temu pracowałem w radio. I sandwicze. Umiem robić niezłe sandwicze.

- Rozumiem. Media i catering. Przydatne umiejętności w rozwijającym się świecie. Nie przewiduję żadnych problemów z twoim wnioskiem.

- A z moim? - spytała Random, choć zabrzmiało to nie jak pytanie, a jak groźba.

Hillman opadł na oparcie fotela.

- To zależy od ciebie. Jesteś tu po to, aby podżęgać Tyromancerów?

- Tyromancerzy się rozpadli - odparła Random, szczerząc zęby jak mający zaatakować gryzoń.
- Krowy dostały się na ich teren, a Aseed odkrył jogurt. Wygląda na to, że używają teraz ciast. Uprawiają krytomancję.

- Więc nie staniesz po stronie ich nowej sprawy?

- Mam wyższe cele.

- Naprawdę? Znaleźć miłego chłopaka, ustatkować się?

- Chcę zostać prezydentem.

Gdyby Hillman coś jadł, zakrztusiłby się.

- Prezydentem? Nano?

- Galaktyki. Już to kiedyś robiłam.

- To długoterminowa sprawa - wtrącił Artur. - Najpierw musi iść do szkoły.

- Mam osiem magisteriów i dwa doktoraty! - zaprotestowała jego córka.

- Wirtualnych - spokojnie odparł Artur. - Nie sądzę, aby to się liczyło.

- Oczywiście, że się liczą, tato. Nie bądź takim neandertalczykiem.

- Nie ja ustalam zasady.

- Co za truizm! Jesteś jak sterta truizmowych cegieł, poukładanych jedna na drugiej, aby utworzyć człowieka.

- Doskonała metafora, skarbie. Może magisterium ze sztuki?

W trakcie tej wymiany Hillman surfował w sub-ecie.

- Mam coś, co mogłoby cię zainteresować, Random.

Random przybrała minę typu: „Prędzej w piekle nastąpi chłodny dzień, nim czymś mnie zainte-

resujesz” i frontowo zaatakowała nią Hillmana.

- Wątpię.

Hillman odpowiedział rozpromienioną miną typu: „Naprawdę?”, po czym wydał wargi, starając się bardziej niż ruda dziewczyna na wiejskiej zabawie.

Artur pękł pierwszy.

- Co?

- Nic. Random ma rację. Nie zainteresuje to jej.

- Daj spokój, Hillman. Bądź dorosły.

Hillman odwrócił monitor.

- Tutaj. Uniwersytet Cruxwan, jeśli zdasz egzamin wstępny, orzeka o wirtualnych stopniach naukowych. Wydobywają zawartość pamięci za pomocą urządzenia, które wygląda jak robot ośmiornica.

- To całkiem interesujące - przyznała Random, obserwując ekran. - Oferują program satelitarny.

- Mógłbym w twoim imieniu złożyć wniosek - powiedział Hillman.

Random natychmiast rozpoznała ten ton - miała z nim do czynienia przez lata negocjacji.

- W zamian za co?

- Za odrobinę wsparcia. Będą z tobą szczerzy. Jestem ważną osobą i nie mogę marnować czasu na drobiazgi. Głupoty piętzą się tu jak góra. Wykroczenia przeciwko przepisom BHP, szukający mieszkań ludzie z uBidu, formularze podatkowe z Megabrantis. Twój ojciec wspomniał o twoim doświadczeniu z polityki i...

- I chcesz mieć asystentkę?

- Od razu trafiasz w sedno. A kto by się do tego lepiej nadawał od ciebie?

- Ty na pewno nie. Co bym z tego miała?

- Doświadczenie w realnym świecie. Przyjemne mieszkanie w wiosce i na początek pensję trzeciej grupy.

- Piątej - odparowała Random dla zasady.

- Piąta załatwiona - szybko powiedział Hillman i wyciągnął rękę.

- Zachowaj dłoń dla siebie. Uściśniemy sobie graby po podpisaniu umów.

Hillman odsunął krzesło.

- Widzę, że będzie z ciebie beczka śmiechu. W porządku, mała. Bądź tu jutro punkt ósma, mnie spodziewaj się gdzieś około wpół do jedenastej. Możesz przygotować herbatę.

Artur poczuł unoszącego się nad jednym jego ramieniem ducha ulgi, a nad drugim zwałone ciężko widmo złego przeczucia, popijające piwko i drapiące się po tyłku.

Myśl pozytywnie, spróbował się przekonać. To może się udać.

- Zrobię ci lunch - powiedziała Random. - Mogą być sandwicze?

Może się nie pozabijają.

Hillman sięgnął pod biurko i podrapał się po szczecinie na nogach.

- Aha, i będę potrzebował specjalnego szamponu do nowych kończyn. Będziesz mi też mogła pomóc przy piłowaniu kopyt.

Artur zamienił ostatnią myśl na: Może się nie pozabijają przynajmniej przez miesiąc, potem jednak dostrzegł płonący w oczach Random ogień i uznał, że jest zbyt optymistyczny o dwa tygodnie.

*

Zaphod Beeblebrox przez kilka przepełnionych zabawą tygodni robił z siebie całkowite utra-
pienie, potem postanowił wymknąć się w nocy do nieprawdopodobieństwa. Wolałby ukryć odej-
ście w chmurze konfetti na paradzie, zorganizowanej na jego cześć, nie do końca wyjaśniona była
jednak sprawa złota, które pobrał Hillmanowi z sejfu jako płatność za poświęcenie Thora. Do-
chodziła do tego grupka pań, którym coś obiecał. Rzeczy takie jak nieśmiertelna miłość, podróż
do gwiazd, swój numer PIN.

Byłem tu niecały miesiąc, pomyślał, wbiegając po schodkach do „Serca ze Złota”. Wyobraźcie
sobie szkody, jakich mógłbym dokonać przez rok.

Zaphod Beeblebrox. Sprawca najlepszych eksplozji od Wielkiego Wybuchu. Wrucajny gość.

Ford Prefect wiedział, jak bardzo Zaphod Beeblebrox lubi dobrą paradę, na pożegnanie kuzyna
przyniósł więc paczkę ryżu.

- Żegnaj, prezydencie! - zawołał, rzucając w powietrze nad głową Zaphoda garść ryżu. - Zało-
żę się, że szereg pań będzie za tobą tęsknić.

Mięśnie twarzy Zaphoda wykonały skomplikowany manewr, tworząc minę gdzieś pomiędzy
królewską a zbolałą.

- Dzięki za odprowadzenie, kuzynie, ale próbuję wymknąć się niepostrzeżenie.

- Wyniknąć się? Słowo tygodnia?

- Tak jest. Robię dość zamieszania, więc możesz sobie oszczędzić machanie tą torebką
i wrzeszczenie na mnie.

Ford wzruszył ramionami.

- Hej, jesteś Zaphodem Beeblebroxem! Wielkim B. Ludzie wrzeszczą na twój widok. Na two-
im miejscu nigdy nie włączyłbym do planu ucieczki cichego odejścia.

Zaphod kucnął dla odpoczynku.

- Na Zarkwona! Masz rację. Szkoda, że nikt mi tego nie powiedział przed Brontitall, uniknął-
bym wszystkich jaj na twarzy.

Uwaga w Przewodniku:

W trakcie poprzedniej przygody, która jeszcze nie miała miejsca, Zaphod podróżował w czasie na planetę Brontitall, gdzie jako dominujący gatunek ponownie pojawili się ptasi ludzie (będą ponownie pojawieni. Proszę odpowiednio zmienić wszystkie następne czasowniki. Konjugacja, zwłaszcza w czasie przyszłym dokonanym, powoduje pewne usztywnianie Przewodnika. Po tym jak Zaphod Beeblebrox skutecznie skurczył i ukradł ich święty pomnik Artura Denta (nie pytajcie), podjął próbę wymknięcia się przez kosmodrom, idąc skrótem przez wylęgarnię. Niestety, była ona chroniona przez czujniki laserowe, detektory ruchu, szereg niezadowolonych duchów niewyklutych jaj i samonaprowadzający się system broni minimac. Upadając, Zaphod zranił sobie włosy i zlikwidował całe pokolenie ptasich ludzi podbródkiem. W trakcie procesu świeżo ondulowany Zaphod nie tylko zażądał immunitetu dyplomatycznego, ale także pozwał powietrzny rząd o przesadne środki ochrony.

- Nie pamiętam niczego związanego z Brontitall - stwierdził Ford. - Nie mów tylko, że mie-wasz przygody beze mnie.

- Nie. Nigdy nie robię niczego bez ciebie. Jesteś jedyną osobą, której ufam. Jedyną, którą mogę we wszystko wprowadzić.

- Co masz w torbie?

- Pamiątki. Mieszankę ciasta, której nie chcieli Krytomancerzy. Mikrofalówkę.

- Wrucajne. Możesz sobie zrobić gorące ciasto.

- Taki jest plan.

Zaphod wniósł poszczekującą metalicznie torbę do wnętrza statku.

- Na pewno nie chcesz się przejechać? - spytał kuzyna.

- Dzięki, Zaph. Mam tu robotę. Ta planeta nie ma jeszcze ani jednego wpisu w *Autostopem*. Posiedzę kilka tygodni i coś skrobnę. Pobadam okolicę, poopalam się.

- Brzmi nieźle - odparł tęsknie Zaphod.

- Gdzie się zatrzymasz?

Zaphod przybrał pompatyczną pozę - zgiął jedną nogę, przedramię położył na kolanie. Gdzieś we wnętrzu zamigotała organiczna żarówka, skapała jego szczękę szkarłatnym światłem.

- Nie takie jest moje przeznaczenie, Fordzie - powiedział, a nagły podmuch wiatru rozwiał mu włosy z tyłu głowy. - Wszechświat ma dla Zaphoda Beeblebroxa różne plany. Gdziekolwiek znajdują się samotne kobiety, tam będę ja. Gdziekolwiek wydawane będą przyjęcia koktajlowe dla celebrytów, tam mnie szukaj. Gdziekolwiek przydarzy się coś naprawdę złego ludziom, no wiesz, depresyjne wydarzenia tam, gdzie mieszkają, Zaphod Quantus Beeblebrox zrobi wszystko, aby zdążyć na czas.

- Quantus?

- Próbuję to imię. Co sądzisz?

- Dobrze. Bardzo heroiczne. Lepsze od ostatniego.
- Wiem - powiedział smętnie Zaphod. - Pruntipends. Ktoś powinien był mi powiedzieć. Zaczęli znane im od dzieciństwa pożegnanie. Pięść, pięść, noga, łokieć, piątka, łokieć...
- W porządku. Do zobaczyska, Ford - powiedział Zaphod i wszedł w pole siłowe drzwi.
- Jeszcze jedno - powiedział Ford. - Artur jest na planecie, więc prędzej czy później, wiesz...
- Ktoś spróbuje ją wysadzić. Nie przejmuj się, będę trzymał rękę na pulsie. Pierwszy znak obecności Vagonów i przylatuję.

- Liczę na ciebie.

„Serce ze Złota” uniosło się cicho nad beton kosmodromu.

- Nigdy nie zaszkodzi mieć plan awaryjny - stwierdził Zaphod i zniknął.

*

Lewy Mózg był nieco zbyt długo wpięty w plazmę, więc trochę się nabuzował.

- No proszę bardzo, któż zaszczyca nas swą obecnością. Wielki prezydent Galaktyki.

Zaphod wsadził worek złota do zamykanej na klucz szafki.

- Cześć, LM. Niezła robota z efektami świetlnymi i wiatrowymi.

Lewy Mózg stuknął Zaphoda szklanym pojemnikiem.

- Nie mam ochoty robić za twojego specja od efektów specjalnych. Wybrano cię na prezydenta Galaktyki. Nie masz godności?

Zaphod pomasaował ciemie.

- Nie rozumiem pytania.

Poszedł na mostek, przechodząc po drodze przez szereg autodrzwi, które zostały zaprogramowane na rozpoznawanie go i wypowiedanie pochwalnych uwag, gdy je mijał.

- Ooo, wyglądasz super... - westchnęły drzwi serwisowe numer jeden.

- Ładna fryzura, Zaphodzie - zapiała główna winda, która zawsze była nieco bezczelna.

- Sprawiasz, że mamy ochotę być organiczne... - powiedziały drzwi na mostek na śródkręciu.

Zaraz po wparadowaniu do centrali dowodzenia, czując się przynajmniej piętnaście samoocenometrów lepiej, Zaphod zauważył wirującą na głównym ekranie ikonę młota.

- Kiedy to przyszło? - Zaphod spytał Lewy Mózg, który unosił się w powietrzu tuż przy jego lewym barku, podejrzanie blisko miejsca, gdzie kiedyś był zamocowany.

- Przed kilkoma godzinami. Czuję chyba lęk separacyjny - dodał Lewy Mózg. - Tęsknię za karciem.

- Żaden problem. - Zaphod usadowił się na fotelu kapitana. - Możemy zatknąć cię, gdzie tylko zechcesz.

- Dziękuję, nie - odparł Lewy Mózg. - Mogę wziąć kilka tabletek przeciwlękowych albo kupić sobie hol-o-tułów. Wszystko będzie lepsze od budzenia się obok takiego nieokrzesanego chama jak ty.

Zaphod kilka razy powtórzył w myśli słowo „nieokrzesanego”, po czym natychmiast je zapomniał.

- Odtwórz wiadomość.

- Z muzyką w tle?

- Nie. Tylko to, co przyszło, i nie chcę, aby ktokolwiek podsłuchiwał.

- Doskonale. Wysunąć osłony.

Młot na ekranie zawirował i zamienił się w okno wideo. Ekran wypełniły porośnięte włosami kontury Thora.

- Cześć, Zaph! Halo, halo! To... założę się, że nawet nie jest... w porządku, widzę. Jesteśmy na linii. - Bóg zebrał się w sobie. - Cześć, Zaphod, mówi twój klient, Thor Bóg Piorunów. Nie zginąłem, jak prawdopodobnie się domyśliłeś.

- Domyśliłem się - zapiał z zachwytu Zaphod i zaboksował powietrze.

Uwaga w Przewodniku:

Cała koncepcja męczeństwa funkcjonowała dla bogów dobrze od późnego poranka historii, kiedy Rajmon Niewyraźny, bóg rezydujący na Tarponie VII, uniknął podejmowania decyzji, które dziecko należy do kogo, za pomocą przedawkowania orgazmu. Rajmon stwierdził, że ludzie lubią go znacznie bardziej po śmierci i mają skłonność do podejmowania decyzji, opierając się na tym, co zasłyszają z trzeciej ręki, a co mógł wyszeptać głuchemu trędowatemu w jaskini. Czeki Rajmona w dalszym ciągu szły prosto na jego konto i wystarczyło, aby raz na kilka tysięcy lat pojawił się dziewicy jako niewyraźny cień i powiedział coś zagmatwanego w stylu: „Drobne kamyczki uratują nas wszystkich, nie przestań pragnąć żwiru”. Metoda Rajmona stała się tak skutecznym modelem, że wkrótce bogowie w całej Galaktyce zaczęli fingować swoją śmierć i przeklinali Rajmona za objęcie przedawkowania orgazmu prawami autorskimi.

Thor przysunął się do kamery.

- To dzięki uwadze o męczeństwie. Jak powiedziałeś. Szedłem wzdłuż tej wielkiej bomby, myśląc, że jeśli pozwolę, aby mnie zabiła, ludzie pomyślą, iż zginąłem dla nich. Poleciałem więc na sto procent prędkości do vogońskiego statku i kiedy usłyszałem iskrzenie detonatora, schowałem się na minutę w jego przewodach. Pomyślałem, że puknę statek Mjöllnirem, aby wyglądało na to, że trafił go odłamek, ale wtedy odlecieli w hiperprzestrzeń. Pojęcia nie mam dlaczego. Nie interesuje mnie to zresztą. W każdym razie jest, jak jest. Jestem z powrotem w Asgardzie, gotów na zmartwychwstanie, gdybyś mnie potrzebował. Obawiam się też, że naciągnąłem sobie pachwinę, więc daj mi trochę czasu na powrót do formy. Daj znak, czy numer z męczennictwem wypalił. No i potrzebuję trochę złota, bo jestem tak wygolony, że to mało śmieszne. I jeszcze jedno: rozej-

rzyj się za moim hełmem. Musiałem zgubić go w trakcie wybuchu, a to mój ulubiony. Muszę kończyć, mam drugą rozmowę. - Thor zadudnił pięścią w pierś, po czym zamachał do kamery. - Niezła robota, menedżerze.

Zaphod zamknął okno wideo.

- Ło! Nie wierzę, że pomysł z męczennictwem wypalił. Zdumiewające też, że przy całej jego subtelności Thor wszystko załapał. Moje *strategemata* są generalnie tak wyszukane, że większość ludzi, nim je załapie, musi wysłuchać ich kilka razy.

Lewy Mózg wisiał w powietrzu przed oczami Zaphoda.

- Nie pamiętasz, abyś cokolwiek powiedział o męczennikach, prawda?

- Nie, ale to nie znaczy, że nic nie powiedziałem.

- Więc sądziłeś, że twój jedyny klient nie żyje?

- Oczywiście, że nie. Nie można zabić boga. Nawet gość, który wjechał w białą dziurę, ciągle żyje, choć jego kawałki zostały rozrzucone po kilku wymiarach.

- A co ze specjalną bombą?

Zaphod prychnął.

- SZUTKĄ? A kto, twoim zdaniem, sprzedał ją Vogonom? Jestem zaskoczony, że nie spadła z nieba. Zamocowałem w niej silnik od kosiarki.

Lewy Mózg przez chwilę milczał - słychać było jedynie ciche kliknięcia robotów-pająków, zbierających rosę skraplającą się wewnątrz jego szklanej kuli.

- Znowu tylko my dwaj. Na co miałbyś ochotę?

Zaphod skrzyżował założone na konsolę nogi.

- Pojęcia nie mam. Wideo z męczeństwa Thora potrzebuje chwili, aby się wirusowo rozprze-strzenić, więc czas jest po naszej stronie. Co robiliśmy przed tym wszystkim?

- Zbieraliśmy fundusze na twoją kampanię wyborczą.

Zaphod był zaskoczony.

- Naprawdę? Ale przecież już jestem prezydentem!

- Byłeś - poprawił go Lewy Mózg tonem nauczyciela z zerówki, wyjaśniającego po raz enty, dlaczego nie należy pić wody do farb. - Aż do momentu, gdy zostałeś skazany za przestępstwo pierwszego stopnia.

- Ale wszyscy w dalszym ciągu mówią mi „prezydencie”.

- Wszyscy byli prezydenci są tytułowani „panie prezydencie”.

- Czy to nie jest mylące?

- Jeśli ma się pół resztki mózgu, góra przez pół sekundy.

Zaphod zmarszczył czoło.

- Musisz ciągle mnożyć połówki?

Lewy Mózg lekko się zagotował w kuli.

- Zapomnij o połówkach. Byłeś prezydentem, teraz nim nie jesteś. To wystarczająco jasne?

- Więc kto jest właściwie prezydentem?

- Obecnie?

- Tak. W tej chwili.

Lewy Mózg nie potrzebował żadnych konsultacji, każdy bowiem wiedział, kto jest urzędującym prezydentem Galaktyki, z wyjątkiem wszystkich stałych pasażerów statku, w którym się znajdowali i - prawdopodobnie, choć nie na pewno - Forda Prefecta.

- Spinale Trunco z plemienia Bezgłowych Jeźdźców z Jaglan Beta.

Zaphod wyprostował się jak dźgnięty, co nie było łatwe, mając stopy na konsoli. Gdy wściekle zatupał, kikuty jego obcasów skrzesały iskry.

- Co? Trunco? Ale on nie ma głów. Ani jednej. Zero czegokolwiek na karku.

- Już to przerabialiśmy, Zaphodzie.

- Nie w ciągu ostatnich dwudziestu minut. A wiesz, jaką mam pamięć.

- Jestem zaskoczony, że zachowałeś pamięć.

- No właśnie. Tak jest, LM, wprowadź współrzędne mojego elektoratu.

- Nie masz elektoratu, a gdybyś miał, byłaby nim cała Galaktyka.

- W takim razie zabierz mnie do centrum Galaktyki. Jeśli Zaphod Beeblebrox wrócił, ludzie powinni o tym wiedzieć. Muszę zwymiotować w klubie, nawiązać romanse w toalecie. Prawdopodobnie zrobić reality show o nieruchomościach.

- Moim zdaniem podstawowym zadaniem jest redukcja oskarżenia o przestępstwo pierwszego stopnia na drugiego stopnia. Dzięki temu będziesz mógł wystartować do wyścigu o fotel.

- Dobre myślenie, LM. Kogo opłacamy?

Tym razem Lewy Mózg musiał skonsultować się z bazą danych.

- Wystarczająco nieprawdopodobne: Spinale Trunco.

- Stary Trunco... pamiętałem coś w związku z nim...

- Zero głów.

- Ani jednej. Łobuz.

Lewy Mózg potrzebował kilku sekund na włamanie się do bazy danych prezydenckiej ochrony ze szczegółowym terminarzem zajęć prezydenta.

- Trunco wypoczywa właśnie w swoich stadninach na Jaglan Beta.

- No to lecimy na Jaglan Beta.

Lewy Mózg zmarszczył czoło i wpisał współrzędne do napędu nieprawdopodobieństwa.

- Pamiętaj, że Trunco cię nienawidzi, Zaphod? Będziesz potrzebował czegoś bardziej kuszącego od worka złota, z którym cię zeskanowałem.

Zaphod uniósł oba kciuki i bezcielesny mózg potrzebował chwili, aby uświadomić sobie, że na jednym z nich coś jest. Małeńki hełm z rogami.

- Może mam coś do potargowania się - stwierdził Zaphod.

Kosmos

Aby skontaktować się z Zaphodem, Thor usiadł na asteroidzie i w chwili gdy przełączył na drugą rozmowę, siedział na jej powierzchni w niewielkiej kieszonce tlenu. Nie potrzebował powietrza do oddychania, ale tlen pomagał powstrzymać ataki migreny, poza tym znacznie ułatwiał rozmowę przez telefon, nie trzeba było bowiem sięgać do magicznej studni, aby uczynić głos słyszalnym w kosmosie.

- Bóg Piorunów przy aparacie-powiedział do trzonka Mjöllnira. - Mów.

Na obuchu młota pojawiła się mała złota główka.

- Cześć, dziewczynko z piorunami, co słychać?

- Gońcu... miło cię widzieć. Właściwie to sporo się dzieje. Mam trzódkę. Prawdziwych wiernych. Jest w tej grupie może jeden wojownik, ale w końcu to jakiś początek.

Figura szachowa zaciągnęła się papierosem.

- To świetnie, Thorze, a dzwonię z kolejnymi dobrymi wieściami.

- Naprawdę? O co chodzi?

- O twoje wideo. Jest numerem jeden, miało kilka miliardów wyświetleń. Pierwszej klasy subetowa sensacja.

Nastrój Thora poleciał w przepaść.

- Kiedy dadzą sobie z tym spokój? Ubieram się w gorset i wszechświat nie chce tego po wsze czasy zapomnieć.

- Nie o to wideo chodzi. Mówię o nowym, pokazującym, jak robisz rozwałkę zielonemu gościowi, który wszystkich obraził. Najwyraźniej masa ludzi jest zachwycona widokiem, jak dostaje to, na co zasłużył.

- Jestem numerem jeden? Naprawdę? To fantastyczne.

- Jasne. Tak poza tym to naprawdę przesympatyczne młotkowanie, z twoim ciałem na pierwszym planie, jak mówiłem. Znowu jesteś na szczycie, przyjacielu.

Thor szeroko się uśmiechnął.

- To wspaniale. Zadzwoń do mamy i taty. Zadzwoń do wszystkich. Wielka feta dziś wieczór w moim panteonie. Chcą miodu pitnego, świń, wieprzowiny i dziewic.

- A co z kałamarnicami?

- Żadnych kałamarnic. Ale wszystko inne, co uda ci się ściągnąć. I zadbaj o to, aby walkirie dostały zaproszenie.

Goniec zaboksował w powietrze.

- Grom powrócił!

- Tak jest - potwierdził Thor. - Grom powrócił.

Rozłączył się, wstał, odwrócił się i z nadmiaru energii huknął w asteroidę.

Hej, powiedział duch Fenrira. To był mój ząb.

„Instancja Wykonawcza”

Konstant Skoszon leżał na koi i wpatrywał się w swoją twarz w lustreczku z zestawu Barbie.

- Dobrą rzecz zrobiłeś - przekonywał się raz za razem, choć modyfikował nieco strukturę zdania, aby oszukiwać podświadomość, że za każdym słyszy coś nowego.

- Zrobiłeś dobrą rzecz. Odpowiednią.

Potem:

- To, co zrobiłeś. Dobra sprawa. Odpowiednia rzecz.

Twarz w lusterku, obramowana różowym plastikiem, była przyjazna, acz zaniepokojona. Uratował Ziemię, fakt, ale na liście gatunków zagrożonych było wiele innych, a sztuczka z „płacącymi podatki obywatelami” zadziała tylko wtedy, gdy będzie prawnie uzasadniona - co po tym, jak prostetnik Jeltz ją poznał, nie będzie częste.

To będzie pierwsza rzecz, jaką odtej chwili trzeba będzie sprawdzać. Kim są istoty, które mamy skasować?

Znajdziesz jakiś sposób - powiedziała twarz w lusterku, twarz, która bez pojemnika do zbierania ściekającej śliny wyglądała niemal łagodnie.

Obecnie Skoszon nigdy nie wychodził z kabiny bez pojemnika. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, był łagodny wygląd, co mogło zostać uznane za objaw ewolucji. Po nazwaniu go na mostku Rączą Stopą dodał do garderoby urządzenie zgniatające palce stóp. Nadmierna dziarskość na vogońskim mostku nikomu nie mogła wyjść na dobre.

- Któregoś dnia zatańczymy - powiedział do swego odbicia.

- Któregoś dnia zaśpiewamy - odparła twarz w lusterku. - To była dobra rzecz, jaką zrobiłeś. Dobra i uzasadniona.

Z głośnika nad łóżkiem Skoszona ryknął głos ojca.

- Konstant! Mam na linii jakąś radę planetarną albo coś w tym stylu, która twierdzi, że z powodu ich systemu lat przestępnych udzieliliśmy niewystarczającej informacji o obligatoryjnym zniszczeniu. Chcę, żebyś rzucił na to okiem.

- Już idę, tato - odparł Skoszon, schował lusterko i założył zgniatacz palców na stopę. - Już idę.

- Oto mój mały Skończony Drań - powiedział Jeltz i rozłączył się.

Jeszcze nie, pomyślał Skoszon, kuśtykając do drzwi. Jeszcze wcale nie.

Nano

Artur Dent zaczynał rozumieć dręczące córkę poczucie izolacji.

- Teraz rozumiem, o czym mówiłaś - powiedział jej któregoś dnia przed pracą. - Nie przynależymy w pełni do żadnego miejsca. Naszą planetą była Ziemia, ale zniknęła. Choć nazywaliśmy ją domem, od dziesięcioleci nim nie była. Oboje żyliśmy w oddaleniu od jej powierzchni. Ja na mojej wyspie, ty na Megabrantis. Jesteśmy kosmicznymi nomadami, byłaby to świetna nazwa zespołu rockowego, międzygwiazdowymi włóczęgami, nieposiadającymi poza sobą nikogo, do kogo można by przyłgnąć w wieczności przesiedlenia.

- Jakie dasz mi dziś sandwicze, tato? - odparła Random. - Pamiętaj, że próbuję być wegetarianką, a wołowina nie jest produktem wegetariańskim.

- Ta wołowina wkradła się do sandwicza sama - odparł słabo Artur i stwierdził, że Random nie jest tak bezlitośnie nieszczęśliwa jak kiedyś. Może codzienna walka w biurze Hillmana Huntera wystarczała jako ściśle określony cel jej gniewu, a Artur powinien być wdzięczny za stosunkowo przyjemną nastolatkę, jaką była przez większość poranków przy śniadaniowym stole i nie próbować wciągać jej w kipiel swej zranionej duszy. - Sałatkę z kapusty?

Random pocałowała go w policzek.

- Super. Byle chleb był bez skórki.

- Oczywiście. A co, jesteśmy barbarzyńcami? Jak mógłbym nazywać się Sandwiczmanem?

I tak dalej, i tym podobne. Zanim Artur skończył protestować i wymieniać swe referencje w zakresie robienia sandwiczów, Random zdążyła włożyć lunch do pożyczonej od Forda torby i wyjść do pracy.

Przez kilka tygodni Artur trwał w roli domowego taty, ale potem zaczął szukać pretekstu, aby wybrać się na jakąś wycieczkę.

- Tylko my dwaj - namawiał Forda. - Jak w dawnych czasach, tyle że bez wybuchających planet i ludzi, których wtedy znaliśmy.

- Nie mogę, stary - odparł Ford, próbując robić wrażenie rozżalonego, co nie było łatwe z po-

krywającą mu twarz maską z błota wulkanicznego. Dodatkowo przeszkadzały dwie rozkoszne masażystki, szarpiące mu ścięgna podkolanowe. - Na tej małej planecie jest nieskończenie wiele salonów odnowy biologicznej, a muszę sprawdzić wszystkie. Jestem to winien krążącym po wszechświecie autostopowiczom.

Artur popatrzył na cennik.

- Nie masz obowiązku przeżyć za trzydzieści altariańskich dolarów dziennie?

- Giełda altariańska ma niezłą fluktuację - odparł Ford, lekko czerwieniejąc pod błotem. - Jednego dnia można za trzydzieści ich dolarów kupić domek na przedmieściach z dwoma garażami dla dzieci i trzema koma cztery żonami, a następnego człowiek może być szczęśliwy, jeśli wystarczy mu na tubkę pijawek przeciwkacowych. Dla bezpieczeństwa zajmuję się równocześnie turystyką nisko-i wysokobudżetową.

I tak Artur został zmuszony do samotnej eksploracji.

Samotnej. To było najbardziej przerażające. Artur Dent był samotnikiem, osamotnionym i pozostawionym samemu sobie. Na wypożyczeniu z innego wymiaru. Marny byle kto bez nikogo, kogo jego los by zmartwił.

Wszystko brzmiało nieco pesymistycznie i egocentrycznie, nawet dla kogoś, kto ostatnio dostał paczkę zaadresowaną: Egocentryczny Pesymista, Nano. Tak więc Artur postanowił ubrać podróż w piórka rodzicielskiego obowiązku.

- Jadę na Cruxwan, sprawdzić dla ciebie uniwersytet - powiedział Random. Aby się nie spierała, postanowił odbić jej argumenty atakiem wyprzedzającym. - Wiem, co zamierzasz powiedzieć, ale jakim byłbym ojcem, gdybym puścił córkę samą na drugi koniec wszechświata, nie sprawdzając sensu takiego działania? Za kilka dni twoja matka i Wowbagger wrócą z podróży, do mojego powrotu zostanie z tobą Ford. To tylko kilkanaście skoków, więc nie powinno zająć więcej niż tydzień. Góra dwa. Poza tym wirtualnie masz już sto lat, więc kilka tygodni beze mnie nie powinno cię niepokoić. Zostawię ci wszystkie numery kontaktowe i zapas mrożonych sandwiczów, więc wszystko powinno być jak należy. Jakieś pytania?

Random chwilę się zastanowiła.

- Z czym są sandwicze?

*

I tak Artur siedział w cudownym, owijającym całe ciało żelowym fotelu w klasie biznesowej hiperprzestrzennego liniowca, który z zewnątrz niepokojąco przypominał męskie narządy płciowe, ale w środku był całkiem przyjemny - o ile człowiekowi udało się pozbyć myśli o dwóch hiperprzestrzennych rakietach pomocniczych i rurze pasażerskiej. Artur kupił miejsce za punkty z konta, które otworzył w okresie prelamuellańskim.

Okresie fenchurchańskim.

Podjąłeś dobrą decyzję, przekonywał się. Zamiast snuć się po domu z kąta w kąt i wtrącać w karierę Random, robisz coś pozytywnego. Teraz możesz się przynajmniej powtrącać w jej edukację.

Artur dał się rozebrać do lotogola, naoliwić i wsunąć w fotel. Żelowe siedzisko owinęło się wokół niego i wybrał w menu dotykowym *Autostopem przez Galaktykę*. Kazał ikonce potrzeć się wzdłuż linku do Cruxwan. Były trzy tysiące stron.

Wystarczy, abym miał co robić przez całą podróż.

Kiedy wszyscy pasażerowie znaleźli się na pokładzie, pneumatyczne drzwi zamknęły się z sykem i Artur z ulgą stwierdził, że jest w szeregu foteli sam. Nie uważał się za snoba w zakresie latania, ale czasami naoliwiony pasażer w lotogolu ma ochotę wstać z fotela nieobserwowany.

Wystartowali i Artur zaczął obserwować oddalające się w przestrzeni Nano na fotelowym ekranie statk-o-kamery. Wkrótce mgławica zamieniła się w szal z kosmicznej gazy, zarzucony na sieć gwiazd.

Szal z kosmicznej gazy, pomyślał Artur. Gdyby Ford umiał tak pisać, mógłby zarobić trochę porządnych pieniędzy.

W rogu poduszki pojawiła się niebieska ikonka silnika i Artur mocno pociągnął przez siedłomkę.

Hiperprzestrzeń. Tęskniłem za tobą.

Skok był gładszy, niż pamiętał.

To pewnie dzięki nowym fotelom.

Wrażenie przypominało miękkie zderzenie z zaspą śniegu, które tak lubił w dzieciństwie - ale bez szoku termicznego. Było ciepło i zapraszająco. Na obrzeżu dobrego nastroju Artur poczuł ryś straty. Hiperprzestrzeń też mogła odbierać to i owo - zwłaszcza jeśli pochodziło się ze strefy pluralowej.

Artur Dent odprężył się i obserwował zwijający się wokół niego wszechświat. Za kokonem fotela pływały asteroidy, kosmiczne stwory i twarze miliona innych podróżnych. *Autostopem* przypisywał każdej postaci małą, kodowaną kolorystycznie etykietę, zanim jednak Artur zdążył przeczytać jedno słowo, podróżnicy znikali i zastępowali ich nowi.

Po przypominającym senne marzenie pierwszym skoku statek wyleciał z hiperprzestrzeni, podskakując na boku niczym mknący po powierzchni jeziora kamień. Na kilka sekund zapaliły się lampki foteli, zaraz jednak zgasły.

Chyba pójdę do toalety. Przed następnym skokiem.

Fotel z pewnością mógł utylizować produkty powstające w wyniku utylizacji pokarmu pasażera, Artur uważał jednak, że jest kilka rzeczy, których nie należy robić publicznie do gloryfikowanej plastikowej torby.

Wypuścił z fotela nieco ciśnienia i odrobinę zamroczony uniósł tułów, po czym stwierdził z lekkim zaskoczeniem, że miejsce obok jest zajęte. Przybysz paplał do niego z poufałością, jakby już się kiedyś spotkali. Wzrok Artura jeszcze nie zdążył się wyklarować, poznał jednak głos - także pochYLENIE głowy i wetknięty za ucho lok włosów.

Fenchurch?

Artur przetarł oczy z hiperdrzemki i popatrzył ponownie. Miał przed sobą Fenchurch, która paplała podniecona, jakby nigdy się nie rozstali.

To niemożliwe. Śnię.

Nie śnił. Fenchurch powróciła. Taka sama jak poprzednio - poza błękitnym przebarwieniem na granicy włosów i skośną kostną krawędzią pośrodku czoła.

Niemal taka sama. Może dwa wymiary niżej. Jej Artur odszedł i tak samo moja Fenchurch.

Fenchurch skończyła opowiadać i roześmiała się, brzęcząc charakterystycznie, po czym wciągnęła powietrze w sposób, który zawsze kojarzył się Arturowi z odkurzaczem mamy.

Jeśli ją znam, jeszcze nie skończyła mówić, pomyślał Artur, cały czas wrywając się z deprymującej amnezji. Będzie jeszcze kilka opowieści.

Nie mylił się. Fenchurch postukała go palcem w przedramię, wsadziła sobie lok włosów za ucho i otworzyła usta.

- I jeszcze jedno... - powiedziała.

Jakie jeszcze jedno? - miał ochotę spytać Artur. Co było przedtem? Opowiedz o wszystkim po kolei.

Chciał powiedzieć to tej nowej, a mimo to znajomej Fenchurch, kiedy jednak uniósł dłonie, aby ująć jej twarz, stwierdził, że ma przezroczyste palce.

Co? O nie. Nie.

Zebrało mu się na wymioty, przez kończyny przepłynął mu kolczasty kłęb elektryczności i otulił mózg mgłą.

Strefa pluralowa. Ludzie ze strefy pluralowej nigdy nie powinni podróżować w hiperprze-strzeni. Mogą trafić nie wiadomo dokąd.

Fenchurch wyciągnęła ku niemu rękę. Jej piękne usta ułożyły się, by wypowiedzieć jego imię, ale jej postać zaczęła się oddalać, przyjmując kształt wielokolorowego elastycznego tunelu.

Ona się nie oddala, pojął Artur. To ja. To ja się oddalam.

Galaktyka zawirowała wokół niego i choć nagi, niechroniony przed zimnem i promieniowaniem, nie umierał ani nie cierpiał, jedynie dymił, podczas gdy anomalia hiperprze-strzeni oddalała go od jego życia. W końcu rozmiar wszystkiego i objętość perspektywy stały się tak przerażające, iż Artur zamknął oczy, co nie miało najmniejszego znaczenia, jako że powieki miał przezroczyste, spróbował się więc skupić na jedynym miejscu, w którym poznał prawdziwy spokój. Pomknął mentalnie w dół, wyczarowywał każdy bambus, z którego zbudowany był jego dom, i każdy biały kamień, o który na jego kawałku plaży łamał się ocean. Nie myślał o przemykających mgławicach ani czerwonych gwiazdach wypluwających w kosmos jezory ognia. Tak bardzo nie myślał o tych rzeczach, że wkrótce był w stanie myśleć wyłącznie o nich.

Po czasie, którego nie dałoby się zmierzyć nawet za pomocą najlepszego zegarka elektronicznego, Artur stwierdził, że znowu jest w stanie stałym. Wyteżył słuch i usłyszał łamiące się fale, wystawił język i poczuł sól.

Czy to możliwe?

Artur Dent otworzył oczy i stwierdził, że siedzi na plaży bardzo podobnej do tej z wirtualnego życia. Istniały pewne różnice w krzywiznie brzegu, ale tak nieznaczne, że można je było pominąć. Za linią krzewów stała nawet mała chata.

Czy to możliwe? Czy to prawdopodobne - bez względu na to, co to znaczy, o ile cokolwiek znaczy?

Zmrużył oczy i popatrzył na przedwieczne słońce. Nic nie był w stanie poradzić na fakt, że na odległym horyzoncie widzi kanciasty żółty kontur.

Co? Na pewno nie.

To niemożliwe! - dodałby Artur, ale od chwili gdy spotkał Zaphoda Beeblebroxa, zwrot stracił prawo do posiadania na końcu wykrzyknika. Nic nie było możliwe, a jeśli nie powinno być możliwe, wtedy zazwyczaj następowało.

Przeleciał obok niego szwendotirliptak.

- Cholerni Vogoni - rzucił bokiem dzioba. - Byli tu przez kilka dni. Najwyraźniej ktoś zapomniał uzyskać pozwolenie na budowę tej chaty.

- Typowe - odparł Artur, po czym zamknął oczy i zamarzył, aby być gdzie indziej z kimś innym.

Uwaga w Przewodniku:

Niemal niesamowity brak szczęścia Artura Denta stworzył próżnię opatrnościową, która przyniosła niewiarygodne szczęście istocie po przeciwnej stronie wszechświata. Niejaki pan A. Grajag, mało znany komentator sportowy z „Nie Siame”, został skutecznie zreanimowany po pół roku niemal płaskich zapisów na monitorze w szpitalu, do którego trafił po kolizji w kosmosie z transportowcem uBidu. Obudził się na przyjęcie koktajlowe planetarnej komisji loteryjnej, aby świętować wygraną z najwyższej półki, nie musiał się już bowiem martwić, kiedy będą brać z jego półki. W tym samym momencie do jego szpitalnej sali wpadła jego młodzieńcza flama, która rozpoznała pana Grajaga w programie Celebrycka Śpiączka, i wyznała mu długo żywioną, prawdziwą miłość. Para wzięła ślub i miała dwoje dobrze przystosowanych dzieci, które nie marzyły o podążeniu śladami ojca do show-biznesu i wolały studiować prawo i medycynę.

Gdyby Artur Dent wiedział o istnieniu Grajagów, mogłoby to go nieco podnieść na duchu.

Ale niewiele.

Koniec jednego ze środków.

Przypisy

[←1]

Sparafrazowane tłumaczenie Wojciecha Młynarskiego.

[←2]

Boleśnie powolna śmierć.

[←3]

Tłumaczenie piosenki zainspirowane tekstem Grzegorza Markowskiego.

[←4]

Saga o Völsungach, przełożyła Renata Leśniakiewicz.